

L i n d a

H o w a r d

Dość już też

Podziękowania

Dla moich przyjaciółek: Beverly Barton, która potłukła swoją część naczyń, i Lindy Jones. Obie płakały, kiedy opowiadałam im, o czym jest ta historia.

Dla Kate Collins, mojej redaktorki, i dla całego zespołu Ballantine. Za to, że zrobili znacznie więcej, niż do nich należało. Jesteście wspaniali.

Dla Robina Rue, mojego agenta, który męczył się wspólnie ze mną. Czy zdajesz sobie sprawę, że trzymamy się razem od ponad dwudziestu lat? Dłużej niż niejedno małżeństwo.

Meksyk, 1993

Milla zasnęła podczas karmienia. David Boone stał nad swoją żoną i dzieckiem, wpatrując się w nich z niemądrym uśmiechem w nagłym przypływie wzruszenia. Jego żona. Jego dziecko. Boże. Jego cały świat.

Dawna wręcz obsesyjna fascynacja medycyną pozostała. Ale teraz miał jeszcze coś równie fascynującego. Nawet nie podejrzewał, że ciąża, poród, rozwój małego człowieka mogą być tak ciekawe i absorbujące. On sam wybrał chirurgię jako specjalizację; wydawała się mu prawdziwym wyzwaniem. Położnictwo... było po prostu nudne i monotonne. Pewnie czasem zdarzały się przykre wypadki i lekarz położnik musiał reagować szybko i zdecydowanie. Ale najczęściej dzieci po prostu rozwijały się w łonach matek i szczęśliwie rodziły bez większych problemów

Tak właśnie myślał, zanim sam doczekał się dziecka. Znał doskonale wszystkie okresy rozwoju płodowego, był wszechstronnie przygotowany pod względem teoretycznym. Ale nie miał pojęcia, jakie emocje wywoła w nim patrzenie na zaokrąglający się brzuch Milli albo wyczuwanie dotykiem coraz silniejszych kopnięć i ruchów dziecka. A jeśli jego tak to wszystko rozkosznie rozkładało, to jak

musiała się czuć Milla? Nawet w ostatnim miesiącu ciąży widział, jak jego żona, bardzo już zmęczona fizycznie, zamiera nagle z rękoma na brzuchu i z łagodnym uśmiechem na twarzy Zanurzona w intymnej sferze, do której nie ma wstępu nikt inny Sama ze swoim dzieckiem.

Aż wreszcie pojawił się Justin, zdrowy i rozkrzyczany, a David czuł, jak unosi go ulga, szczęście i euforia. Od tego czasu minęło sześć tygodni, u każdy dzień zdawał się przynosić coś nowego: czarne włoski niemowlęcia bardzo pojaśniały, oczka stały się niebieskie i ciekawe świata. Mały zaczynał zauważać przedmioty, rozpoznawać głosy, machać energicznie rączkami. Uwielbiał się kąpać. Inaczej płakał, gdy był zły, inaczej, kiedy był głodny, jeszcze inaczej, kiedy coś mu się nie podobało. Milla nauczyła się rozpoznawać jego różne krzyki już po kilku dniach.

Zmiany dokonujące się w żonie także fascynowały Davida. Milla zawsze miała tendencję do stania z boku, do bycia bardziej obserwatorką niż uczestniczką wydarzeń dziejących się dookoła. Zdobyć jej było sporym wyzwaniem. Ale David uparcie zabiegał o jej względy, wciąż był w pobliżu, więc Milla nie miała wyjścia i musiała wreszcie dostrzec w nim człowieka, a nie tylko ruchomy element dekoracji. Pamiętał dokładnie moment swojego triumfu. To było na przyjęciu sylwestrowym. Pośród całego gwaru, krzyku i ogólnej głupawki Milla spojrzała na niego i zamrugała oczami, jej twarz miała lekko zaskoczony wyraz, jakby właśnie dostrzegła coś ważnego a niespodziewanego. I to wszystko. Żadnych gorących pocałunków, intymnych zwierzeń w świetle księżyca. Tylko jej wzrok

- jasny, czysty, nieomylny: zobaczyła go. Potem był uśmiech i uścisk dłoni, który połączył ich na dobre.

Niesamowite.

No dobrze. Co najmniej równie niesamowity był fakt, że on sam wypełził wtedy ze swojej akademickiej jamy, aby pojawić się na jednej z tych śmiertelnie nudnych imprez uczelnianych (które organizowali jego rodzice) - i tam właśnie po raz pierwszy ją zobaczył. A kiedy to się stało, nie mógł już uwolnić się od jej obrazu. Nie była piękną, była ładna, nic więcej. Ale coś w sobie miała, w tych prostych, zdecydowanych rysach twarzy, w tym wyjątkowym sposobie chodzenia, dzięki któremu zdawała się nie dotykać podłogi. Coś, co nie dawało mu spokoju, co sprawiało, że nie mógł przestać o niej myśleć.

Fascynowało go także poznawanie jej świata. Jej upodobań. Dowiedział się, że jej ulubionym kolorem jest zielony. Że nie lubi pizzy z pepperoni. Że uwielbia filmy akcji, ale ziewa na komediach romantycznych. To go zaskoczyło, bo przecież Milla była tak bardzo kobieca. Wytłumaczyła mu więc, że zna kobiety aż za dobrze i nie ma ochoty oglądać na ekranie ich banalnych perypetii po raz setny Drobiazgi. Nic wielkiego. Podbiła go swoim niewzruszonym spokojem. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek została wyprowadzona z równowagi, to Davida przy tym nie było. Najwspanialsza, najspokojniejsza kobieta, jaką spotkał w swoim życiu. Po dwóch latach małżeństwa wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Milla ziewnęła i przeciągnęła się, jej sutek wyskoczył z ust śpiącego dziecka. Mały mruknął, cmoknął kilka razy i znów ucichł. Z wyraźną fascynacją David wyciągnął dłoń i dotknął palcem nagiej piersi żony. Musiał przyznać: był zachwycony tym nowym, większym rozmiarem. Przed ciążą Milla była bardzo szczupła, przypominała sylwetką biegaczkę długodystansową. Potem jej kształty się zaokrągliły, stały się miękkie, nęcąco łagodne. Zakaz seksu w czasie połogu doprowadzał już Davida do rozpacz. Nie mógł doczekać się jutra: planowego badania sześć tygodni po porodzie, które miała przeprowadzić Susanna Koper, ginekolog z ich zespołu. Tak naprawdę minęło już prawie siedem tygodni, bo Susanna wciąż, jak na złość, miała jakieś nagłe przypadki. A David miał już ochotę wyć do księżycy. Żeby nie zwariować, zaspokajał się sam, ale to był tylko żałosny substytut.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego leniwie.

- Cześć, Doogie * - zamruczała. - Myślisz o jutrzejszej nocy?

Zaśmiał się i z powodu „Doogiego”, i tego, jak celnie czytała w jego myślach. Chociaż... To nie było nic nadzwyczajnego. Przecież przez ostatnie dwa miesiące myślał prawie wyłącznie o seksie.

** Aluzja do wyświetlanego również w Polsce serialu Doogie Howser - lekarz medycyny o nadzwyczajnie uzdolnionym młodym lekarzu (przyp. tłum.).*

- O niczym innym - odpowiedział.

- Może nasz Doogie junior pośpi sobie jutro całą noc - westchnęła, delikatnie głaszcząc główkę niemowlęcia, które w odpowiedzi cmoknęło z ukontentowaniem.

- Wątpię - powiedzieli oboje jednocześnie i David znów się roześmiał. Justin miał niesamowity apetyt, trzeba było go karmić co dwie godziny. Milla martwiła się, że ma za mało pokarmu albo że jej mleko nie jest wystarczająco wartościowe, ale Justin kwitł i rósł w oczach, a Susanna potwierdziła, że nie ma powodu do obaw. Dzieciak był po prostu małym żarłokiem.

Milla ziewnęła znowu, a David pogładził ją po policzku.

- Słuchaj... Nawet jeśli Susanna da nam zielone światło, to przecież nie znaczy, że musimy się jutro kochać. Możemy poczekać, jeżeli jesteś zmęczona.

Jego szpitalna koleżanka ginekolog dokładnie uświadomiła mu, jak męczący dla matki jest połów, szczególnie przy karmieniu naturalnym.

- Jeszcze czego - spojrzała na niego Milla. - Myślisz, że zamierzam czekać choćby jedną nadprogramową minutę? Justin będzie miał szczęście, jeżeli nie zostawię go z Susanną i nie rzucę się na ciebie jeszcze w klinice!

- Sterroryzujesz mnie skalpelem i każesz się rozbierać? - zapytał z uśmiechem.

- Hm, kuszące - złapała jego dłoń i przyciągnęła do piersi, wodząc palcami męża po swoim sutku. - Minęło już ponad sześć tygodni. Nie musimy czekać na oficjalne zielone światło od Susanny

Podobał mu się ten pomysł. W zasadzie sam wpadł na niego wcześniej, ale siedział cicho. Nie chciał, by Milla pomyślała, że w głowie mu tylko seks. Teraz ucieszył się, że propozycja wyszła od niej, i poczuł nagłe pożądanie. Wtem spojrzał na zegarek i jęknął głośno.

- Muszę być w klinice za dziesięć minut!

Na pewno ludzie już ustawili się w kolejce pod drzwiami gotowi czekać cierpliwie, godzinami, na wizytę u doktora. Poza tym był przecież chirurgiem, a za pół godziny miał planowy zabieg do wykonania. Czuł wprawdzie, że jemu w tej sytuacji wystarczyłoby na seks jakieś dziesięć sekund, ale Milla na pewno potrzebowała zdecydowanie więcej czasu.

- No to do wieczora - uśmiechnęła się do niego żona. - Postaram się, żeby Justin nie spał za dużo w dzień. Będzie zmęczony i uśnie wieczorem.

- Dobry plan - David wstał i sięgnął po kluczyki. - Co na dzisiaj planujesz?

- Niewiele. Chcę pójść na targ, zanim zrobi się za gorąco.

- Weź kilka pomarańczy - miał ostatnio dziwną ochotę na pomarańcze; organizm pewnie domagał się witaminy C. Skutek zbyt

długiego przebywania na sali operacyjnej. Pochylił się, by pocałować Millę i musnąć delikatnie policzek synka.

- Opiekuj się mamusią - szepnął do niego i wyszedł.

Milla pojechała jeszcze w łóżku, rozkoszując się ciszą i spokojem. Piękny moment; w tej konkretnej chwili nikt niczego od niej nie chciał. Myślała, że jest przygotowana do macierzyństwa, ale nie wiedziała jednego: że opieka nad dzieckiem to praca bez przerwy. Kiedy Justin był nakarmiony i przewinięty, Milla miotała się po mieszkaniu, próbując nadgonić wszystkie inne zaległości. Była przy tym tak zmęczona, że czuła, jakby jej nogi grzęzły w błocie. Od miesięcy nie przespała porządnie całej nocy. Dokładnie od jakichś czterech miesięcy, kiedy dziecko w jej brzuchu urosło na tyle, by radośnie uciskać jej pęcherz, i musiała co pół godziny biegać do toalety. I tak było nieźle, bo pęcherz uciskają dzieci ułożone nisko, w przeciwnym wypadku, jak twierdziła Susanna, Milla miałaby kłopoty z uciskiem na przeponę i z oddychaniem. No cóż, macierzyństwo nie było czymś bajkowym. Wspaniałym, ale na pewno nie bajkowym.

Czuła, że bezwiednie się uśmiecha, patrząc na swego śpiącego syna. Był taki cudowny. Każdy tak mówił, widząc jego jasne włoski, niebieskie oczka i różowe usteczka. Był niemal jak dziecko z reklamy Gerbera: idealne, nierzeczywiste, patrzące z milionów butelek i słoiczków, które stały na półkach sklepów całego świata. Millę zachwycało w nim wszystko: od jasnych paznokietków po małe dołeczki w policzkach. Mogłaby po prostu siedzieć i patrzeć na niego cały dzień... Gdyby nie miała całej masy innych rzeczy do roboty.

Przypomniała sobie wszystko, co powinno być zrobione: pranie, sprzątanie, obiad - a gdyby jeszcze jakimś cudem została jej wolna chwila, to czekała papierkowa robota z kliniki. Aha, dzisiaj koniecznie musi jeszcze zająć się sobą, umyć włosy, ogolić nogi. Przecież wieczorem ma romantyczną randkę z mężem. Czuła się świetnie w roli matki, ale wcale nie zamierzała rezygnować z bycia atrakcyjną kobietą. Brakowało jej seksu. David oddawał się miłości fizycznej z taką samą uwagą i koncentracją, z jaką robił wszystkie najważniejsze dla siebie rzeczy. Bywało to całkiem miłe, jako że to właśnie ona była w tym czasie jedynym obiektem jego skupionej uwagi. Miłe? Po prostu absolutnie wspaniałe.

Ale najpierw pójdę na targ, pomyślała, otrząsając się z leniwych myśli. Zanim zrobi się za gorąco.

Jeszcze tylko dwa miesiące. Będzie jej brakowało Meksyku: ludzi, słońca, powolnego rytmu życia. Rok, który David i jego koledzy z kliniki poświęcili na pracę w publicznym szpitalu, dobiegał końca. Potem czekał ich powrót do wyścigu szczurów, jakim była praca lekarza w Stanach. Och, na pewno miło będzie wrócić do domu. Do przyjaciół i do takich drobnych udogodnień jak klimatyzowane supermarkety. Będzie mogła zabierać Justina na spacer po parku, odwiedzać mamę w ciągu dnia. Brakowało jej matki przez cały czas ciąży. Sporadyczne telefony i jedna krótka wizyta niewiele mogły tu zmienić.

O mało nie zrezygnowała z tego wyjazdu do Meksyku z Davidem; dowiedziała się o ciąży tuż przed zaplanowaną podróżą i

trochę się wystraszyła. Ale nie chciała spędzać tak długiego czasu bez męża; nie wtedy, gdy nosiła ich pierwsze dziecko. Po pierwszym spotkaniu z Susanną, lekarką ginekologiem, która wyjeżdżała z zespołem Davida, Milla zdecydowała się trzymać pierwotnego planu. Jej matka była wprawdzie przerażona faktem, że wnuczek urodzi się w jakimś obcym kraju, ale ciąża przebiegała spokojnie, bez problemów i powikłań. Justin urodził się w terminie, dwa dni po wyznaczonej dacie. Od tego momentu Milla żyła jak w transie, jej dobę wypełniały w równych proporcjach dwa doznania: wielka miłość i wielkie zmęczenie.

Jej obecne życie tak bardzo różniło się od tego, które niegdyś zaplanowała. Z dyplomem uniwersyteckim w ręku chciała zmieniać świat, nie cały od razu, na razie każdego człowieka po kolei. Chciała zostać nauczycielką, taką, którą uczniowie i studenci będą z sentymentem wspominać po latach. Taką, która naprawdę zostawi dobry ślad w ich życiu. Dobrze czuła się w środowisku akademickim, nawet w jego rozpolitykowanych kręgach. Chciała zrobić doktorat, a potem wykładać na uniwersytecie. Małżeństwo - być może. Jak będzie mieć trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Dzieci - niewykluczone. Kiedyś.

Zamiast tego wszystkiego trafił się jej David, młodociany geniusz medycyny. Był synem jej profesora historii; gdy została asystentką naukowca, dowiedziała się wszystkiego o jego potomku. IQ Davida sięgało wyżej geniuszu. Skończył liceum w wieku czternastu lat, jako siedemnastolatek miał już pierwszy dyplom

uniwersytecki. Potem jak huragan przeszedł przez akademię medyczną. Gdy Milla go poznała, miał już dwadzieścia pięć lat i był doświadczonym chirurgiem. Spodziewała się aroganckiego bubka albo beznadziejnie nudnego jajogłowego.

Myliła się. Okazał się przystojnym młodym człowiekiem o trochę zmęczonej twarzy, co było poniekąd zrozumiałe: spędzał zbyt dużo czasu na sali operacyjnej, a jeszcze więcej nad książkami medycznymi. Jego niesamowity głód wiedzy kazał mu - z braku czasu - pożerać nowe książki nocami. Umiał się uwodzicielsko uśmiechać, jego niebieskie oczy aż śmiały się do niej, a jasne włosy były zawsze uroczo rozczochrane. Był wysoki, co bardzo się jej podobało, jako że sama miała ponad metr siedemdziesiąt i lubiła buty na wysokich obcasach. W zasadzie podobało jej się w nim wszystko. Kiedy wreszcie zdecydował się zaprosić ją na randkę, nie dała się prosić dwa razy.

A jednak była trochę zaskoczona, gdy na przyjęciu sylwestrowym spotkały się ich spojrzenia i dostrzegła w oczach Davida mroczne, gorące pożądanie. Wtedy zrozumiała, a ściana jej dystansu runęła w jednej chwili jak mury Jerycha na dźwięk trąb Jozuego. David ją kochał. A ona jego. To było tak cudownie proste.

Tuż po skończeniu studiów, w wieku dwudziestu jeden lat, została jego żoną. Teraz, dwa lata później, była już matką. Nie żałowała niczego, ani minuty ich wspólnego życia. Nie zmieniała długoterminowych planów: wciąż chciała uczyć po powrocie do Stanów. Chciała kontynuować swoją edukację. Ale nie cofnęłaby

żadnej z decyzji, które ostatecznie doprowadziły do małego cudu: narodzin jej syna. Od chwili, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, czuła się jak w innym świecie. Od samego początku kochała swoje dziecko tak bardzo, że czuła, jakby rozświetlało ją od wewnątrz cudowne, dobre światło. Zresztą teraz czuła jeszcze silniejszy związek z małym Justinem, choć nie spał już pod jej sercem, tylko w swoim łóżeczku, w pokoju obok. I nieważne, jak bardzo zmęczona, Milla zawsze potrafiła się tym związkiem, tą miłością autentycznie radować.

Wstała z łóżka i starannie ułożyła poduszki wokół dziecka, choć mały jeszcze nie potrafił przewracać się na bok. Spał sobie spokojnie, podczas gdy Milla szybko się umyła, wyszczotkowała swoje krótkie kręcone włosy i włożyła jedną z tych luźnych letnich sukienek, które przeznaczyła właśnie na czas po porodzie. Wciąż ważyła prawie siedem kilo więcej niż przed ciążą, ale nie martwiła się tym zbytnio. Nawet spodobała się jej ta nowa miękkość kształtów, a David był najwyraźniej zachwycony nagłą zmianą rozmiaru piersi żony - z miseczki B aż na D.

Zadrzała na myśl o dzisiejszym wieczorze. David tydzień wcześniej przyniósł z kliniki paczuszkę prezerwatyw i już sama obecność tej paczuszki wprowadziła ich oboje w stan niezdrowego podniecenia. Używali kiedyś kondomów, na samym początku związku. Potem Milla brała pigułki, a odstawiła je wtedy, gdy zdecydowali się na dziecko. Powrót do prezerwatyw wydawał się wycieczką w dawne ekscytujące czasy, kiedy zachłannie poznawali

siebie nawzajem i wszystko było takie nowe, takie intensywne i takie szalone.

Justin zaczął się wiercić, szukając ustami piersi. Otworzył niebieskie oczka, zamachał piąstkami i mruknął w ten sposób, który zazwyczaj zwiastował płacz typu „mokro, zmień pieluchę”.

Otrząsnąwszy się z seksualnych fantazji, Milla sięgnęła po nową pieluszkę i nachyliła się nad synkiem, gruchając do niego podczas przewijania. Justin patrzył w twarz mamy, jakby nic innego nie istniało na całym bożym świecie, otworzył usta z ukontentowaniem, machając radośnie rączkami i nóżkami.

- Taaak, to mamusia! - uśmiechnęła się do niego Milla, podnosząc chłopca z łóżka. Gdy tylko znalazł się blisko jej ciała, natychmiast zaczął szukać sutka.

- Mój ty żarłoczku - powiedziała, siadając i odpinając przód sukienki. Poczowała mrowienie w piersiach, a potem westchnęła, czując, jak Justin zaczyna ssać. Kołysała się delikatnie w przód i w tył, bawiąc się paluszkami dziecka. Wkrótce oczka Justina zamknęły się, a Milla cicho zaśpiewała mu kołysankę, ciesząc się chwilą. Kochała tę stronę macierzyństwa. Pewnie, że nie było nic przyjemnego w chronicznym niewyspaniu i w zapachu brudnych pieluch, ale kiedy trzymała w ramionach swoje dziecko, tak jak teraz, nie liczyło się nic innego. Dla jednej takiej chwili warto było żyć.

Nakarmiwszy Justina, odłożyła go znów do łóżka, aby przekąsić coś na śniadanie. Po jedzeniu umyła zęby i założyła dzinsowe nosidełko-chustę, a potem umieściła w nim dziecko. Justin leżał sobie

spokojnie, tak blisko piersi matki, że mógł słyszeć bicie jej serca. Zasypiał - jego oczka same się zamykały. Milla wzięła jeszcze kapelusz i koszyk, po czym - z pieniędzmi w kieszeni - ruszyła na targ.

Miała tylko niecały kilometr do przejścia. Jasne poranne słońce zapowiadało palący upał w południe, ale na razie powietrze było chłodne i rześkie. Na wiejskim targu kręcili się już kupujący. Na straganach leżały jaskrawe pomarańcze i kolorowa papryka, banany i melony, girlandy nanizanej na sznurki żółtej cebuli. Milla oglądała towary, zamieniając co jakiś czas kilka słów z wiejskimi kobietami, które przystawały, by pozachwytać się jej dzieckiem. Nie spieszyła się, uważnie wybierając owoce i warzywa.

Śpiący Justin zwinął się w kulkę, podwijając automatycznie nóżki do pozycji płodowej. Matka ochraniała go przed słońcem kapeluszem. Łagodna bryza, która rozwiewała jej krótkie jasnobrązowe włosy, zburzyła także grzywkę dziecka. Chłopiec poruszył się i cmoknął kilka razy przez sen. Milla postawiła koszyk i pogłaskała dziecko po plecach - uspokoiło się w jednej chwili.

Zatrzymała się przy stoisku z owocami i rozpoczęła rozmowę ze starą sprzedawczynią, gestykułując energicznie. Milla słabo mówiła po hiszpańsku, ale i tym razem udało jej się wszystko załatwić: wskazała ręką dorodne pomarańcze, które przyciągnęły jej wzrok.

Nic nie zauważyła, nic jej nie zaalarmowało. Nagle po prostu znalazła się pomiędzy dwoma mężczyznami, poczuła ostry odór ich potu. Instynktownie próbowała się cofnąć, ale stali za blisko. Tuż

obok. Ten z prawej wyciągnął nóż i chwycił drugą ręką materiał nosidełka. Milla zdążyła tylko krzyknąć, gdy on brutalnie przecinał dżinsowe paski. Czas się zatrzymał, a następne kilka sekund zdało się jej upiorną wiecznością. Handlarka cofnęła się przestraszona. Milla poczuła, jak nosidełko zaczyna puszczać, i w panice sięgnęła po dziecko. Mężczyzna stojący z lewej strony był szybszy: chwycił Justina jedną ręką, a drugą silnie odepchnął matkę.

Jakimś cudem udało jej się ustać na nogach; jak w transie, czując lodowate przerażenie rosnące w piersi, skoczyła na napastnika z rozpaczliwym krzykiem, próbując wyrwać dziecko. Jej paznokcie rozorały mu twarz, zostawiając krwawe ślady. Mężczyzna cofnął się zaskoczony.

Wyrwane ze snu niemowlę głośno zakwiliło. Wokół zaczęli zbierać się ludzie zaalarmowani zamieszaniem na targu.

- Ratunku! - wołała Milla, próbując wyrwać Justina mężczyźnie, ale gapie nie kwapili się z pomocą. Napastnik znowu spróbował ją odepchnąć; poczuła jego dłoń na swojej twarzy i ugryzła z całej siły. Krzyknął z bólu, a ona desperacko sięgnęła do oczu bandyty: paznokieć zagłębił się w miękkiej, wilgotnej tkance gałki ocznej. Krzyk mężczyzny przeszedł w potworny ryk, zdezorientowany prawie puścił Justina. Milla rzuciła się, by złapać chłopca: poczuła w dłoni małe, miękkie ramię i przez jedną, błogosławioną chwilę myślała, że się udało. Potem kątem oka dostrzegła ruch drugiego napastnika i poczuła potworny, paraliżujący ból pleców.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na ziemię. Palce bezradnie zacisnęły się, chwytając już tylko powietrze. Mężczyźni uciekali. Jeden z nich niósł pod pachą dziecko, a drugą ręką trzymał się za zakrwawioną twarz, głośno miotając przekleństwa. Milla leżała bez ruchu, walcząc o oddech, walcząc o krzyk. Jej płuca pracowały w szalonym rytmie, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Chciała się podnieść, ale ciało już jej nie słuchało. Czarna mgła zasnęła jej oczy, podczas gdy Milla jęczała cicho:

- Dziecko... Ratujcie moje dziecko... Nikt się nie ruszył.

*

**

David właśnie skończył operację przepukliny i mył ręce po zabiegu. Rip Kasper, mąż Susanny, a poza tym anestezjolog zespołu, sprawdzał jeszcze ciśnienie i akcję serca pacjenta, szykując się do przekazania go Anneli Lansky, pielęgniarce. To był dobry i zgrany zespół. David pomyślał, że będzie mu brakowało tych ludzi po powrocie do Stanów, gdy skończy się ich meksykański rok. Nie będzie tęsknił za odrapanym betonowym budynkiem biednej kliniki, wyłożonym starymi popękkanymi kafelkami. Ale na pewno będzie mu brakowało kolegów, miejscowych pacjentów, a pewnie zatęskni i za samym Meksykiem.

Myślał już o pęcherzyku żółciowym, którym miał się zająć w następnej kolejności. Tymczasem usłyszał dziwny hałas dobiegający z korytarza: krzyki, przekleństwa, jęki, odgłosy jakiejś przepychanki.

Wysuszył ręce i rzucił się w stronę drzwi, słysząc głos wołającej go Juany Mendozy, drugiej pielęgniarki.

Wybiegł z sali i o mało nie wpadł na Juanę, Susannę Kasper oraz nieznaną mu kobietę i dwóch mężczyzn, którzy kogoś nieśli. Była to kobieta, najwyraźniej ranna. David nie widział jej twarzy, ale zauważył od razu, że jej sukienka jest całkiem zakrwawiona.

- Co się stało?! - krzyknął, odkopując na bok jakieś pudło i przyciągając leżankę.

- Davidzie - powiedziała Susanna dziwnym, twardym głosem. - To Milla.

W pierwszej chwili nie zrozumiał: rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem żony. Potem popatrzył w dół, na okoloną jasnobrązowymi lokami, trupio bladą twarz nieprzytomnej, zakrwawionej kobiety. I świat zakołysał się wokół niego. Milla? Nie, to nie mogła być Milla. Ona była w domu, z Justinem. Bezpieczna. Ta kobieta jest po prostu bardzo podobna. Ale tak naprawdę to wcale nie Milla.

- Davidzie! - głos Susanny był ostry, bolesny. - Otrząśnij się! Pomóż nam przenieść ją na leżankę!

Tylko lata praktyki medycznej i wyćwiczone odruchy pozwoliły mu podejść i pomóc położyć tę kobietę podobną do Milli na leżance. Jej sukienka była cała we krwi, tak samo jak ręce, nogi, stopy i buty. Nie, jeden but. Sandał, bardzo podobny do tych, które często nosiła Milla. Potem zobaczył różowy lakier na paznokciach palców u stóp, zobaczył delikatny złoty łańcuszek na prawej kostce i poczuł, jak rozchwiany świat zaczyna z hukiem walić się w gruzy.

- Co się stało? - zapytał chyba ktoś inny jego głosem; ciało chirurga funkcjonowało automatycznie, popychając leżankę w kierunku sali operacyjnej, z której dopiero co wyszedł.

- Cios nożem w plecy, lewa dolna strona - powiedziała Juana. Zamknęła drzwi sali, wysłuchawszy jeszcze ludzi, którzy przynieśli raną.

- Dwóch mężczyzn zaatakowało ją na targu - westchnęła ciężko.
- Zabrali Justina. Milla próbowała bronić dziecka, no i jeden z bandytów dźgnął ją nożem.

- O Boże - sapnął RP, wpadając na salę. Umilkł, rzuciwszy okiem na Millę, i zaczął pospiesznie przygotowywać sprzęt.

Justin! David aż zatrzęsł się po raz drugi i bez namysłu skoczył w stronę drzwi. Ci dranie porwali jego syna! Po pierwszym kroku opanował się, zawahał, spojrzał na żonę.

Nie mieli czasu nawet na wyczyszczenie i uprzątnięcie sali po poprzednim zabiegu. Anneli rzuciła się do zbierania potrzebnych narzędzi. Juana założyła opaskę aparatu na ramię Milli, aby szybko zmierzyć ciśnienie. W tym czasie Susanna rozcinała pospiesznie ubranie rannej.

- Krew zero RH plus - rzuciła. Skąd wiedziała? Ach tak, określała grupę krwi Milli przed urodzeniem Justina.

- Sześćdziesiąt na czterdzieści - powiedziała Juana. Wyćwiczonym ruchem wprowadziła wenflon do żyły Milli i podpięła do niego torebkę osocza.

Tracimy ją, pomyślał David. Milla umrze tu, na jego oczach, jeżeli natychmiast nie otrząśnie się z szoku i nie zrobi tego, co do niego należy. Sądząc po wyglądzie i miejscu rany, ostrze prawdopodobnie naruszyło lewą nerkę i Bóg jeden wie, co jeszcze. Wykrwawiała się. Jeszcze kilka minut i wszystkie narządy zaczną się po kolei wyłączać...

Starął się nie myśleć, nie zastanawiać. Wsunął dłonie w świeżą parę rękawiczek, które przytrzymała dla niego Anneli. Nie miał czasu dokładnie umyć rąk. Nie miał czasu szukać Justina. Mógł tylko pewnie chwycić podany skalpel i przywołać całą swoją lekarską wiedzę i chirurgiczne doświadczenie. Na przemian modlił się i klął, walcząc z uciekającymi sekundami, nacinając ciało swojej żony. Tak jak podejrzewał, ostrze naruszyło nerkę. Naruszyło? Rozcięło ją praktycznie na pół. Dla nerki nie było już ratunku. Jeżeli nie wyjmie jej natychmiast i w rekordowym czasie nie pozszywa wszystkich naczyń krwionośnych, to może już także nie być ratunku dla Milli.

To był wyścig: okrutny i bezlitosny. Jedna pomyłka, drobne potknięcie, zawahanie oznaczało przegraną. Jego i Milli. To nie była chirurgia, do jakiej przywykł. Przypominało to bardziej operację w wojskowym szpitalu polowym - szybką, brutalną, gdzie zawsze chodzi o życie wiszące na bardzo cienkim włosku. Podawali jej cały dostępny zapas krwi, która wydawała się jednak równie szybko uciekać z umęczonego ciała. Wreszcie udało się Davidowi powstrzymać krwawienie, wyszukać i zszyć uszkodzone naczynia, i powoli zaczął wygrywać wyścig. Nie wiedział, ile to wszystko

trwało, i nigdy potem nie spytał. To nie było istotne. Liczyło się tylko zwycięstwo. Przegrana byłaby tak straszna, że bał się o niej nawet myśleć.

scandalous

Dziesięć lat później Chihuahua, Meksyk

Paige Sisk przysunęła się do swojego narzeczonego Coltona Rawlsa. Dziewczyna leniwie zamknęła oczy, zaciągając się głęboko, a potem podając skręta Coltonowi. Chciało jej się śmiać na myśl o tych wszystkich żalonych dupkach trujących bez sensu o różnych straszliwych rzeczach, które niewątpliwie przydarzą się jej w Meksyku. Co oni wiedzieli? Meksyk rządził. To znaczy nie była przecież jakąś idiotką przypalającą trawkę na oczach śniadego policjanta. Chociaż podobno wystarczyło w takich przypadkach pomachać glinie zielonymi przed nosem i problem zniknął. Ale ona nie planowała bezsensownego tracenia kasy na łapówki.

Siedzieli tutaj już od czterech dni. Colton stwierdził, że Chihuahua to najbardziej zakręcone miejsce na ziemi. Chłopak miał odjazd na punkcie Pancho Villi*; zanim zjechali do miasta, Page była święcie przekonana, że chodzi o jakieś miejsce, gdzie wyrabia się poncha. Jedyne imię Pancho (no... chyba Pancho), o którym słyszała, był jakimś dupowatym rycerzem - czy może pomocnikiem rycerza? - z głupiego starego filmu, który już ledwie pamiętała. Ale Colton twierdził, że nie, że ten Pancho to był prawdziwy twardziel. No dobra. Niech będzie. Już dwa razy oglądali podziurawiony kulami wrak starego dodge'a, w którym prawdziwego twardziela Pancha żli ludzie przerobili na ser szwajcarski. Całkiem jak Bonnie i Clyde.

** Jeden z przywódców rewolucji meksykańskiej (1910-1920).
Dla przeciwników pospolity bandyta i zbrodniarz, dla
rewolucjonistów wszelkiej maści (wliczając w to współczesne grupy
lewackie) - bohater i idol (przyp. tłum.).*

Tak szczerze, to dla Paige cały ten Pancho Villa był tylko starym, a w dodatku martwym, pierdzielem. Guzik obchodził ją stary dodge. Jeżeli gość jeździłby hummerem - ooo, to dopiero byłoby coś.

- Jeśliby jeździł hummerem - powiedziała - to mógłby zwyczajnie przejechać tych dupków, co do niego strzelali.

- Niby kto? - Colton wychylił się z chmury dymu z wyrazem głębokiej zadumy na twarzy.

- Pancho Villa.

- Nie, on jeździł dodgeem.

- No właśnie mówię! - zirytowała się, szturchając Coltona. - Jeśliby jeździł hummerem, to rozjechałby ich na miazgę.

- Ale wtedy nie było hummerów.

- Boże! - zachnęła się dziewczyna. - Musisz być taki dosłowny? Powiedziałam „jeśli”!

Zabrała mu skręta, zaciągnęła się i oddała chłopakowi.

- Idę do kibla - oznajmiła, wstając z łóżka.

- Spoko - Colton pomachał jej niemrawo, nawet nie kryjąc zadowolenia z przejęcia skręta na dłużej. Nie odmachała mu.

Wyprawa do kibla nie była niczym przyjemnym. Na piętrze była tylko jedna łazienka z pociętymi gazetami zamiast papieru toaletowego i z

zatykającym smrodem stojącym w powietrzu. Ale Colton upodobał sobie to właśnie miejsce, bo było tanie. Nic dziwnego: kto dałby jakiś większy szmal za mieszkanie w takim chlewie? Ale z drugiej strony, mieli blisko do targu. A to było fajne.

Upaliła się trawką już całkiem konkretnie, ale jeszcze nie na tyle, by zapomnieć o wątpliwych urokach miejscowego kibla. Oczywiście zamek był zepsuty. Do klamki przywiązano sznurówkę, a do framugi na tej samej wysokości wbito gwóźdź. Żeby „zamknąć” drzwi, trzeba było po prostu zawiązać sznurówkę na gwoździu. Jakoś nie dodawało to Paige pewności siebie. Zawsze starała się jak najszybciej załatwić potrzebę.

Cholera. Latarka została w pokoju. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby światła pogasły akurat w trakcie jej wizyty w kiblu, ale podobno takie rzeczy się tu zdarzały. A ona bała się ciemności, więc do tego jedynego ostrzeżenia podchodziła wyjątkowo poważnie. Próbowwała się streszczać, ale procesu sikania nie da się przecież za bardzo przyspieszyć. A ona w dodatku jak zwykle czekała z wyjściem do ostatniej chwili, kiedy już prawie ją rozrywało. Przykucnięta w „pozycji zjazdowej” nad muszlą (nawet nie dopuszczała myśli, że mogłaby na tym czymś usiąść), sprawiała ulgę umęczonemu pęcherzowi. I jeszcze... jeszcze... jeszcze... Nogi zaczynały ją już boleć i przerażona pomyślała, co to będzie, jeśli jednak przysiądzie na kiblu. No co? Wyparzy sobie potem tyłek wrzątkiem, czy jak?

Ale wreszcie skończyła, podtarła się kawałkiem gazety i westchnęła z ulgą, prostując się z trudem. Jeżeli uda jej się kiedyś

oderwać Coltona od Chihuahua i od podziurawionego dodgea Pancho Villi i ruszą wreszcie w dalszą drogę, to będzie nalegać na noclegi w miejscach o nieco wyższym standardzie.

Podciągnęła szorty, opłukała ręce i wytarła je o spodenki, bo oczywiście zapomniała wziąć ręcznik z pokoju. Potem odwiązała sznurowadło z gwoźdźca. Drzwi otworzyły się z piskiem i dziewczyna zadrżała, widząc, że korytarz pogrążony jest w ciemności. Zawahała się. Kiedy wchodziła do łazienki, było jasno. Musiała się przepalić żarówka.

Ciarki przeszły jej po plecach. Tak bardzo bała się ciemności. A poza tym jak miała wrócić do pokoju, jeśli nie było absolutnie nic widać?

Gdzieś z lewej skrzypnęła podłoga. Paige podskoczyła ze strachu, chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle i wydobyła z siebie jedynie cichy, przerażony pisk.

Szorstka dłoń zasłoniła jej usta; dziewczyna zdążyła jeszcze poczuć ostry nieprzyjemny, męski zapach. Potem coś ciężkiego uderzyło ją silnie w głowę i Paige osunęła się na podłogę nieprzytomna.

El Paso, Teksas

Telefon komórkowy Milli rozdzwonił się głośno. Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać: była wykończona, zrezygnowana, a w dodatku strasznie bolała ją głowa. Na zewnątrz było ponad czterdzieści stopni; klimatyzacja w samochodzie działała nieźle, ale nie mogła powstrzymać bezlitosnych promieni słońca, które paliły

dłonie i ramiona. Widok zmasakrowanej twarzy Tiery Alverson - martwych niebieskich oczu czternastolatki patrzących nieruchomo w przestrzeń... Nie mogła się od niego uwolnić. Przyśni się jej zapewne straszliwy płacz Reginy Alverson, jej reakcja na wiadomość, że córka nie wróci już do domu. Zdarzało się, że Poszukiwacze wygrywali wyścig z czasem. Ale bywały i porażki. Jak ta.

Ostatnią rzeczą, której potrzebowała teraz Milla, było wysłuchiwanie cudzych żalów. Miała dość własnych problemów. Nigdy nie wiedziała, kto zadzwoni i czego będzie chciał, ale nie narzekała: przecież z własnej woli zamieniła normalne życie w osobistą krucjatę. Otworzyła oczy tylko po to, by odszukać wzrokiem komórkę. Potem zamknęła je szybko, uciekając przed agresywnym jaskrawym słońcem.

- Señora Boone? - rozległ się w chevrolecie głos z mocnym akcentem. Milla nie rozpoznała go, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Rozmawiała codziennie z wieloma osobami. W każdym razie była to niewątpliwie sprawa zawodowa. Tylko w kręgach związanych z Poszukiwaczami była znana jako Milla Boone. Po rozwodzie formalnie wróciła do panińskiego nazwiska Edge, ale wtedy było już głośno o prowadzonych przez nią (czyli przez panią Boone) poszukiwaniach zaginionych dzieci, no i tak już zostało.

Była niejako zmuszona do używania nazwiska Boone we wszelkich sprawach związanych z Poszukiwaczami.

- Tak, przy telefonie.

- Dziś wieczorem będzie spotkanie. W Guadalupe, wpół do jedenastej. Za kościołem.

- Jakie spotkanie...

- Diaz tam będzie - przerwał jej głos, sekundę później połączenie zostało przerwane.

Milla wyprostowała się, zapominając o bólu głowy. W jej żyłach zaczęła krążyć adrenalina. Siedziała w milczeniu, bijąc się z myślami.

- W której Guadalupe? - zapytał Brian Cusack kierujący samochodem. Słyszał wszystko, rozmowa szła przez zestaw głośno mówiący

- Jeżeli nie w tej najbliższej, to w ogóle nie ma o czym mówić.

W Meksyku było całkiem sporo miejscowości o tej nazwie, które zresztą bardzo się od siebie różniły. Tę leżącą najbliżej amerykańskiej granicy można było nazwać wioską.

- W mordę - syknął Brian. - W mordę.

- To nie żarty - westchnęła. Było już po szóstej. W biurze nie ma teraz nikogo. Mogła próbować wyciągać ludzi z domów, ale szkoda jej było każdej chwili. Skoro „spotkanie” miało się odbyć o dwudziestej drugiej trzydzieści, to oni muszą być na miejscu przynajmniej pół godziny wcześniej. Wieś Guadalupe leżała jakieś osiemdziesiąt kilometrów od El Paso i od Juarez. Biorąc poprawkę na natężenie ruchu, za jakieś czterdzieści pięć minut powinni dotrzeć do granicy Sensowniej będzie zostawić tam samochód, przejść pieszo most graniczny i zorganizować sobie transport po meksykańskiej stronie. Dzięki temu ominą ich formalności związane z

przekraczaniem przejścia samochodem, co pozwoli zaoszczędzić trochę czasu. Nie oznacza to, że nie muszą się spieszyć. Muszą. Każda chwila zwłoki może ich drogo kosztować.

Oboje mieli przy sobie paszporty i karty turystyczne z prawem wielokrotnego wjazdu do Meksyku *. Taka była standardowa procedura: nigdy nie wiedzieli, kiedy sytuacja wymagać będzie przekroczenia granicy. Poza tym mieli przy sobie tylko dwa noktowizory (które tak bardzo pomogły im w szczęśliwym odnalezieniu małego Dylana Petersona). Po prostu zapomnieli wyjąć je z torby, gdy ruszali na poszukiwania Tiery Alverson, z których teraz właśnie wracali. Przy tej ostatniej robocie nie potrzebowali żadnego sprzętu; czasu i cierpliwości, owszem. Ale nie gadżetów.

Musieli więc teraz bawić się tym, co mieli. Nie było wyboru, Milla nie odpuściłaby jedynej możliwości dorwania Diaza.

Diaz. Człowiek nieuchwytny i nierealny niczym duch. Może tym razem się uda.

- Musimy zyskać trochę czasu - powiedziała.

Nigdy nie ryzykowali przemykania broni przez granicę. Zawsze kupowali ją po tamtej stronie. Zresztą zazwyczaj nie była im potrzebna, najczęściej cała rzecz sprowadzała się do rozmawiania z ludźmi. Ale czasami zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby mieć przy sobie coś do samoobrony.

Milla zadzwoniła do Joann Westfall, mając nadzieję na złapanie swojej zastępczyni w domu. Niestety, usłyszała automatyczną sekretarkę. Zostawiła wiadomość, krótko informując Joann, dokąd się

wybierają i po co, zgodnie z wprowadzoną przez siebie zasadą, że żaden z Poszukiwaczy nie działa na własną rękę, a przynajmniej zawiadamia innych, co zamierza.

Po dwóch latach wreszcie namiar na Diaza! Serce waliło jej w piersi. Może to jest właśnie ten przełom, na który czeka od dziesięciu lat.

** Chociaż obywatel USA nie potrzebuje wizy, aby wjechać na terytorium Meksyku, to musi mieć tzw. kartę turystyczną, jeśli ma zamiar przebywać w Meksyku dłużej niż 72 godziny lub opuścić strefę przygraniczną tego państwa (przyp. tłum.).*

Wokół porwania Justina wytworzył się klimat specyficznej tajemnicy zdarzenie obrosło licznymi plotkami i podejrzeniami. Nie zażądano okupu, a mężczyźni, którzy zabrali dziecko, zapadli się pod ziemię. Ale w końcu Milla zaczęła słyszeć historie o jednookim człowieku, którego nie dawało się wytropić. Dwa lata temu pewna kobieta wyszeptała jej w tajemnicy, że Diaz może wiedzieć coś o sprawie. Przez następne dwadzieścia pięć miesięcy Milla uporczywie starała się go odnaleźć. Niestety, nie znalazła nic prócz kolejnych plotek.

„Szukać Diaza - powiedział jej starzec próbujący odwieść ją od szaleńczej misji - to jak szukać własnej śmierci". Lepiej trzymać się jak najdalej od niego. Diaz stał za tajemniczymi zniknięciami wielu ludzi. Albo przynajmniej o nich wiedział. Usłyszała, że ten jednooki nazywa się Diaz. A może inaczej: że jednooki pracuje dla Diaza. Nie, jeszcze inaczej: Diaz zabił jednookiego za to, że ten ostatni przez

pomyłkę porwał amerykańskie dziecko i tym samym narobił za dużo szumu.

Milla słyszała dziesiątki takich historii. Ludzie bali się mówić o Diazie, ale ona wciąż cierpliwie pytała i w końcu dostawała jakąś wyszeptaną ze strachem odpowiedź. Ciągle nie wiedziała, kim naprawdę jest ów tajemniczy mężczyzna. Była jednak przekonana, że ma coś wspólnego ze sprawą zniknięcia Justina.

- Ktoś wystawia Diaza - odezwał się nagle Brian.

- Wiem - odparła. To było jedyne logiczne wyjaśnienie tego niespodziewanego telefonu i to ją martwiło. Nie chciała dać się wplątać w jakąś brudną rozgrywkę. Chciała tylko znaleźć Justina. Na tym skupiali się Poszukiwacze: na odnajdywaniu zaginionych

i porwanych. Jeżeli przy okazji spotykała kogoś zasłużona kara, tym lepiej, ale to już była sprawa policji. Milla nigdy nie utrudniała śledztwa, wręcz przeciwnie, często pomagała, jednak jej celem było tylko zwracanie zagubionych dzieci ich rodzinom.

- Jeżeli okaże się, że jest źle - powiedziała - to siedzimy cicho i nie wychylamy się.

- A co będzie, jak się okaże, że to facet, którego szukałaś przez ostatnie dziesięć lat?

Milla zamknęła oczy, nie znajdując odpowiedzi. Pewnie, mogła powiedzieć, że nie będą szarżować, cokolwiek by się działo. Ale jeśli istotnie Diaz okaże się jednookim porywaczem Justina? Nie była pewna, czy da radę się opanować. Wściekłość wciąż w niej żyła jak lawa szykująca się do erupcji we wnętrzu pozornie wygasłego

wulkanu. Nie mogła go po prostu zabić, o nie. Musiała z nim porozmawiać, nawet jeśli to rzeczywiście był on. Musiała się dowiedzieć, co zrobił z jej dzieckiem. Ale... och, przecież chciała go zabić. Chciała rozedrzeć tego faceta na strzępy, bez litości.

Wolała nie myśleć, co będzie potem. Lepiej było skoncentrować się na tym, co działo się tu i teraz. Była do tego przyzwyczajona, żyła tak przez ostatnie dziesięć lat. Zarówno ona, jak i Brian byli zmęczeni, głodni i mieli za sobą długą noc. Na tę ostatnią rzecz nie można było wiele poradzić, ale mogli przynajmniej oszukać głód: wyciągnęła ze schowka dwa batoniki Pay Day, po jednym dla każdego. Orzeszki dadzą im przynajmniej trochę energii. Brian pochłoniął swój batonik trzema kęsami, zdając sobie zapewne sprawę, że nici ze steku, o którym marzył, wracając do domu - i że to właśnie będzie jego kolacja. Milla podała mu drugi batonik, który podzielił los poprzedniego.

Przeważnie wozili ze sobą owoce, ale tym razem zostało ich już niewiele: w końcu wracali do domu. Dokładniej rzecz ujmując, mieli jednego banana. Milla obrała go i podzieliła na pół. Brian sięgał po swoją część, zanim jeszcze skończyła obierać owoc.

- Mamy coś jeszcze? - spytał, kiedy i ona zjadła swoją porcję.

- Zobaczmy... Jeszcze dwa paydaye, opakowanie dropsów Life Savers, dwie butelki wody Wszystko.

Brian westchnął. Będą potrzebowali dwóch ostatnich batoników, żeby nie paść w drodze powrotnej.

- No to po kolacji - mruknął wyraźnie nieszczęśliwy Duży nadąsany chłopiec.

Milli też nie zachwycała taka perspektywa. Otworzyła butelki z wodą, ale oboje upili tylko kilka łyków. Nie mogli pozwolić sobie teraz na pełne pęcherze.

Byli już kiedyś w Guadalupe, mimo to Milla przekopła się przez pudło map, zanim znalazła tę z okolicami wioski.

- Ciekawe, ile kościołów jest w Guadalupe - powiedziała. - Nie pamiętam.

- Mam nadzieję, że jeden, bo informator nie podał ci dokładniejszych namiarów. Daj no te dropsy

Brian rozdarł opakowanie i wpakował sobie do ust cztery cukierki naraz. Nie czekał, aż się rozpuszczą, po prostu pogryzł je i połknął.

Milla tymczasem podniosła komórkę i zadzwoniła do ich zaufanego człowieka w Juarez, mężczyzny imieniem Benito (nazwiska nie poznali nigdy). Benito był niezastąpiony w „organizowaniu” samochodów, i to nie tych błyszczących jak z wypożyczalni. Specjalizował się w starych, rozsypujących się półcięzarówkach, na które nikt nie zwracał uwagi i które - nawet pozostawione w najciemniejszym zaułku - nie zainteresowałyby żadnego wandala ani złodzieja. Po prostu niewiele w nich już zostało do zniszczenia, a kradzież takiego złomu też absolutnie się nie opłacała. Ale jeździły, zawsze miały pełen bak benzyny i papiery w najlepszym porządku, nawet policja nie miała się do czego przyczepić.

Z bronią nie było już tak łatwo. Poszukiwacze rzadko jej potrzebowali, a każdy taki przypadek kosztował Millę sporo nerwów. Meksykańskie prawo bardzo surowo traktowało tę sprawę; to, że miejscowi trzymali po domach całe stosy różnych giwer i samopalców, było zupełnie inną kwestią. Jednak gdyby złapano ich, Poszukiwaczy z nielegalnie posiadaną bronią - mieliby bardzo poważne kłopoty. Milla nie cierpiała łamać prawa, ale wiedziała, że zadając się z pewnymi ludźmi, trzeba być gotowym na wszystko. Wybrała numer człowieka, u którego zaopatrywali się w broń, i złożyła zamówienie. Nic specjalnego, tylko coś do obrony. Nigdy nie wiedziała, co dokładnie dostaną, ale spodziewała się tanich rewolwerów kalibru 22. Pozbędą się ich przed powrotem do Stanów.

Tak jak myślała, dotarli do granicy o zmierzchu; była dziewiętnasta trzydzieści. Zostawili auto i przeszli pieszo graniczny most. Benito czekał już cierpliwie po drugiej stronie, a z nim coś, co mniej więcej przypominało samochód. Przedpotopowy ford półciężarówka straszył wielkimi plamami rdzy, której było na nim więcej niż lakieru. Brakowało mu klapy z tyłu, a drzwi pasażera były przywiązane drutem (prawdopodobnie tylko to chroniło je przed odpadnięciem). Przednia szyba była obficie poklejona taśmą, która utrzymywała spękane szkło w jednym kawałku. Mimo pośpiechu Milla i Brian stanęli jak wryci, podziwiając ten wyjątkowy okaz.

- Benito, tym razem przeszedłeś samego siebie - ocenił Brian z podziwem.

Meksykanin odpowiedział szerokim szczerbatym uśmiechem. Był niskim żylastym mężczyzną w nieokreślonym wieku (gdzieś pomiędzy czterdziestką a siedemdziesiątką), który nieodmiennie prezentował pozytywne i radosne podejście do życia.

- Staram się - powiedział z nowojorskim akcentem. Benito urodził się w Meksyku, ale jeszcze jako dziecko przekroczył z rodzicami granicę i niewiele pamiętał z meksykańskiego dzieciństwa. Później wrócił do ojczyzny i żyło mu się całkiem nieźle, ale akcentu nie zdołał się pozbyć.

- Klakson nie działa - uprzedził - a gdyby przednie światła nie zaskoczyły za pierwszym razem, to walnijcie porządnie gałkę, a potem powoli wyciągajcie ją na zewnątrz. Trzeba delikatnie wyczuć właściwą pozycję.

- A silnik jest? Czy będziemy musieli użyć siły mięśni nóg? - spytała Milla, tylko częściowo żartując; zerknąwszy do środka, stwierdziła, że zupełnie przerdzewiała podłoga ma już spore prześwity

- Nieee, motor to dzieło sztuki! Mruczy jak zadowolony kot, a pary ma w sobie więcej, niż byście się spodziewali. Może się przydać.

Benito nigdy nie pytał, dokąd jadą i po co, ale wiedział, czym zajmują się Poszukiwacze.

Milla otworzyła drzwi kierowcy i wśliznęła się do środka; zręcznie unikając dziur w podłodze, przemieściła się na fotel pasażera. Brian podał jej torbę, w której mieli dwa noktowizory, ciemnozielony koc zabrany z chevroleta i dwie butelki wody. Potem sam zasiadł za kierownicą.

Półcięzarówka była tak stara, że nie miała pasów bezpieczeństwa. W razie kontroli policyjnej czekał ich mandat. Ale silnik - zgodnie z obietnicą Benita - zaskoczył od razu. Brian krążył po zatłoczonych uliczkach Juarez, aż dojechali pod drzwi z napisem farmacja - apteka. Milla zaczekała w samochodzie, Brian wysiadł, aby spotkać się w aptece z ich kontaktem - niejaką Chelą. Gustownie ubrana dystygowana czterdziestolatka wręczyła mu zwyczajną torbę z marketu Sanborn. Brian podał kobiecie pieniądze tak sprytnie, że zapewne nikt tego nie dostrzegł. Po chwili siedział już w samochodzie i ruszyli w drogę do Guadalupe.

Zrobiło się ciemno i musieli powalczyć chwilę z gałką włączającą przednie reflektory. Nocna jazda po meksykańskich drogach nie wchodziła w rachubę. Sporym zagrożeniem były napady rabunkowe na głównych i bocznych trasach. Poza tym nagrany asfalt przyciągał w nocy pasącą się w pobliżu trzodę. A zderzenie z koniem czy krową nie należało do przyjemności dla żadnej ze stron. Były też liczne dziury, pęknięcia i inne przeszkody ciężkie do dostrzeżenia nocą. Żeby było jeszcze ciekawiej, Meksykanie czasem celowo jeździli bez świateł, podobno aby dzięki temu łatwiej dostrzegać nadjeżdżające z przeciwka pojazdy, szczególnie na wzniesieniach i zakrętach. Teoretycznie miało to pewien sens, ale najweselej robiło się w przypadku, gdy oba zbliżające się do siebie z przeciwka auta miały wygaszone reflektory.

Jednak. Brian kochał jazdę po Meksyku. Był młody, miał dopiero dwadzieścia pięć lat i wciąż podniecała go możliwość

sprawdzenia uwagi i refleksu na trudnej drodze. Pozostawał niewzruszony niczym głaz i nigdy nie panikował, więc Milla z ulgą oddawała mu przywilej prowadzenia. Jej pozostawało tylko desperackie robienie dobrej miny do złej gry i cicha modlitwa.

Dojechali do Guadalupe tuż przed dziesiątą, niebezpiecznie blisko wyznaczonej pory spotkania. Była to mała wieś licząca około czterystu mieszkańców. Przy głównej ulicy, biegnącej przez całą długość miejscowości, ulokowały się liczne sklepy, oczywiście była też tradycyjna knajpa i trochę innych budynków. Gdzieś widać stały słupki do wiązania koni. Droga zmieniła się w żwirówkę z prześwitującymi plamami starego asfaltu.

Przejechali główną ulicą, upewniając się, że istotnie we wsi jest tylko jeden kościół. Za nim znajdował się cmentarz z licznymi krzyżami i grobowcami. Nie dało się dostrzec, czy między kościołem a cmentarzem biegnie jakaś alejka, ale Milla założyła, że jest tam dość miejsca dla samochodu.

- Nie ma gdzie zaparkować - mruknął Brian, kierując jej uwagę z powrotem na ulicę. Miał rację: miejsca było w bród, ale stając tutaj, za bardzo rzucaliby się w oczy.

- Wracajmy pod knajpę - odparła. Stało tam sporo samochodów, także ciężarówek i półciężarówek. Nikt nie zwróci uwagi na jeszcze jedną. Brian kiwnął głową i powoli minął kościół, skręcając w przecznicę. Skręciwszy jeszcze raz, obrał kierunek na knajpę.

Zaparkowali pomiędzy chevroletem monte carlo, rocznik 1978, a oryginalnym volkswagenem garbusem. Czekali, obserwując ulicę. Z

knajpy dobiegał głośny hałas, ale na zewnątrz dostrzegli tylko psa uważnie obwąchującego narożniki domów. Wzięli broń i naktowizory. Zanim Brian pociągnął za klamkę, Milla automatycznie wyciągnęła dłoń, próbując wyłączyć lampkę nad drzwiami. Dopiero po chwili zorientowała się, że już od dawna nie ma tam żadnej lampki.

Wyśliznęli się z ciężarówki, usiłując jak najszybciej zniknąć w cieniu. Pies spojrzał w ich stronę, po czym szczeknął niepewnie. Nie odpowiedzieli, więc wrócił do obwąchiwania okolicy.

Chodnika nie było, tylko dziurawa asfaltowo-żwirowa ulica. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności byli ubrani całkiem nieźle na nocną wyprawę: Brian miał na sobie zielone bojówki i czarną koszulkę, Milla - dżinsy i bordową bluzkę bez rękawów. Oboje nosili ciężkie buty i ciemnozielone bejsbolówki z niebieskim „P” (jak „Poszukiwacze”) z przodu. Brian był opalony na brąz, ale białe ramiona Milli mogły ją zdradzić, więc okryła się ciemnym kocem. W nocy robiło się naprawdę zimno, czuła się z kocem na ramionach całkiem nieźle.

Nie biegli ani nie przemykali się od drzwi do drzwi. To mogłoby przyciągać uwagę. Szli spokojnie, choć szybko. Niestety, mieli już tylko kwadrans do wyznaczonej godziny spotkania. Na szczęście w Meksyku tylko turyści byli punktualni, miejscowi uważali to za przejaw złych manier. To zwiększało szanse Milli i Briana.

Skreśli z głównej ulicy jakieś siedemdziesiąt metrów przed kościołem, potem przyczaili się w alejce wiodącej prosto na cmentarz.

- Jaki jest plan? - szepnął Brian, chowając do kieszeni pistolet i wyciągając noktowizor. - Wypadamy na nich, dowiadujemy się, który to Diaz, i zabieramy go na przesłuchanie?

- Wątpię, aby to było takie proste - odpowiedziała sucho. Brian był młody, wielki i silny, w jego żyłach płynął jeszcze czysty testosteron i na razie gość dawał sobie świetnie radę z wszelkimi przeciwnościami. Właśnie - „na razie”. Milla, w przeciwieństwie do niego, doskonale wiedziała, jak szybko sprawy mogą się pochrzanić.

- Zrobimy tak, jak mówisz - szepnęła - jedynie w przypadku, gdy będzie ich tylko dwóch. Jeżeli pojawi się więcej ludzi, absolutnie.

- Nawet jeśli będzie tylko trzech?

- Nawet wtedy

Dwóch bandziorów mogliby wziąć z zaskoczenia, ich też było przecież dwoje. Milla nie miała nic przeciwko trzymaniu Diaza na muszce czy grożeniu mu bronią. Ale jeśli byłoby więcej niż dwóch... Nie była głupia i nie miała skłonności samobójczych, no i z pewnością nie narażałaby życia Briana. Mogą minąć kolejne lata, zanim znów będzie miała szansę spotkać Diaza, ale było to zdecydowanie lepsze niż nagły pogrzeb.

- Dasz radę przedostać się na drugą stronę cmentarza? - spytała.

- Raczy pani sobie żartować - uśmiechnął się szeroko. Brian poszedł do wojska zaraz po szkole średniej, służył ładnych kilka lat, a poza tym przecież dorastał we wschodnim Teksasie, polując namiętnie na sarny i jelenie.

- Dobra. Wybierz miejsce, z którego będziesz dobrze widział całe zaplecze kościoła. Ja też tak zrobię, tyle że z tej strony Pamiętaj: jeżeli będzie ich więcej niż dwóch, to tylko obserwujemy

- Jasne. A jeśli pojawi się dwóch, to jaki będzie sygnał do działania?

Zawahała się. Zazwyczaj używali krótkofalówek, ale tym razem nie mieli przy sobie sprzętu.

- Ruszamy się dokładnie trzy minuty po tym, jak obaj się zjawia i zaczną rozmawiać. Jeżeli spotkanie potrwa krócej, ruszamy, kiedy będą się zbierać.

Miała nadzieję, że te trzy minuty wystarczą, by Diaz i jego kompan uspokoili się i poczuli bezpiecznie po przyjeździe na miejsce. Wymyślona naprędce metoda synchronizacji działań nie była może najlepszą z możliwych, ale w tej sytuacji musiała wystarczyć. Zresztą Bóg jeden wie, jak długo przyjdzie im czekać.

Brian zniknął w ciemności, a Milla ruszyła w przeciwnym kierunku, oddalając się od cmentarza, aby okrążyć go od tyłu. Dotarwszy na miejsce, ukryła się za dużym nagrobkiem i użyła noktowizora, aby rozejrzeć się dokoła, ewentualnie wypatrzeć kogoś - poza

Brianem - kto robił tutaj to samo co ona. Ale nie dostrzegła nikogo w pobliżu kościoła ani też pomiędzy grobami.

Odczekała kilka minut i ponownie zlustrowała teren. Nic. Ostrożnie przemieściła się za następny grobowiec. Teren był pustynny, z nielicznymi kaktusami i suchymi krzakami, nie rosła tu

trawa, która mogłaby ułatwić jej ciche poruszanie się po cmentarzu. Przyklęła i poczuła, jak ostry kamień wbija się jej w kolano; mimo bólu udało jej się opanować i powstrzymać od gwałtownych ruchów, po prostu ostrożnie zmieniła pozycję.

Coś popęzło po dłoni Milli. Coś małego, drobnego jak mrówka czy mucha. Z najwyższym trudem udało jej się ponownie opanować, zwalczyć chęć podskoczenia z wrzaskiem w górę i natychmiastowego strząśnięcia robala z ręki. Nienawidziła robactwa. Nienawidziła brudu. Nienawidziła leżenia na ziemi, wśród brudu i robactwa. Ale dzięki długiemu treningowi nauczyła się robić to mimo wszystko, ignorując brud i robactwo. Wiedziała, że to, co robi, jest niebezpieczne; serce waliło jej w piersi jak oszalałe, ale to też nauczyła się ignorować. Nieważne, co działo się w środku, na zewnątrz musiała zachowywać całkowity spokój.

Podniosła kamień, który wbił się jej w kolano, wyczuła pod palcami gładki, niemal regularny kształt czworościanu. Jak mała piramidka, ciekawe. Automatycznie wsunęła kamień do kieszeni dzinsów. Po chwili zorientowała się, co zrobiła, i zabrała się do wyciągania kamyka ze spodni, ale ostatecznie dała sobie z tym spokój.

Zbierała kamienie od lat: te ładne, gładkie, o wyjątkowych kształtach. Miała już w domu niezłą kolekcję. Mali chłopcy często zbierają kamienie, prawda?

Po kolejnym zlustrowaniu terenu cmentarza przemknęła za sąsiedni grób, potem za kolejny, stopniowo docierając do upatrzonego punktu. Zasłaniając dłonią zegarek, przycisnęła guziczek, aby

oświetlić tarczę: dziesiąta trzydzieści dziewięć. Mogło to oznaczać, że ich oszukano - albo po prostu Diaz i jego kumple się spóźniają.

Miała nadzieję, że tak właśnie było; szkoda, by cały ich wysiłek poszedł na marne.

Nie. Nic nie szło na marne. Wcześniej czy później odnajdzie syna. Musiała tylko uważnie śledzić wszystkie tropy. Robiła to od dziesięciu lat i poświęci następne dziesięć, jeśli tak będzie trzeba. Albo dwadzieścia. W ogóle nie wyobrażała sobie zarzucenia poszukiwań.

Przez wszystkie te lata starała się wyobrazać sobie, jakie byłyby zainteresowania Justina, jak mógłby się zmieniać, rosnąc. Kupowała zabawki, które mogły mu się spodobać. Czy wolałby bawić się piłką, czy samochodzikami? Czy mruczałby „brum, brum!”, jeżdżąc nimi po dywanie? Gdy minęły jego trzecie urodziny, Milla wyobraziła go sobie na trzykołowym rowerku. Rok później, jak sądziła, zacząłby zbierać kamyczki, dżdżownice i inne takie drobiazgi. Wkładałby je sobie do małych kieszonek w spodenkach. Nie mogła się wprawdzie zmusić do podnoszenia robaków, ale kamienie... to było do zaakceptowania. Tak, mogła zbierać kamienie. I taki właśnie był początek jej kolekcji.

Gdy upłynęło sześć lat od urodzenia Justina, jego matka zastanawiała się, czy gra już w piłkę nożną lub w T-ball. Pewnie dalej zbierałby kamyczki, ale tak na wszelki wypadek kupiła piłkę i mały kij baseballowy

W wieku ośmiu lat, jak sobie wyobrażała, rosły mu już pewnie stałe zęby, a jego policzki traciły tę rozkoszną dziecięcą pulchność. W jakim wieku dzieci zaczynają grać w Małej Lidze Baseballowej? Och, na pewno miałby już swój kij i rękawicę. A może ktoś nauczył go puszczać kaczki na wodzie? Zaczęła zbierać płaskie poręczne kamyki, tak na wszelki wypadek.

Teraz Justin miał dziesięć lat. Może był już za duży na bawienie się kamieniami? Na pewno miałby rower z dziesięcioma przetrzutkami, po jednej za każdy rok. Może interesował się komputerami? Na pewno grałby już w Małej Lidze. Mógł też mieć akwarium, pewnie umieściłby w nim kilka swoich najładniejszych kamyków. Przestała kupować zabawki. Miała już komputer, ale nie kupiła roweru ani akwarium. Rybki długo by nie przetrwały, za rzadko bywała w domu, by o nie porządnie zadbać.

Patrząc tępo przed siebie, Milla siedziała bez ruchu na ciemnym cmentarzu. Absolutnie nie dopuszczała do siebie myśli, że jej synek może już po prostu nie żyć. Wolą wyobrazić sobie, że wiedzie normalne, szczęśliwe życie, że został znaleziony, kupiony czy adoptowany przez ludzi, którzy dali mu miłość i dobrą opiekę.

Ale to była tylko teoria: że został sprzedany ludziom nielegalnie organizującym adopcje dzieci dla rodzin ze Stanów i Kanady Same rodziny najczęściej nie miały pojęcia, że adoptują porwane dzieci, że wiąże się z tym straszliwa tragedia prawdziwych rodziców. Próbowwała się pocieszać, wyobrażając sobie Justina roześmianego, bawiącego

się, rosnącego. Niewiedza i niepewność były potworne, ale wszystko było lepsze niż zamartwianie się myślami o możliwej śmierci dziecka.

Wiele porwanych dzieci rzeczywiście spotykała śmierć.

Wpychano je do bagażników samochodowych, aby przemyć przez granicę. Nawet jeśli gorąco zabiło ośmioro z dziesięciorga niemowląt, to cóż, przemytnik tracił na tym tylko trochę czasu. Pozostałych dwoje mógł sprzedać po dziesięć, dwadzieścia tysięcy dolarów za głowę, a nawet więcej - zależnie od tego, kto płacił i jak bardzo mu zależało. Policja próbowała ją pocieszać, mówiąc, że o Justina bandyci będą szczególnie dbali: jasnowłose, niebieskookie dzieci były przecież najdroższe, wyjątkowo wartościowe. Była to prawda, ale serce bolało Millę na myśl o porwanych malutkich latynoskich dzieciach, które nie miały nawet tyle szczęścia.

Ale co, jeśli... jemu też się nie udało? Czy ci zbrodniarze bez uczuć przynajmniej chowali po ludzku swoje niewinne ofiary? Czy może po prostu rzucali je gdzieś do rowu, na pożarcie zwierzętom...

Nic. Wystarczy. Nic mogła dopuścić, by straszliwa myśl zagnieździła się w jej mózgu. Wtedy straciłaby nad sobą kontrolę, a na to nie mogła sobie absolutnie pozwolić. Jeśli ktoś tu się wreszcie pojawi, ona musi być czujna i gotowa na wszystko.

Rozejrzawszy się ponownie po cmentarzu, wybrała ostatecznie docelowy nagrobek wyróżniający się spośród innych sporym rozmiarem i bogatym ornamentem. Zapewniał świetną kryjówkę; leżąc za masywną płytą nagrobną, Milla będzie zupełnie niewidoczna. Położyła się i podczołgała na miejsce. To był dobry punkt: widziała

stąd cały kościół i jego najbliższe otoczenie. Teraz pozostawało tylko czekać.

Wskazówka minutowa jej zegarka wędrowała leniwie po tarczy. Minęła jedenasta. Wreszcie kwadrans później usłyszała warkot silnika. Spięła się w nerwowym oczekiwaniu, choć wiedziała, że może to być po prostu rolnik wracający do domu z knajpy. Wpatrywała się intensywnie w ciemność, ale nie zobaczyła świateł, tylko warkot silnika był coraz głośniejszy.

Ciemna bryła samochodu zamajaczyła za dalekim rogiem kościoła. Nieoświetlone auto wtoczyło się w alejkę i zatrzymało mniej więcej w jednej trzeciej długości dróżki dojazdowej do cmentarza.

Milla odetchnęła głęboko i spróbowała opanować gwałtowne bicie serca. Tropy, którymi podążała, najczęściej okazywały się ślepe. Ale tym razem miała pierwszą realną szansę dorwania Diaza. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać.

Przez noktowizor zobaczyła, że w samochodzie jest dwóch ludzi, co ostudziło jej zapał. Najwyraźniej ktoś miał do nich dołączyć, no, chyba że „spotkanie” miało okazać się spotkaniem tych dwóch gadających ze sobą, ale w to wątpiła. Nie mogła dokładniej przyjrzeć się przybyszom, bo nie opuszczali auta.

Miała nadzieję, że Brian dojdzie do tych samych wniosków co ona i pozostanie na swoim miejscu. Nie wypatrzyła go nigdzie, choć szukała. Gdziekolwiek się ukrył, nieźle mu to wyszło.

Minuty mijały, a Brian się nie ujawniał. Dobrze. Myślał zapewne to samo co ona: że przyjedzie ich tutaj więcej.

Jakieś dziesięć minut później usłyszała kolejny silnik. Samochód przejechał obok kościoła, po czym cofnął się w alejkę wiodącą na cmentarz, stając bagażnik w bagażnik z czekającym pojazdem.

Z obu samochodów wysiedli mężczyźni; z drugiego, jak się okazało, także dwóch.

Milla przyjrzała się uważnie przybyszom: kierowca był wysokim szczupłym Latynosem, długie czarne włosy spiał w kucyk. Pasażer był niższy, bardziej krępy. W momencie, gdy zobaczyła jego twarz, krew zamarzła jej w żyłach.

Od dziesięciu lat ściagała tego drania. Dzień, w którym porwano Justina, utkwiał w jej pamięci niby rozmyty, niewyraźny krwawy slajd. Kilka następnych dni, kiedy w klinice walczyła o życie, przepadło zupełnie. Ale w jakiś dziwny sposób odcisnęło się w jej pamięci kilka

doskonale wyraźnych, ostrych obrazów samego ataku, stop-klatek. Jedną z nich była twarz mężczyzny, który wyrwał jej z rąk dziecko.

Nic rozpoznałaby teraz swojego chłopca. Ale porywacza... zawsze i wszędzie. Pamiętała nawet opór, jaki stawiała palcom jego gałka oczna, pamiętała ciepło krwi na rękach, gdy rozorała mu paznokciami policzek. Okaleczyła go, napiętnowała - i była z tego dumna. Nieważne, jak się drań zestarzeje czy zmieni, te ślady zostaną mu na zawsze.

A teraz, po dziesięciu latach, widziała go jak na dłoni idącego w jej kierunku. Jego lewy oczodół był pusty, zasłonięty brzydko zabliźnioną powieką. Dwa głębokie ślady znaczyły policzek mężczyzny

To był on.

Oddychała z trudem. Płuca bolały, gardło paliło, oczy zaczynała przesłaniać czerwona mgła.

Nie ruszamy się, jeśli przyjedzie więcej niż dwóch, mówiła Brianowi. Zresztą on też nie był głupi: wiedział, że we dwójkę na pewno nie daliby rady czwórce bandziorów, prawdopodobnie uzbrojonych.

Ale ten drań był tutaj, miała go jak na dłoni. Wiedziała przecież, że tak się może stać; wiedziała, a mimo to nie była w stanie opanować własnej reakcji. Przed oczami miała krwawą czerwień, w uszach dudnił głuchy ryk.

Mięśnie Milli drżały spazmatycznie, chciała go zabić, rozerwać gołymi rękami. Jakaś odległa część mózgu krzyczała, że to

szaleństwo. Mimo to ręka sama powędrowała do kieszeni, w której spoczywał pistolet. Milla zaczęła wstawać.

Nie dała rady podnieść się nawet na kolana. Coś twardego i ciężkiego uderzyło ją w plecy, wbijając z powrotem w ziemię. Potem wydarzyło się kilka rzeczy tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Jej nogi znalazły się w kleszczach cudzych silnych nóg uniemożliwiających jakikolwiek ruch. Szorstka dłoń zakryła jej usta i brutalnie szarpnęła głowę do tyłu, druga ręka napastnika, twarda niczym stal, zacisnęła się na gardle Milli.

- Rusz się albo piśnij, a skręcę ci kark.

Głos był zimny, przerażający. Słowa wypowiedziano tonem tak niskim, że z trudnością je dosłyszała, ale sens zrozumiała doskonale. Zresztą dłoń na jej gardle mówiła sama za siebie. Milla była przygwożdżona do ziemi, niezdolna do jakiegokolwiek obrony.

Próbowała myśleć: wartownik? Czujka bandytów? Jeżeli tak było, to mógł już natrafić na Briana. Zdrowy rozsądek nakazywał wyeliminowanie mężczyzny w pierwszej kolejności. Może tak właśnie się stało? Może Brian leżał martwy po drugiej stronie cmentarza, z podejrniętym gardłem albo skręconym karkiem? Ale z drugiej strony, jeśli to ich człowiek, to czemu każe jej być cicho?

Nie. Nie mógł trzymać z tamtą czwórką. Musiał tu być z innych, znanych wyłącznie sobie powodów. Więc może Brian wciąż żyje, a ona, jeśli nie będzie się rzucać, także wyjdzie z tej opresji z nienaruszonym kręgosłupem.

Nie mogła oddychać. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i desperacko spróbowała nabrać powietrza. Ręka ściskająca jej gardło poluzowała uchwyt, minimalnie, ale wystarczająco dla zaczerpnięcia oddechu.

Jej głowę odgięto do tyłu pod takim kątem, że mogła obserwować poczynania czwórki mężczyzn - choć bez noktowizora trudno było dostrzec szczegóły. Otworzyli bagażniki samochodów i właśnie dwóch z nich przenosiło coś ciężkiego z drugiego auta do pierwszego.

Kamień w kieszeni uciskał boleśnie jej staw biodrowy. Piersi były nieprzyjemnie rozpląszczone na ziemi, a plecy bolały od niewygodnego wygięcia karku w tył. Trzymający ją mężczyzna nie okazywał za grosz delikatności: przygniatał ją z subtelnością tony żelbetu. Czuła jego twarz przyciśniętą do swojej głowy. Czuła miarowy, spokojny ruch jego klatki piersiowej na plecach - drań nawet się nie zdenerwował - ale mimo to nie czuła oddechu napastnika na twarzy. To było przerażające, tak jakby ten mężczyzna nie był do końca człowiekiem.

Nie zwracał na nią specjalnej uwagi. Koncentrował się całkowicie na czterech ludziach pod kościołem.

Tymczasem oni wracali już do samochodów; transakcja wyglądała na zakończoną. Porywacz Justina odjeżdżał. Po dziesięciu długich latach wreszcie go odnalazła, a on po prostu odjeżdżał. Szarpnęła się desperacko, ale trzymający ją mężczyzna tylko zacisnął

mocniej rękę na gardle Milli. Znow zaćmiło się jej w oczach i oklapła zrezygnowana, w piersi rodził się bezradny szloch. Była uziemiona niczym żółw przewrócony na grzbiet.

Drugi samochód wolno odjechał, skrzył za rogiem kościoła i rozplątał się w ciemności. Pierwsze auto wycofywało się wąską alejką. Człowiek trzymający Millę nagle podniósł się i przewrócił zmaltretowaną kobietę na plecy.

- Zdrzemnij się - mruknął, a jego palce mocno nacisnęły jakiś punkt u nasady jej karku.

Próbowała się szarpać, ale była przecież podduszona i półprzytomna. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, była pochylająca się nad nią groźna potężna sylwetka. Potem była już tylko ciemność.

Obudziła się z głową na kolanach Briana, który energicznie klepał ją po twarzy i szarpał za ramiona.

- Milla? Milla! Obudź się!

- Nie śpię - wybełkotała z trudem. - Mała drzemka.

- Drzemka? Ucięłaś sobie drzemkę? - spytał ze szczerym zdziwieniem.

Próbowała wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ale nie dała rady

- Nie - wyszeptała. - Facet... Zaskoczył mnie.

- Co? Cholera! - Brian rozejrzał się nerwowo dookoła. - To musiała być ich czujka, której nie zauważyliśmy!

- Nie. On nie był z nimi.

- Skąd wiesz?

- Powiedział, że skręci mi kark, jeśli pisnę - westchnęła. W zasadzie prawie to zrobił, sądząc po stanie jej gardła.

- Ale po co... - zadumał się Brian. - No, chyba że on też...

- Ich obserwował - dokończyła, gdy jej towarzysz zawiesił głos.

- Ale po co cię atakował? Przecież tylko patrzyliśmy. Mógł sobie siedzieć, gdzie siedział, i nawet nie zarejestrowalibyśmy jego obecności.

Milla ogarnęła straszliwa, czarna rozpacz na myśl o tym, że miała porywacza Justina niemal w zasięgu ręki.

- Chciałam... zrobić coś głupiego.

- Na przykład co? Ty nie robisz głupich rzeczy.

- Jeden z facetów w drugim samochodzie... Pasażer... To był ten, który porwał Justina.

Brian wciągnął głośno powietrze, a potem powoli je wypuścił.

- W mordę - powiedział. - A niech to. Zamilkł na chwilę.

- I co? - spytał. - Chciałaś tak po prostu się na niego rzucić?

Chociaż było ich czterech?

Odpowiedziała mu cisza. Milla zdjęła bejsbolówkę i przeczesła ręką spocone włosy.

- Śniłam o tej chwili - powiedziała wreszcie. - O tym, kiedy znowu go spotkam. Marzyłam, by dorwać go w swoje ręce. Wydusić z drania wszystkie odpowiedzi. Nawet jeśli oznaczałoby to poświęcenie własnego życia.

- O, na pewno byś je poświęciła. Wszyscy czterej goście nosili schowaną pod ubraniami broń. Może zauważyłaś.

Nie, nie zauważyła. Poza twarzą człowieka, którego ściagała od dziesięciu lat, nie zauważyła w zasadzie niczego. Cóż, wygląda na to, że facet, który ją tak brutalnie uziemił, przy okazji ocalił jej życie.

Stękając ciężko, podniosła się na nogi. Zabrała koc porzucony nieopodal. Noktowizor leżał obok pobliskiego nagrobka. Pistolet, który miała w kieszeni, zniknął. Najwyraźniej zabrał go napastnik.

Ból głowy wrócił, uderzając z nową siłą. Aż zemdlilo ją od tępego pulsowania w skroniach.

- Wracajmy do domu - powiedziała zmęczonym głosem. Być tak blisko i nic nie osiągnąć. Czuła gorzki smak porażki niby suchy popiół w ustach.

W milczeniu wrócili do samochodu. Kiedy mijali knajpę, wściekłość znów zatrzęsa Millą. Pod wpływem impulsu cofnęła się do wejścia knajpy i pchnęła drzwi tak mocno, że uderzyły z impetem o ścianę. Zniszczone twarze miejscowych zwróciły się ku niej, patrząc z zaskoczeniem przez chmury wypełniającego lokal dymu.

Nie weszła do środka. Zamiast tego powiedziała po hiszpańsku:

- Jestem Milla Edge. Pracuję dla Poszukiwaczy w El Paso. Zapłacę dziesięć tysięcy dolarów temu, kto powie mi, jak znaleźć Diaza!

W Meksyku musiał żyć z milion Diazów. Ale sądząc po ciszy, która zapadła w kantine, natychmiast zrozumiano, o kogo chodzi. Zdarzało się jej przedtem oferować nagrody: już dziesięć lat temu za każdą informację prowadzącą do schwytania porywaczy Justina Boone'a. Potem były niezliczone łapówki, mordidas, i opłacona armia

informatorów. Takie efektowne wejście do zapyziałej knajpy w zabitej dechami wsi nie mogło przynieść nic dobrego, ale przynajmniej czuła, że coś robi. Człowiek, który zrujnował jej życie, był w tej wsi, za kościołem, i mógł nazywać się Diaz. Strzał na ślepo, ale... kto wie.

W meksykańskich knajpach z zasady nie spotykało się kobiet (z wyjątkiem prostytutek). Jeden z miejscowych zaczął powoli się podnosić, w tym momencie Brian stanął za Millą, pozwalając się zauważyć.

- Chodźmy - syknął, łapiąc ją mocno za ramię. Najwyraźniej nie żartował.

. Milla wsiadła do starej półciężarówki, Brian zaraz po niej. Silnik odpalił od razu. Dwóch mężczyzn wyszło z knajpy, patrzyli, jak jankesi odjeżdżają.

- Po co ci to było? - spytał Brian, wyraźnie zdenerwowany. - Zawsze powtarzasz, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. A potem tak zwyczajnie wchodzisz do jakiejś mordowni! Sama prosisz się o kłopoty

- Nie weszłam - odparła, pocierając czoło. - Masz rację. Ja... przepraszam. Nie pomyślałam... Zobaczyłam go po tylu latach i zupełnie straciłam głowę.

Głos zadrżał jej wyraźnie. Przełknęła ślinę.

- Przepraszam - powtórzyła cicho, patrząc w ciemność przez poklejoną taśmą szybę.

Brian zamilkł, koncentrując się na prowadzeniu, wypatrywaniu dziur w asfalcie, krów i samochodów jeżdżących bez świateł.

Milla czuła, jak paznokcie wbijają się w skórę jej dłoni. Dziesięć lat, odkąd po raz pierwszy zobaczyła tę złą, okrutną twarz. Miała nadzieję, że były to dla bandyty długie i straszne lata; przynajmniej w połowie tak straszne jak dla niej. Miała nadzieję, że zachorował na coś wrednego: nieuleczalnego i możliwie najbardziej bolesnego, lecz nie śmiertelnego. Chciała, by żył straszonym życiem, ale nie pragnęła jego śmierci. Jeszcze nie. Najpierw musi wyciągnąć od niego wszystkie informacje niezbędne do odnalezienia Justina. Potem może go zabić. On nie wahał się jej zniszczyć, czemu ona nie miałaby zniszczyć jego?

Lata mijały, rok za rokiem, jak rozciągnięte w nieskończoność sekundy jakiegoś koszmarnego odliczania.

Dziesięć lat temu zabrano jej Justina.

Dziewięć lat temu David się z nią rozwiódł. Nie winiła go za to. Strata dziecka była bardzo okrutną próbą i wielu małżeństwom nie udało się jej przetrwać. Tymczasem David stracił nie tylko syna, ale i żonę. Od kiedy odzyskała przytomność w szpitalu, jej każda myśl, każde działanie poświęcone było tylko jednemu celowi: odnalezieniu Justina. Dla Davida po prostu już nic nie zostało.

Osiem lat temu, podążając za kolejnym tropem mogącym potencjalnie doprowadzić do Justina, Milla odnalazła inne porwane dziecko. Było skrajnie wycieńczone, ale przeżyło. A Milla znalazła niewielkie ukojenie w patrzeniu na histeryczną radość matki z odzyskania bezcennego skarbu. Jej własna sprawa nie doczekała się

happy endu, ale Milla mogła pomóc innym zakończyć szczęśliwie swe historie.

Siedem lat temu powołała do życia organizację Poszukiwaczy. Część z nich była zwykłymi najemnymi pracownikami, ale większość stanowili wolontariusze. Zbierali i mobilizowali się w jednym celu: szukania zaginionych i porwanych dzieci. Policja była często niedofinansowana, brakowało jej środków, ludzi lub czasu, by rzetelnie zająć się każdą sprawą. A od tego, jak wielu ludzi wyruszy na poszukiwania, zależało często życie dziecka. Milla naprawdę potrafiła mobilizować ludzi do działania. Dzięki swej obecności w mediach po porwaniu Justina była także niezłą w zbieraniu funduszy

Sześć lat temu David ożenił się ponownie. Millę zabolalo to znacznie bardziej, niż się spodziewała. Czula się trochę urazona tym, że odbudował sobie życie bez niej, bez Justina. Ale nie o to chodzilo. Ból był innego rodzaju. Tak bardzo przecież kochala Da-vida. Wciaż go kochala, choć jakaś część tej miłości umarła w dniu, gdy porwano ich dziecko. David był po prostu najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkala. Każde z nich inaczej radziło sobie z rozpaczą: David rzucił się w wir pracy, poświęcił się całkowicie ratowaniu ludzkiego życia. Miał nadzieję, że to pozwoli mu zapomnieć o bólu. A Milla bez wytchnienia szukała syna.

Pięć lat temu Poszukiwacze przyjęli pierwszą sprawę zaginięcia dorosłego. Teraz nie ograniczali się już tylko do dzieci. Rozpacz rodzin po stracie najbliższej osoby nie brała poprawek na wiek.

Cztery lata temu Davidowi i jego nowej żonie urodziło się dziecko. Milla była zdruzgotana wiadomością o tej ciąży i zaczęła zadrećzać się myślami: czy będzie to chłopiec? Czy będą mieć syna? Wiedziała doskonale, że to obrzydliwe z jej strony, ale nie mogła znieść myśli, że David doczeka się nowego syna. Ku jej nieopisanej uldze urodziła się córka. A Milla wróciła do poszukiwań własnego dziecka.

Trzy lata temu, podczas świąt Bożego Narodzenia, które spędzała u rodziców w Ohio, jej brat Ross szorstko pouczył ją, że czas już dać sobie spokój. Że jedno zdarzenie sprzed lat nie powinno rujnować jej całego życia, a przy okazji zatruwać każdego rodzinnego spotkania. Ku przerażeniu Milli jej siostra Julia nawet nie próbowała jej bronić; milczała, uciekając wzrokiem. Od tego czasu Milla pojawiała się u rodziców tylko wtedy, kiedy nie było tam rodzeństwa. Czuła się trochę samotna, ale nie była w stanie wybaczyć Rossowi jego bezduszności.

Dwa lata temu po raz pierwszy usłyszała nazwisko „Diaz”. Po ośmiu latach błądzenia po omacku wreszcie pojawiał się jakiś konkret, który mógł doprowadzić ją do Justina.

Rok temu Davidowi i jego żonie urodziło się drugie dziecko. Syn. Milla przepłakała wtedy całą noc.

Dziś... Dziś znów go spotkała, potwora, który zniszczył jej życie. Była tak blisko, a jednak znów wracała z niczym.

Przynajmniej żył. Nie sprawdziło się to najgorsze przeczucie: że bandzior umrze, zanim ona zdąży z nim porozmawiać. Nie obchodził

jej los zbira, ale musiała wyciągnąć z niego informacje o swoim dziecku. Teraz wiedziała na pewno, że on żyje, wiedziała, w jakim rejonie przebywa. To pozwoli zintensyfikować poszukiwania. Będzie go ścigać niczym pies, do skutku lub do śmierci.

scandalous

Milla wróciła do mieszkania po czwartej trzydziści. Była tak skonana, że marzyła tylko o padnięciu na łóżko i zagrzebaniu się w pościeli. Tak blisko.

Nie mogła pozbyć się tej natrętnej myśli. Przez całe lata podsyciała swą nadzieję i determinację skrawkami nic niewartych, pustych informacji. Teraz wszystko się zmieniło: widziała tego człowieka, wiedziała, że żyje i że bywa w konkretnym rejonie. Jednak nie czuła nic prócz rozpaczy: mogła go dzisiaj dopaść, a on się wymknął.

- Nie pozwolę się tak zdołować - powiedziała głośno, idąc do łazienki i zrzucając z siebie brudne ciuchy - Nie pozwolę!

Tak przetrwała piekło ostatnich dziesięciu lat: stanowczo odmawiając poddania się. Czasem czuła się jak ci japońscy żołnierze po drugiej wojnie światowej: walczący długo po kapitulacji, której nie przyjęli do wiadomości.

Nigdy go nie znajdziesz, mówili ludzie. Zajmij się własnym życiem, mówił jej własny brat. Justin był tak malutki, kiedy go porwano, że dziś nie miałyby szans go rozpoznać, chyba tylko przez test DNA. A nie mogła przecież jeździć po kraju, domagając się wykonania testów DNA wszystkim dziesięciolatkom. Zakładając, że w ogóle był w kraju. Mógł przecież równie dobrze żyć w Kanadzie albo wciąż w Meksyku. Pewna zacna, ale zupełnie zidiociała kobieta

w dobrej wierze poradziła jej nawet, aby urządzić chłopcu pogrzeb. To podobno pomaga pogodzić się ze stratą.

Fakt, że Pani Dobra Rada przeżyła tę rozmowę, świadczył jak najlepiej o żelaznych nerwach i opanowaniu Milli.

Justin żył. Jeśli przestałaby w to wierzyć, nie byłaby w stanie dłużej funkcjonować.

W łazienkowym lustrze zobaczyła bladą, wymęczoną twarz z ciemnymi workami pod oczyma i ustami wykrzywionymi rozpaczą. Dziś wyglądała na znacznie więcej niż swoje trzydzieści trzy lata. Siwe pasmo w jej brudnych włosach zaśniło w świetle jarzeniówki. Kilka dni po porwaniu Justina jedna z pielęgniarek w klinice zauważyła, że we włosach Milli pojawiła się jasna, prawie biała smuga. Potem, na imprezach charytatywnych, których dochód przeznaczono na Poszukiwaczy, fotoreporterzy zawsze starali się uchwycić te jej siwe włosy: widomy znak rozpacz i bólu, którego doświadczyła matka po stracie dziecka. Reszta włosów Milli pozostała jasnobrązowa, ale to białe pasmo zawsze przyciągało spojrzenia.

Jutro wieczorem kolejne zbieranie funduszy, przypomniała sobie z trudem. Nie, nie jutro, dzisiaj. To, że nie przespała nocy, nie oznaczało, że dzień na nią poczeka.

Ale gdy wreszcie wzięła prysznic i położyła się do łóżka w koszuli nocnej, sen nie nadchodził. Może dlatego, że otarła się dziś

o człowieka, który porwał Justina. A także o śmierć, własną i Briana. Jeśliby wyskoczyła na tych czterech z pistoletem w rękę, po

prostu by ją zastrzelili. A potem Briana, który bez wahania rzuciłby się na pomoc. Teraz, gdy o tym myślała, przerażała ją własna bezmyślność. Brian miał prawo się denerwować. Poszukiwacze nie byli zabijakami, nie wdawali się w strzelaniny. Ludzie z podstawowego zespołu przeszli trening posługiwania się bronią palną, żeby móc obronić się w razie potrzeby, ale to było wszystko. Brian, były wojskowy, miał z nich wszystkich najwięcej doświadczenia w tej materii.

Ale tu chodziło o Justina, dlatego straciła głowę i instynkt samozachowawczy Musi wziąć się w garść, martwa nic już nie zrobi i nie pomoże synkowi.

Wreszcie udało się Milli zasnąć i przyśnił się jej Justin. To był ten sam sen, który miewała często przez pierwsze lata po porwaniu.

Realistyczny aż do bólu. Karmiła piersią swoje dziecko, kołysząc się miarowo razem z nim, czuła jego ciężar, ciepło i słodki niemowlęcy zapach. Dotknęła dłonią jego jasnych miękkich włosów, pogładziła palcem aksamit różowego policzka. Czuła wilgoć małych usteczek wokół sutka, czuła, jak płynie mleko. Czuła cudowny, mistyczny wręcz spokój.

Obudziła się z płaczem, jak zwykle. I jak na złość nie mogła potem zasnąć mimo dojmującego fizycznego zmęczenia. Po półgodzinie poddała się i zwlokła z łóżka, by zrobić sobie kawy. Zdjęła koszulę nocną i porozciągała się trochę, a potem poćwiczyła jogę - to była jej ulubiona forma ćwiczeń.

Milla starała się trzymać w dobrej formie, bo nigdy nie wiedziała, czego wymagać od niej będzie kolejna sprawa. Nie przychodziło jej to łatwo. Organicznie brzydziła się potu i pocenia się, prawie tak bardzo jak robaków i brudu. A jednak potrafiła zmusić się do ćwiczeń, do treningu z bronią, chociaż nienawidziła tego huku, smrodu i całej reszty. Była co najwyżej średnim strzelcem, ale ćwiczyła uparcie, by móc chociaż tyle o sobie powiedzieć. Aby wytropić porywaczy Justina, musiała nauczyć się wielu rzeczy, których nie znosiła. Musiała się zmienić. Kobieta, którą była przedtem, nie dałaby sobie rady, więc Milla zmusiła się do naprawdę gruntownej przemiany

Nie. Ci dranie ją do tego zmusili. W tej strasznej chwili, gdy wyrywali jej z ramion dziecko. Kiedy obudziła się w klinice, półprzytomna, obolała, była już inną kobietą, mającą tylko jeden, jedyny cel w życiu: odnaleźć syna.

Dlatego właśnie David się z nią rozwiódł.

Rozwiódł, ale nie porzucił. Nalegał na kupienie tego apartamentu w El Paso i płacił alimenty w wysokości czterdziestu tysięcy dolarów rocznie. To pozwalało jej skoncentrować się całkowicie na poszukiwaniach; nie musiała szukać pracy, która w naturalny sposób ograniczałaby jej mobilność i możliwość dokładnego sprawdzania wszystkich tropów

Jeżeli tylko by na to pozwoliła, David z pewnością kupiłby jej spory dom i obdarowywał absurdalnie wielkimi pieniędzmi, rujnując przy okazji siebie. To mieszkanie było w sam raz: średniej klasy,

około stu osiemdziesięciu metrów kwadratowych, dwie sypialnie i dwie łazienki na górze, jedna mała łazienka na dole. W dwudziestoletnim apartamentowcu. Dobre miejsce: przytulne, ale nie luksusowe. Czterdzieści tysięcy na rok też było w sam raz: około piętnastu tysięcy więcej, niż potrzebowała na spokojne życie. Rozumiała, że w ten sposób David chce ją wspomóc w poszukiwaniach. Nie mógł robić tego co ona, więc robił to, co mógł. Biorąc jeszcze poprawkę na fakt, że ma teraz rodzinę na utrzymaniu, było to coś więcej niż hojność.

Po gimnastyce Milla naląła sobie kawy i zabrała ją na górę, by się ubrać. Nie musiała dzisiaj wkładać dżinsów i ciężkich buciorów, dzięki Bogu. Mogła włożyć sukienkę i sandały, w których czuła się o wiele wygodniej. Drobne luksusy zawsze pomagały jej przetrwać ciężki czas, więc korzystała z dni wolnych, by dokładnie nawilżyć skórę dobrym kremem, zadbać o włosy i o makijaż, zaszaleć z perfumami. Małe, pozornie nieistotne sprawy, które bardzo pomagały jej żyć. Pewnie czasem wyglądała jak skrzyżowanie GI Jane z Thelmą i Louise, ale wewnątrz pozostawała kobietą świadomą swej kobiecości i pragnącą tę kobiecość pielęgnować.

Zeszło jej trochę czasu na tych przyjemnych zabiegach pielęgnacyjnych, no i spóźniła się do biura. Siedziba Poszukiwaczy mieściła się w pomieszczeniach nad wielkim magazynem; prezent od True Gallaghery, biznesmena z El Paso, który ostatnio zaangażował się bardzo we wspieranie ich organizacji. Magazyn wciąż był czynny; dawno przyzwyczaili się do odgłosów wydawanych przez wózki

widłowe, do pokrzykiwań robotników, do niskiego ryku silników osiemnastokołowych ciężarówek przyjeżdżających z towarem lub po towar.

Biura na górze były prawie puste. Lampy jarzeniowe lub gołe żarówki, popękane linoleum na podłodze, ciemnozielona farba na ścianach, tak to wszystko wyglądało. No, było też kilka zniszczonych metalowych biurek i starych krzeseł poklejonych taśmami. Plus dwa prywatne pomieszczenia; półprywatne, powiedzmy: górne połowy ich ścian były wielkimi szybami.

System łączności był jednak najwyższej klasy. Poszukiwacze wiedzieli dobrze, w co warto ładować pieniądze.

Milla kochała swoich ludzi. Nie pracowali tu dla pieniędzy, pensje były naprawdę niewielkie. Zostawali po godzinach, siedzieli w soboty, czasem nawet w niedziele. Milla zresztą nie pobierała żadnej pensji, nawet symbolicznej. Większość działaczy organizacji stanowili wolontariusze: ludzie rozsiani po całym kraju, którzy oferowali swoją pomoc w razie potrzeby. A potrzeba rodziła się, gdy należało wyruszyć na poszukiwanie zaginionej osoby w jakimś określonym rejonie. Jednak stała grupa pracowników, skupiona w centrali w El Paso, poświęcała cały swój czas dla organizacji: była to jedyna praca tych ludzi i choćby dlatego dostawali za nią pensję.

Większość wolontariuszy pomagała im po prostu z potrzeby serca. Część ludzi z centrali także, a niektórzy z nich mieli nawet swoje powody. Najlepsza przyjaciółka Joann Westfall z podstawówki zgubiła się podczas rodzinnego wyjazdu na kemping. Pałace

promienie słońca okazały się dla niej zabójcze. Zmarła, nim ją odnaleziono. Były mąż Debry Schmale zniknął nagle, zabierając obie córki; dwa lata zajęło jej odnalezienie drania i odebranie mu dzieci. Olivia Meyer, pochodząca z Nowego Jorku absolwentka Harvardu, sama wybrała „życie w piekle” (to jej określenie mieszkania w El Paso niezwykle irytowało miejscowych pracowników centrali). A to dlatego, że jej stary niedołężny dziadek pewnego listopadowego dnia zdecydował się wyjść z domu i godzinami błądził po ulicach miasta, nie mając nawet swetra, dopóki nie zgarnął go z ulicy przejeżdżający gliniarz.

Najlepszym sposobem znajdowania zaginionych było zasypywanie całego obszaru poszukującymi. Wszyscy to rozumieli i z całej duszy poświęcali się zadaniu.

Brian stał przy automacie z kawą, gdy Milla weszła do biura.

- Zrobić ci? - zapytał, podnosząc kubek. Skinęła głową. Joann spojrzała na nią z nieskrywaną ciekawością.

- I jak wczoraj poszło? Dowiedzieliście się czegoś?

- Był tam facet, który porwał Justina - odparła po prostu Milla.

Wszyscy na moment zamarli, a potem rzucili się w jej kierunku.

- Jak to?! - spytała z przejęciem Debra. - Rozmawiałaś z nim?

- Nie. Ich było czterech, a nas tylko dwoje - westchnęła Milla.

Brian podszedł bliżej i wsunął jej w dłoń styropianowy kubek z kawą; mrugnął znacząco, dając do zrozumienia, że nie puści pary o tym, jak szefowa straciła głowę i o mało nie straciła życia.

Ale i tak miała zamiar im powiedzieć.

- Zaplanowaliśmy, że nie będziemy się ujawniać, jeśli pojawi się więcej niż dwóch ludzi. Ale kiedy zobaczyłam tego faceta, kompletnie mnie zaćmiło. Za wszelką cenę pragnęłam dostać go w swoje ręce.

- O rany... - przełknęła ślinę Olivia. - No i co? Strzelali do ciebie?

- Nie. Nie dowiedzieli się, że tam jestem. Zaskoczył mnie i uziemił zupełnie inny facet.

- O rany... - powtórzyła Olivia. - Zrobił ci coś? Byłaś już u lekarza?

- Nie i nie.

- Hm, nie łapię - powiedziała Joann. - Skoro ten gość cię nakrył, to czemu nie powiedział pozostałym?

- Nie byli razem. On też ich obserwował.

- Cóż, to zmienia postać rzeczy - mruknął ktoś cicho.

- Wiesz, kto to mógł być? - spytała Debra.

- Nie mam pojęcia. Nawet mu się porządnie nie przyjrzałam. Ale kimkolwiek był, uratował nam obojgu życie, powstrzymując mnie przed zrobieniem czegoś głupiego. A skoro już o głupich rzeczach mowa, to nie koniec. Potem weszłam do kantyny i powiedziałam, że daję dziesięć tysięcy dolarów za pomoc w odnalezieniu Diaza. Nie zdziwcie się, jeśli dostaniecie telefony z pytaniami o nagrodę.

- No, to wszystko jasne - powiedziała Olivia, unosząc brwi. - Dziś rano mieliśmy telefon, ale z pogrózkami. „Trzymaj się z dala od Diaza albo zginiesz”. Coś w tym stylu. Wiesz, to było jeszcze przed

pierwszą poranną kawą, a babka w dodatku mówiła po hiszpańsku. Odpowiedziałam jej, że nie mam chłopaka, który nazywa się Diaz.

- Babka? - spytała Milla zdziwiona.

- Zdecydowanie. Dlatego pomyślałam, że to jakaś zdradzana dziewczyna. Chyba nadepnęłaś komuś mocno na odcisk.

Najwyraźniej za mocno. Robiło się interesująco.

- Masz jej numer?

- Jasne - Olivia podeszła do swojego biurka i nacisnęła guzik w telefonie. - Numer z El Paso, ale nie rozpoznaję, z której centrali.

Brian zajrzał jej przez ramię.

- Karta telefoniczna - oznajmił. - Nie do namierzenia. Brian zawsze działał na Olivie jak płachta na byka.

- Co ty powiesz? - spytała lodowatym tonem. - Pewnie potrafisz też odczytać z numeru telefonicznego wiek, płeć i wagę dzwoniącego, co, Wielki Biały Łowco?

To określenie było przytykiem do jego wojskowej przeszłości; Olivia była zdeklarowaną pacyfistką, która tylko z najwyższym obrzydzeniem pozwoliła nauczyć się czegokolwiek o broni.

- Płci nie - odparł Brian, uśmiechając się radośnie. - Na płeć mam zupełnie inne metody.

Dobił Olivie, znienacka wichrząc jej łobuzersko włosy, po czym przezornie odskoczył poza zasięg ramion kobiety

- Sam kupuję karty telefoniczne do tańszych rozmów na długie dystanse* - ciągnął - stąd wiem, jaki numer wyświetla się odbierającemu.

** Chodzi o karty telefoniczne, dzięki którym łączymy się przez operatora pośrednika, wybierając najpierw jego numer dostępu (w Polsce takich kart używa się głównie do tańszych rozmów międzynarodowych), a nie o zwykłe karty magnetyczne lub chipowe (przyp. tłum.).*

Moja świetna orientacja w tej materii pozwala mi stwierdzić ponadto, że była to karta AT&T, kupiona zapewne w Wal-Marcie lub w jednym ze stu tysięcy innych możliwych miejsc.

Milla także czasem kupowała karty telefoniczne, bo nie wszędzie można było polegać na komórce. Ale wątpiła, by Olivia kiedykolwiek stosowała tę tanią sztuczkę dla plebsu. Jeśli musiała zadzwonić skądś, gdzie komórka nie miała zasięgu, to po prostu wyciągała kartę kredytową, nie licząc się z kosztami.

- Podsumujmy fakty - chrząknęła Milla, wracając do tematu. - Wczoraj, późnym popołudniem ktoś dzwoni na moją komórkę, wystawiając mi Diaza. Mężczyzna. Nie pamiętam numeru, ale sprawdzę, czy zgadza się z tym dzisiejszym. Zarówno Brian, jak i ja myśleliśmy, że może to być pułapka - nie na nas, raczej na Diaza. Ktoś chciał usunąć go ze swojej drogi. Docieramy na miejsce i pojawia się porywacz Justina. Tylko jego rozpoznałam. Najprawdopodobniej to właśnie on nazywa się Diaz, wszystko na to wskazuje.

Milla zauważyła, że Joann skrupulatnie notuje jej słowa.

- Czterech mężczyzn - ciągnęła - przyjechało dwoma samochodami, po dwóch w każdym. Przenieśli coś z jednego bagażnika do drugiego. Nie widziałam, co to...

Nie widziała, bo właśnie wtedy ktoś boleśnie ją przyduśił.

- Ciało - powiedział Brian. - Zawinięte w jakieś płótno lub w koc.

Ciarki przeszły Milli po plecach. Powinna była się domyślić, zbytnio skupiała się na jednookim. Kolejny piękny przykład na to, jak bardzo dała się ponieść emocjom. Nie dostrzegła rzeczy oczywistych.

- Zostałam obezwładniona przez nieznanego napastnika - mówiła dalej - który najwyraźniej także interesował się tymi czterema, a nie mną. Kiedy odjechali, zastosował ze mną starą sztuczkę z uciśnięciem tętnicy szyjnej i straciłam przytomność...

- Tego mi nie powiedziałaś - przerwał ostro Brian.

- Nieważne. Widziałeś efekt. Zresztą, nie mam na co narzekać. Gdyby mnie ogłuszył, mogłabym mieć wstrząs mózgu, a tak...

- ...A tak mogło być gorzej. Jeśli uciskasz tętnicę zbyt długo, możesz spowodować uszkodzenie mózgu! O tym zazwyczaj się nie myśli, bo przecież chodzi tylko o to, żeby delikwent stracił przytomność. Albo delikwentka, w naszym wypadku.

O tym nie pomyślała: napastnik istotnie mógł ją okaleczyć. Nie zmieniało to faktu, że nie była w stanie się obronić; chyba tylko nie przychodząc wtedy na miejsce. Ale zaprzestanie poszukiwań nigdy nie wchodziło w grę.

- Zakładam, że ten facet śledził potem jeden z dwóch samochodów - chrząknęła, odrzucając natrętne myśli. - Chociaż nie jest to pewnik. Mógł też śledzić Briana i mnie. Nie mam pojęcia, czemu miałyby to robić - no, chyba że z ciekawości - ale teoretycznie mógł. Później wparowałam do kantyny, oferując dziesięć tysięcy dolarów za informacje o Diazie. Tego ranka zadzwoniła kobieta, grożąc nam śmiercią, o ile nie odczepimy się od Diaza. Mamy coś jeszcze?

Odpowiedziała jej cisza.

- Według mnie - odezwała się wreszcie Joann - jedynym elementem, który zdecydowanie tu nie pasuje, jest ten tajemniczy napastnik. Cała reszta się zgadza. Powiedzmy, że ten jednooki nazywa się Diaz i że ktoś chciał go zrobić. Potem Diaz dowiedział się o twojej wizycie w kantynie, domyślił się, że musiałaś się tej nocy o niego otrzeć - choćby z tego względu, że oboje znajdowaliście się w tej samej wiosce - i kazał komuś zadzwonić tu z ostrzeżeniem.

Zgadzało się to mniej więcej z przemyśleniami Milli. Joann umiała jednak ułożyć fakty w jasną i logiczną całość; między innymi za to szefowa ją ceniła.

- Jest oczywiste, że człowiek, który dzwonił do mnie najpierw, chciał, byśmy znaleźli Diaza. Z jakiegoś powodu. Może to jego wróg, może rywal, w tej chwili średnio mnie to obchodzi. W każdym razie pozostaje nam czekać, aż odezwie się znowu - powiedziała Milla.

Mówiła to wbrew sobie. Miała ochotę przeczesać cały teren wokół Guadalupe, nawet jeśli z logicznego punktu widzenia była to

tylko strata czasu. Chciała coś zrobić, cokolwiek, zamiast siedzieć na tyłku i czekać na telefon. Tym bardziej że mogła tak czekać dzień, tydzień albo następne dziesięć lat.

Zadzwonił telefon i jedna z kobiet rzuciła się, by go odebrać.

- Bursztynowy Alarm - powiedziała po chwili, odkładając słuchawkę. - Kalifornia, rejon San Clemente.

To było wezwanie na stanowiska bojowe. Po chwili wszyscy siedzieli już przy telefonach, mobilizując swoją armię wolontariuszy w San Clemente i okolicach, wysyłając ludzi na drogi i autostrady, opisując poszukiwany samochód: niebieską hondę accord. Według świadków mężczyzna, który porwał dwunastoletnią dziewczynkę z parkingu przed fast foodem, wepchnął ją do swojego samochodu. Jedna z widzących to kobiet zdołała zapamiętać część numeru rejestracyjnego odjeżdżającego auta.

Mając te informacje, Poszukiwacze mogli już zorganizować punkty obserwacyjne, rozstawić ludzi z lornetkami, aby wypatrywali niebieskiej hondy accord z mężczyzną za kierownicą. Kiedy auto zostanie dostrzeżone, obserwatorzy uruchomią Poszukiwaczy w samochodach, ci dogonią hondę i odczytają numer rejestracyjny. Nie będą próbowali zatrzymać mężczyzny - po zlokalizowaniu auta przekażą wszelkie dane lokalnej policji i pozwolą jej działać.

Milla sprawdziła czas: w Kalifornii ósma czterdzieści trzy Na drogach o tej porze jest tłok, co może ułatwić lub utrudnić sprawę. Jeśli ludzie jadący do pracy będą słuchać radia, usłyszą ich

Bursztynowy Alarm. Ale jeśli włączą sobie muzykę, CD albo MP3, nic z tego.

Odłożyła na bok własne zmartwienia i skupiła się na dziewczynce zaginionej w Kalifornii. Trzeba jej pomóc jak najszybciej, póki jeszcze żyje.

Nie zdołała pomóc własnemu dziecku, ale wciąż mogła pomagać innym.

scandalous

Impreza charytatywna odbywała się w sali gimnastycznej miejscowego liceum. Poszukiwacze raczej nie organizowali oficjalnych przyjęć czy balów, co bardzo odpowiadało Milli, ale czasami zdarzało się jej trafić na uroczystą imprezę. Zainwestowała więc kiedyś w jedną porządną suknię wieczorową. Kosztowała kupę forsy, ale Milla wolała to niż tracenie jeszcze większych pieniędzy na kupno kilku tańszych sukienek. Oprócz tej wieczorowej miała jeszcze kilka koktajlowych kiecek; dziś wybrała swoją ulubioną, żeby trochę się podnieść na duchu. Bładoniebieski kolor świetnie podkreślał jej ciemną cerę, a dobrane buty były na tyle wygodne, by stopy nie odpadły Milli przed końcem wieczoru.

Wyszła z biura przed kilkoma godzinami i poświęciła trochę czasu na zabiegi pielęgnacyjne: maseczkę, manikiur, pedikiur. Zdążyła nawet uciąć sobie drzemkę, która miała dać jej energię do przetrwania kilku kolejnych godzin. Powalczyła trochę ze swoimi kręconymi włosami; oczywiście nie udało się ich całkowicie opanować, ale fryzura zaczęła chociaż przypominać coś konkretnego. Maseczka wygładziła jej twarz i usunęła widoczne objawy zmęczenia. Milla zrobiła sobie jeszcze delikatny makijaż. Perfumy, biżuteria, pończochy... kochała ten mały rytuał. Sprawiał, że czuła się lepiej. Tak rzadko miała okazję sobie pofolgować, dać pełny wyraz swojej kobiecości. Praktycznie tylko na imprezach dobroczynnych, gdzie zbierała fundusze na Poszukiwaczy Okazywało się, że uroczystości te

są niezwykle ważne nie tylko dla finansów organizacji, ale także dla psychicznego zdrowia Milli.

Pojechała do liceum swoją sześcioletnią białą toyotą SUV. Parking wypełniał się pojazdami gości: najwięcej było masywnych półciężarówek i aut typu SUV. Elegancko ubrani ludzie podążali szparko do sali gimnastycznej; nic dziwnego, tylko głupiec wystawałby w sierpniowym upale na ulicach El Paso. Choć słońce już zaszło i zaczynało się powoli ściemniać, było ciągle gorąco. Milla czuła pot między piersiami.

Zawsze przychodziła na takie imprezy samotnie, choć mogła poprosić Briana albo któregośkolwiek z Poszukiwaczy mężczyzn, żeby jej towarzyszył. Jednak imprezy dobroczynne były śmiertelnie nudne, więc nie chciała zmuszać nikogo do takiej wątpliwej rozrywki. Poza tym była boleśnie świadoma własnego wizerunku w oczach ludzi, którzy za jej namową wspierali organizację.

Jej przypadek był ogólnie znany: ludzie wiedzieli, że Milli porwano dziecko, że rok później rozpadło się jej małżeństwo i że poświęciła życie poszukiwaniu zaginionych ludzi. Z jakiegoś powodu fakt, że pozostawała samotna, otwierał szerzej portfele donatorów. Jeśli zaczęłaby bywać na imprezach z mężczyznami, i to - nie daj Boże - różnymi, ludzie mogliby pomyśleć, że poświęca teraz więcej czasu własnym sprawom niż organizacji. Kiedy praca polega na zebraniu o pieniądze - w dodatku wciąż od tych samych ludzi - trzeba dbać o wizerunek.

Pchnęła ciężkie drzwi do sali gimnastycznej i z ulgą wkroczyła do chłodnego wnętrza. Okrągłe stoły, każdy z miejscami dla ośmiu do dziesięciu gości, rozstawiono na parkiecie sali zabezpieczonym zieloną wykładziną. Stoły przykryto białymi obrusami, nakrycia były starannie rozłożone, nie zapomniano też o świeżych kwiatach. Na końcu sali, na podium, ustawiono długi stół, za którym zasiądzie ona, inni organizatorzy, burmistrz i nastawiona prospołecznie część śmietanki towarzyskiej El Paso.

Milla zawsze musiała przemawiać; po tylu latach nie potrzebowała już nawet notatek. Mówiła przecież za każdym razem o tym samym: o konkretnych przypadkach, którymi zajmowali się Poszukiwacze. O tych, które skończyły się dobrze, i o tych zakończonych tragicznie. Opowieści o udanych sprawach świadczyć miały o użyteczności organizacji Poszukiwaczy. Historie bez happy endu świadczyły, że Poszukiwacze mogliby działać jeszcze lepiej, przy odpowiednim poziomie finansowania. Dziś nie mogła uwolnić się od myśli o Tierze Alverson. Czternastoletnia dziewczynka nie powinna umierać w brudnej, obskurnej norze rojącej się od karaluchów. Nie powinna odchodzić z żyłami wypalonymi narkotykiem.

Uśmiechając się i zagadując mimochodem znajomych, Milla szła w stronę podium. Mniej więcej w połowie drogi poczuła krótki, zdecydowany uścisk czyjejś ciepłej dłoni na łokciu. Odwróciła się i uśmiechnęła szeroko, napotykając spojrzenie ciemnych oczu True Gallaghery.

- Cześć, True - powiedziała. - Jak się miewasz?
- Wyglądasz na zmęczoną - odparł bez ogródek, pomijając etap uprzejmości wstępnych.
- Och, dzięki - skrzywiła się. - To już wiem, że cały mój wysiłek poszedł na marne.
- Nie powiedziałem, że wyglądasz źle. Tylko...
- Wiem. Ale ten wysiłek był ukierunkowany na to, żebym właśnie wyglądała na mniej skonaną.
- Hm, może i podziałało - zlustrował ją krytycznym spojrzeniem.
- Jak bardzo jesteś zmęczona?
- Póływa - odparła, uśmiechając się słabo.
- No, to znaczy że zadziałało!

True był biznesmenem, który startował od zera, zbudował swoją firmę z niczego. Wyrwał się z biedy i to uczyniło go silnym człowiekiem. Silnym raczej w sensie osobowości i charakteru niż bogactwa - choć Milla nie wątpiła, że True umrze jako multimilioner. Był bezwzględny i pewny siebie, potrafił radzić sobie z wszelkimi pojawiającymi się na jego drodze przeszkodami. Kiedy zaczął odnosić poważniejsze sukcesy w biznesie, zainteresował się Poszukiwaczami - dziś był jednym z ich najbardziej sumiennych donatorów.

Milla nie wiedziała, w jakim wieku jest True. Zapewne miał więcej niż trzydzieści pięć lat i mniej niż pięćdziesiąt pięć. Był przystojnym mężczyzną o twarzy opalanej na brąz przez teksańskie słońce. Wysoki, dobrze zbudowany, miał w sobie ten samczy magnetyzm, który przyciągał kobiety. Czasem przychodził na imprezy

z partnerką, ale równie często był sam. Tym razem na jego ramieniu nie wisiała żadna Miss Sierpnia, więc Milla założyła, że to jeden z jego solowych występów.

- Długa noc? - zapytał, delikatnie popychając ją w stronę podwyższenia i puszczając przodem.

- Och, tak. Mam nadzieję, że dziś będzie spokojniej.

- Co się stało?

- To był... zły dzień - odparła, postanawiając, że nie będzie opowiadać mu zeszłej doby ze szczegółami. - Znaleźliśmy poszukiwaną dziewczynę, ale była już martwa.

- To przykre. Ile miała lat?

- Czternaście.

- Trudny wiek. Wszędzie dookoła widzisz koniec świata i nie możesz dogadać się z kimś, kto uparcie twierdzi, że jutro też wstanie słońce.

Jakoś nie mogła sobie wyobrazić True Gallaghera cierpiącego bóle egzystencjalne właściwe nastolatkom, popadającego w narkomanię ani w jakikolwiek inny nałóg. Dziwiło ją nawet, że w ogóle wiedział o tych stronach życia. On przecież był niczym beton: twardy i absolutnie odporny na czynniki zewnętrzne.

Jego siła przyciągała Millę. Bardzo lubiła żartować i przekomarzać się z True, zawsze jednak uważała, by nie przekroczyć granicy żartów z flirtem. Gallagher był ważnym sponsorem. Poszukiwaczy. Jakieś osobiste zbliżenie się do niego byłoby nadzwyczaj głupim krokiem. Biznes i przyjemność nigdy do siebie nie

pasowały, w żadnych warunkach. Działalność Poszukiwaczy zależała w dużej mierze od hojności True; mały beztroski romansik mógłby pociągnąć za sobą katastrofalne skutki.

Poza tym nie miała teraz czasu na romansik, mały czy duży. Nie chodziło tylko o to, że nie mogłaby poświęcić mu całej swojej uwagi, jej praca wymagała ciągłych podróży. Po rozwodzie spotykała się z mężczyznami. Niestety, zazwyczaj zdecydowanie nie podobało im się to, że Milla tak dużo czasu poświęcała na wyjazdy. A w tej sprawie ona absolutnie nie miała zamiaru iść na jakikolwiek kompromis. I kropka. Wprawdzie co jakiś czas ponawiała próby, ale wszystkie jej nieliczne i kruche romanse umarły śmiercią naturalną z zaniedbania. Zawsze stwierdzała w końcu, że to nie w porządku zarówno wobec partnera, jak i wobec siebie samej, że to w gruncie rzeczy strata czasu. Może kiedyś. Kiedy będzie już mogła poświęcić się czemuś innemu niż poszukiwanie Justina.

W głębi serca wiedziała też, że jak dotąd nie spotkała mężczyzny mogącego mierzyć się z Davidem. Nie była już w nim szaleńczo zakochana - minęło zbyt wiele czasu i zbyt wiele rzeczy się wydarzyło - ale jakaś część Milli nie przestała kochać Davida za to, jaki był. Nie usychała z tęsknoty za nim, nie budziła się w nocy, wzdychając do niego. Jej życie przecięła czarna linia demarkacyjna, a David został po tamtej stronie. Nie zapomniała jednak, co znaczy prawdziwa miłość. Od czasów Davida nikt nie zdołał obudzić w niej tego uczucia.

True Gallagher chciał spróbować. Czuli to swoim szóstym, kobiecym zmysłem. Prawda kryła się w jego dotyku - dotykał jej

zawsze przy ludziach, bez dwuznacznych gestów, ale jednak w pewien specyficzny sposób. Nie zrobił jeszcze żadnego kroku w stronę zmiany charakteru ich znajomości, ale taka myśl musiała drażnić jego mózg. Milla nie wątpiła, że True kiedyś spróbuje.

Wtedy ona będzie musiała wymyślić jakiś uprzejmy sposób odmowy, tak by nie ucierpeli na tym Poszukiwacze.

Sala gimnastyczna wypełniała się gośćmi. Marcia Gonzalez, główna organizatorka imprezy, poprosiła Millę i True o zajęcie miejsc za stołem. Milla nie zdziwiła się, gdy biznesmen wskazał jej miejsce obok swojego, zajęte jakoby specjalnie dla niej. Usiadła, automatycznie odsuwając nogi nieco w bok, tak by uniknąć przypadkowego kontaktu fizycznego z Gallagherem.

Kelnerzy z firmy cateringowej zaczęli roznosić półmiski z poświadnymi potrawami: smętnie wyglądającym kurczakiem i zieloną fasolką. Cóż, standard na imprezach dobroczynnych. Kurczak był pieczony, pośród fasolki trafiały się kawałki migdałów, dodatkowo serwowane zapiekanki były suche. Wołałyby już zjeść taco, hamburgera albo cokolwiek innego niż kurczak i fasolka. Ale przynajmniej było to w miarę zdrowe, a ona nie zamierzała się przecież obżerać.

True zaatakował z pasją swojego kurczaka.

- Czemu nie dadzą nam pieczeni? - mruknął. - Albo steków?
- Bo wielu ludzi nie jada czerwonego mięsa.
- Tu jest El Paso! Tu każdy jada czerwone mięso.

Miał sporo racji. Ale jeśli byli jednak w El Paso ludzie, którzy nie jedli mięsa, to siedzieli właśnie na tej sali. Organizatorzy nie ryzykowali, i słusznie. Niestety, oznaczało to kurczaka i fasolkę.

True wyciągnął małą solniczkę z kieszeni marynarki i zaczął obficie posypywać kurczaka czymś czerwonym.

- Co tam masz? - spytała Milla.

- Mieszanka przypraw z południowego zachodu. Chcesz trochę?
Od razu zaświeciły się jej oczy

- Och, jasne!

Nie przyprawiła kurczaka aż tak szczerze jak True, ale i tak jej kubki smakowe zapłakały ze szczęścia.

- Noszę ze sobą tę solniczkę od lat - powiedział biznesmen. -
Nieraz ratowała mi życie.

- Czy ja też mogę skorzystać? - spytała kobieta siedząca obok niego po drugiej stronie. I już za chwilę przyprawa True krążyła radośnie po całym stole, budząc powszechną wesołość i entuzjazm.

Wpatrując się w rysy twarzy jedzącego True, Milla zastanawiała się, czy biznesmen ma w sobie jakąś domieszkę latynoskiej krwi. Wiedziała, że utrzymuje ożywione kontakty z Latynosami po obu stronach granicy

True wychował się na ulicy Złej ulicy Między innymi dlatego znał nie tylko grube ryby, ale także ludzi z półświatka. Milla zastanawiała się, czy mógłby dowiedzieć się czegoś o człowieku, którego szukała.

- Słyszałaś kiedyś o facecie, który nazywa się Diaz? - spytała. Może tylko jej się zdawało, ale True jak gdyby zmarł na ułamek sekundy

- Diaz? - mruknął. - To popularne nazwisko. Znam pewnie z pięćdziesięciu, sześćdziesięciu Diazów.

- Ten konkretny działa w Meksyku. Jest jakoś związany z przemytem ludzi przez granicę.

- Kojot.

- Nie sądzę. On... chyba nie robi tego osobiście. Zawahała się na wspomnienie słów Briana: tych czterech przenosiło z bagażnika do bagażnika ludzkie ciało.

- Prawdopodobnie jest także mordercą - dodała.

- Czemu pytasz mnie o takie rzeczy? - odpowiedział pytaniem True, popijając wodę.

Bo to właśnie ten sukinsyn porwał moje dziecko, pomyślała. Opanowała się, wbijając wzrok we własną szklanę.

- Staram się podążać za każdym, kto może doprowadzić mnie do Justina - powiedziała wreszcie.

- Myślisz, że Diaz był w to zamieszany?

- Ja wiem, że facet, który zabrał mi syna, ma tylko jedno oko. Drugie osobiście mu wydrapałam - odetchnęła ciężko. -I myślę, że on nazywa się Diaz. Może tak nie jest, ale to nazwisko wciąż natrętnie powraca. Jeśli mógłbyś dowiedzieć się czegoś o jednookim mężczyźnie, który nazywa się Diaz, byłabym zobowiązana.

- Jedno oko... To zawęża krąg podejrzanych. Zobaczą, co się da zrobić.

- Dziękuję.

Zdawała sobie sprawę z tego, że True może spełnić jej prośbę w konkretnym celu, wykorzystując to jako pretekst do... innych rzeczy. Jeżeli tak się stanie, po prostu będzie musiała jakoś dać sobie radę. Biznesmen musiał już kiedyś słyszeć to nazwisko, była prawie pewna. Jasne, wielu ludzi tak się nazywało, ale True wiedział coś o Diazie właśnie w tym kontekście, o którym mówiła Milla. Z jakiegoś powodu był ostrożny, nie chciał teraz odkrywać kart. Może zadawał się z Diazem w dawnych, niechlubnych dla siebie czasach - i nie miał ochoty tego ujawniać.

Podano deser: ciasto w polewie czekoladowej. Milla gestem podziękowała kelnerowi, ale przyjęła kawę. Niebawem miała przemawiać, chciała jeszcze zebrać myśli. Ci ludzie dali po czterdzieści dolarów za talerz niespecjalnego zarcia, a niektórzy z nich wypiszą jeszcze czek dla Poszukiwaczy po imprezie. Winna im była przynajmniej porządne przemówienie.

*

**

O dwudziestej drugiej trzydziści było już po przemówieniu, po podziękowaniach i po uściskach dłoni. Milla z trudem wspięła się do samochodu. Kiedy zamykała drzwi, usłyszała swoje imię: True, pomachawszy jej, właśnie podchodził do auta.

- Zjemy jutro razem kolację? - zapytał bez zbędnych wstępów

i flirtowania. Nawet jej to odpowiadało, była zbyt zmęczona, by wdawać się w słowne gierki.

- Dzięki za zaproszenie, ale jutro mam kolejną imprezę zorganizowaną w celu zbierania funduszy. Tym razem w Dallas.

Tak było. Już się nie mogła doczekać, zupełnie jak wizyty u dentysty

- To może pojutrze?

- Pojutrze... - uśmiechnęła się kwaśno. - Nie mam pojęcia, co będę robić pojutrze. Nic nie mogę obiecać.

Cisza.

- Wiesz dziwne życie, Millo - odezwał się wreszcie True. - Nie zostawiasz sobie czasu nawet na odrobinę prywatności.

- Wiem. Uwierz mi - westchnęła. - Zresztą nie mogłabym pójść z tobą na kolację ze względu na nasz układ.

- Czyli...?

- Jesteś sponsorem Poszukiwaczy. Nie mogę narażać finansowego bezpieczeństwa organizacji dla swojego prywatnego życia.

- Przynajmniej jesteś szczerą - powiedział po kolejnej chwili ciszy I walisz prosto z mostu. Doceniam to, ale w końcu i tak cię przekonam.

- Powiedzmy, że spróbujesz przekonać - poprawiła go łagodnie. Zaśmiał się głośno; jego śmiech był męski, pociągający.

- Czy to wyzwanie? - zapytał.

- Nie, to prawda. Nic na tym świecie nie jest dla mnie ważniejsze niż odnalezienie syna. I nigdy nie zrobię nic, co mogłoby zagrozić poszukiwaniom. Kropka.

- Minęło dziesięć lat.

- Nieważne. Może będzie jeszcze dwadzieścia - była już bardzo zmęczona i dlatego jej głos zabrzmiał ostrzej, niż chciała. To, co przed chwilą powiedział True, za bardzo przypominało jej słynną kwestię Rossa, jej brata: już czas przestać oglądać się za siebie, czas zrobić coś wreszcie ze swoim życiem. Tak jakby z życiem Justina już nic nie było do zrobienia. Tak jakby jej miłość do syna miała gwarancję, która po jakimś czasie dobiega końca. - Może całe moje życie - dodała cicho.

- Wybrałaś sobie trudną drogę.

- Nie mogłabym wybrać innej.

True delikatnie zamknął od zewnątrz drzwi jej samochodu i cofnął się o krok.

- Dowiem się wszystkiego, co możliwe o tym Diazie, którego ścigasz. Dam ci znać. Do tego czasu... uważaj na siebie.

To były dziwne słowa. Patrzyła na niego w milczeniu, próbując zrozumieć, o co tu chodzi.

- Wiesz coś, prawda? - spytała. - O Diazie.

- Dowiem się, ile tylko zdołam - odparł wymijająco, po czym odwrócił się i ruszył do swojego samochodu. Milla patrzyła, jak odchodzi.

Tak, na pewno coś wiedział. Coś złego. Stąd to dziwaczne ostrzeżenie.

Lód popęłzył jej po kręgosłupie mimo wciąż odczuwalnego gorąca dnia. Trafiła na właściwy trop. Problem polegał na tym, że podążanie tym tropem mogło kosztować ją życie.

scandalous

Milla obudziła się nagle w środku nocy z jedną myślą: nie sprawdziła w swojej komórce numeru telefonu, który dał jej cynk o spotkaniu w Guadalupe. To mogło być zupełnie nieważne, ale... nigdy nie wiadomo. Półprzytomna, wciąż zmęczona i teraz w dodatku rozespana, zwlokła się z łóżka i włączyła lampę, która natychmiast poraziła ją jaskrawym światłem. Odnalazła telefon komórkowy w torebce, włączyła go i przeszła przez menu, by odnaleźć ostatnie połączenia przychodzące. Był tam: numer gdzieś z centrali w El Paso.

Odruchowo nacisnęła „zadzwoń”, i wtedy spojrzała na zegar: było po drugiej w nocy. Szybko wcisnęła „zakończ”. Ktokolwiek to był, może poczekać do rana. Zapewne będzie wtedy bardziej chętny do współpracy

Zapisała numer na kartce, zgasiła światło i wróciła do łóżka. Tym razem śniły się jej jakieś bezsensowne, niespójne strzępy obrazów, które zapominała natychmiast po kolejnym ocknięciu. Mimo tak niespokojnego snu obudziła się o zwykłej porze, czyli o piątej trzydzieści. Czuła się prawie normalnie. Uświadomiła sobie, że jest niedziela, jedyny dzień, w którym nie musiała iść do biura. No, chyba że wyskakiwała jakaś nagła sprawa, a zazwyczaj tak właśnie było. Dzieci nie wybierały sobie dni na gubienie się, a porywacze działali zawsze.

Poleżała jeszcze kwadrans, rozkoszując się tym, że nie musi się donikąd spieszyć. Miło było nie musieć wyskakiwać z łóżka, by pędem gnać do pracy.

Właśnie miała wstawać, gdy zadzwonił telefon. Jęknąwszy głośno, zrzuciła z siebie kołdrę i usiadła. Przywykła już do telefonów w nocy i wczesnym rankiem, ale wiedziała przecież, że zawsze oznaczają pilne zadanie. Dlatego właśnie jej żołądek się ścisnął, a ręka sięgająca po słuchawkę zadrżała.

- Milla? Mówi True Gallagher. Obudziłem cię?

- Nie - odparła zaskoczona. - Ranny ze mnie ptaszek.

Najwyraźniej z ciebie też.

- Właściwie to się dzisiaj nie kładłem. Zbierałem informacje dla ciebie przez całą noc i., chciałem ci je przekazać, zanim pójde do pracy.

- Całą noc? - nie chciała, żeby aż tak się dla niej zarzynał. - A poza tym... pracujesz w niedziele?

- Zwykle nie pracuję - zachichotał - ale dziś mam coś pilnego do załatwienia.

- Słuchaj... Strasznie mi głupio. Nie chciałam, żebyś aż tak się poświęcał. Przepraszam. To nic pilnego, mogło przecież poczekać do rana.

- Ludzi, z którymi musiałem pogadać, nie spotyka się za dnia.

- Rozumiem. Mogłam się domyślić - sama nieraz miała do czynienia z takimi typkami.

- Mam dobre i złe wieści. Dobre to takie, że udało mi się zebrać informacje o Diazie, którego ścigasz. Złe, że prawdopodobnie na nic ci się one nie przydadzą.

- Co masz na myśli?

- Szukasz faceta, który porwał twoje dziecko, prawda? To by oznaczało, że obracał się w rejonie Chihuahua dziesięć lat temu. To nie mógł być Diaz. On pojawił się dopiero jakieś pięć lat później.

Poczuła bolesne ukłucie goryczy; to nazwisko było jedynym konkretem, jaki kiedykolwiek miała.

- Jesteś pewny?

- Tak bardzo, jak to możliwe w tych okolicznościach. Ten facet nie zostawia za sobą wyraźnych śladów. Ale ciesz się, że to nie on, bo byłoby o wiele gorzej. Mówią, że jest mordercą. Jeśli chcesz się kogoś pozbyć, rozpuść wiadomość, a wkrótce Diaz zgłosi się do ciebie. Wytropi cel i rozwiąże twój problem na dobre. Podobno jest w tym naprawdę niezły. Jeżeli ofiara dowie się, że Diaz jej szuka, to próbuje się kryć, uciekać, ale ostatecznie on zawsze ją upoluje. W pewnych kręgach nazywają go po prostu Łowcą.

- I... jesteś pewien, że temu Diazowi nie brakuje oka?

- Absolutnie.

Przełknęła i tę gorzką pigułkę.

- Słyszałam plotkę, że Diaz może mieć pod sobą cały gang kojotów. Może ten facet, który porwał Justina, pracuje dla niego?

- Wątpię. Nic takiego nie obiło mi się o uszy. Wygląda na to, że Diaz zawsze pracuje sam.

Milla niemal fizycznie czuła kolejny trop przeciekający jej przez palce, ginący, nijaki, nieważny, tak jak wszystkie poprzednie przez ostatnie dziesięć lat. Jak zwykle: usłyszy coś, nabierze nadziei, uwierzy, że coś wreszcie drgnęło - a skończy się to niczym. Nie będzie nowych informacji, nie będzie żadnego postępu poszukiwań, nie będzie Justina.

- Może jest jakiś inny Diaz? - chwyciła się desperacko kolejnej myśli. Wiedziała, że to głupie. Ale co jej pozostało?

- Och, jest ich wielu. Zbyt wielu - westchnął ciężko True. - Kilku znam osobiście i są to rzeczywiście zbiry najgorszego sortu. Ale wyeliminowałem możliwość ich udziału, bo w interesującym nas okresie znajdowali się w zupełnie innym, bezpiecznym miejscu.

Czyli pewnie w więzieniu.

- A inni? Jest wśród nich jakiś jednooki?

- Nie znam wszystkich. Kilku moich informatorów jeszcze się nie odezwało. Ale dzisiaj ludzie, mówiąc „Diaz”, mają na myśli tego mordercę. W sumie nie dziwię się, że to nazwisko wypłynęło, gdy zaczęłaś zadawać pytania. Ale nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to jednak chybiony strzał.

Strzeliłaby i do samego szatana, gdyby zbliżyło ją to na krok do Justina.

- Chcę tylko informacji - powiedziała, pocierając czoło. - Nie chodzi mi już nawet o sprawiedliwość, chciałabym tylko zadać mu kilka pytań. Jeśli jakimś cudem trafisz jednak na Diaza, który mógł

być zamieszany w wydarzenia sprzed dziesięciu lat, to proszę, przekaz mu, że go nie wydam. Że chcę tylko pogadać.

To było oczywiste kłamstwo. Niezależnie od tego, jak naprawdę nazywał się jednooki, Milla chciała go zabić. Po rozmowie, rzecz jasna. Liczyło się dziecko. Ona zrobi wszystko, co konieczne. Jeśli konieczne będzie puszczenie draba wolno, to go puści. Znienawidzi siebie za to, ale puści.

- Spróbuję - odparł True. - Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Czy mogę cię o coś prosić?

- Jasne.

- Jeżeli będziesz chciała się czegoś dowiedzieć albo z kimś skontaktować, załatwiał to przeze mnie. Działając na własną rękę, narazisz się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Lepiej będzie, jeśli ci ludzie w ogóle nie poznają twojego nazwiska. A najlepiej, jeżeli wcale cię nie zauważą.

- Mojego nazwiska nie ma w książce telefonicznej. Na wizytówkach mam adres biura Poszukiwaczy

- To dobrze. Ale nie zaszkodzi jeszcze jedna warstwa ochronna pomiędzy tobą a nimi. Ja ich znam. I umiem sobie z nimi radzić.

- Ale czy to nie znaczy, że sam będziesz narażony na niebezpieczeństwo? Przecież przez te wszystkie lata wyrobiłam sobie dzięki Poszukiwaczom opinię osoby zainteresowanej tylko odnajdywaniem zaginionych, a nie jakąś policyjną robotą. Czemu mieliby ufać tobie bardziej niż mnie?

- Ze względu na pewnych wspólnych znajomych - odparł. -
Millo, pozwól mi sobie pomóc. Proszę.

Instynkt podpowiadał jej, by nie przyjmować oferty W przeciwnym razie True mógł przekroczyć tę cienką granicę, którą Milla starała się utrzymać. Wprawdzie businessmen nie próbował się spoufalać, ale jego głos brzmiał już bardzo prywatnie. Z drugiej strony, mógł stać się niezwykle potężnym atutem Milli w tej grze. W ciągu jednej nocy dowiedział się o Diazie - zakładając, że to ten właściwy Diaz - więcej niż ona przez dwa lata.

- Dobrze - powiedziała wreszcie, pozwalając swojemu głosowi zabrzmieć wahaniem. - Ale nie podoba mi się to.

- Słyszę - odparł, a ona wyobraziła sobie jego uśmiechniętą twarz. - Wierz mi, tak będzie lepiej.

- Lepiej dla mnie. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie gorzej dla ciebie. Nie wiem, jak ci, dziękować za to wszystko...

- A ja wiem. Jeśli będziesz jutro wieczorem w mieście, pozwól zaprosić się na kolację.

- Nie - powiedziała twardo. - Wczoraj wyjaśniłam ci dlaczego. Nic się nie zmieniło.

- No trudno. Przynajmniej próbowałem. Gładko zmienił temat:

- O której masz samolot do Dallas?

- O drugiej z czymś.

- Wracasz wieczorem?

- Nie, prześpię się tam i przylecę pierwszym porannym samolotem.

- No dobrze. To do usłyszenia, skontaktuję się z tobą, jak wrócisz.

- Na razie. I wielkie dzięki. Och... - przypomniała sobie coś nagle. - Dowiedziałeś się może, jak Diaz ma na imię? Ten morderca. Byłoby nam łatwiej odsiewać te plotki, które odnoszą się do niego.

- Niestety nie. Nie znam jego imienia - odparł True, ale krótkie, trwające może ułamek sekundy wahanie dało Milli do myślenia. Znow wiedział więcej, niż chciał ujawnić.

Nie naciskała. I tak bardzo jej pomógł. Podziękowała mu raz jeszcze, pożegnała się i zaczęła szykować do drogi.

Miała jeszcze pranie do zrobienia, rachunki do popłacenia, trochę sprzątania. Oprócz prania najbardziej uciążliwe zdawało jej się zawsze odkurzanie. Ale lubiła mieszkać w czystym i pachnącym domu, więc zmuszała się do sprzątania. Co tydzień stawiała w każdym pokoju świeże aromatyczne potpourri, dzięki temu codziennie witał ją w mieszkaniu orzeźwiający wspaniały zapach. Często był to jedyny przyjemny akcent w całym dniu.

O dziewiątej trzydzieści ostatnia wyprana partia ciuchów była już w suszarce. Milla nakleiła znaczki na listy, które musiała wysłać; po namyśle postanowiła zanieść je na pocztę, zamiast wrzucać do pobliskiej skrzynki. I tak miała jeszcze rachunek z karty kredytowej do uregulowania. Wzięła kluczyki od samochodu i sprawdziła jeszcze, czy numer tajemniczego telefonu, który przyniósł jej wiadomość o Diazie, wciąż jest w pamięci komórki. Numery czasem po prostu znikaly, a ona nie miała pojęcia dlaczego. Najprawdopodobniej

bezwiednie wybierała jakąś kombinację klawiszy oznaczającą czyszczenie pamięci. A może chodziło o coś innego; w każdym razie numery zniknęły No i proszę: kiedy weszła z menu do „połączeń przychodzących”, nie było tam nic. Zero. Ani jednego złamanego numeru.

Syknęła z irytacją, po czym pobiegła na górę po świstek papieru, na którym w nocy zanotowała numer. Dzięki Bogu, że to zrobiła! Teraz mogła wstąpić do biura, przy okazji odwalić trochę papierkowej roboty i sprawdzić numer w biurowym komputerze.

Magazyn w niedzielę był zamknięty, a wysypany żwirem parking zazwyczaj pusty. Tym razem jednak tuż koło drzwi stał czerwony jeep cherokee należący do Joann. Milla zaparkowała obok i po stromych schodkach wspięła się na piętro. Drzwi były zamknięte - Joann najwyraźniej zamknęła się od środka. Mądry ruch.

- Joann? - zawołała Milla, otworzywszy ciężkie, stalowe odrzwia. Weszła do środka i zamknęła je za sobą.

- Tutaj! - usłyszała głos przyjaciółki. Joann wyszła z ich małej świetlicy - Robię popcorn, mam jeszcze jedną paczkę. Chcesz trochę?

- Nie, dzięki. Jadłam prawdziwe śniadanie.

- Popcorn też jest prawdziwy! No i wsunęłam jeszcze prawdziwy batonik.

Joann była zdeklarowaną fanką śmieciowego żarcia, w co trudno było uwierzyć, patrząc na jej szczupłą sylwetkę. Miała czterdzieści lat, była rozwiedziona, jej syn w tym roku skończył osiemnastkę i przed tygodniem wyjechał do ojca, by spędzić u niego resztę lata przed

wyjazdem na studia. Joann nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat; jej blond włosy były krótko przycięte, a niebieskie oczy nie przestawały mrugać. To właśnie Joann najczęściej występowała w roli głosu rozsądku w biurze, kiedy emocje brały górę i sytuacja wymykała się spod kontroli, co zresztą zdarzało się regularnie. Ich praca była tak wyczerpująca psychicznie, tak męcząca, a często również niewdzięczna, że drobne utarczki i kłótnie stały się normą, nie wyjątkiem.

- Co cię tu dziś sprowadza? - spytała Milla.

- Papiery, cóżby innego. A ciebie?

- Papiery - westchnęła Milla. - No i muszę sprawdzić pewien numer telefonu w komputerze.

- Jaki numer?

- Ten, z którego dzwoniono na moją komórkę w piątek po południu z informacją o Diazie. Numer z El Paso, więc tym bardziej jestem ciekawa.

- Oddzwoniłaś?

- Jeszcze nie. W nocy już prawie to zrobiłam, ale ostatecznie zdecydowałam, że jest za późno albo może za wcześnie i że zaczekam do rana. Zresztą lepiej będzie najpierw dowiedzieć się, co to za numer.

Weszła do swojego pokoju i włączyła komputer. Podczas gdy odpalał się system, Milla usiadła przy biurku i zaczęła przerzucać stos leżących tam dokumentów, wybierając te papiery, z którymi można było uporać się w miarę szybko.

Potrzebuję nowego komputera, myślała, słuchając pisków i cichego warkotu za swoimi plecami. Jeszcze jeden wydatek z tych konsekwentnie spychanych do przegródki „na później”. Zawsze było coś pilniejszego, ważniejszego. Dopóki maszyna działała, Milla nie darowałaaby sobie wyrzucania pieniędzy na nowy sprzęt.

Kiedy wreszcie wszystko się uruchomiło, odwróciła się do ekranu, uruchomiła przeglądarkę internetową, weszła na Google i wpisała numer telefonu. Po dwóch sekundach miała już nazwę i adres stacji obsługi samochodów, skąd do niej dzwoniono. Kątem oka dostrzegła Joann wchodzącą do pokoju.

- Znalazłaś coś?

- To stacja obsługi.

Joann przysiadła na biurku, podczas gdy Milla wybierała numer. Odebrano po piątym dzwonku.

- Stacja obsługi - powiedział szorstko męski głos. Konkretne przywitanie, pomyślała Milla.

- Halo, mówi Milla z biura Poszukiwaczy. Dostaliśmy telefon od was w piątek, około osiemnastej. Czy mógłby mi pan powiedzieć...

- Przykro mi - przerwał jej mężczyzna. - To płatny automat. Nie mam czasu przyglądać się każdemu, kto go używa. Jakiś żartowniś?

- Nie, ten telefon był istotny. Chciałabym skontaktować się z tym panem, który...

- Nic nie poradzę. Przepraszam.

Facet odłożył słuchawkę, a Milla głośno wypuściła powietrze.

- I co powiedział? - spytała niecierpliwie Joann.

- Właśnie - odezwał się za ich plecami niski głos, całkowicie wyprany z emocji. - Co powiedział?

Joann aż podskoczyła, pisnąwszy cicho, i odwróciła się. Milla zerwała się tak gwałtownie, że krzesło na kółkach pojechało do tyłu, uderzając o biurko. Stała obok Joann i zamarła, patrząc na mężczyznę stojącego w drzwiach. Ciarki przeszły jej po plecach, a serce waliło jak oszalałe. Były w biurze same. Drzwi zamknięte od środka. Jak się tu dostał? Czego chciał?

Mężczyzna nie miał widocznej broni. Ale choć jego dłonie były puste, Milla wcale nie czuła się lepiej - nigdy jeszcze nie widziała tak zimnych i nieludzkich oczu. Patrzyła w twarz mordercy i choć była tak przerażona, że nie mogła opanować drżenia, to coś w tym spojrzeniu dziwnie przyciągało i nie pozwalało uciec wzrokiem. Jak kobra, pomyślała, hipnotyzująca swe ofiary przed śmiertelnym atakiem.

Przybysz nawet nie drgnął. Stał, zamarły w dziwnym, nienaturalnym bezruchu, tak jakby nie był do końca człowiekiem.

Stojąca obok niej Joann oddychała płytko, patrząc wielkimi oczyma na intruza. Nawet nie mrugała. Milla dotknęła uspokajająco jej dłoni, Joann natychmiast chwyciła z całej siły rękę przyjaciółki.

Przybysz rzucił okiem na ich splecione dłonie, po czym znów uniósł wzrok.

- Słyszałaś, o co pytałem - powiedział wciąż tym samym, wypranym z emocji tonem.

Ten głos. Skądś go znała! Ale była tak spanikowana, że nie mogła zebrać myśli, a tym bardziej przypomnieć sobie czegokolwiek. Przełknęła ślinę, zmuszając się do wypowiedzenia kilku słów zduszonym głosem:

- To był automat. Facet, który odebrał, mówi, że nie wie, kto go używał.

Ledwie dostrzegalne drgnięcie powiek było jedynym znakiem, że przybysz przyjął do wiadomości jej odpowiedź.

Nie miały szans, żeby mu uciec. Mężczyzna nie był potężny, miał może z metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ale za to wyglądał na silnego i muskularnego; z jakiegoś powodu przywodził na myśl przyczajonego grzechotnika. Był mrokiem. Ciemnością, w której czai się fizyczne, namacalne zagrożenie.

Zrozumiała. Zachwiała się, a krew uderzyła jej do głowy. Oparła się ciężko o biurko.

- To ty mnie wtedy napadłeś - powiedziała przerażona i zszokowana.

W następnej sekundzie zrozumiała coś jeszcze - coś, co sprawiło, że ugięły się pod nią nogi.

- To ty jesteś Diaz...!

Twarz mężczyzny nawet nie drgnęła.

- Słyszałem, że chcesz ze mną mówić.

O Boże. Diaz. Pamiętała słowa True, w które zresztą uwierzyła: Diaz był mordercą. Nie wątpiła w to ani trochę.

Powinna była się tego spodziewać. Przecież True powiedział jej kilka godzin temu: rozpuść wiadomość, a Diaz sam cię znajdzie. Ona wykrzyczała to w knajpie pełnej ludzi: nagroda za informację o Diazie. Tymczasem facet był w pobliżu. Może nawet to słyszał. Może powinna się zdziwić, że przyjazd tutaj zajął mu aż trzydzieści sześć godzin; mógł przecież czekać na nią wczoraj rano. A potem przypomniała sobie, że ludziom w knajpie podała swoje prawdziwe nazwisko: Milla Edge. Nie „Milla Boone”, jak zazwyczaj się przedstawiała. Jej telefon był pod „Edge”; kiedy mówiła True, że jej nazwiska nie ma w książce telefonicznej, miała na myśli nazwisko „Boone”. Sam True miał jej domowy numer, bo osobiście zapisała mu go na wizytówce. Zatem skoro Diaz mimo to ją wytropił, to mógł równie dobrze włamać się dziś w nocy do jej mieszkania, zanim jeszcze Milla się obudziła.

A może miał coś ciekawszego do roboty

Mężczyzna wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi, odszedł nieco na bok, tak aby nie stać tyłem do wielkiej szyby stanowiącej połowę jednej ze ścian. W ten sposób przy okazji zablokował kobietom drogę wyjścia zza biurka Milli mającego kształt litery „U”. Teraz, by wyjść, musiałyby je przeskoczyć.

Przysunął sobie jedno z krzeseł i usiadł, swobodnie wyciągając, a potem krzyżując nogi.

- Jestem - powiedział. - Mów.

Milla miała pustkę w głowie. Jak się rozmawia z mordercą? Cześć, jak się masz? Ale jakaś część jej mózgu zaczęła już myśleć i wyciągać logiczne wnioski. Jak widać na załączonym obrazku, Diaz i jednooki porywacz byli dwoma różnymi ludźmi. Ale zabójca obserwował spotkanie bandziorów w Guadalupe, więc albo polował na jednego z tamtych, albo liczył, że doprowadzą go do właściwego celu. Raczej to drugie, jak sądziła - ponieważ tylko patrzył. A jeśli ktokolwiek był w stanie odnaleźć jednookiego, to tylko Diaz. Może wiedział nawet, gdzie drań podziewa się w tej chwili.

Delikatnie odsunęła Joann na bok i zrobiła krok naprzód. Wciąganie w tę całą grę przyjaciółki nie było fair. To był problem Milli i to Milla musiała go rozwiązać. Wyciągnęła sobie krzesło zza biurka i usiadła; jej kolana prawie stykały się z nogami mężczyzny, choć uważała, by nie dotknąć go naprawdę.

- Jestem Milla Edge - zaczęła.

- Wiem.

Jego twarz wciąż pozostawała doskonale nieruchoma, co bardzo deprymowało Millę. Zresztą wszystko w tym człowieku było deprymujące, chociaż pewnie mogłaby minąć go na ulicy w ogóle nie zwrócić na niego uwagi. Nie sprawiał wrażenia szaleńca, psychopatycznego mordercy Wręcz przeciwnie, wyglądał na opanowanego człowieka, który do wszystkiego odnosił się obojętnie.

Jego krótko obcięte czarne włosy i twarz pokryta jednodniowym zarostem nie wzbudzały podejrzeń. Oliwkowy T-shirt był czysty, tak jak czarne džinsy i buty na grubej podeszwie. Krótkie rękawy koszulki opinały bicepsy mężczyzny; raczej żyłaste niż napakowane, z wyraźnie widocznymi mięśniami i żyłami. Jeśli w ogóle miał przy sobie jakąś broń, to chyba tylko w bucie. Nie było to specjalnie pocieszające, tak samo zresztą jak pozornie swobodna i zrelaksowana poza przybysza. Wąż mógł uderzyć bez ostrzeżenia, ale na myśl przyszedł jej nie wąż, tylko pantera. Jak to było u Ogdena Nasha? „Gdy woła pantera, zamieraj”. Problem polegał na tym, że ona sama przywołała tę panterę i teraz musiała jakoś sobie radzić.

Oprócz tego jednego momentu, gdy spojrzał na kurczowo splecione dłonie przerażonych kobiet, nie oderwał wzroku od twarzy Milli. Nawet na chwilę. I to właśnie było najbardziej denerwujące.

- Słyszałam, że potrafisz odnajdywać ludzi - powiedziała ostrożnie.

Joann poruszyła się gwałtownie za jej plecami.

- Millo... - zaczęła ostro.

Milla wiedziała, co chce jej powiedzieć przyjaciółka. Że to bardzo zły pomysł, że powinna to przemyśleć, i tak dalej. Wzrok Diaza nawet nie drgnął. Milla gestem uciszyła Joann.

- Czasami - odparł mężczyzna.

- Jednooki facet, który był na spotkaniu pod kościołem w Guadalupe. Chcę go znaleźć.

- To pionek. Nic nie znaczy - jego wymowa zdawała się dziwna, tak jakby angielski nie był jego ojczystym językiem. Posługiwał się nim perfekcyjnie, miał teksaski akcent, ale coś - oprócz nazwiska - zalaatywało tu Meksykiem. Nie, mogła się założyć, że gość nie urodził się w Stanach.

- Dla mnie jest ważny - powiedziała, oddychając płytko. Znów czuła szansę, gdzieś, tuż-tuż, w zasięgu ręki. Ten człowiek mógł jej naprawdę pomóc w poznaniu losu syna. Może i był diabłem, nieważne. Jeżeli tylko diabeł może jej pomóc, niech i tak będzie. - Dziesięć lat temu porwano mojego sześciotygodniowego synka - ciągnęła. - Mój były mąż jest lekarzem; on i jego koledzy założyli mały, darmowy szpital w jednym z biedniejszych rejonów Chihuahua. Mieszkaliśmy tam przez rok. Tam urodziło się moje dziecko. Poszłam na targ, napadło mnie dwóch mężczyzn. Wyrwali mi dziecko, ale ja walczyłam: zdołałam wydrapać lewe oko temu, który odebrał mi synka. Wtedy ten drugi pchnął mnie w plecy nożem i obaj uciekli. Od tego czasu nie widziałam swojego dziecka.

Coś błysnęło w jego oczach, spojrzał na nią z uwagą.

- A więc to ty

- Ja? - spytała, nie rozumiejąc.

- Ty oślepiłaś tę świnię, Pavona.

Pavon. O Boże, więc tak się nazywał. Po dziesięciu latach wiedziała, jak się nazywał. Zamknęła oczy i starała się uspokoić oddech, bezwiednie zaciskając dłonie w pięści. Jej serce trochę zwolniło, ale wciąż waliło z potężną siłą, jakby próbując wyrwać się z

piersi, ogłuszając hukiem tętniącej w oszalałym tempie krwi. Chciała krzyknąć, chciała płakać, chciała wybiec i szukać go teraz, w tej chwili! Chciała dorwać go w swe ręce i walić głową bandyty o ścianę, aż odpowie na wszystkie pytania, które ona mu zada. Ale wiedziała, że nie może tego zrobić, że musi się opanować; przycisnęła trzęsące się pięści do oczu, z całych sił starając się nie rozpłakać.

- Wiesz, jak ma na imię? - spytała zduszonym głosem.

- Artura

Arturo Pavon. Litery wypaliły się w jej mózgu jak nieusuwalne piętno. Tak jak nigdy nie zapomni jego twarzy, tak samo będzie pamiętać to imię i nazwisko. I tę chwilę. Przez tyle lat nie znalazła praktycznie niczego, żadnych konkretnych informacji, żadnych faktów. Teraz wszystko zmieniało się tak nagle, że czuła, jakby cały świat zawirował wokoło. Logicznie rzecz biorąc, wiedziała, że najprawdopodobniej nigdy nie odnajdzie Justina. Ale z powodów emocjonalnych nie mogła przestać go szukać. A teraz, nareszcie, pojawiła się szansa na zdobycie wiadomości na temat tego, co stało się z dzieckiem. Czy żyje? Może da radę go odnaleźć? Swojego synka...

- Możesz go znaleźć? - spytała, pochylając się do przodu, jakby siłą woli mogła zmienić rzeczywistość. - Chcę z nim pogadać. Chcę się dowiedzieć, co zrobił z moim synem...

- Twój syn został sprzedany - przerwał obojętnym tonem Diaz. - Pavon nie będzie miał pojęcia komu. To tylko pendejo, podrzędny ganan.

Milla zamrugnęła. Zrozumiała to drugie: „zbir”. Ale, o ile się nie myliła, Diaz nazwał Pavona także „włosem łonowym”. Najwyraźniej nie łapała jakiegoś meksykańsko-hiszpańskiego idiomu.

- On jest... kim?

- Nikim. Pionkiem wykonującym rozkazy - wzruszył ramionami Diaz. - Poza tym jest oczywiście bezwartościowym, obrzydliwym sukinsynem, ale nie ma na nic wpływu.

- To mój jedyny punkt zaczepienia. Może on doprowadzi mnie do kogoś, kto...

- Możesz próbować, ale niczego nie zwojujesz. Handlarze ludźmi nie prowadzą kartotek. Na pewno nie zapomniał ciebie,

o nie, może pamięta także twojego syna. Ale pewnie wie tylko tyle, że dziecko przeszmurowano przez granicę i sprzedano.

Nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Pavón nie mógł wtedy sam przewieźć Justina przez granicę, był zbyt poharatany. Najprawdopodobniej zrobił to ten drugi facet, ten, który pchnął ją nożem. A Pavón wie, jak on się nazywa. Milla znajdzie tego drugiego i tamten zdradzi jej kolejne nazwiska. Trzeba było tylko podążać po nitce do kłębka. Nie ustawać. Trop prowadził przecież do Justina.

- Chcę go znaleźć - powtórzyła uparcie. - Obserwowałeś go tamtej nocy, nie pozwoliłeś mi...

- ...dać się zabić.

- Tak - przyznała. - Pewnie tak. Ale nie chodziło ci przecież o mnie. Zależało ci na tym, by tamci nie zorientowali się, że ktoś ich podgląda. Ale skoro i tak go śledziłeś, czemu nie możesz...

- To nie tak - przerwał jej Diaz. - Nie śledzę akurat jego.

Podążam ku głowie węża, ale muszę zacząć od ogona.

- Wiesz, gdzie on jest.

- Nie. Nie wiem.

Chciało jej się wrzeszczeć ze złości. Kolejna ślepa uliczka? Nie!

Nie mogła się na to zgodzić.

- Ale możesz go znaleźć.

- Mogę znaleźć każdego. Kwestia czasu.

- Bo nigdy się nie poddajesz. Ja też nie. Jeżeli chodzi o pieniądze, zapłacę ci. Nie ma problemu.

Sumienie nie pozwoliłoby jej zapłacić mu pieniędzmi. Poszukiwaczy, ale bez wahania oddałaby wszystkie swoje pieniądze, oszczędności, a potem błagałaby Davida o jeszcze więcej, jeśli okazałoby się to konieczne. Zresztą nie musiałyby błagać. David zrobiłby wszystko, by pomóc jej w odszukaniu Justina.

Diaz spojrział na nią z ledwie dostrzegalnym zaciekawieniem, jakby patrzył na rzadki okaz pociesznego zwierzątka. On był mężczyzną, który najwyraźniej nie czuł prawie nic. Ona - kobietą, która czuła zbyt wiele. Nie mogąc zaapelować do jego uczuć, spróbowała przemówić do rozsądku:

- Poszukiwacze dysponują potężną siecią ludzi, mają niewyobrażalne kontakty. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

- Nie potrzebuję pomocy - wzrok mordercy był znów zimny i nieodgadniony - I zawsze pracuję sam.

Musiało istnieć coś, na czym mu zależało.

- Zielona karta...? - spróbowała. Mogła uruchomić znajomości, pociągnąć za kilka sznurków.

Po raz pierwszy na jego twarzy zagościło jakieś ludzkie uczucie: rozbawienie.

- Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych.

- Więc o co chodzi? - spytała z goryczą. - Czemu nie chcesz przyjąć roboty? Nie proszę cię, żebyś go zabił, pomóż mi tylko go znaleźć!

A może właśnie to stanowiło przeszkodę. Gra nie bawiła go, jeśli nie chodziło o najwyższą stawkę.

- Skąd ten pomysł, że zabiłbym kogokolwiek dla ciebie? - jego głos złagodniał trochę, ale twarz była wciąż nieprzenikniona.

Zazwyczaj umiała trzymać język za zębami i nigdy nie ujawniała personaliów swoich informatorów. Ale tym razem jej nerwy były napięte do ostatnich granic, była półprzytomna ze zdenerwowania i wiedziała tylko jedno: że musi jakoś - nieważne jak - przekonać Diaza do współpracy

- True Gallagher zbierał dla mnie informacje o niejakim Dia-zie, który mógł być zamieszany w porwanie mojego syna.

- True Gallagher... - powtórzył wolno mężczyzna, jakby delikatnie smakując słowa.

- To jeden z naszych sponsorów.

- I czego się dowiedział?

- Że jesteś mordercą - nie próbowała owijać w bawełnę. Nawet jeżeli Diaz nie był zawodowym mordercą, to nie miała już

wątpliwości: mógł zabić i zapewne robił to w przeszłości. Może jeśli facet zrozumie, że ona wie o wszystkim i że nie robi jej to różnicy, to spojrzy na nią choć trochę łaskawszym okiem.

Joann głośno wciągnęła powietrze. Milla nie odwróciła się do niej.

- To nieprawda - powiedział Diaz. - Choć istnieją powody, dla których mógłbym zabić człowieka. I nawet jeśli wziąłbym za to zapłatę, nie zabiłbym dla pieniędzy

Co nie znaczyło bynajmniej, że nie ma krwi na rękach albo że nie zabiłby jeszcze raz. Ale z jakichś powodów Milla mu uwierzyła i poczuła się trochę lepiej. Facet przynajmniej miał jakieś zasady

Diaz złożył dłonie w wieżyczkę, patrząc na kobietę ponad złączonymi palcami. Wyglądał na poważnie zamyślonego.

- Opowiedz mi o tym cynku na mnie - powiedział wreszcie. - O telefonie w piątek wieczorem.

- Nie ma czego opowiadać. Dzwonił mężczyzna, prawdopodobnie Latynos. Powiedział, że będziesz na spotkaniu za kościołem w Guadalupe o wpół do jedenastej. Telefon, z którego dzwonił, stoi na stacji obsługi samochodów. Właściciel nic nie wie.

Milla nie wiedziała oczywiście, co dzieje się za tymi zimnymi, mrocznymi oczami. Mogła się tylko domyślać, że Diaz przegląda właśnie listę znajomych i rozważa różne możliwe scenariusze.

- Wtedy myślałam jeszcze, że Pavon nazywa się Diaz - wyjaśniła. - Słyszałam niejasne plotki o niejakim Diazie, który może być zamieszany w porwania. Spodziewałam się, że jednookim

okażesz się właśnie ty, bo twoje nazwisko wydawało się być z nim jakoś powiązane.

- Nic mnie z nim nie wiąże.

- Słyszałam, że pracuje dla ciebie.

Temperatura lodu w jego oczach spadła o kolejny stopień.

- Chodzi o to - ciągnęła Milla - że aktywnie szukam informacji o tobie od jakichś dwóch lat. Mógł zadzwonić ktokolwiek. Chociaż... To dziwne. Od samego początku oferowałam pieniądze za informację. To dziwne, że dostaję nagle anonimowy telefon bez żadnej próby skasowania nagrody.

- Mało kto wie, gdzie można mnie spotkać. I to mu się bardzo nie podobało.

- Kto mógłby wiedzieć? - spytała. - Pewnie ten, komu sam powiedziałaś. No i ta osoba, która tobie dała cynk o spotkaniu w Guadalupe.

- Nie mówiłem nikomu. To ogranicza listę możliwości.

Pozostaje tylko pytanie: dlaczego?

- Brian i ja myśleliśmy, że ktoś cię wrabia, ale najwyraźniej nie tędy droga. Pavon i jego kumple nie mieli pojęcia, że tam byłeś.

- Brian - powiedział Diaz. - Ten facet kryjący się po drugiej stronie cmentarza?

Kiwnęła głową. Więc jego też widział.

- Tak, ten sam. Też pracuje dla Poszukiwaczy. Właśnie wracaliśmy razem do domu z roboty, kiedy dostałam ten telefon.

Coś się tu działo. Wyglądało to tak, jakby ktoś celowo skrzyżował ich ścieżki. Nie musiała czytać w myślach, by dostrzec, że mężczyzna zastanawia się nad tym samym.

- Pomogę ci - powiedział nagle, wstając z krzesła. - Odezwę się.

Wyszedł z pokoju, a po kilku sekundach kobiety usłyszały odgłos otwierania zewnętrznych drzwi. Milla i Joann spojrzały na siebie, po czym jak na komendę odwróciły się i pobiegły do okna.

Schody prowadzące do biura Poszukiwaczy były puste. Parking też. Żadnych śladów mężczyzny. Milla otworzyła drzwi, nasłuchując warkotu uruchamianego silnika, ale odpowiedziała jej cisza.

Wyglądało to tak, jakby Diaz rozpląnął się w powietrzu?

- Przynajmniej wiem, jak wyszedł - powiedziała Milla, zdezorientowana. - Ale jak dostał się do środka?

- Nie mam pojęcia - jęknęła Joann, opadając na najbliższe krzesło. - Jezu, nigdy w życiu tak się nie wystraszyłam! On tu pewnie był, kiedy przyszłam. Mógł zrobić wszystko, co tylko chciał!

Milla obeszła wszystkie okna, sprawdzając, czy którekolwiek nosi ślady włamania. Nie musiała być detektywem, by stwierdzić, że okna są nienaruszone. Jakkolwiek facet tu wszedł, nie pozostawił żadnych wyraźnych śladów.

- Nie mogę w to uwierzyć - Joann ciągle się trzęsła. - Ty po prostu siedziałaś i rozmawiałaś sobie z nim, zero nerwów! A to... przecież najbardziej przerażający człowiek, jakiego widziałam na oczy!

- Zero nerwów? - Milla przełknęła ślinę i też przysiadła na krześle. - Akurat. Tak mnie trzęsło, że musiałam usiąść. Bałam się, że nie ustoję.

- Jakoś nie zauważyłam. Myślałam, że on zabije nas obie. Ten jego wzrok... Czułam się, jakbym patrzyła na własną śmierć.

- Ale ostatecznie przeżyliśmy. Co więcej, dzięki niemu mam informację, której szukałam od dziesięciu lat - Milla przymknęła oczy.

- Arturo Pavón. Mam nazwisko. Nareszcie mam nazwisko! Czy ty wiesz, co to znaczy?

Łzy zebrane pod powiekami znalazły wreszcie drogę ujścia i pociekły jej po policzkach.

- Mam szansę odnaleźć dziecko. Pierwszy raz mam realną szansę!

Impreza dobroczynna w Dallas udała się lepiej, niż można się było spodziewać. Poszukiwacze nie tylko zebrali sporo pieniędzy, ale jeszcze znaleźli sponsora: firmę komputerową, która obiecała dostarczyć im nowy sprzęt. Obrazy nowych, błyszczących komputerów tańczyły Milli przed oczami, ale to nie z tego powodu nie mogła zasnąć w hotelu.

Wciąż była niesamowicie podniecona tym, co zdarzyło się rano. Czowała się, jakby przeszła bosymi stopami po rozżarzonych węglach i nawet się nie poparzyła. Była jak odurzona świeżą nadzieją. Chciała dzwonić do Davida, opowiedzieć mu wszystko, powiadomić, że wreszcie ma coś konkretnego: nazwisko porywacza, którego pomoże jej teraz namierzyć prawdziwy ekspert (bo jak inaczej mogła określić Diaza?). Chciała podzielić się z kimś swoim uniesieniem; czemu nie z ojcem Justina?

Ale ostatecznie nie pozwoliła sobie na to. David nie był już jej mężem. Miał swoją rodzinę, a Milla bardzo nie chciała naruszać jej spokoju. Nie wiedziała - i nie pytała - jak żona Davida patrzy na pieniądze, które Milla dostawała od byłego męża. Starła się utrzymywać zdrowy dystans, tak by nie dać nowej pani Boone żadnych powodów do zdenerwowania.

Nowej pani Boone? Milla roześmiała się cicho. Żona Davida miała na imię Jenna, była bardzo miłą kobietą, a ich małżeństwo trwało już dwa razy dłużej niż związek Davida z Millą.

Kiedy będzie już miała coś naprawdę konkretnego - coś o Justinie - wtedy zadzwoni do Davida. Nie informowała go przecież o każdej plotce czy małym postępie. To on telefonował do niej mniej więcej co pół roku i wtedy mówiła mu o wszystkim, co warte było wspomnienia. Żeby nie brudzić w prywatnym życiu Davida, Milla nie dzwoniła do niego nigdy. Kropka. Żona chirurga ma dość stresów, długich dyżurów i nagłych wypadków, które trafiają się zawsze tuż przed obiadem lub przed wyjazdem na wakacje. Nie ma potrzeby dodawać do tego telefonów od byłej żony.

Nie mogła zmusić się do spania, była zbyt pobudzona. Spróbowała zatem raz jeszcze dokładnie przypomnieć sobie wszystko, co zdarzyło się tego ranka: od telefonu True aż do momentu, gdy Diaz zniknął za drzwiami.

Największą tajemnicą dla niej - choć może nie dla Diaza - była tożsamość człowieka, który poinformował ją o spotkaniu w Guadalupe. Tożsamość i motywy. Na pewno nie chodziło o nagrodę, bo telefon był anonimowy. Ktoś sprytnie postawił ją na drodze Diaza, a ona nie wiedziała, czy tajemniczy informator chciał jej w ten sposób pomóc, czy może wręcz przeciwnie. Diaz mógłby ją przecież równie dobrze zabić, zamiast pozbawiać przytomności. Teraz, po rozmowie z nim, była już tego pewna: nie miałby obiekcji natury moralnej.

Mimo usilnych prób nie mogła wymyślić sensownego motywu dla tego telefonu. Wreszcie zdecydowała, że liczy się efekt. Cóż, Diaz nie był aniołem zesłanym przez niebiosy, ale za to w przeciągu kilku

minut dostarczył jej bezcennych informacji i dał nadzieję na odnalezienie Justina.

Nie mogła uwierzyć, że ostatecznie udało się jej namówić go do pomocy. Nie mogła uwierzyć, że siedziała tak blisko niego i jeszcze udawała, iż się nie boi. Miał najzimniejsze, najbardziej puste oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Wydawał się całkowicie wyprany z emocji. Mogłaby nazwać go autentycznym socjopata, gdyby nie to coś, jakiś mechanizm psychiczny ograniczający jego wrodzone okrucieństwo. Potrafił mentalnie odróżnić dobro od zła, jak sądziła - ale nie czuł tej różnicy. Jeśli decydował się zrobić coś dobrego, była to decyzja oparta na przemyśleniach, nie na uczuciach.

Paradoksalnie w tym właśnie upatrywała swoją szansę. Poszukiwacze nie musieli się go obawiać. Tamtej nocy w Guadalupe Diaz mógł przecież zabić ją i Briana tylko dlatego, że stanęli mu na drodze. Ale nie zrobił tego, bo oboje nie stanowili dla niego żadnego zagrożenia. Może pośrednio dla celu, który sobie wtedy postawił - a nie dla Diaza osobiście. Tak długo, jak nie przekroczy pewnych granic, nie ma się czego obawiać, może współpracować z Diazem.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Pamiętała reakcję True na nazwisko Diaza. Zdecydowała więc siedzieć cicho i nie mówić biznesmenowi o niespodziewanej wizycie w biurze. True chciałby jej bronić; było to poniekąd bardzo miłe, choć pamiętała o konieczności utrzymywania dystansu. Mógł na przykład powiadomić policję, a to była ostatnia rzecz, na które zależało Milli.

Zastanowiła się, czy nie wypytać True o Arturo Pavona, ale na to też się nie zdecydowała. Gallagher na pewno spyta, skąd wytrzasnęła to nazwisko, a Milla nie chciała kłamać mu w żywe oczy. P za tym Diazowi zdecydowanie by się to nie spodobało. Była tego pewna, choć nie wiedziała dlaczego. Diaz lubił pracować sam, wolał, żeby ludzie wiedzieli o nim jak najmniej. A gdyby i on, i True jednocześnie szukali Pavona, teoretycznie mogliby wpaść na siebie Nie, to nie był dobry pomysł. Diaz mógłby wycofać się ze wspól pracy, a na to absolutnie nie mogła sobie pozwolić.

**

Poleciała pierwszym porannym samolotem z Dallas do El Paso, zahaczyła o mieszkanie, by zostawić bagaż, i pojechała do biura Poszukiwaczy Było jeszcze wcześniej, ale gorąco stawało się już dokuczliwe i Milla westchnęła tęsknie za zimą.

Wkroczywszy do biura, zobaczyła Briana w wesołkowatym nastroju; zawsze kończyło się to podpuszczaniem Olivii i doprowadzaniem jej do furii. Dziś dawał jej rady dotyczące wyglądu i ubioru, ku wyraźnej uciechu reszty załogi.

- Powinnaś zmienić uczesanie - powiedział, przysiadłszy na skraju biurka swej ofiary. - Przydałoby ci się coś bardziej seksownego. I większego. No wiesz, porządne loki, fale, te sprawy

Olivia zmierzyła go długim, morderczym spojrzeniem. Każda z zasad, na których opierało się jej feministyczne ego, została opluta.

- Czy ja wyglądam jak jakaś pierdolona Miss Szamponów L'Oreal? - spytała zimno.

- Nie - odparł poważnie Brian. - Ale jak się postarasz...

Chłopak był młody, wielki i szybki, ale przez chwilę Milla myślała, że nawet to nie uratuje mu życia. Olivia podniosła się powoli, by stanąć oko w oko z Brianem (udało jej się mimo niskiego wzrostu, bo facet wciąż siedział na biurku).

- Chłopczyku - wycedziła powoli - niszczyłam już lepszych od ciebie. Wykorzystywałam, wyciskałam jak cytryny i wyrzucałam jak śmiecie. Nie próbuj nawet, to nie twoja liga.

Brian rznął głupa naprawdę perfekcyjnie.

- Co? - zapytał wyraźnie urażony - Ja tylko staram się pomóc. Dać takie luźne wskazówki, no wiesz...

- Czyżby? Nie wiedziałam, że neandertale znają się na modzie i fryzurach.

- Dobre futerko nie jest złe - uśmiechnął się szeroko.

- O, nie wątpię, że to twoje poletko.

Milla zauważyła Joann gestem wskazującą na jej pokój. Z trudem stłumiła jęk, zobaczywszy, kto tam na nią czeka. Pani Roberta Hatcher szukająca zaginionego męża. W pewien piękny weekend wybrał się w odwiedziny do siostry w Austin i zniknął bez śladu, a wraz z nim ubrania, jego samochód i połowa pieniędzy z konta. Policja wyciągnęła z tego oczywisty wniosek, że zbrodnia ani porwanie nie wchodzi w grę, pan Hatcher odszedł z własnej, nieprzymuszonej woli, a oni nic nie mogą w tej sytuacji zrobić. Pani Hatcher nie przyjęła tego do wiadomości i zwróciła się o pomoc do Poszukiwaczy.

Milla rzuciła jeszcze okiem na Briana i Olivię, mając nadzieję, że pacyfizm raz jeszcze zwycięży w walce z żądzą mordy, którą najwyraźniej pałała ich dyżurna feministka. Potem weszła do swojego pokoju, uśmiechając się do pani Hatcher.

- Witam, pani Roberto. Napije się pani kawy?

Roberta pokręciła głową. Była ładnie siwiejącą kobietą po pięćdziesiątce, z miłą okrągłą twarzą, do której naturalnie pasował uśmiech. Ale od kiedy Benny Hatcher zniknął, oczy jego żony najczęściej były czerwone od płaczu i Milla nie miała jeszcze okazji zobaczyć jej uśmiechu.

Szefowa Poszukiwaczy myślała, że gdyby dostała w swoje ręce pana Hachera, to gość nie doczekałby chyba wieczora. Jak śmiał narażać swoją żonę na to wszystko? Jeżeli chciał odejść, powinien mieć przynajmniej tyle odwagi, aby to głośno powiedzieć. Pewnie to też złamałoby tej kobiecie serce, ale przynajmniej wiedziałyby, że Benny żyje, mogłaby jakoś ułożyć sobie życie w nowej sytuacji. A tak? Żyła w zawieszeniu i niepewności, cierpiała, a panu Hatcherowi należało chyba skopać tyłek.

- Proszę mi pomóc - powiedziała Roberta niskim, schrypniętym od długotrwałego płaczu głosem. Milla dobrze знаła ten stan. - Wiem, powiedzieliście, że on nie zaginął. Że odszedł sam, z własnej woli. Ale czy nie rozumie pani, że ja nie wiem tego z całą pewnością? A jeśli spotkał jakiegoś oszusta, który go zwiódł i wmanewrował w jakieś szwindle? Może stracił wszystkie pieniądze i wstydzi się wracać? Albo jest ranny czy - nie daj Boże - zabity? Byłam już w

kilku agencjach detektywistycznych, jak mi poradziliście, ale nie stać mnie na ich usługi. Nawet najtańszy detektyw jest poza moim zasięgiem. Proszę.

- Nie mogę pani pomóc - odparła Milla zdenerwowana co najmniej tak bardzo jak jej rozmówcy. - Nam też pieniądze nie spadają z nieba. Mamy ograniczony budżet. Oglądamy pięć razy każdego centa, zanim zdecydujemy, na co go wydać. Proszę przyjrzeć się naszym pomieszczeniom. Bez trudu domyśli się pani, że wszystkie pieniądze poświęcamy na poszukiwania. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi pan Hatcher odszedł, zostawił panią i nie miał odwagi powiedzieć tego wprost. Jak mogłabym marnować nasze zasoby na szukanie kogoś, kto najprawdopodobniej zniknął z własnej, nieprzymuszonej woli?

- Ale możecie sprawdzić jego ubezpieczenie, dowiedzieć się, czy i skąd opłaca składki, a więc gdzie pracuje?

- To wymagałoby specjalnego pozwolenia, którego nie mamy. My znajdujemy ludzi zaginionych, a nie ukrywających się - Milla potarła dłonią czoło, myśląc nad jakimś rozwiązaniem. - Rozmawiała już pani z Armią Zbawienia? Oni także namierzają zagubionych krewnych i członków rodziny. Wydaje mi się, że mają taką jednorazową, darmową usługę. Nie wiem, czy w tych okolicznościach się podejmą, ale chyba warto spróbować.

- Armia Zbawienia? - mruknęła Roberta. - Nie wiedziałam, że zajmują się takimi rzeczami.

- Owszem, zajmują, ale nie znam ich warunków wstępnych. Jeżeli oni nie pomogą, proszę pójść do adwokata. I załatwić, co się da od strony prawnej.

- Nic nie powiedziałam dzieciom - łza spłynęła po policzku Roberty - Jak ja im powiem, że tatuś po prostu sobie poszedł?

Miała dwóch dorosłych, żonatych synów, którzy sami już mieli dzieci.

- Proszę im powiedzieć - poradziła Milla. - Tak po prostu. W końcu i tak się dowiedzą, a lepiej, żeby dowiedzieli się od pani. Co będzie, jeśli ojciec do nich zadzwoni? Będą na panią wściekli za ukrywanie przed nimi prawdy

- Pewnie tak - siąknęła nosem kobieta, wycierając policzek. - Chyba ciągle miałam nadzieję, że on wróci i dzieci o niczym się nie dowiedzą.

- Minęły prawie trzy tygodnie - powiedziała łagodnie Milla. - Jeżeli mąż teraz wróci, to przyjmie go pani z powrotem? Jest pani tego pewna?

- On mnie nie kocha, prawda? - kolejna łza. - Gdyby mnie kochał, nigdy by tak nie postąpił. Nie mógłby. Wiem, że... trochę się zapuściłam, utyłam, ale... ja mam prawie sześćdziesiąt lat! Chyba można już mieć siwe włosy w takim wieku? Ale Benny zawsze dbał o formę, o wygląd. Prawie nie znać było po nim siwizny.

- Czy mąż... mógł mieć kogoś? - z trudem przeszło to Milli przez gardło, choć wiedziała, że policja już o to pytała Robertę. Wtedy zszokowana i przerażona kobieta bez wahania odrzuciła tę myśl.

Ale teraz jej twarz skrzywiła się w bolesnym grymasie; kobieta przysłoniła dłonią oczy

- Nie wiem - zaszlochała. - Mógł mieć. Prawie każdego dnia grał w golfa. Nigdy go nie kontrolowałam. Ufałam mu bezgranicznie.

Milla przypuszczała, że istnieją maniacy grający w golfa nawet w tutejszym upale, ale codziennie? Wątpliwe. Teraz dostrzegła to także Roberta.

- Proszę iść do adwokata - powtórzyła Milla. - Założyć nowe konto bankowe. Nie pomyślała pani o tym, prawda? On wciąż ma pełne prawo do zarządzania starym kontem. Co będzie, jak je opróżni? Co pani pocznie?

- Nie wiem. Nie wiem - jęczała Roberta, kołysząc się na krześle i bezradnie szukając czegoś w torebce. Milla, domyśliwszy się, o co chodzi, podała jej chusteczkę.

Po kilku długich chwilach wycierania łez i oczyszczania nosa Roberta wzięła głęboki oddech:

- Przez ostatnie tygodnie zachowywałam się jak stara idiotka. Muszę wziąć się w garść. Zostawił mnie. Może pójdę do tej Armii Zbawienia, ale najpierw załatwię ważniejsze sprawy Założę nowe konto bankowe, uratuję, co się da. Zadzwoń wieczorem do chłopców i powiem im, co się stało. Nie, ja ciągle nie mogę uwierzyć, że on... Zostawić mnie to jedno. Ale dzieci? One zawsze tak bardzo były z nim związane! Ale... musiał przecież wiedzieć, że wóz albo przewóz. Wiedział, więc chyba to też go za bardzo nie obchodziło.

Milla nie odezwała się. Podejrzewała, że pan Hatcher w końcu zadzwoni do synów, powie, jak bardzo mu przykro, i wyrazi nadzieję, że wszystko będzie jak dawniej. Albo coś w tym rodzaju. Ludzie często nie byli w stanie pojąć konsekwencji własnych działań, myśleli, że wszystko jakoś się samo ułoży. Nie, nie ułoży się. Przynajmniej ona w to nie wierzyła.

Gdy Roberta opuszczała biuro, jej oczy wciąż były czerwone i zapuchnięte, ale błyszczała w nich już siła i zdecydowanie. Głowę trzymała dumnie uniesioną. Ledwie zamknęły się za nią drzwi, gdy zadzwonił telefon na biurku Milli. Szefowa Poszukiwaczy oklapła na swoje krzesło, mechanicznie naciskając przycisk „odbierz”.

- Halo, tu Milla.

- Cześć, złotko. Masz dzisiaj czas na wesoły lunch?

To była Susanna Koper, ginekolog-położnik z małego szpitala w Meksyku. Ta sama, która odbierała poród Justina. Życie bywało dziwne: Susanna i Rip, jej mąż, tak bardzo polubili Meksyk i jego mieszkańców, że osiedlili się w El Paso. W ten sposób mogli mieszkać w Stanach, ale bardzo blisko swojej ulubionej kultury. Co najmniej dwa razy do roku wybierali się na zwiedzanie różnych regionów Meksyku.

Susanna bardzo starała się nie tracić kontaktu z Millą. A to było już coś, biorąc pod uwagę jej praktykę lekarską. Pojawiła się między nimi jakaś więź tego strasznego dnia, gdy Rip wraz z Davidem ratował Milli życie. Susanna też tam wtedy była. Czasem mijało nawet kilka miesięcy bez żadnego kontaktu z powodu nawału zajęć.

Ale kiedy tylko mogły, szły razem na lunch. Zawsze były to zupełnie spontaniczne, nieplanowane wypadki, które jakimś cudem zawsze się udawały

- Jasne - odparła Milla. - Jeśli nic mi nie wyskoczy Gdzie i kiedy?

- Wpół do pierwszej „U Dolly”.

Kawiarenka „U Dolly” była modnym miejscem, szczególnie cenionym przez kobiety lubiące przekąsić coś lżejszego. Czasem zabląkał się tam jakiś biznesmen mężczyzna, ale facetów zazwyczaj odrzucał fikuśny wystrój kafejki okupowanej głównie przez damskie towarzystwo.

Kiedy Milla skończyła rozmawiać, do biura zajrzała Joann.

- Nie wspominałam o nim nikomu - powiedziała konfidencjonalnie; nie musiała tłumaczyć, o kogo chodzi. - Dzwonił dziś z samego rana. Tak mi się zdaje, że to on. Aż mnie przeszły ciarki od tego głosu i dostałam gęziej skórki. To musiał być on.

Milla także poczuła dziwny chłód.

- Czego chciał?

- Nie powiedział. Zapytał tylko, czy jesteś. Powiedziałam, że jeszcze nie, dodając, o której powinnaś przylecieć z Dallas i kiedy się ciebie spodziewamy na miejscu. Potem odłożył słuchawkę.

- Podałaś mu numer mojej komórki?

- Nie - Joann wyglądała na zmartwioną. - Nawet chciałam, ale nie byłam pewna, co ty na to.

Facet i tak miał już pewnie jej adres i telefon domowy, dzięki temu, że pochwaliła się publicznie w knajpie swoim prawdziwym nazwiskiem. W takim układzie podanie numeru komórki nie mogło wiele zmienić.

- Dam mu ten numer - westchnęła - kiedy zobaczę go następnym razem.

- Kogo? - zapytał głośno Brian przechodzący korytarzem.

Czasami Milla tęskniła za porządną, formalną strukturą i hierarchią w centrali. Z drugiej strony Poszukiwacze byli grupą ludzi połączonych wspólnym celem; nie byli przedsiębiorstwem ani korporacją. Milla była mózgiem wszystkich operacji i szefową całości, ale poza tym jednym stanowiskiem hierarchia praktycznie nie istniała. Sama zresztą do tego celowo doprowadziła. W każdym razie być może opowie o wszystkim Brianowi. Później. Choć nie była pewna, jak wytłumaczy się z wchodzenia w układy z człowiekiem będącym - najprawdopodobniej - przestępcą. Ale teraz woląla zmienić temat.

- Brian? Ja doskonale rozumiem, że ty robisz sobie jaja, dokuczając biednej Olivii. Ale nie jestem pewna, czy ona też to rozumie.

- O, pewnie, że tak - odparł, uśmiechając się swoim szerokim, chłopcęcym, rozbrajającym uśmiechem i wkładając ręce w kieszenie dżinsów. - Tak sobie razem żartujemy

- Skoro tak mówisz - powiedziała Milla z powątpiewaniem.

- Minutę temu o mało nie zginałeś z jej ręki.

- Eee tam. To pacyfistka, ona nie stosuje przemocy
- Naprawdę chcesz się przekonać? Rób tak dalej, a masz szansę.
- Zaufaj mi - mrugnął Brian. - Co powiedziałaś pani Hatcher?

Wychodząc z biura, wyglądała jak człowiek szykujący się do wojny

- Przekonałam ją do założenia nowego konta w banku i do wizyty u prawnika.

- Dzięki Bogu! - odezwała się Joann. - Powinna była zrobić to od razu, gdy tylko przekonała się, że facet zabrał połowę pieniędzy.

- Wtedy jeszcze nie była w stanie. Musiała wyjść z pierwszego szoku, żeby w ogóle móc słuchać mądrych rad.

- Mam nadzieję, że gość pokornie wróci za parę miesięcy z podwiniętym ogonem i dowie się, że od dawna jest rozwiedziony

- parsknął Brian. - Kawał zasmańca.

- Amen - Milla westchnęła, ogarniając wzrokiem stertę papierów na biurku. - Umówiłam się na lunch z Susanną, chyba że coś tu wyskoczy. Jak tam sytuacja?

- Pod kontrolą. Z samego rana zmobilizowałam grupę w Vermont: szukali starszej pani z alzheimerem, która wyszła sobie z domu i ruszyła w niewiadomym kierunku. Znaleziono ją po godzinie. Są jeszcze studenci, którzy wybrali się na wycieczkę w Sierra Nevada i nie wrócili do domu w ustalonym czasie. Organizuję ludzi.

- Jak bardzo się spóźniają?

- Jeden dzień. Mieli wrócić wczoraj wieczorem, ale nie pojawili się. Rodziny nic nie wiedzą.

- Miejmy nadzieję, że wystarczy im rozsądku, by trzymać się razem.

I że żadnemu nic się nie stało. I że ktoś z nich pomyślał, by przed wyjazdem zdradzić trasę wycieczki rodzicom lub przyjacielom. Milla nigdy nie mogła zrozumieć, jak ludzie wybierający się na wyprawę w jakąś dziczą mogą nie powiedzieć nikomu, dokąd jadą.

Opowiedziała swoim ludziom o nowym sponsorze z Dallas, o obiecanych nowych komputerach. Potem usiadła przy biurku, aby przekopać się przez górę papierów.

Godzinę później do biura zajrzała Olivia, by o coś zapytać. Milla skorzystała z okazji:

- Jeśli zaczepki Briana zbytnio cię denerwują, daj znać. Poradzimy coś.

- Dam sobie z nim radę - uśmiechnęła się Olivia. - Nie, naprawdę nie ma o czym mówić. On myśli, że strasznie mnie wkurza to, co on bredzi... a ja bawię się jego kosztem. Kiedy wreszcie przestanie pajacować i dojrzyje do zaproszenia mnie na randkę, już ja nad nim popracuję. Szybko zapomni o głupotach.

Randkę? Milla spojrzała na Olivię ze zdziwieniem. O co tu chodzi?

- Przecież to były żołnierz - parsknęła. - Konserwatysta! Obrzydliwy macho!

- Młodszy ode mnie o dziesięć lat - odparła spokojnie Olivia, uśmiechając się szeroko. - Brzmi nieźle, co? Wątpię, żebyśmy spędzali czas, dyskutując o polityce. A jeśli nawet, to dam radę

pozostać przy swoich poglądach. Kto wie? Może nawet nawrócę go na właściwe tory myślenia?

Zszokowana Milla patrzyła, jak Olivia odchodzi, lekko kołysząc biodrami. Seksualna chemia była niesamowitą rzeczą. Musiała się wysilić, by wyobrazić sobie Briana i Olivię razem; w pewnym sensie pasowali do siebie: oboje byli tak silnymi osobowościami, że dominacja jednej strony była z definicji wykluczona. Cóż. To był ciekawy poranek.

Lunch z Susanną okazał się jak zwykle przyjemny. Susanna zawsze pytała o Poszukiwaczy. Od samego początku okazywała żywe zainteresowanie tą inicjatywą i od czasu do czasu pojawiała się na imprezach dobroczynnych połączonych ze zbieraniem funduszy. Nigdy nie wspominała tego strasznego dnia, w którym porwano Justina, ale zawsze pytała, jak idą poszukiwania. Milla opowiadała jej o nowych tropach i informacjach; niestety, najczęściej nie było o czym mówić. Tym razem było wprawdzie inaczej, ale zapytana wprost Milla pokręciła głową. Susanna bywała na ich imprezach charytatywnych, więc obracała się w tych samych kręgach co True Gallagher. Milla nie chciała, by jej przyjaciółka wypytywała czy nagabywała biznesmena. Prośbienie Susanny o dyskrecję mijało się z celem: ona powie Ripowi, Rip powie komuś jeszcze i zanim Milla się zorientuje, przejęty sprawą True Gallagher rozpęta piekło, a spłoszony Diaz zniknie. Nie mogła ryzykować, więc siedziała cicho.

Już prawie kończyły, gdy Susanna, mieszając łyżeczką sorbet z papai, spytała swobodnie:

- Spotykasz się z kimś?

Milla głośno się roześmiała. Plotki rozchodziły się szybko!

- Jeżeli masz na myśli True Gallaghera, to odpowiedź brzmi: „nie”.

- Oj, słyszałam coś innego - uśmiechnęła się lekko Susanna, w jej niebieskich oczach tańczyły figlarne chochliki,

- On spróbował, ja odmówiłam. To wszystko.

- Słyszałam, że w sobotę wieczorem odprowadzał cię do samochodu.

- Owszem. I tyle, nic więcej.

- Dajże spokój, czemu się z nim nie umówisz? Przecież to... - Susanna zawahała się, po czym dokończyła zmysłowo: - Prawdziwy mężczyzna. Przez duże „M”.

- Wiem. Poza tym jest sponsorem Poszukiwaczy

- Co znaczy, że...?

- Że nie narażę na ryzyko finansów organizacji. To nie byłoby w porządku, gdybym zaczęła spotykać się z naszym sponsorem.

- Nie składałaś ślubów czystości - zachnęła się Susanna.

- Nie. To mój prywatny wybór. Poszukiwacze są ważniejsi niż moje życie osobiste i moi ewentualni faceci. Zresztą to odnosi się do wszystkich facetów, nie tylko do donatorów organizacji.

- To dlatego w końcu z każdym zrywasz?

- Wiesz, właściwie to oni zrywają ze mną - uśmiechnęła się Milla. - A tak naprawdę było ich tylko dwóch od czasu mojego rozvodu z Davidem.

Susannie wyraźnie opadła szczęka.

- Dwóch? Przez ten cały czas spotykałaś się tylko z dwoma facetami?

- Tego nie powiedziałam. Były takie... przelotne, no wiesz, znajomości. Spotykałam się z paroma facetami, kiedy miałam czas i ochotę. Czyli w sumie rzadko. I już dawno nie. Ale miałam tylko dwa takie niby-związki. Pamiętasz Clinta Tidemorea?

- Słabo. Spotkałaś się z nim raz czy dwa.

- Więcej. To właśnie był mój niby-związek.

- Miły gość.

- Och, pewnie. Chciał być ze mną częściej, niż ja mogłam sobie na to pozwolić. A ponieważ nie chciałam ustąpić, nasze drogi w końcu się rozeszły.

- Nic nie mówiłaś! A ja myślałam, że to jedna, niezobowiązująca randka.

- Nie było o czym opowiadać. Stare dzieje. Nie zgodziłam się na żaden kompromis i skończyło się.

- To źle - orzekła poważnie Susanna. - Wcześniej czy później będziesz musiała pójść na jakiś kompromis. Wszyscy muszą. To jedyny sposób, by jakoś sensownie żyć.

- Może kiedyś - odparła Milla. Kiedyś, gdy już znajdzie Justina i diabeł przestanie smagać ją ognistym biczem po piętach. Do tego czasu nie wolno jej spocząć ani zająć się poważnie czymkolwiek innym.

- Lepiej prędej niż później - poradziła Susanna, patrząc na zegarek. - Och, muszę lecieć. Mam pacjentkę umówioną na drugą.

Kobiety wstały i uściśniły się serdecznie. Susanna wybiegła z knajpki z myślami już zaprzątniętymi pracą. Milla zostawiła na stoliku napiwek, o którym zapomniała jej przyjaciółka, a potem musiała jeszcze poczekać parę chwil w kolejce do kasy; kiedy wreszcie wyszła z kafejki, czerwony mercedes Susanny zniknął już na końcu ulicy Milla przeszła na drugą stronę, gdzie zaparkowała swoją toyotę SUV Nie patrzyła przed siebie, zajęta szukaniem kluczyków w torebce. Zazwyczaj trzymała je w kieszeni, ale dziś miała na sobie obcisłą spódniczkę bez kieszonek.

Oto znalazły się kluczyki. Była już prawie przy toyocie, gdy wreszcie je wygrzebała. Uniosła głowę i o mało nie krzyknęła ze strachu: niemal wpadła na mężczyznę, który pojawił się znikąd i stał teraz pomiędzy nią a samochodem.

- Czekałem - powiedział Diaz.

- Nie powinno się chodzić tak beztrosko po ulicy, w ogóle nie patrząc przed siebie. Nie wiedziałaś? - mówił, patrząc ciemnymi oczyma spod runda kapelusza. - I zawsze trzymaj już kluczyki w ręce, gdy wychodzisz z budynku.

Dobrze, że miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Przynajmniej nie widział, jak ze strachu wytrzeszczyła oczy. Serce wciąż jej waliło, czuła na plecach zimny pot. Musiała się opanować! Nie reagować stanem przedzawałowym na każdy ruch tego faceta:

Nie mógł tego nie zauważyć. Świadczyło o tym drgnięcie kącika ust mężczyzny; nie można było nazwać tego uśmiechem, ale kto wie, może u Diaza to było właśnie to.

- Zazwyczaj tak robię - tłumaczyła się nieskładnie, usiłując trafić kluczykiem do dziurki. Ręka zbyt jej drżała i musiała spróbować ponownie. Obiecała sobie w duchu, że jej następny samochód będzie miał zdalnie otwierany zamek. Taki na pilota.

- Joann wspominała, że dzwoniłeś - rzuciła, otwierając wreszcie drzwi.

- Ta - mruknął, sięgając do środka i naciskając guzik centralnego zamka, by otworzyć pozostałe drzwi. Potem obszedł samochód i wsiadł na miejsce pasażera.

Najwyraźniej mieli jechać razem. A może nie chciał rozmawiać na ulicy Milla wzięła głęboki oddech, usiadła za kółkiem i uruchomiła

silnik. Potem włączyła klimatyzację i uchyliła okna, by wypuścić gorące powietrze z nagrzanego samochodu.

Diaz zdjął kapelusz, wsiadając do auta po czym odwrócił się, ciskając ciemnobrązowego stetsona na tylne siedzenie. Zapiął pasy.

Widok mordercy zapinającego pasy w samochodzie tak zaskoczył Millę, że przez dobrą chwilę nie skojarzyła faktów. Dopiero po dłuższym czasie zamrugła, uświadamiając sobie, że skoro zapiął pasy, to pewnie chce się przejechać.

Rzuciła torebkę do tyłu i zapięła własny pas.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, na wypadek gdyby Diaz miał jakieś specjalne życzenia.

- Ty prowadzisz - wzruszył ramionami.

- Miałam zamiar wracać do biura.

- W porządku.

- Gdzie twój wóz?

- W bezpiecznym miejscu. Powiem ci, gdzie mnie wysadzić.

Kiwnęła głową, sprawdziła lusterka, a po dostrzeżeniu luki

w sznurze samochodów włączyła się do ruchu. Powietrze z nawiewu było już chłodne, więc zamknęła okna, odcinając ich od zgiełku ulicy. Nigdy dotychczas nie myślała o tym, jak mało miejsca jest we wnętrzu samochodu. I choć Diaz był prawdopodobnie najcichszym i najspokojniejszym - przynajmniej pod względem ekspresji ruchów - człowiekiem, jakiego spotkała, to miał jakiś patent na wypełnianie przestrzeni i zawłaszczanie jej dla siebie. Czuła się

przytłoczona jego obecnością, choć mężczyzna nie robił nic, tylko siedział.

- Czemu dzwoniłeś? - spytała wreszcie, nie doczekawszy się zagajenia rozmowy

- Pavona nie ma w jego stałej okolicy Zaszyl się gdzieś. Milla znów poczuła gorzki ból rozczarowania. Zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Już zdążyłeś się tego dowiedzieć?

- Tak. Ale nie martw się, w końcu wypłynie. Wspominałaś komuś o mnie?

Diaz patrzył w boczne lusterko, obserwując samochody jadące za nimi. Nie robił tego ostentacyjnie, ale Milla zauważyła, że nieustannie się pilnuje i nie pozwala ani na chwilę rozluźnienia. Nawet tutaj.

- Nie i prosiłam Joann, by też nikomu nie mówiła.

- Ufasz jej?

- Bardziej niż większości ludzi.

Chwilę po wymówieniu tych słów Milla uświadomiła sobie, że chciała powiedzieć „absolutnie”, ale Diaz nie wierzył w coś takiego. Dla niego ludzie byli mniej lub bardziej godni zaufania, ale nigdy nie ufał nikomu do końca. I miał rację, przyznała. Ona wprawdzie wierzyła w dobre intencje Joann, ale kto wie, co mogło się jej przypadkiem wyrwać podczas rozmowy

Diaz obserwował samochody, a Milla Diaza, na ile mogła to zrobić, prowadząc. Był schludnym mężczyzną: świeże ubranie, krótkie

i czyste paznokcie. Dziś miał na sobie ciemnobrązowe dżinsy i koszulkę, która kiedyś była beżowa, ale wielokrotnemu praniu zawdzięczała obecny, jasnokremowy kolor. Diaz nosił na nadgarstku zegarek, jedno z tych małych cudeniek techniki z tysiącem funkcji. Poza tym nie miał żadnej widocznej biżuterii. Jego silne, szczupłe ręce oplecione siecią żył spoczywały bez ruchu na udach.

Wyglądał na opanowanego, może nieco ponurego twardziela. Jego szczękę wciąż pokrywał zarost, usta były zaciśnięte tak, jakby ich właściciela nic nie cieszyło w życiu. Może i nie spotkało go nic radosnego, pomyślała Milla. Radość pochodzi od ludzi: ze związków, znajomości i przyjaźni, które wiążą ludzi ze sobą, a Diaz był przecież zadeklarowanym samotnikiem. Siedział obok niej, ale czuła, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Dowiedziałeś się, kto dzwonił do mnie tamtego piątkowego popołudnia? - spytała Milla, gdy cisza zaczęła się już robić nieprzyjemna.

- Nie. Ślepa uliczka, martwa cisza.

Czy on mówił dosłownie? Tajemniczy informator był martwy?

- W końcu go znajdę - dokończył mężczyzna, a Milla odetchnęła z ulgą.

Zadzwoiła jej komórka; Diaz rozejrzał się, zlokalizował torebkę leżącą z tyłu i podał ją Milli.

- Dzięki - powiedziała, wyciągając telefon; na ekraniku widniał numer biura. - Halo?

- Mamy zaginięcie czteroletniego chłopca - odezwała się Debra Schmale bez zbędnych wstępów - Mieszka blisko parku stanowego. Wyszedł z domu co najmniej dwie godziny temu.

Debra podała jej adres chłopca.

- Odezwała się do nas miejscowa policja - kontynuowała. - Rodzina i sąsiedzi szukali dzieciaka sami przez dwie godziny, zanim zawiadomili gliniarzy. Ci od razu poprosili nas o pomoc. Mobilizuję ludzi. Większość załogi z biura już jedzie na miejsce.

- Spotkamy się pod domem chłopca - powiedziała Milla i się rozłączyła. Zmieniła pas ruchu i dodała gazu, aby zdążyć przejechać skrzyżowanie na zielonym świetle. Skreśliła w prawo, potem jeszcze raz: musiała zawrócić.

- Gdzie cię wysadzić? - spytała Diaza.

- Co się dzieje?

- Zaginął czteroletni chłopiec, w pobliżu Gór Franklina.

Temperatura utrzymywała się na poziomie powyżej trzydziestu pięciu stopni. Taki upał mógł być zabójczy dla dzieciaka, chyba że znalazł schronienie przed słońcem. Z drugiej strony, jeśli znalazł takie schronienie, to będzie jeszcze trudniej go odszukać.

- Pojadę z tobą - powiedział Diaz. - Znam teren.

Tego się nie spodziewała. Sam pakował się w miejsce, gdzie będą tłumy ludzi. Zawsze myślała, że ten facet za wszelką cenę stara się być niezauważony.

- Jak masz na imię? - spytała. - Jeśli chcesz pozostać incognito, to nie mogę mówić do ciebie „Diaz”.

Miał tę swoją manierę niespiesznego odpowiadania na pytanie. Zawsze odczekiwał sekundę lub dwie, jakby rozważając, smakując samo pytanie wraz z wszystkimi możliwymi odpowiedziami.

- James - powiedział wreszcie.

Milla dodała gazu, wyprzedzając jakiś sportowy samochód.

- To twoje prawdziwe imię?

- Tak.

Może tak, może nie. Ale to nie robiło specjalnej różnicy. Dobrze, że to policja po nich zadzwoniła. W takich sprawach Poszukiwacze zwykle działali pod komendą policji lub miejscowego szeryfa, zależnie od tego, kto pierwszy przyjmował zgłoszenie. Poszukiwania zawsze udawały się lepiej, jeśli były dobrze zorganizowane; tłum spanikowanych ludzi rozchodzących się we wszystkie strony równie dobrze mógł sam się pogubić. Zazwyczaj miasta i hrabstwa miały własne wyspecjalizowane ekipy do odnajdywania zaginionych, ale czasem - gdy brakowało ludzi i czasu - prosiły o pomoc Poszukiwaczy. Oni wiedzieli, jak szukać, byli zdyscyplinowani i umieli trzymać się mapy.

Ulica, na której mieszkało dziecko, roiła się od samochodów, służbowych i prywatnych. Ludzie chodzili po ulicy, głośno wołając chłopca po imieniu. Spora grupa zgromadziła się przed domem. Milla zobaczyła półprzytomną z rozpaczyny młodą dziewczynę wypłakującą się na ramieniu starszej kobiety.

Poczuła, jak ściska jej się żołądek. Ona też tak kiedyś wyglądała. Za każdym razem, gdy widziała zrozpaczoną matkę - i za każdym

razem, gdy zwracali rodzinie odnalezione dziecko - przed oczyma Milli stawał targ w Chihuahua, a w uszach słyszała płacz swojego synka.

Znalazła miejsce, by zaparkować, wyskoczyła z samochodu i wyjęła z niego swój podręczny zestaw awaryjny; Poszukiwacze zawsze nosili ze sobą odzież na zmianę, bo nigdy nie wiedzieli, kiedy nadejdzie wezwanie i co będą mieć wtedy na sobie. Milla wsiadła na tylne siedzenie i pospiesznie ściągnęła spódniczkę, po czym włożyła luźne spodnie bojówki, skarpety i adidasy. Kiedy się przebierała, Diaz był na zewnątrz: oparty plecami o samochód, osłaniał ją przed wzrokiem ciekawskich.

Jeszcze bejsbolówka, okulary przeciwsłoneczne i kilka rzeczy do kieszeni: krótkofalówka (każdy Poszukiwacz miał taką), gwizdek, butelka wody, gaza i paczka gumy do żucia. Gwizdek miał pomóc w oznajmieniu innym swojej pozycji, gdyby zawiodło radio; reszta była dla szukanego dziecka. Może nic mu nie będzie, kiedy je znajdą - nigdy nie pozwalała sobie na myślenie, że jednak mogą nie znaleźć poszukiwanego - ale na pewno będzie potrzebowało wody i chętnie przyjmie słodką gumę do żucia.

Jej grupa dostrzegła toyotę SUV i właśnie nadchodziła. Prowadził Brian. Chociaż on też miał ciemne okulary, Milla czuła, jak uwaga jej młodego współpracownika skupia się na Diazie.

Wyśliznęła się z samochodu, zamknęła drzwi i wrzuciła kluczyki do kieszeni.

- To jest James - powiedziała, zanim Brian zdążył zadać pytanie.
- Pomoże nam w akcji. Kto dowodzi?

- Baxter - odparł Brian.

- To dobrze. - Porucznik Phillip Baxter był weteranem poszukiwań, spokojnym i sumiennym człowiekiem, na którego zdrowy rozsądek zawsze mogli liczyć.

- Jak ma na imię dzieciak? - słyszała, że ludzie wołają „Mac” lub „Mike”, więc wolała się upewnić.

- Max. Ogólnie zdrowy chłopak, choć dziś nie poszedł do przedszkola ze względu na zapalenie ucha i stan podgorączkowy. Matka mówi, że dziecko drzemało, a ona robiła pranie. Kiedy poszła sprawdzić, co u niego, chłopca nie było.

Cóż, było to typowe dziecięce zachowanie: wyjść sobie na zewnątrz, pójść się bawić, nie mówiąc nic nikomu. Milla szukała kiedyś pewnego rezolutnego dzieciaka, który czekał, aż rodzice zamkną drzwi na zasuwkę, po czym przysuwał krzesło, wdrapywał się na nie i jeszcze pomagał sobie samochodzikiem zabawką, aby dosięgnąć zamka. Rodzice poznali tę taktykę, gdy malec, odnaleziony na zewnątrz - i tym razem uważniej pilnowany - podjął kolejną, identyczną próbę wydostania się z domu. Dzieci były szalenie zmyślne i zupełnie nieświadome potencjalnych niebezpieczeństw.

Martwiło ją, że mały Max jest chory. Gorączka uczyni go jeszcze wrażliwszym na zabójczy upał. Musieli go znaleźć jak najszybciej; ona sama stała w tym słońcu dopiero od minuty, a już spływała potem.

Poszli wspólnie w pobliże domu Maksa i zameldowali się Baxterowi, który koordynował działania tak, by żaden skrawek terenu nie pozostał nieprzeszukany. Ludzie Baxtera, pewni siebie zawodowcy, dowodzili poszukiwaniami w poszczególnych sektorach.

- Milla! - ukłonił się jej lekko Baxter, gdy się zbliżyli. - Cieszę się, że wasza grupa dotarła. Czekali tak długo z telefonem do nas, że dzieciak mógł odejść już spory kawałek od domu. Wcześniej Max podobno chciał iść do babci, ale matka nie zgodziła się, bo był chory. Chłopiec bardzo się zezłościł.

- Gdzie mieszka babcia?

- Kilka kilometrów stąd. Według matki dzieciak zna drogę, dlatego koncentrujemy nasze wysiłki na tym właśnie odcinku.

- Którymi drzwiami wyszedł? - spytał Diaz trzymający się za plecami Milli.

Zaskoczyło ją to, że sam zwrócił na siebie uwagę; najwyraźniej nie obawiał się rozpoznania przez gliniarzy z El Paso. Poniekąd było to uspokajające: przynajmniej nie był ścigany po tej stronie granicy Baxter zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Z tyłu domu - wskazał ręką. - Chodźmy, pokażę wam. Milla była pewna, że policjant zbadał już tamto miejsce, ale skoro chciał im je pokazać, to czemu nie miałyby skorzystać. Obeszli dom dookoła.

Podwórko z tyłu domu było schludne, czyste, otoczone siatką. Stała tam huśtawka i mała zjeżdżalnia, wokół której walało się kilka zabawkowych ciężarówek. Najwyraźniej chłopiec spędzał tu sporo

czasu, pracowicie przewożąc piasek z jednego miejsca w drugie. Pod samą siatką stał trójkołowy rowerek.

- Prawdopodobnie wspiął się na rowerek i w ten sposób przeszedł nad siatką - powiedział Baxter. - Nie widzę innej możliwości.

Diaz lekko kiwnął głową, uważnie lustrując otoczenie swoim zimnym wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, co mogło przyciągnąć uwagę dziecka.

- Może pies - mruknął, jakby do siebie. - Szczeniak albo jakiś kociak. Miejmy nadzieję, że nie kojot.

Strach ścisnął Millę za gardło. Oby tylko nie był to żaden drapieżnik - człowiek czy zwierzę - który wywabił chłopca z bezpiecznego podwórka.

- Sądzi pan, że nie poszedł do babci? - zapytał Baxter.

- Mógł pójść. Ale równie dobrze mógł pobiec za pieskiem lub kotkiem. Wie pan, jakie są dzieci.

- No tak - odparł strapiiony policjant.

Diaz podszedł do opartego o płot rowerka i kucnął, by uważnie przyjrzeć się ziemi wokół. Potem uniósł głowę i dokładnie rozejrzał się po otoczeniu. Poszukiwacze też często tak robili: próbowali obejrzeć okolicę z poziomego wzroku dziecka; w ten sposób można było dostrzec coś, co przeoczyłby patrzący z góry wysoki, dorosły człowiek. Tajną kryjówkę albo kamień o fascynującym kształcie.

- Kręciła się tu masa ludzi - powiedział Diaz, zwracając uwagę na zdeptanie wszystkich śladów. - Ma pan psa tropiącego?

- Będzie tu za godzinę - trzeba było przyznać Baxterowi, że nie lekceważył Diaza i nie zbywał jego pytań. Ale policjant nie czuł, że musi cokolwiek udowadniać, jego celem było odnalezienie dziecka, nic więcej. Jeśli ten nieznajomy facet mógł mu pomóc, tym lepiej.

Diaz chrząknął. Chłopiec zniknął dwie godziny temu. Kolejna godzina na sprowadzenie wyszkolonego psa, naprowadzenie go na właściwy zapach, chwycenie tropu... W sumie minimum cztery godziny Dla chorego dziecka w upale, bez wody - to bardzo dużo.

Baxter rzucił okiem na swoje notatki.

- No dobrze, Millo, zorganizujemy twoich ludzi.

Joann podała mu listę nazwisk, którą dołączył do trzymanyh w ręku papierów. Potem wywoływał ludzi dwójkami, odhaczał na kartce i dawał szczegółowe instrukcje.

- Wy dwoje: kierujcie się prosto na góry - powiedział do Diaza i Milli. - Pan wygląda mi na dobrego tropiciela, a Milla ma prawdziwy szósty zmysł do szukania dzieci. Może chłopiec rzeczywiście pobiegł za jakimś psem.

Podał wszystkim rysopis Maksa: czarne włosy, piwne oczy, biała koszulka Blues Clues, džinsy, sandały. Potem wysłał ich w drogę.

Oboje szybko i bez słowa ustalili równe tempo, idąc głównie po łąsych trawnikach i alejkach, czasem kucając i kładąc się na ziemi, by zaglądać pod samochody, krzaki, zarośla - wszelkie miejsca, gdzie mógł schować się chłopiec. Co kilka metrów Milla wołała głośno Maksa po imieniu, po czym zatrzymywała się na chwilę, nasłuchując.

Ostry kamień wbił jej się w kolano, a kawałek szkła zaciął dłoń. Zignorowała to tak samo jak upał i gorąco. Skoncentrowała się na szukaniu, wołaniu i nasłuchiwaniu. Nie pamiętała, która to już jej akcja poszukiwawcza, ale za każdym razem przejmowała się i spieszyła dokładnie tak samo. Czyli bardzo.

Odeszli już od domu na prawie kilometr, gdy Diaz znalazł ślad dziecka w pyłe drogi. Nie mieli pojęcia, czy zostawił go Max, ale to było już coś. Milla kucnęła obok mężczyzny i obejrzała ślad. Mogła go odcisnąć stopa czterolatka, nie było też widać żadnych linii ani wzoru: podeszwa buta była najwyraźniej gładka.

- Krwawisz - powiedział nagle Diaz.

- Och, to tylko płytkie zacięcie - Milla przelotnie rzuciła okiem na rękę. - Zajmę się tym, gdy wrócimy.

- Zajmij się teraz. Zabandażuj rękę. Nie powinnaś zostawiać zapachu swojej krwi na tym tropie.

O tym nie pomyślała. Zatrzymała się i wyjęła rolkę gazy z kieszeni. Całkiem sprawnie owinęła sobie dłoń, ale jedną ręką nie mogła odciąć i zawiązać bandaża. Diaz dobył z buta naprawdę paskudny nóż, odciął gazę, potem rozerwał koniec na dwie długie wstęgi, którymi obwiązał jej dłoń, kończąc opatrunek solidnym węzłem.

- Dzięki - powiedziała Milla, rozglądając się wokół. - Widziałeś ślady kojotów?

- Nie.

Dobre i to. Kojoty atakowały niewielkie stworzenia: od szczurów po małe dzieci.

Znów przypadli do ziemi, uważnie oglądając okolice śladu.

- Max! - zawołała Milla. - Max! Odpowiedziała jej cisza.

Od gorąca zaczynało już ją mdlić; łyknęła odrobinę wody, a potem podała butelkę Diazowi, który także skorzystał. Skoro Milla była tak wypompowana, mając za sobą jedynie pół godziny w tym słońcu, to jak musiał czuć się mały Max po trzech godzinach? Jeżeli jest gdzieś w pobliżu, powinien usłyszeć ich wołanie.

Nagle wpadł jej do głowy pomysł i sięgnęła po walkie-talkie.

- Tu Milla. Jakie jest pełne imię i nazwisko Maksa? Po dłuższej chwili radio zaskrzeczało:

- Max Rodriguez Galarza.

Włożyła krótkofalówkę z powrotem do kieszeni, oparła ręce na biodrach, wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie własną matkę.

- Maksie Rodriguezie Galarzo! - zawołała najsurowszym głosem, na jaki było ją stać. - Proszę natychmiast stamtąd wyjść!

- Ma... Mama? Mama!

Głos był cichy, ale wyraźny. Millę przeszedł dreszcz: taktyka zadziałała! Z ulgą odwróciła się do Diaza, uśmiechnięta szeroko.

- Mamy go! - pisnęła radośnie, po czym zawołała: - Max! Gdzie się chowasz, młody człowieku?

- Tutaj - odpowiedział słaby głos.

Super. Bardzo mądrze, pomyślała. Diaz nagle pobiegł przez podwórko leżące przed nimi.

- Proszę natychmiast wyłazić! - zawołała, by dzieciak coś odpowiedział. Najwyraźniej reagował na zdecydowane polecenia.

- Nie mogę! Zaczepiłem!

Dwa domy dalej zaparkowano półciężarówkę; Diaz już zaglądał pod spód.

- Tutaj jest - oznajmił. - Zahaczył o coś spodenkami.

Milla złapała za radio, aby przekazać dobre wiadomości. Diaz w tym czasie, leżąc na plecach, wsunął się pod samochód. Milla podbiegła i przyklękła obok, patrząc, jak mężczyzna nożem odcina szlufkę małych dziecięcych džinsów zaczepioną o jakiś element podwozia. Strach pomyśleć, co stałoby się, gdyby nadszedł niczego nieświadomy kierowca. Max mógłby zginąć; a jeśli prowadzący półciężarówkę włączyłby sobie jeszcze radio, to nawet nie usłyszałby krzyków dziecka.

- Mam cię - powiedział Diaz, chwytając pewnie chłopca jedną ręką, a drugą chowając nóż do buta. Potem wyszedł spod auta wraz z dzieckiem.

- Nie będę rozmawiał - powiedział poważnie Max, spocony, blady, z podkrążonymi oczami. - Jesteście nieznajomi.

- Właśnie tak jest - powiedziała Milla, kucając obok niego i wyjmując butelkę z wodą. - Chce ci się pić? Nie musisz rozmawiać, wystarczy, że kiwniesz głową.

Kiwnął. Wielkie brązowe oczy patrzyły nieufnie. Kobieta odkręciła butelkę i podała chłopcu.

- Proszę, pij.

Chwycił butelkę obiema dłońmi: jeszcze trochę pulchnymi jak u bobasa, ale zmieniającymi się już powoli w ręce dużego chłopca. Pił zachłannie wodę, aż ściekała mu na koszulkę. Kiedy wyłopał już połowę, Diaz delikatnie go powstrzymał.

- Powoli, chiquis. Pochorujesz się, jeśli wypijesz za dużo zbyt szybko.

- Co to znaczy? - spytał Max, patrząc na niego.

- Chiquis? - upewnił się Diaz. chłopiec kiwnął głową. - Smark. Chłopiec zachichotał, a potem zakrył sobie rączką usta.

- Rozmawiałem - powiedział.

- No trudno, musisz teraz powiedzieć o tym mamie - nachylił się nad nim Diaz i podniósł Maksa z ziemi. - No, chodźmy teraz do niej. Przecież mama cię szuka.

- Chciałem złapać kotka - powiedział chłopiec, obejmując szyję mężczyzny. - Uciekł mi pod samochód, ja za nim, no i wtedy zaczepiłem.

- Zdarza się i najlepszym.

- Pan nie zaczepił.

- O, prawie.

Milla słuchała tej wesołej pogawędki i dziwiła się swobodnym odpowiedziom Diaza. Najwyraźniej nie był aż takim samotnikiem, jak jej się zdawało. Musiał mieć kiedyś kontakt z dziećmi: wiedział, jak z nimi rozmawiać, podniósł Maksa tak pewnie, jakby robił to setki razy. Dzieciak nie bał się go. Nie znała Diaza z tej strony i bardzo ją to zaintrygowało.

Mniej więcej w połowie drogi powrotnej spotkali Baxtera z jego ludźmi. Była też matka Maksa - z krzykiem rzuciła się ku nim, zobaczywszy dziecko.

- Mamo! - zawołał radośnie chłopiec. - Zaczepiłem! Kobieta porwała dziecko z rąk Diaza, zasypując pocałunkami twarz i głowę małego Maksa. Jednocześnie płakała, śmiała się i besztiała chłopca, który w tym samym czasie starał się jak najszybciej opowiedzieć jej wszystko o kotku, o samochodzie, o wielkim nożu, którym pan odciął mu szlufkę od spodni, i o tym, że przeprasza, bo rozmawiał z nieznajomymi.

Lekarz zabrał Maksa na bok, aby go zbadać, ale ponieważ dziecko siedziało w cieniu, pod samochodem, udało mu się uniknąć promieni słonecznych i najgorszego upału. Milla, podobnie jak reszta szukających, marzyła za to o zimnej wodzie i klimatyzowanym wnętrzu.

Wrócili do punktu zbornego. Wszyscy karnie odmeldowywali się, po czym znikali w swoich autach i półciężarówkach. Milla już kierowała się w stronę własnej toyoty, gdy zatrzymał ją reporter lokalnej telewizji. Szefowa Poszukiwaczy tradycyjnie życzyła wszystkiego dobrego rodzinie odnalezonego chłopca, pochwaliła miejscową policję, wtrąciła trochę o samych Poszukiwaczach, po czym szybko opowiedziała całą historię zaginięcia i odnalezienia małego Maksa. Zauważyła, że Diaz gdzieś zniknął; nie wspomniała o nim. Występ w telewizji był zapewne ostatnią rzeczą, o której marzył.

Gdy reporter już sobie poszedł, Milla wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Czekwała, zastanawiając się, czy Diaz wróci. Wrócił. Otworzył drzwi i usiadł obok niej. Zapięli pasy, Milla wycofała samochód i ruszyła.

Minęło kilka minut, nim się odezwał.

- Tobie nie było to dane - powiedział.

Od razu zrozumiała, o czym mówi. O tę wyjątkową chwilę, gdy nieopisana radość rozpromieniła twarz matki Maksa trzymającej w ramionach swoje dziecko całe i zdrowe.

- Nie - odparła ze ściśniętym gardłem. - Gdy ja ostatni raz widziałam swego synka, on płakał. Spał sobie spokojnie tuż przy piersi, aż nagle brutalnie go ode mnie oderwano. Straszliwie krzyczał.

Wciąż widziała tę małą twarzyczkę wykrzywioną przerażeniem i bólem. Zacisnęła zęby, starając się nie rozplakać.

- Rozumiem, dlaczego to robisz - odezwał się Diaz po dłuższej chwili. - To było... coś dobrego.

- Najlepszego - szepnęła.

- Nie sądzę, byś kiedykolwiek odnalazła synka - powiedział obojętnie. - Ale zabiję dla ciebie Pavona.

- 10 -

- Nie! - wrzasnęła głośno, aż zadygotały jej ręce na kierownicy - Jeszcze nie!

Po chwili, przerażona i roztrzęsiona własną reakcją, zjechała na bok. Bała się prowadzić.

- O Boże - szepnęła.

- Nie chcesz jego śmierci? - zapytał Diaz tonem tak doskonale obojętnym i beztroskim, jakby chodziło o wybór „frytki czy ziemniaki”.

- Tak! - głos Milli brzmiał ostro, agresywnie. - Chcę jego śmierci. Chciałabym go zabić. Wydłubać mu drugie oko i wypruć nerkę. Chciałabym zgnoić go tak bardzo, by sam błagał o śmierć. Ale nie mogę. Muszę się przekonać, ile on wie o moim dziecku. A potem... nie obchodzi mnie jego los.

Odczekał tę swoją tradycyjną długą chwilę.

- Nerkę? - zapytał wreszcie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, kompletnie, zbita z tropu. Z jej całej tyrady Diaz wyłuskał jedyny detal niepasujący do reszty. Od chwili przebudzenia w klinice, od tamtego straszego dnia jej całe życie skupiło się na jednym celu: odnalezieniu Justina. Nie pozwalała sobie na rozpraszenie się: zacisnęła zęby i ekspresowo przebrnęła przez rehabilitację. Odstawiła całe życie prywatne na bok, bo nikt nie liczył się dla niej tak bardzo jak syn. Nie roztkliwiała się nad sobą, nad własnym pokiereszowanym ciałem. Aż do tej chwili nie

zdawała sobie sprawy, jak bardzo wściekła była na bandytę również za to, co zrobił jej: za ból, cierpienie i traumę.

Patrzyła tępo przed siebie.

- Mówiłam ci, że pchnięto mnie nożem. Straciłam nerkę.

- Całe szczęście, że miałaś drugą.

- Byłam przywiązana do obydwu - syknęła. Wciąż pamiętała paroksyzmy bólu, straszliwe drgawki, które trzęsły jej bezwładnym ciałem wtedy, na targu, w rosnącej kałuży krwi. Z jedną nerką radziła sobie świetnie, oczywiście. Ale co będzie, jeśli ta nerka kiedyś wysiądzie?

Odetchnęła głęboko i zmusiła się, by wrócić do właściwego tematu rozmowy.

- Nie zabijaj go - powiedziała. - Proszę. Muszę z nim porozmawiać.

- Twój wybór - wzruszył ramionami Diaz. - Jeżeli nie będzie się wpierdalał w moje sprawy, zostawię go w spokoju.

Milla nie była pruderyjna, ale usłyszawszy przekleństwo, poczuła się nieswojo. Dla niej to słowo miało wciąż jednoznacznie seksualną proweniencję, choć dziś używano go powszechnie jako przymiotnika, czasownika i przecinka. Jej kontakty z Diazem były już wystarczająco ryzykowne, jakieś seksualne dwuznaczności mogły tylko dolać oliwy do ognia. Ciekawe, Olivia mogła użyć tego słowa i wtedy brzmiało ono w uszach Milli nawet zabawnie. Ale usłyszane z ust Diaza przyprawiało ją o nieprzyjemne dreszcze.

Włączyła się z powrotem do ruchu, koncentrując się na prowadzeniu. Wolała nie myśleć o niczym innym. Zapadła cisza i Milla pozwoliła jej trwać; mijały kolejne minuty. Czasem nawet niezręczna cisza jest lepsza od słów.

- Nie śledź go na własną rękę - powiedział wreszcie Diaz, rozglądając się wokół. - Choćby nie wiem co się działo, nie rób niczego sama. Choćbyś usłyszała, że facet siedzi samotnie pod twoim biurem, a ze mną nie byłoby kontaktu od tygodnia. Nie rób niczego sama.

- Nigdy nie robię - odparła zaskoczona. - Kiedy wyjeżdżam na poszukiwania, zawsze jadę z kimś. Ale jeśli Pavón naprawdę rozsiądzie się pod moim biurem, nie mogę niczego obiecać.

- W Guadalupe byłaś sama.

- Nie. Był jeszcze Brian, i dobrze o tym wiesz.

- Siedział po drugiej stronie cmentarza. Nie miał bladego pojęcia, że ja się tam kręcę. Mogłem skrócić ci kark, a Brian nawet by tego nie zauważył.

Cieężko było polemizować z faktami. Zresztą ona też nie wiedziała, że Diaz kręci się po cmentarzu. Ale teraz nie mówił jej w istocie nic nowego.

- Jestem na tyle ostrożna, na ile się da - powiedziała. - Wiem, na co mnie stać, a na co nie. Znam granice.

- Znaleziono kolejną z zaginionych kobiet w Juarez. Właściwie tylko jej ciało. Studentka ze Stanów, niejaka Paige Sisk. Siedziała ze

swoim chłopakiem w Chihuahua, pewnego wieczoru wyszła do toalety i już nie wróciła.

W Juarez grasował seryjny morderca. Gazety rozpisywały się o tym od dawna. FBI współpracowało z lokalnymi organami ścigania: był to chyba pierwszy przypadek kiedy władze meksykańskie zwróciły się pomoc do Federalnych. Śledztwo wykazało podobno, że wszystkie przypadki były niepowiązanymi ze sobą morderstwami. Ciekawe. Od roku 1993 odnaleziono wiele ciał zaginionych kobiet. Ale kryminolodzy byli zgodni: to nie robota jednego seryjnego mordercy, było ich co najmniej dwóch, może więcej. A w Juarez było z czego wybierać.

Ostatecznie aresztowano dwóch kierowców autobusów i morderstwa ustały. Teraz Diaz mówił, że krwawa seria wciąż trwa.

- Zginęła tak jak poprzednie? - spytała Milla.

- Nie. Została dosłownie wypatroszona.

- O Boże - zrobiło się jej niedobrze.

- Taaa. Właśnie. Rób, co ci radzę, i trzymaj się na razie z dala od Meksyku. Ja się tym zajmę.

- Jasne - mruknęła i to musiało mu wystarczyć, bo nie zamierzała niczego obiecywać. Nie teraz, gdy informacje o Justinie były w zasięgu ręki. Nie zrobi nic głupiego, nie będzie też okłamywać Diaza, ale jeśli nadarzy się okazja, ona nie omieszka z niej skorzystać.

- Będzie padać - powiedział mężczyzna, płynnie zmieniając temat; patrzył na zabarwione purpurą chmury wychylające się zza horyzontu na zachodzie.

- To dobrze. Może upał zelżeje.

Gorąco było zabójcze dla starszych ludzi, a wszystkich pozostałych doprowadzało do szału. W El Paso latem zawsze było potwornie gorąco, ale nigdy aż tak.

- Może - mruknął. - Wysadź mnie tutaj.

- Tutaj? - przejeżdżali właśnie przez zakorkowane skrzyżowanie.

- Tak.

Nadepnęła hamulec i jednocześnie wrzuciła prawy kierunkowskaz, wepchnęła się na prawy pas i podjechała do krawężnika. Otrąbiono ją solidnie, ale nawet nie spojrzała na zirytowanych kierowców. Diaz odpiął pas, wysiadł z samochodu i odszedł bez słowa. Żadnego „do widzenia”, żadnej zapowiedzi kontaktu. Milla patrzyła, jak idzie, zafascynowana jakąś delikatną kocią miękkością ruchów mężczyzny. Tak jakby miał sprężyny w nogach. Zniknął za ciężarówką i... już się nie pojawił. Zaczekała chwilę, ale Diaz zniknął. W jakiś sposób się schował, używając ciężarówki, innych samochodów, znaków drogowych. Już go nie zobaczyła. Może ukrył się w studziencie ściekowej? Albo wczułgał pod ciężarówkę i chwycił podwozia od dołu? Albo...

Nie miała pojęcia, jak Diaz zniknął, ale byłoby miło, gdyby przestał to robić.

*

**

Diaz wrócił do miejsca, gdzie zaparkował swoją brudną niebieską półciężarówkę. W tym samochodzie nie było absolutnie nic

godnego uwagi, no, może poza idealnym stanem technicznym. Wóz nie był piękny, ale jeździł. Diaza było stać na nowszy model, ale nie widział żadnego powodu, by rozstawać się z obecnym autem.

Pasowało mu i nie przyciągało uwagi.

Przez większość swego życia nie zwracał na siebie uwagi. Instynktownie potrafił wybrać najlepszy kamuflaż, a jeśli już ktoś go zauważył, to dlatego, że Diaz sam sobie tego życzył. Był cichym dzieckiem, typem odludka, do tego stopnia, że matka prowadziła go na wszelkie możliwe badania psychologiczne. Jednak nie wykryto u niego autyzmu, niedorozwoju umysłowego ani żadnej innej przypadłości, która mogłaby powodować, że chłopiec tylko siedział i patrzył na ludzi, bardzo rzadko włączając się do rozmowy czy do zabawy. Wiedział, że matka bardzo się martwi, a później, że sama czuje się niepewnie w obecności syna. Nawet to nie zmieniło ani na jotę jego zachowania.

Obserwował ludzi. Patrzył, jak ich twarze i ciała zadają kłam wypowiedzanym słowom. Nie był wcale bierny, jak sądziła matka. Kiedy nie patrzyła lub spała, on buszował po domu, po podwórku, po okolicy. Najlepiej czuł się w nocy, jak drapieżniki. Od czasu, gdy jako berbecz zdołał sam dosięgnąć klamki, wymykał się nocami na zewnątrz i zwiedzał świat. Wolał zwierzęta od ludzi. One były szczerze. Uczciwe. Żadne zwierzę, nawet wąż, nie umiało kłamać. Ich mowa ciała wyrażała prawdziwe myśli i uczucia. Diaz bardzo to szanował.

W wieku około dziesięciu lat został odesłany przez umęczoną matkę do ojca, do Meksyku. Jego stary nie przejmował się specjalnie

fanaberiami chłopca, dla niego liczyło się, na ile syn może pomóc w robocie. Nie rozczarował się, więc urządziło go to w stu procentach. Ale to z jego ojcem, czyli ze swoim dziadkiem, Diaz naprawdę znalazł wspólny język. Jego abuelo był cichy i niewzruszony niczym głaz. Wolał patrzeć, niż brać udział, a granice swojego prywatnego, duchowego świata otoczył grubym murem. Większość Meksykanów była hałaśliwa, przyjacielska i otwarta. Dziadek Diaza był zupełnie inny: dumny i zamknięty w sobie, a srogi i bezlitosny, gdy ktoś nadepnął mu na odcisk. Mówiono, że płynie w nim aztecka krew. Pewnie to samo twierdziły o sobie tysiące ludzi. Ale abuelo Diaza nigdy się tym nie chwalił, to inni tak mówili. W ten sposób wyjaśniali sobie dziadka. A potem również samego Diaza.

Chłopak starał się nie stwarzać problemów. Uczył się dobrze zarówno w Stanach, jak w Meksyku. Nie popisywał się i nie wygłupiał. Nie palił i nie pił. Powody były czysto pragmatyczne, nie ideologiczne: nałogi to słabość i rozkojarzenie, na które nie mógł sobie pozwalać.

Podobało mu się życie w Meksyku. U matki w Stanach czuł się przytłoczony, osaczony jej emocjami. Nie odwiedzał jej zresztą za często; była zbyt zajęta swoim życiem osobistym, szukaniem kolejnego męża. Ojciec Diaza był trzecim z kolei. Właściwie nie był pewien, czy rodzice w ogóle się pobrali. Jeżeli tak (w co wątpił), to na pewno nie w kościele: gdy Diaz wyjechał do ojca, ten miał już inną żonę i czworo dzieci. A przecież regularnie chodził do spowiedzi,

zawsze był na mszy, więc jego stosunki z kościołem musiały układać się poprawnie.

Matka ściągnęła Diaza z powrotem, gdy chłopak miał czternaście lat. Mówiła, że chce, by syn skończył szkołę w Stanach. I tak się stało. Przeprowadzali się tak często, że przez ostatnie cztery lata nauki Diaz zaliczył aż sześć szkół, ale ostatecznie zdał maturę bez problemów. Nie miał dziewczyny. Nastolatki miawały piękne ciała, ale puste głowy. Podejrzał, że jest ostatnim prawiczkiem w klasie. Stracił dziewictwo w wieku dwudziestu lat i od tego czasu spał zaledwie z kilkoma kobietami. Seks był wspaniałą rzeczą, ale wymagał dobrowolnego odsłonięcia się, bezbronności. A z tym Diaz zawsze miał problem. Było jeszcze coś: kobiety po prostu się go bały. Starał się być łagodny i delikatny w łóżku, ale najwyraźniej nie potrafił bez reszty wyzbyć się tej niepokojącej gwałtowności, która przerażała partnerki.

Może powinien częściej próbować, pomyślał, uśmiechając się w duchu. Może byłoby mu łatwiej. Ale wygodniej było dawać sobie radę na własną rękę, więc tak właśnie robił. Minęło już kilka lat od czasu spotkania kobiety, która pociągała go na tyle, by rozważyć kontakt fizyczny. A teraz... teraz była Milla Edge.

Podobały mu się jej ruchy: spokojne i płynne. Nie była piękna; w każdym razie nie uosabiała tego amerykańskiego typu urody charakterystycznego dla cheerleaderek. Twarz Milli wydawała się wyrzeźbiona twardymi, zdecydowanymi ruchami: wysokie kości policzkowe, wyraźnie zarysowana linia szczęki, piękne ciemne brwi i

rzęsy. Jej sięgające prawie do ramion włosy były burzą jasnobrązowych loków z intrygującym pasmem błyszczącej siwizny. Usta miała bardzo kobiece, miękkie, pełne i błyszczące. A jej oczy... jej brązowe oczy były najsmutniejszymi oczami, jakie widział w życiu.

To te oczy sprawiały, że chciał obronić ją przed całym światem, zasłonić własnym ciałem i zabić każdego, kto próbowałby ją skrzywdzić. Większość kobiet załamałaby się po tym, co przydarzyło się Milli. Ona robiła coś wręcz przeciwnego: walczyła i nie pozwalała sobie na to, by zaprzestać tej tragicznej i w sumie beznadziejnej walki. Jej odwaga i poświęcenie wyjątkowo poruszyły Diaza. Oto, pomyślał, jest kobieta, którą naprawdę warto poznać, do której warto się zbliżyć. Przynajmniej na jakiś czas.

Jeżeli zdoła utrzymać ją przy życiu. Arturo Pavon to tylko chingadera, żaloszny skurwiel. Żaloszny, ale okrutny Milla mogła do reszty złamać sobie serce i ducha, próbując odnaleźć swoje dziecko. A i tak był to potencjalnie najłagodniejszy scenariusz. Nie mógł jej pozwolić na samotne tropienie Pavona, chociaż najprawdopodobniej i tak nic nie udałooby się z tego śmiecia wydobyć. Zakładając, że Pavon jej nie zabije; powszechnie wiadomo było, że bandyta pielęgnuje zapiekłą nienawiść do tej gringa, która wydrapała mu oko. Z przyjemnością sprzedałby jej ciało na czarnym rynku.

Pavon był teraz zamieszany w coś znacznie gorszego niż handel dziećmi, w grę wchodziły też odpowiednio większe pieniądze. Przedtem porażka i schwytnie oznaczały długoletni wyrok, teraz bez

dwóch zdań dostałby czapę. Wprawdzie w meksykańskim kodeksie karnym nie było już kary śmierci, ale w teksaskim wciąż figurowała. A według informacji Diaza główna siedziba gangu znajdowała się w El Paso; Pavon może i ujdzie z życiem, ale jego szefowie już nie. Diaz nie był pewien, jak rozwiązano te kwestie w prawie międzynarodowym. Sądził jednak, że gdyby Pavona schwytano na terytorium Stanów Zjednoczonych, to podlegałby miejscowemu prawu. Podobnie było przecież w Meksyku, gdzie zjeżdżali naiwni turyści zwabieni dyrdymałami o swobodzie zażywania narkotyków. A potem... złapali cię w Meksyku, więc idziesz do meksykańskiego więzienia.

Kwestie prawne stawały się tu jednak sprawą dyskusyjną. Jeżeli Diaz był pewien, kto za wszystkim stoi, a jednocześnie miał zbyt mało niezbitych dowodów, które mógłby podrzucić właściwym służbom (będąc pewnym rychłego wyroku), wtedy brał sprawy w swoje ręce i załatwiał je w inny sposób.

Powiedział Milli, że nie zabija dla pieniędzy. Była to prawda, w pewnym sensie. Zabijał i płacono mu za to, ale pieniądze nigdy nie stanowiły prawdziwego powodu. Istnieli ludzie popełniający obrzydliwe zbrodnie, którzy - doprowadzeni wreszcie do sądu - dostawali małe wyroki lub kary w zawieszeniu, zakładając, że w ogóle uznano ich za winnych. Może fakt, że likwidował tych ludzi, nie był do końca jego wyborem? A może odpowie za to na tamtym świecie? W każdym razie nigdy nie miał wyrzutów sumienia. Pedofil, brutalny gwałciciel, morderca - ci ludzie nie zasługiwali na to, by żyć. W

oczach wielu ludzi Diaz też był mordercą, ale on sam się nim nie czuł. Był katem. A z tym mógł żyć.

Pomoże Milli znaleźć Pavona. Ona i tak będzie próbowała, a bezpieczniej dla niej samej będzie działać z Diazem niż bez niego.

Co ważniejsze, Pavon był jego drogą do głowy węża. Jeśli podąży za płótką, to w końcu dotrze i do grubej ryby.

Ludzie ginęli w Juarez i w całym rejonie Chihuahua. W tym nie było jeszcze nic nadzwyczajnego. Za niektórymi zbrodniami istotnie stał seryjny morderca. Ale znajdowano coraz więcej ciał z usuniętymi organami, a to nie pasowało do układanki. Zbrodnie popełniano na wiele sposobów: niektóre ofiary zostały zastrzelone, inne uduszone, jeszcze inne zginęły od noża. W kilku szczególnie makabrycznych przypadkach wszystko wskazywało na to, że organy wycinano jeszcze żyjącym ludziom. Diaz miał nadzieję, że przynajmniej ofiary nie były już przytomne, gdy oprawcy zaczęli swe dzieło. Ginęli zarówno mężczyźni, jak i kobiety; głównie Meksykanie, choć zdarzyły się już trzy przypadki zamordowania turystów -ostatnio była sprawa Paige Sisk. Ciała znajdowano w różnych rejonach Juarez porzucone jak bezwartościowe śmiecie. Zapewne tym właśnie były dla morderców.

Ile kosztowało serce na czarnym rynku?

Wątroba? Nerki? Płuca?

Ludzie oczekujący na przeszczep umierali codziennie, nie doczekawszy się dawcy. A jeśli mieli pieniądze i nie chcieli czekać? Jeśli mogli złożyć zamówienie na, powiedzmy, serce dawcy o określonej grupie krwi? Do czego dochodziło, gdy gotowi byli

zapłacić miliony? Jeśli dawca nie dość, że nie myślał o oddaniu organów, to jeszcze w dodatku żył i miał się świetnie?

Wtedy trzeba było wysłać dawcę na tamten świat.

Zadaniem Diaza było odnaleźć ludzi, którzy za tym stali. Nie pionków, szeregowych bandziorów w rodzaju Pavona i jego licznych kumpli, którzy porywali ofiary. Musiało istnieć jakieś miejsce, w którym pobierano i zamrażano organy, aby natychmiast dostarczyć je czekającemu biorcy. Jak dotąd Diaz nie zdołał takiego miejsca zlokalizować. Mógł się też mylić: teoretycznie, bandyci mogli wycinać organy gdziekolwiek, praktycznie w dowolnym miejscu.

Ostatecznie nie potrzebowali niczego oprócz skalpela i sporej ilości lodu.

Ktokolwiek zajmował się pobieraniem organów, musiał jednak znać się na rzeczy, chociażby po to, by nie uszkodzić cennego towaru. Niekoniecznie musiał to być lekarz, wystarczyłby ktoś z pewnym przeszkoleniem medycznym. Diaz myślał o nim jednak jako o „Doktorze”. To pomagało uporządkować myśli. Doktor mógł być szefem całego gangu - któż inny miałby dojścia do listy oczekujących na przeszczep, do nazwisk na niej umieszczonych, do ludzi, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by załatwić sobie prywatną transplantację?

Tamtej piątkowej nocy za kościołem w Guadalupe był świadkiem przekazania kolejnej ofiary. To mogła nawet być ta turystka Sisk. Obecność dwojga nieoczekiwanych gości niemal pokrzyżowała jego plany - szczególnie niebezpiecznie zrobiło się, gdy

kobieta rzuciła się do ataku. Podziwiał jej odwagę - bardziej niż rozsądek - ale musiał ją powstrzymać. Nie zamierzał uświadamiać Pavonowi i jego kumplom, że ktoś ich śledzi. Staliby się bardziej ostrożni, a przez to trudniejsi do wytropienia.

Unieszkodliwienie kobiety kosztowało go kilka cennych sekund, przez to zgubił bandytów. Wiedział, że osoba, na którą się rzuca, jest kobietą: spod czapki wysypywały się loki, poza tym nawet w ciemności widać było łagodny zarys sylwetki i smukłe ramiona. Diaz obserwował tę dwójkę od momentu pojawienia się na cmentarzu; miał własny noktowizor i dobry punkt obserwacyjny. Facet był całkiem dobry w kryciu i skradaniu się, babce szło trochę gorzej, ale i tak nieźle.

Nie miał pojęcia, co robią w tym miejscu, ale stało się od razu oczywiste, że nie należą do gangu Pavona. Dlatego też nie zamierzał zrobić im krzywdy, choć samą obecnością na miejscu schrzanił mu cały plan. Cóż, on będzie miał jeszcze szansę spotkać Pavona, ofiara bandyty nie miała już szans na nic. Mógłby interweniować - może nawet udałoby się wtedy uratować tę jedną osobę. W takim wypadku musiałby jednak najprawdopodobniej zabić trzech bandziorów, a nie miał gwarancji, że ten, którego zostawi przy życiu, powie mu cokolwiek. Albo że w ogóle będzie wiedzieć coś istotnego. Diaz musiałby zobaczyć, który samochód odjeżdża z ciałem: tylko w ten sposób mógł dowiedzieć się, kogo śledzić.

Dano mu cynk o tym spotkaniu za kościołem. Milli z kolei dano cynk, że będzie tam Diaz. Kto mógł to zrobić? Kto mógł wiedzieć?

Kto oprócz człowieka, który powiedział Diazowi? I kto to, u diabła, był? Do niego zadzwoniła kobieta, do Milli - mężczyzna. Co się tu działo? Czy to przypadek sprawił, że oboje zostali wysłani pod kościół w Guadalupe o tej samej porze? Przypadek czy coś więcej?

Diaz nie wierzył w przypadki. Tak było bezpieczniej.

scandalous

Dochodziła dziewiąta, gdy Susanna Kosper zatrzymała samochód przed swoim garażem i nacisnęła guzik zdalnego otwierania drzwi. Zanim metalowe skrzydło się uniosło, kobieta zobaczyła, że drugie miejsce w garażu jest puste. To oznaczało, że Rip jeszcze nie wrócił. Nie, na pewno go nie było: ich wielki dom pokryty kremowymi stiukami był całkiem ciemny. A Rip miał zwyczaj zapalania światła w każdym pokoju, do którego wchodził, i oczywiście zapominał później je gasić. Skutkowało to szybkim i dokładnym rozświetleniem całego budynku.

Ostatnio jednak Ripa najczęściej nie było, gdy Susanna wracała. A jeśli nawet był, to prawie się nie odzywał.

Ich dwudziestoletnie małżeństwo się sypało, a ona nie wiedziała, jak to powstrzymać. Mieli ze sobą tak wiele wspólnego, że Susanna nie mogła pojąć, co doprowadziło do powstania tej wielkiej przepaści pomiędzy nimi. Oboje kochali swoją pracę i umieli się cieszyć dobrymi, ciężko zarobionymi pensjami. I choć Susanna, podobnie jak każdy ginekolog-położnik w kraju, musiała płacić coraz wyższe składki ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej, to razem z Ripem dawali sobie świetnie radę.

Tylko raz przeraziła się, że mogą stracić wszystko, na co z takim trudem pracowali. Od tego czasu stała się bardzo ostrożna w kwestiach finansów, i jej ostrożność bardzo się opłacała. Ich dom był wspaniały, mieli zapewnioną sowiłą emeryturę, a Rip nie ukrywał

zadowolenia z ich życiowego sukcesu. Lubili te same filmy, słuchali tej samej muzyki, w wyborach też głosowali tak samo. Mieli nawet ten sam ulubiony uniwersytecki zespół futbolu amerykańskiego: Ohio State Buckeyes. Co zatem mogło pójść nie tak?

Susanna zamknęła za sobą drzwi garażu i weszła do domu. Wprowadziła odpowiedni kod na panelu systemu bezpieczeństwa, wyłączając alarm. Kochała chwilę powrotu do domu: widok gustownie urządzonej sypialni pachnących świeżą czystością i egzotycznym potpourri pozwalał jej zapomnieć o zapachach szpitala. Było jeszcze wspanialej, gdy czekał na nią Rip. Ale to ostatnio zdarzało się nader rzadko.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz był zarazem najbardziej banalny: inna kobieta. Oczywiście pielęgniarka. Czyż nie tak właśnie się to zazwyczaj odbywało? Szanowany lekarz wkracza w wiek średni, zaczyna czuć się kiepsko i znajduje sobie młodszą kobietę, która ożywia jego życie seksualne. Ich historia różniła się od tej najbardziej typowej o tyle, że w przypadku rozwodu Rip nie musiałby płacić Susannie alimentów - oboje zarabiali mniej więcej tak samo. Ale jego standard życia musiałby się nieco obniżyć, bo odpadłaby pensja żony. Susanna zakładała, że jej standard by się nie zmienił. Oczywiście zatrzyma dom i będzie nalegać, by Rip dalej spłacał kredyt hipoteczny. Nie, rozwód zdecydowanie nie byłby mądrym ruchem ze strony Ripa.

Susanna nie chciała rozwodu. Kochała męża. Po wszystkich tych latach wciąż go kochała. Był wesoły, inteligentny i ujmujący. Choć

anestezjodzy tylko przelotnie stykali się z pacjentami, to Rip potrafił nawiązać z nimi bardzo bliski kontakt, porozmawiać, pomóc, uspokoić lepiej niż ktokolwiek inny.

Może powinni byli zdecydować się na dzieci. Ale gdy byli młodzi, to czas zajmowała im walka o spłacenie kredytów studenckich, otworzenie i rozwinięcie praktyki... Na dzieci zabrakło czasu i pieniędzy. Szczególnie pieniędzy. Aż zadrżała na wspomnienie tamtych czasów: naprawdę ciężko było związać koniec z końcem. Ludzie myślą, że lekarze śpią na pieniądzach, ale zazwyczaj tak nie jest. Trzeba lat, by zostać lekarzem. Lat wypełnianych zaciąganiem kolejnych kredytów na własną edukację, potem lat na otworzenie dobrej praktyki. Trzeba było płacić pensje pielęgniarce, personelowi biurowemu, płacić czynsz, kupować sprzęt medyczny, płacić ubezpieczenia. Czasem zaciągnięty dług wydawał się monstualny. Ale im się udało: spłacili kredyty studenckie, z czasem zaczęli dobrze zarabiać, a wreszcie mieli już dość pieniędzy, by móc cieszyć się życiem.

Teraz Susanna miała już blisko pięćdziesiąt lat i było za późno na dziecko. Nie miała okresu od sześciu miesięcy. Najwyraźniej menopauza zaczęła się u niej odrobinę szybciej niż u większości kobiet. Umówiła się na wizytę u innego ginekologa, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Tak właśnie było: wszystko bez zarzutu. Po prostu Susanna przechodziła menopauzę. To też szło bardzo dobrze: żadnych uderzeń gorąca, żadnych nagłych potów, zaburzeń snu czy huśtawki nastrojów. Przynajmniej na razie. Niektóre kobiety

przechodziły menopauzę bardzo lekko, inne naprawdę cierpiały. Większość była gdzieś pośrodku. Widać Susanna miała szczęście.

Nie kochali się z Ripem od... czterech miesięcy? Nie była pewna. Kawał czasu w każdym razie. Oczywiście on też miał pięćdziesiąt lat, w tym wieku każdy ma prawo trochę zwolnić. Ale ich życie seksualne było dotychczas raczej regularne i radosne, a teraz - nagle nic.

To musiała być inna kobieta.

Przebierała się w sypialni, gdy piśniece alarmu obwieściło jej otworzenie drzwi garażu. Rip wrócił. Susanna nie wiedziała, czy się cieszyć, czy bać. Właśnie wkładała spodnie od piżamy, gdy mąż stanął w drzwiach pokoju. Jego twarz była pobrużdżona, zmęczona.

- Gdzie byłeś? - zapytała Susanna gwałtownie, choć obiecywała sobie nie odezwać się ani słowem. - Miałeś być w domu o piątej.

- A co za różnica? - odparł obojętnie. - Ciebie też nie było.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie jesteś, choćby na wszelki wypadek. Zrzucił marynarkę.

- W takim razie powinnaś częściej odsłuchiwać automatyczną sekretarkę - mruknął.

- Odsłuchałam... - zamilkła. Nie, nie sprawdziła sekretarki.

- Chyba jednak nie - Rip podszedł do telefonu i nacisnął guzik.

Dwa razy ktoś odłożył słuchawkę, nagrała się firma reklamująca tańsze rozmowy międzymiastowe, przyjaciel zapraszający ich na imprezę w sobotę, a potem Rip: mówił, że jego kolega anestezjolog

Miguel Cardenas struł się czymś strasznie i rzyga jak kot, więc Rip musi zastąpić go na sali operacyjnej przy nagłym zabiegu.

Susanna prawie poczuła się winna. Prawie. To, że tym razem Rip był niewinny, nie oznaczało, iż tak działo się zawsze. Spóźniał się już tyle razy

- Co się stało? - zapytała.

- Wypadek samochodowy Zgruchotana miednica, połamane żebra, przebite płuca - zamilkł na chwilę. - Umarł na stole.

Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, tak też brzmiał jego głos. Pokręcił głową i rozprostował ręce, aby się trochę rozluźnić - często tak robił po ciężkim dniu w szpitalu.

- A gdzie ty byłaś?

- Odwiedzałam pacjentki. U Felicji DAngelo pojawiło się plamienie, poza tym twierdzi, że miała skurcze, więc kazałam jej się zgłosić na dokładniejsze badanie. Sprawdziłam wszystko, obejrzałam ją dokładnie, wszystko w porządku. Z kim mnie zdradzasz?

Nie wyglądał na zaskoczonego. Wyraz znużenia i obojętności nie opuścił jego twarzy.

- Z nikim.

- Akurat. Tylko że prawie nie bywasz już w domu, od dawna się nie kochamy i zachowujesz się tak, jakbyś z trudem znosił nawet rozmowę ze mną. Wszystko z powodu tej kobiety, z którą mnie podobno nie zdradzasz. To ktoś z personelu twojego gabinetu? A może pielęgniarka ze szpitala?

Jego oczy zwęziły się, zapęłgały w nich czerwone ogniki gniewu.

- Powiedziałem ci, jak jest, Suze. Nie będę się powtarzał.

- Więc o co chodzi? - Susanna nie chciała go prosić, błagać, ale ta pustka między nimi doprowadzała ją do szaleństwa. - To dlatego, że przechodzę menopauzę?

- Nie wiedziałem, że przechodzisz - odparł i z jakiegoś powodu zabolalo to ją bardziej niż cokolwiek innego. Własny mąż zupełnie nie zwracał na nią uwagi.

- Jeśli nie to, to co?

Milczał przez dłuższą chwilę. Potem wzruszył ramionami.

- Jesteśmy innymi ludźmi. To wszystko.

- To wszystko?! - krzyknęła. Czula, że za chwilę wybuchnie: rozsadzał ją ból, frustracja i wściekłość napędzające się nawzajem.

- Jesteśmy innymi ludźmi?! Od kiedy to jesteśmy inni? Kto się zmienił, ty czy ja?

- Ani ty, ani ja. W tym właśnie rzecz. Może właśnie odkryłem, że różniliśmy się od samego początku.

- Może byś, kurwa, przestał mówić zagadkami! - wrzasnęła, zaciskając dłonie w pięści. - Nie wiem, co się dzieje! Nie mam pojęcia, o czym mówisz! Widzę tylko, że nasze życie się rozpada, i to mnie dobija! Na miłość boską, powiedz wreszcie po ludzku, o co ci chodzi!

- Daj spokój - Rip wyglądał na zupełnie nieporuszonego jej wybuchem. - Po prostu... daj spokój. Nie zostawię cię. Będziemy dalej żyć, jak żyliśmy Nic się nie zmieni.

- Zwariowałaś?! Jak może się nic nie zmienić? Jak możesz jednego dnia kogoś kochać, a nazajutrz traktować jak obcą osobę?!

- Powiem ci jak - w głosie Ripa zabrzmiała nagle jadowita nuta.

- Wyjaśnię ci prosto, po ludzku, dwoma słowami: True

Gallagher.

Susanna bezwiednie cofnęła się o krok. W głowie miała pustkę.

- Co...? - wykrztusiła. Szok był tak wielki, że po prostu stała niezdolna wykrztusić słowa, z otwartymi ustami. Nie. Niemożliwe. On nie mógł...

Rip milczał, patrząc na nią uważnie.

W tym momencie zrozumiała. I niemal fizycznie poczuła burzę myśli przewalającą się przez głowę.

- Nic mnie nie łączy z True Gallagherem! Ty myślisz, że ja mam z nim romans? Boże, Rip! Ja próbuję wyswatać go z Millą!

Coś błysnęło w jego oczach; przez twarz Ripa przemknął nieokreślony grymas.

- Zostaw Millę w spokoju - powiedział cicho. - Ona zasługuje na kogoś lepszego.

- Coś się tak uwziął na tego True?! Co on ci zrobił? Mówię ci, przysięgam, że nie zdradzam cię z nikim! Z nim też nie!

Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć wszystkie swoje publiczne spotkania z True; nie było ich wiele. Czy zrobiła albo

powiedziała wtedy coś, co mogłoby wyrzucić na potencjalnym obserwatorze takie wrażenie? Wskazywać, że ma romans z True?

- Powiedzmy, że ci nie wierzę - odezwał się Rip. -I zostawmy już to.Odwrócił się i wyszedł. Susanna wiedziała, że nie będą już spać razem w jednym łóżku. Dotychczas wciąż jeszcze tak robili, choć on leżał na swojej połowie, a ona na swojej. Osobno. Pomiędzy ich ciałami było puste, neutralne terytorium, którego nic, nawet dłoń, nie śmiało naruszyć.

Chciało jej się śmiać. Albo płakać. Rzucić czymś ciężkim, zdzielić porządnie Ripa za to, że był takim głupim dupkiem. To z zazdrości zachowywał się jak ostatni palant. O to chodziło.

Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo się myliła. Podczas gdy ona podejrzewała męża o zdradę, on podejrzewał ją dokładnie o to samo. Oczywiście bezpodstawnie. A jeśli Rip cynicznie nie wymyślił sobie tych oskarżeń tylko po to, by usunąć Susannę ze swego życia, w takim razie należy przypuszczać, że i on nie ma żadnego romansu.

To nie oznacza, że jej małżeństwo się kończy. Przechodzi tylko trudny okres. Jeśli Susanna będzie konsekwentna i wiarygodna, sprawy wreszcie ułożą się dobrze, a Rip zrozumie, jak bardzo się mylił, jak głupie były jego podejrzania. Ogień, który ocieplał i rozświeślał ich związek, zapłonie znowu. Do tego czasu Susanna musi być bardzo, ale to bardzo ostrożna.

Nie użyła telefonu stacjonarnego: Rip mógł się zorientować, że dzwoni, i podnieść słuchawkę drugiego aparatu. Wyciągnęła z torebki komórkę, zamknęła drzwi sypialni, weszła do przyległej łazienki i

zamknęła również te drzwi za sobą. Wtedy wybrała numer telefonu True.

- Rip myśli, że mamy romans - powiedziała cicho, gdy odebrał. - Jest bardzo podejrzliwy.

- Musisz ukoić jakoś jego zbolałą duszę. Nie możemy dopuścić, by zaczął robić głupstwa. Na przykład śledzić cię przez cały dzień.

- Wiem. Powiedziałam mu, że próbuję skojarzyć cię z Millą, ale ten pomysł też bardzo mu się nie spodobał. Jest strasznie wkurzony

- Zajmij się nim porządnie. Jakies postępy z Millą?

- Nie sądzę. Wiesz, jaka potrafi być uparta, gdy chodzi o sprawy jej organizacji. Boi się, że jeśli zacznie się z tobą spotykać, to straci ładnych kilka dolarów od starych przyków ze specyficznym poczuciem moralności. Mogłoby się im nie spodobać, że szefowa organizacji wiąże się ze sponsorem.

- Tak, dokładnie to samo od niej usłyszałem. Ale pracuj nad nią. Sam nie chcę za mocno naciskać, żeby nie wyjść na natręta.

- Postaram się, chociaż obie mamy tak napięte terminarze, że ciężko zgrać się na babskie pogaduchy

- Więc sama stwórz okazję. Ni z tego, ni z owego Milla wyskakuje z informacją, której nie powinna znać. Muszę wiedzieć, skąd ją dostała. I co zamierza. Muszę znać każdy jej krok, jeszcze zanim ona go zrobi. A to fizycznie niemożliwe, dopóki się do niej odpowiednio nie zbliżę.

- Wiem, wiem. Już mówiłam: postaram się. Przecież nie wykręcę jej ręk i nie doprowadzę siłą na randkę z tobą.

- Czemu nie? - Gallagher był najwyraźniej rozbawiony tym pomysłem. - Wyciągnij ją na kolację z tobą i Ripem, a ja się tam przypadkiem pojawię. Co myślisz?

- Nie wiem, czy dam radę namówić teraz Ripa na cokolwiek. Muszę nad nim popracować.

- No to do roboty

Telefon kliknął sygnałem zakończonego połączenia. Susanna odłożyła komórkę.

Wzięła głęboki oddech. Cóż, plan był prosty: uwieść własnego męża. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

scandalous

Już od tygodnia Milla nie miała wiadomości od True ani od Diaza. Nie spodziewała się wprawdzie żadnych rewelacji od Gallaghera. Wiedziała już, że myliła się, sądząc, iż Diaz był zamieszany w porwanie Justina, ale spodziewała się, że True przynajmniej zadzwoni, by powiadomić ją o braku nowych informacji.

Czuła nieustanny niepokój, podświadomie czekając na pojawienie się Diaza. Mógł stać za każdym rogiem, mógł wyjść z każdych drzwi. Czasami miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje; kiedy się odwracała, nikogo nie było. Zresztą czemu Diaz miałby ją śledzić? Był teraz zapewne gdzieś w Meksyku zajęty własnymi tajemniczymi sprawami, legalnymi albo i nie.

Powinna czuć się rozluźniona, gdy nie było go w pobliżu. W obecności Diaza wszystkie jej zmysły działały na najwyższych obrotach, tak jakby miała do czynienia z tylko częściowo oswojonym dzikim zwierzęciem, któremu nie można w pełni zaufać. Kiedy nie było go w pobliżu, poczucie zagrożenia zniknęło, Milla nie musiała już się pilnować - i czasem czuła podstępne ukłucie gorącego pożądania.

To było szaleństwo. Od czasu rozvodu z Davidem spotkała kilku mężczyzn, którzy ją pociągali. Próbowала zbudować kilka związków. Była świadoma ostrego iskrzenia między sobą a True Gallagherem, choć powody odmowy zaangażowania się pozostawały jasne i absolutnie nie kusilo ją, by cokolwiek odkręcać. Ale fakt, że czuła miętę do Diaza, był co najmniej niepokojący. Ten facet był najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. I nie

chodziło tu bynajmniej o choroby przenoszone drogą płciową. Diaz mógł być nieobliczalnie brutalny. W gruncie rzeczy nie znała go od tej strony; tamta noc w Guadalupe dała jej tylko pewne wyobrażenie o jego możliwościach. Ale wiele mówiły już same jego oczy. Znamienne były reakcje ludzi, którzy mieli z nim do czynienia lub tylko o nim słyszeli.

Byłaby naiwna, zakładając możliwość zaistnienia czegokolwiek poza czystą współpracą z Diazem. Seks - może, związek - na pewno nie. To wymagałoby stworzenia prawdziwej więzi emocjonalnej, czego - jak sądziła - Diaz z pewnością by nie chciał. Nie chciał albo po prostu nie był zdolny do nawiązania jakiegokolwiek więzi. A zresztą czy ona chciała iść do łóżka z facetem, którego wciąż się bała?

Tylko raz, szeptało jej libido. Już samo to świadczyło o tym, jak bardzo kusila ją ta perspektywa. Dotychczas w ogóle nie myślała o własnych uczuciach czy emocjach, jeżeli kolidowały one z poszukiwaniami dziecka. Tymczasem Diaz dawał jej szansę na poznanie losów Justina. Ich wzajemne stosunki były wciąż niejasne, nie ryzykowałyby zachwiania niepewnego status quo.

Teraz, gdy uświadomiła już sobie naturę emocji, które wywoływał w niej Diaz, stała się jeszcze bardziej nerwowa. Wiedziała, że mężczyzna w końcu się pojawi, niespodziewanie, w ten charakterystyczny dla siebie, denerwujący sposób. Czekanie sprawiało, że denerwowała się jeszcze bardziej. Jakaś pierwotna kobieca część jej mózgu tęskniła za dotykiem silnego mężczyzny, chciała się przekonać, czy to tajemne pożądanie nie jest jedynie ułudą

wywołaną jego nieobecnością. Rozsądek podpowiadał jej, by absolutnie nigdy nie dawać Diazowi najmniejszego znaku, że jest przez nią postrzegany jako obiekt seksualny. Najłatwiej było ustrzec się przed tym, trzymając się z dala od Diaza, ale to nie wchodziło w grę. Czy powinna zatem grać z nim twardo i beznamiętnie, nie ujawniając ani odrobiny osobistego zainteresowania? Diaz był mistrzem w obserwowaniu otoczenia i ludzkich reakcji, musiała być zatem bardzo ostrożna.

Kiedy już znajdzie Pavona, może wtedy...

Nie. Nie mogła sobie pozwalać nawet na takie myśli. Nie mogła zezwolić na istnienie takiej możliwości niczym kuszącej nagrody na końcu szlaku. Musiała powściągnąć swoją psychę i swoje fizyczne reakcje, skoncentrować się tylko na jednym: odnalezieniu Justina. Działało przez dziesięć lat, zadziała i teraz. Jedyne związki, na jakie sobie pozwoliła, miała z facetami, którzy nie mogli jej zdominować. Za to Milla zawsze mogła - i robiła to bez skrupułów - odstawić ich na bok. Z Diazem mogłoby być inaczej. Poczucie absolutnej kontroli nad życiem byłoby trudne do utrzymania. A właśnie teraz, gdy świeży trop prowadził niemal prosto do Justina, Milla nie mogła sobie pozwolić na utratę tejże kontroli.

Zdenerwowana i rozbita, chętnie przystała na propozycję wspólnej kolacji złożoną przez Susannę. I tak nie miała nic do roboty, a w ten sposób mogła uciec od niebezpiecznych myśli. Zazwyczaj wolała spędzać nieliczne wolne wieczory w domu, ale teraz czuła się tak rozkojarzona czekaniem na niewiadome, że nie wahała się długo.

Zdecydowana miło spędzić ten wieczór, włożyła jedną ze swoich ulubionych kiecek - jasnokremową, jedwabną, na ramiączkach, z fikuśnym dołem tańczącym wokół jej kolan. Choć dzięki deszczowi temperatury w El Paso wróciły do normy, to wciąż był sierpień - a tutejsza sierpniowa norma oznaczała upał. Ta sukienka sprawdzała się w taką pogodę znakomicie. Dawno temu, kiedy byli z Davidem dopiero zaręczeni, często chodzili tańczyć; Milla miała wtedy bardzo podobną kieckę. Dopiero teraz, po latach, rozumiała, jak bardzo David się dla niej poświęcał: był wtedy jeszcze na rezydenturze* i notorycznie nie dosypiał. Milla kochała tańczyć, więc on przeznaczal większość swojego czasu wolnego, by zabierać ją na tańce.

** Zanim lekarz w USA może otworzyć własną praktykę, musi spędzić kilka lat na tzw rezydenturze. Jest to rodzaj obowiązkowego i dość uciążliwego stażu, zazwyczaj w szpitalu (przyp. tłum.).*

Uśmiechnęła się do własnych wspomnień, otwierając drzwi Ripowi, który przyjechał po nią razem z Susanną. Milla próbowała oponować, mówiąc, że dojedzie sama i spotkają się w restauracji. Jednak Rip czuł się za nią w pewnym sensie odpowiedzialny od tego dnia, gdy porwano Justina, a Milla o mało nie umarła od ran. Kiedy jechali gdzieś razem, Rip nalegał na osobiste przywiezienie Milli, a potem przynajmniej upewniał się, że bezpiecznie wróciła do domu.

- Cześć - uśmiechnął się. - Szałowy ciuch.

- Dzięki! - roześmiała się, zostawiając jak zwykle zapalone światło w przedpokoju. Wyszli na zewnątrz, Milla zamknęła za sobą drzwi.

- Fajnie jest móc czasem ładnie się ubrać i nie musieć przy tym wygłaszać przemówienia - dodała.

- Och, masz w tym już doświadczenie - Rip otworzył jej tylne drzwi auta i Milla wśliznęła się do środka. - Czy ktoś inny nie mógłby za ciebie odwalać całego tego PR-u?

- Chciałabym. Ale to moją twarz ludzie kojarzą z poszukiwaniem zaginionych dzieci i to mnie chcą słuchać.

- Ale nie możesz w imię tego poświęcać własnego życia - powiedziała siedząca na przednim fotelu pasażera Susanna, odwracając się do niej i mierząc Millę smutnym wzrokiem.

- Niczego nie poświęcam. To jest właśnie moje życie, sama sobie takie wybrałam.

- Albo wybrano za ciebie. Nie musisz aż tak zasuwać, wiesz? Mogłabyś wycofać się z codziennej pracy Poszukiwaczy, robić tylko zbiórki pieniędzy i imprezy charytatywne. Stres, w którym żyjesz... - Susanna potrząsnęła głową. - Naprawdę nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. Powinnaś przynajmniej robić sobie regularnie wakacje.

- Nie. Jeszcze nie mogę.

Zanim nie odnajdę Justina, pomyślała. Susanna westchnęła.

- Więc przynajmniej zadbaj o zdrowie. Bierz witaminy, nie opuszczaj wizyt kontrolnych u lekarza. Te zestawy witamin dla ciężarnych byłyby niezłe dla ciebie ze względu na ciągły stres, w którym żyjesz.

- Tak, mamusiu - powiedziała Milla pokornym tonem; Rip i Susanna uśmiechnęli się. Witaminy były całkiem niezłym pomysłem.

Nie chciała teraz zachorować, teraz, gdy każdego dnia mógł nastąpić przełom. Musiała być gotowa do działania i w dobrej formie.

Susanna przestała gderać i pograżyły się w rozmowie o wspólnych znajomych, wymieniając plotki. Rip wtrącił kilka słów, ale Milla od razu zauważyła, że coś z nim nie tak. Gdy zwracał się do niej, jego głos był ciepły i miły jak zwykle, ale nietrudno było wyczuć bolesne napięcie między nim a Susanną. Musieli się pokłócić, a Milla czuła się przez to niezręcznie. Pomyślała, że zrobiliby lepiej, odwołując spotkanie. Nie miała ochoty na sztywną kolację w dusznej, ciężkiej atmosferze. No cóż, teraz już i tak za późno.

Restauracja, którą wybrali, należała do umiarkowanie eleganckich. Wpuszczali bez krawata, ale raczej nie w dżinsach. Było to jedno z ulubionych miejsc Milli ze względu na świetne potrawy z grilla. Wybrała łososa, którego pieczono tu na drewnie cedrowym. Potem pograżyła się w beztroskiej rozmowie: ostatecznie mogła cieszyć się ich towarzystwem, nawet jeśli oni nie cieszyli się swoim nawzajem.

Nie spieszyli się z jedzeniem; kiedy już kończyli i zamówili kawę, Milla poczuła za sobą czyjąś obecność. Odwróciła się, by spojrzeć w szczupłą, zmęczoną twarz True Gallaghery.

- True! - powiedziały jednocześnie obydwie kobiety. Milla zerknęła podejrzliwie na przyjaciółkę. Czy Susanna to ukartowała, gdy Milla otwarcie powiedziała jej, że nie zamierza spotykać się z True?

- Właśnie was zauważyłem - powiedział, kładąc dłoń na oparciu jej krzesła i tym samym muskając łopatkę Milli.

- Susanna, Rip! Jak się macie? Szkoda, że nie widziałem was wcześniej, moglibyśmy usiąść razem.

- Dobrze się mamy - zachichotała Susanna. - Przpracowani, ale to norma. A ty?

- Tak samo.

- Właśnie zamówiliśmy kawę. Może przyłączysz się do nas? Chyba że bardzo się spieszysz?

- Dziękuję, chętnie się przyłączę - usiadł na krześle pomiędzy Susanna a Millą, mierząc tę ostatnią uważnym spojrzeniem.

- Dawno cię nie widziałem. Wyplęło coś nowego? Wyglądasz...

- Jeżeli powiesz „na zmęczoną”, dostaniesz po głowie - powiedziała poważnie.

- O nie. Chciałem powiedzieć, że wyglądasz wspaniale

- uśmiechnął się szeroko.

- Mhm - nie czuła się przekonana. - Nie, nic nie wyplęło. Szukam zaginionych, zbieram fundusze dla organizacji. Udało mi się pozyskać nowego sponsora w Dallas, firmę komputerową.

- To świetnie - powiedział True.

Rip w ogóle nie brał udziału w rozmowie, nie przywitał się nawet z True. Milla, rzuciwszy nań okiem, zauważyła, że z twarzy Kospera zniknęło całe ciepło. Spojrzenie lekarza przypominało jej trochę zimny wzrok Diaza.

Cholera. Przyszła tu po to, by zapomnieć o Diazie, a nie myśleć o nim. Ale co działo się z Ripem? Przecież to taki miły i otwarty człowiek. W jaki sposób True mógł nadebrać mu na odcisk?

W torebce Susanny nagle coś zapiszczało.

- Przynajmniej poczekał, aż skończę jeść - westchnęła z jękiem, wyciągając pager i patrząc na wyświetlacz. - Szpital. Przepraszam was na chwilę, wyjdę i zadzwonię do nich.

Łapiąc komórkę, prawie wybiegła głównym wejściem.

- Dla lekarza niespodziewany telefon nigdy nie oznacza nic dobrego - powiedział True. Jego dłoń znów spoczywała na oparciu krzesła Milli, a kciuk niby przypadkiem otarł się o jej ramię. Dopiero po chwili cofnął rękę; a może bawił się z nią i nie chciał dawać pretekstu do odsunięcia się.

Rip milczał, zaciskając usta. Nie odpowiedział na komentarz Gallaghery. Milla wolała już sama coś powiedzieć, niż siedzieć w ciszy aż do powrotu Susanny

- Masz dla mnie jakieś nowe informacje? - spytała. Gdyby tego nie zrobiła, True mógłby coś podejrzewać.

- Nic, co pasowałoby do interesującego nas czasu. Obawiam się, że to ślepa uliczka.

- O jakie informacje chodzi? - wtrącił się szorstko Rip. Było to niegrzeczne, ale - jak pomyślała Milla - równie niegrzeczne z jej strony było podejmowanie tematu wykluczającego z rozmowy Kospera.

- Wydawało mi się, że wreszcie znalazłam nazwisko człowieka zamieszanego w porwanie. Poprosiłam True, żeby to sprawdził - nie musiała precyzować, o jakie porwanie chodzi, mimo że Poszukiwacze zajmowali się wieloma sprawami kidnapingu. Tamten dzień, straszny dzień, wciąż pamiętali wszyscy jej przyjaciele.

- Czemu nie zwrócisz się do policji? - Rip nawet nie spojrzał na Gallaghera. - Wiesz przecież, że sprawdziliby dla ciebie to nazwisko.

- Wiem, ale True ma kontakty także po drugiej stronie granicy i...

Susanna wpadła do środka i podeszła do nich z chmurnym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, ale muszę iść. Felicia D'Angelo ma gorączkę i podwyższone ciśnienie. A jest dopiero w dwudziestym tygodniu. Muszę jechać do szpitala, tam się z nią spotkam.

- Do którego? - spytał Rip; jego żona pracowała w dwóch klinikach.

Powiedziała mu, a potem pochyliła się, by pocałować go w policzek. Nie zwróciła uwagi na to, że spał się cały.

- Biorę samochód. Zawołasz sobie taksówkę, dobrze?

- Nie ma potrzeby - odezwał się True, patrząc to na Millę, to na Ripa. - Mogę podwieźć was oboje.

- Nie, to za duży kłopot - powiedziała Milla. - Mieszkamy na przeciwnych krańcach miasta.

- Wiem o tym doskonale. Żaden problem.

- Weźmiemy taksówkę - powiedział Rip. - Chciałbym odwiedzić Millę bezpiecznie do domu, potem wrócę tą samą taksówką do siebie.

- To bez sen... - zaczęła Susanna, ale szybko się zmytygowała. Spojrzała na Ripa tak dziwnie, że Milla już prawie upewniła się, iż jest wrabiana.

- Nieważne - westchnęła lekarka. - Róbcie, jak sobie chcecie, ja muszę lecieć. Rip, zobaczymy się wieczorem, mam nadzieję. Pa!

Złapała torebkę i pospiesznie wyszła.

Kelner przyniósł kawę. Milla czuła się nieswojo, siedząc między dwoma mężczyznami i sącząc ze swojej filiżanki, podczas gdy oni milczeli, nie zaszczycając kawy nawet przelotnym spojrzeniem. Najwyraźniej zimna wojna trwała w najlepsze. True bardzo chciał odwiedzić ją do domu, Rip bardzo nie chciał mu na to pozwolić. Milli wydawało się, że widzi, jak nerwy Ripa zaczynają puszczać, i zdecydowała, iż czas na wkroczenie do akcji.

- Chwileczkę - powiedziała spokojnie. - Żaden z was nawet nie spytał mnie o zdanie.

Jak na komendę spojrzeli na nią obaj.

- Wybacz - Rip nie wyglądał na skruszonego. - Poczulaś się traktowana przedmiotowo?

- Odrobinę - uśmiechnęła się do niego, bo wiedziała, że nie spodobała mu się jej następne słowa. - Mam do pogadania z True, więc pojedę z nim.

Tak właśnie myślała: to się Ripowi bardzo nie spodobało. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, by nie nalegać, skoro decyzja

została już podjęta. Gallagher nie triumfował; być może zdawał sobie sprawę z tego, że zapowiadana rozmowa nie będzie należała do przyjemnych.

- Jak sobie życzysz - powiedział Rip, podczas gdy kelner przyniósł rachunki. Kasper wyjął kartę kredytową i położył ją na jednym z etui. True chciał sięgnąć po etui z rachunkiem Milli, ale powstrzymała go wzrokiem. Sama włożyła tam kilka banknotów.

Zaczekali, aż kelner zabierze z powrotem rachunki i wróci z kartą Ripa, prosząc o podpis na kwitku. Kasper poprosił o zawołanie taksówki, obdarował kelnera sutym napiwkem, podpisał druczek i schował swoją kartę.

- Taksówka będzie za dziesięć minut - oznajmił kelner, wracając po chwili do ich stolika.

- Zaczekamy... - zaczęła Milla, ale Rip potrząsnął głową.

- Nie, jedźcie. To tylko kilka minut. Dokończę swoją kawę, czekając.

Wstali wszyscy troje. Rip pocałował Millę w policzek.

- Tak dawno się nie widzieliśmy Nie bądź takim odludkiem - powiedział.

Milla zachichotała.

- Mówisz tak, jakbyście mieli z Susanną mniej napięty terminarz od mojego.

- No fakt. Trzymaj się i bądź ostrożna.

Skinął lekko głową Gallagherowi i usiadł, patrząc, jak wychodzą z restauracji.

- Tam zaparkowałem - powiedział True, pokazując na lewo, i delikatnie kierując Millę w tamtą stronę, dotknął jej pleców. - Coś mi się zdaje, że Rip mnie nie lubi.

Milla chrząknęła niejednoznacznie. Nie odezwała się, dopóki oboje nie znaleźli się we wnętrzu srebrnego lincolna navigatora.

- Wiesz - powiedziała wreszcie - mnie też nie podoba się to, co robisz. Nie lubię być manipulowana.

Milczał przez chwilę, zamarłszy z kluczykami w ręku.

- To takie oczywiste? - powiedział wreszcie, uruchamiając silnik.

- Dla mnie wystarczająco.

Gdyby próbował wszystkiego się wyprzeć, może nawet by mu uwierzyła. Ale doceniała to, że przynajmniej nie usiłował jej okłamywać. Coś jeszcze przyszło jej nagle do głowy:

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam? - kiedy powiedziała w restauracji, że ona i Kosperowie mieszkają na przeciwnych krańcach miasta, Gallagher oznajmił, iż to dla niego nie nowina.

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś w Westside, tak mi kiedyś powiedziała Susanna. Gdzie zatem jedziemy?

Podawała mu swój adres.

- Wiem, gdzie to jest - kiwnął głową. Urodził się w El Paso, znał tu każdą uliczkę.

- Czy to wezwanie Susanny było prawdziwe?

- Tak sędzę - wzruszył ramionami. - Ale i tak chciałem zaproponować ci podwiezienie do domu.

- True, nie zmieniałam zdania. Nie umówię się z tobą. Doceniam twoją uprzejmość, ale nie ma o czym mówić.

Ulice nie były specjalnie zatłoczone, poza tym załapali się na kilka zielonych świateł z rzędu. Milla patrzyła, jak cienie grają na twarzy mężczyzny, jak rysy Gallaghery stają się nagle ostrzejsze, surowsze, jak bębni ze złością palcami po kierownicy

- Nie musisz grzebać siebie za życia - powiedział wreszcie, a jego głos ociekał goryczą. - Na Boga, wiem, co tobą powoduje. Ale nie musisz urządzać sobie życia na zasadzie albo-albo. Możesz szukać swojego syna i mieć jeszcze czas dla siebie. Zamknęłaś się w twardej skorupie i nie chcesz wpuścić nikogo do...

- To nie fair - przerwała mu Milla. - Nie można oczekiwać od człowieka czegoś, czego on nie ma ochoty ofiarować. Nie poświęcę ci ani minuty mojego czasu, jeżeli ta minuta mogłaby zaważyć na możliwości uzyskania jakichkolwiek informacji o Justinie.

- A jednak poświęciłaś czas na kolację z Susanną i Ripem.

- To zupełnie co innego i doskonale wiesz, o czym mówię. Jeżeli musiałabym odwołać tę kolację w ostatniej chwili, bo pojawiło się coś ważniejszego, Kosperowie nie byliby na mnie wkurzeni. Ani nawet zdenerwowani. Jesteśmy przyjaciółmi, ale nasze drogi tylko czasami się przecinają. Nie są ze sobą połączone.

- Z tego, co mówisz, wynika, że nie możemy nawet być przyjaciółmi.

- Chyba niezupełnie o to ci chodzi - prychnęła.

- Twarda jesteś - uśmiechnął się szeroko mimo zdenerwowania.
- Ale ja lubię wyzwania.

- Nie jestem żadnym wyzwaniem. A to nie jest żadna tania gierka. I nie czuję się dobrze z tym, że stawiasz mnie dokładnie na tej pozycji, której chciałam uniknąć: czyli zmuszasz do zajęcia jasnego stanowiska, niezgodnego z twoimi oczekiwaniami. Jeżeli po prostu odmówię, nie spodoba ci się to. Jeżeli przyjmę twoje awanse, a potem nie postawię ciebie na pierwszym miejscu, też cię to nie zadowoli. Każdy wybór oznacza moją przegraną.

Twarz Gallaghera stwardniała.

- Co powiesz, jeśli obiecuję, że pomogę ci w poszukiwaniach syna? Jeżeli będę ramię w ramię z tobą ścigał każdą plotkę, każdą informację? Zadajesz się z kojotami i innym elementem. Potrzebujesz ochrony

- Nigdy nie działałam sama - odparła, patrząc przed siebie. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej chwyciłaby się kurczowo każdej szansy uzyskania pomocy od True, ale to było przed Diazem. Mimo swoich pieniędzy i kontaktów Gallagher wydawał się jej po prostu mniej efektywny od Diaza. Dawał mniejszą szansę na odnalezienie Pavona. A może to ona się myliła? Może właśnie popełniała największą pomyłkę życia? Ale podjęła już decyzję i zamierzała się jej teraz trzymać. Mimo wszelkich potencjalnie niebezpiecznych konsekwencji.

True przeklął cicho pod nosem.

- Skoro i tak zawsze bierzesz kogoś ze sobą, czemu to nie mogę być ja?

- Bo to nie wszystko, o co ci chodzi. Powiedz mi, tylko szczerze: jeżeli ci odmówię, to przestaniesz wspierać finansowo Poszukiwaczy?

Zachnął się jak uderzony w twarz.

- Do diabła, skądże!

- Zatem moja ostateczna odpowiedź brzmi „nie”.

Knykcie Gallaghery zbiegły, gdy dłonie zacisnęły się silniej na kierownicy. Nie odezwał się ani słowem, dopóki nie skręcili w ulicę Milli.

- Który to twój dom?

Wskazała mu swój budynek, ostatni po lewej stronie. True wjechał na krótki podjazd, reflektory półciężarówki oświetliły drzwi wejściowe. Garaż sąsiada miał wspólną ścianę z jej garażem: ich podjazdy rozdzielone były tylko bruzdą w betonie po usuniętym szalunku. Ponieważ był to ostatni budynek na ulicy, druga strona domu ginęła wśród drzew i krzewów. Małe podwórko otaczał płot oddzielający je od terenu sąsiadów. Drzwi frontowe znajdowały się nieco w głębi ganku. Milla po obu stronach wejścia ustawiła donice z jasnymi kwiatami - żółte światło lampy nad drzwiami sprawiało, że wyglądały raczej na pomarańczowe niż czerwone. Dom Milli był schludny i zadbane, ale wiedziała, że True właśnie ocenia go według własnych standardów i zapewne zastanawia się, gdzie właścicielka ma głowę.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziała, odpinając pasy i otwierając drzwi samochodu.

Gallagher wyłączył silnik i wysiadł ze swojego wielkiego auta, ale nie zdążył obieć samochodu, by otworzyć pasażerce. Trzymał ją za łokieć, odprowadzając do drzwi.

- No dobra - powiedział nagle. - Wycofam się. Ale jeśli będziesz czegoś potrzebować, zadzwoń. W dzień czy w nocy, nieistotne. Mówię serio. I bez zobowiązań.

- Dziękuję - uśmiechnęła się do niego Milla. Ta oferta zrobiła na niej pewne wrażenie.

Patrzył na nią z góry W pewnej chwili znów przeklął cicho pod nosem i zanim Milla zdążyła zareagować, znalazła się w jego ramionach. Nawet na szpilkach była od niego niższa o dobre kilkanaście centymetrów; czuła się przytłoczona pochyloną nad sobą masywną sylwetką. Ręka True przyciągnęła ją do siebie, a usta spotkały się z jej ustami.

Naparła rękami na ramiona Gallaghera, próbując go od siebie odepchnąć. W innych okolicznościach ten pocałunek mógłby ją ucieszyć, mogłaby nawet odpowiedzieć na tak śmiałe zaloty True umiał całować: jego usta były ciepłe, oddech przyjemny, język delikatnie pieścił wargi Milli, lecz nie wpychał się nachalnie do środka. Przyciśnięta do ciała Gallaghera, czuła jego erekcję.

Odwróciła głowę i szarpnęła się mocniej, mężczyzna puścił ją i się cofnął.

- Mówiłeś, że się wycofujesz? - parsknęła, rozumiejąc, że Gallagher nie przyjął jej odmowy do wiadomości.

- Tak jest - odparł, jego twarz była nieruchoma, oczy zmrużone.
- Ale chciałem przedtem posmakować ciebie. I chciałem, żebyś ty posmakowała mnie. Jeżeli kiedykolwiek zmienisz zdanie, po prostu mi to powiedz.

Ta samcza pewność siebie nie była sama w sobie odpychająca, ale gwałtowność True uruchomiła dzwonki alarmowe w głowie Milli i nakazała jej jak najszybciej kończyć tę konwersację. Wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

- Dobranoc - powiedziała, wchodząc do środka i zamykając drzwi za sobą na zamek. Wszystko praktycznie jednym ruchem.

Była tak zdenerwowana, że dobrą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, iż coś jest nie tak. W przedpokoju było ciemno. Milla zamarła; mrok niemal fizycznie naparł na nią ze wszystkich stron, gdy uświadomiła sobie, że nie jest w domu sama.

Rip nie pojechał do domu. Poprosił taksówkarza o zawiezenie do szpitala. Użył swojej karty identyfikacyjnej, żeby wjechać na parking dla personelu. Wsiadł tam z samochodu, każąc kierowcy poczekać. Obejrzał zaparkowane auta; nie zaskoczyło go to, że nie znalazł pośród nich własnego samochodu. Był zmartwiony i rozczarowany, lecz nie zaskoczony Przypiął do klapy swój identyfikator i wszedł do środka, na ostry dyżur.

- Przyjęto dziś na oddział Felicię D'Angelo? - spytał pielęgniarkę siedzącą przy komputerze. Dziewczyna szybko wprowadziła nazwisko.

- Nie, panie doktorze. Mamy Ramona D'Angelo, ale nie Felicię.

Dla pewności Rip poprosił jeszcze taksówkarza o zawiezenie do drugiego szpitala, w którym pracowała Susanna i on sam. Powtórzył tę samą procedurę: okazało się, że i tu na parkingu nie ma jego samochodu, a w szpitalu nie leży Felicia D'Angelo.

Miał nadzieję, wielką nadzieję, że Susanna jednak czeka na niego w domu. Że to fałszywe wezwanie na pager i ta jej historyjka są częścią misternego planu mającego na celu skojarzenie ze sobą Milli i True Gallaghery. Mimo wszystko wciąż miał nadzieję.

Ale dom był ciemny, w żadnym z okien nie paliło się światło. Zapłacił sownie taksówkarzowi, potem powlókł się do drzwi frontowych i otworzył je. Mechanicznym ruchem wyłączył alarm i zapalił światła

Zastanawiał się, jaką bajkę opowie mu Susanna po powrocie do domu. Zastanawiał się, gdzie ona może być. Zastanawiał się, co on ma, do cholery, teraz zrobić.

**

Może True nie wrócił jeszcze do samochodu, może usłyszy jej krzyk. Myśli galopowały przez głowę Milli usiłującej z całych sił opanować własne, ściśnięte do granic możliwości gardło. Ale czuła się jak w koszmarnym śnie: chcesz krzyczeć, ale nie jesteś w stanie wydobyć z siebie głosu. Jedyne dźwięk, jaki udało jej się wycisnąć z gardła, brzmiał jak cichy pisk przerażonej myszy. Zresztą momentalnie urwał się, gdy czyjaś dłoń zakryła jej usta, a twarde, stalowe ciało przyparło ją do ściany

- Óóó - syknął niski głos. - Nie krzycz. To tylko ja.

Tylko on? No dobrze, wiedziała już, że to Diaz - świetnie. Jakoś nie odebrało jej to chęci do wycia z przerażenia. Fizycznie czuła, jak jej serce tłucze się w klatce piersiowej. Prawie cieszyła się z tego wbicia w ścianę, bo nie sądziła, by roztrzęsione kolana dały radę ją teraz utrzymać.

Poczuła, jak mężczyzna odsuwa się na bok, usłyszała kliknięcie - i przedpokój zalało łagodne światło. Z zewnątrz dochodził odgłos pracującego silnika, a po chwili - odjeżdżającego samochodu True.

Diaz cofnął dłoń. Jego twarz była nieruchomą maską, w oczach miał tylko lód.

- Jest coś między tobą a Gallagherem? - zapytał. Uderzyła go. W ramię, w rękę, potem złapała torebkę i walnęła go w głowę.

- Niech cię szlag! - krzyknęła łamiącym się głosem. - O mało nie dostałam przez ciebie zawału!

Rozkleiła się zupełnie: po policzkach pociekły jej łzy strachu i ulgi. Drżąc, osunęła się na krzesło przy stoliku z lampą. Niezdarnie przeszukiwała torebkę w poszukiwaniu chustki.

Tymczasem twarz Diaza wyrażała wreszcie jakieś emocje: wyglądał na zdruzgotanego świadomością, że Milla go uderzyła, i prawdopodobnie równie zaskoczonego tym, iż jej na to pozwolił.

Sama była zdziwiona własnym brakiem opanowania, tym, że Diaz tak sobie beczynnie stał, zamiast rzucić się na nią, złamać jej rękę albo przynajmniej cisnąć nią o podłogę. Otworzyła usta, szukając słów przeprosin, ale zamiast tego uderzyła Diaza w nogę.

- Niech to szlag - szepnęła, próbując wytrzeć obficie lecące łzy chusteczką. Z makijażu zostały pewnie żałosne resztki. Gdy o tym pomyślała, miała ochotę walnąć go jeszcze raz.

Przykucnął przed nią, ich oczy były teraz na tym samym poziomie.

- Nie chciałem... Ja... Przepraszam.

Ostrożnie wyciągnął rękę i zamknął dłoń Milli w swojej dłoni. Zrobił to niepewnie, jakby zdarzyło mu się to po raz pierwszy i nie był pewien, jak ma sobie z tym poradzić. Jego palce były twarde, gorące, powierzchnia dłoni szorstka. Delikatnie pocierał kciukiem jej kostki.

- Wszystko w porządku?

- Pytasz o to, czy moje serce wróci kiedyś do normalnego rytmu? - parsknęła, a potem nagle roześmiała się histerycznie.

Adrenalinowy kopniak był tak silny, że nie była w stanie stanąć na nogach; oparła więc głowę o ścianę i chichotała, ocierając twarz chusteczką.

I wtedy stał się cud. Kąciki ust mężczyzny powędrowały w górę.

Milla była tak zaskoczona widokiem uśmiechu na twarzy Diaza, że zapomniała o śmianiu się i tylko patrzyła, szeroko otwartymi oczami, na rozbawionego mężczyznę. Jej serce, które zaczęło już się powoli uspokajać, znów wpadło w nerwowy rytm. Tym razem nie ze strachu. Zrobiło jej się bardzo gorąco i poczuła wszechogarniające drżenie. Diaz trzymał ją za rękę i uśmiechał się. Teraz właśnie powinna wrzeszczeć z przerażenia: była zapewne w większym niebezpieczeństwie niż kilka chwil temu.

- Co...? - spytał skonsternowany jej uporczywym spojrzeniem.

- Uśmiechasz się.

Wyglądało to tak, jakby zrzucił maskę i pozwolił jej patrzeć na coś, czego normalnie nie pokazuje światu. Zdumienie, troska, konsternacja, rozbawienie - wszystkie te uczucia zagościły na chwilę na jego twarzy Milla najbardziej bała się czego innego: że na tej twarzy zobaczy również pożądanie. Oswobodziła rękę i zaczęła po kobiecemu doprowadzać się do porządku: odgarniać kosmyki włosów z twarzy poprawiać sukienkę, osuszać oczy, usuwając rozmazany tusz do rzęs.

- Uśmiecham się czasem - odparł, jakby zdziwiony, że tak ją to zaskoczyło.

- Kiedy?

- Nie wiem, nie prowadzę zapisków. Czasami nawet się śmieję.

- Śmiałeś się już w tym roku?

Chciał coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował.

- Chyba nie - wzruszył ramionami, kąciki jego ust znów powędrowały w górę. - Uderzyłaś mnie torebką.

- Przepraszam - powiedziała. - Byłam taka wystraszona, puściły mi nerwy Coś ci zrobiłam?

- Żartujesz.

- No... nie wiem. Przecież walnęłam cię w głowę.

- Ech, babskie ciosy

Miał rację. Milli zrobiło się głupio. Trenowała tyle czasu, próbując przemienić się w nieustraszoną wojowniczkę, gotową stawić czoło dokładnie takim sytuacjom jak ta w ciemnym przedpokoju. Tymczasem zamiast zrobić cokolwiek efektywnego, automatycznie przyjęła czysto kobiecą postawę. Gdyby zamiast Diaza był tu, powiedzmy, Pavon, Milla nie doczekałaby świtu.

Diaz wciąż kuczał tuż przed nią, czuła jego ciepło na nogach. Krótkie włosy mężczyzny były rozczochrane, tak jakby przeczesał je dłonią, gdy były mokre. Pierwszy raz Milla miała okazję obejrzeć go gładko ogolonego. Miał na sobie swój zwykły ubiór: koszulkę, dzinsy i czarne ciężkie buty. Światło lampy podkreślało surowość jego rysów, sprawiało, że jego oczy zdawały się głębiej osadzone, a usta wydawały się pełniejsze i bardziej miękkie.

Desperacko starała się opanować drżenie. Dotychczas miała nadzieję, że ewentualna pozytywna reakcja jej ciała na bliskość Diaza

okaże się tylko wytworem wyobraźni pobudzonej ponurą aurą, którą roztaczał wokół siebie mężczyzna. Kobiety często fantazjowały o niebezpiecznych i brutalnych samcach alfa, ale w rzeczywistości wolały normalnych, spokojnych facetów. Tylko że to nie była już fantazja, a mimo to Milla musiała powstrzymać własną rękę, już prawie zmierzającą ku ustom Diaza. Nie. To nie był tylko niegrzeczny chłopiec; to był zły i nieobliczalny mężczyzna. Lepiej, żeby nie zapomniała o tej różnicy. On nie grał po stronie dobra.

Ale teraz byli sami w domu, w małym kręgu światła; Milla wiedziała, że wystarczy, by rozchyliła nogi, a on już będzie wiedział, co robić. Nie dał żadnego sygnału, nie zdradził się w żaden sposób, że o tym myśli - ale ona wiedziała, że nie pogardziłby nią. Zrobią to, a potem Diaz zniknie w ciemności, zapominając o tym spotkaniu szybciej niż o dobrym obiedzie.

Zatem siedziała na krześle i trzymała kolana razem. Nigdy nie uznawała rekreacyjnego seksu, ceniła się trochę wyżej.

- Gallagher cię pocałował - powiedział Diaz, dając jasno do zrozumienia, że widział wszystko z okna, jako że drzwi nie miały żadnej szybki. Twarz mężczyzny stygła szybko, zmieniając się w znajomą, nijaką maskę bez wyrazu.

- Wbrew mojej woli - odparła; z jakiegoś powodu czuła, że winna jest mu wyjaśnienie. - Chce się ze mną spotykać, a ja wciąż odmawiałam.

- Czemu byłaś z nim dziś wieczorem?

- Byłam na kolacji z przyjaciółmi i True napatoczył się przypadkiem. Ci przyjaciele, oboje, są lekarzami i babka została wezwana do szpitala, do nagłego przypadku. Zabrała ich samochód, więc True odwiózł mnie do domu swoim, a Rip wziął taksówkę.

Diaz milczał, rozważając coś w ciszy. Wreszcie pokręcił głową.

- Nie pomogę ci, jeśli będziesz się z nim zadawać.

- W porządku, nie będę - nawet nie obruszyła się na to dziwne ultimatum, bo akurat doskonale współgrało z jej osobistymi uczuciami.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Znasz go, prawda?

- Spotkaliśmy się już.

No proszę. A True, pytany wprost, nic takiego nie powiedział. Zamiast tego udawał, że szuka informacji. Może myślał, że bezpieczniej będzie, jeśli Milla nigdy nie spotka Diaza na swojej drodze. Jednak ona wolała sama podejmować decyzje i ryzyko. Trzymając ją z dala od Diaza, True odcinał Millę od kluczowych informacji.

- Znalazłeś Pavona?

- Pracuję nad tym. Mam trop. Chociaż myślę, że facet postara się zapaść gdzieś na miesiąc czy dwa. Usłyszałem, że go szukam.

No tak. Usłyszawszy taką informację, każdy myślący człowiek „zapadłby się gdzieś” na o wiele dłuższy czas. Na przykład na resztę życia.

- Więc co cię sprowadza, skoro nie masz żadnych nowych informacji?

- Chciałem ci opowiedzieć o czymś interesującym. Jeden z moich informatorów wie coś o grupie porywaczy dzieci działającej około dziesięciu lat temu.

Milla zamarła, czując zimne ciarki pełzające wzdłuż kręgosłupa. Z trudem nabrała powietrza: ściśnięte płuca zaboląły

- Co ci powiedział? - zapytała zdławionym głosem.

- Jak na bandyckie standardy były to operacje wysokiej klasy. Dzieci przekraczały granicę na pokładzie małego prywatnego samolotu. Nie były upychane po bagażnikach samochodów i przewożone.

Westchnęła cicho, wciąż nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Samolot! A miała już koszmary o Justinie umierającym powoli w dusznym, ciasnym bagażniku, a potem wyrzucanym do rowu jak śmieć.

- To niekoniecznie musi być ta sama grupa, która porwała twoje dziecko - zastrzegł Diaz. - Ale czas mniej więcej się zgadza, rejon również: działali w południowym Chihuahua i Coahuila. Mieli człowieka tu, w El Paso, który załatwiał akty urodzenia dla dzieci, by można je było legalnie adoptować.

Akty urodzenia... To musiał być ktoś pracujący w administracji lub w szpitalu. Justin urodził się w Meksyku i tam załatwiono im wszystkie papiery; Milla nie wiedziała nawet, jak wystawia się akty urodzenia. Nigdy tego nie sprawdzała.

- Dziś to by się już nie udało - powiedział Diaz, jakby czytając w jej myślach. - Wszystko jest skomputeryzowane. A tamte akty urodzenia mogły pochodzić z każdego stanu.

- Wiem - odparła. Dokumenty adopcyjne także były poufne, chyba że matka biologiczna życzyła sobie inaczej. Kolejny problem. Nie było sensu szukać nagłego, zauważalnego przyrostu liczby urodzeń w jakimś hrabstwie. Lewych certyfikatów mogło być około kilkuset rocznie. A w hrabstwie, w którym leżało duże miasto z dynamicznie zmieniającą się populacją, taka fluktuacja byłaby zgoła niemożliwa do wychwycenia. Z drugiej strony, duże miasta miały systemy komputerowe w ratuszach już dziesięć lat wcześniej. Bardziej prawdopodobne zdawało się więc małe wiejskie hrabstwo, którego nie stać było na komputery do prowadzenia ksiąg, gdzie wszystko robiło się na papierze. Powtórzyła to wszystkowi Diazowi, a on kiwnął głową.

- Czego byś szukała?

- Aktów urodzenia wydawanych po kilka naraz. Ile dzieci może przyjść na świat w małym hrabstwie w ciągu dnia czy tygodnia? A niechby i miesiąca? Jeżeli w którymś miesiącu zarejestrowano liczbę urodzeń większą od przeciętnej, sprawdziłabym to.

Diaz milczał, myśląc nad jej słowami.

- Wszystko wskazuje na to, że grupa rozpadła się po katastrofie tamtego prywatnego samolotu - powiedział wreszcie.

Słowa zamarły Milli na ustach, a nadzieja zamieniła się w nowy koszmar.

- Kiedy?

- Około dziesięciu lat temu. Wszyscy zginęli, również sześcioro dzieci.

*

**

Długo po jego wyjściu Milla siedziała bez ruchu, patrząc na swoje dłonie. Życie nie mogło być tak okrutne. Bóg nie mógł być tak okrutny: pozwolić jej dojść tak daleko, szukać tak długo, aby w końcu stracić ją w czarną otchłań rozpacz. Wiedziała, że Justin wcale nie musiał lecieć tym samolotem, że mogła go porwać zupełnie inna grupa. Ale była to kolejna koszmarna możliwość, przerażające prawdopodobieństwo, z którym musiała teraz żyć.

Może nigdy nie odnajdzie dziecka, ale na pewno nie przestanie go szukać. Odnajdzie ludzi, którzy za tym wszystkim stali. Nie, nie ludzi - potwory. I załatwi ich, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Coś zmieniało się w Milli. Nie mogła sobie teraz pozwolić na przeoczenie żadnego szczegółu, żadnej informacji mogącej pomóc odnaleźć dziecko - jej własne, i jakiegokolwiek inne. Chciała sprawiedliwości. Chciała zemsty

Susanna była tak zmęczona, że gdy wjechała do garażu, nie chciało jej się wychodzić z samochodu. Otworzyła drzwi auta i siedziała w ciszy, z zamkniętymi oczami, próbując zebrać siły. To była bardzo długa noc, a teraz Susanna miała przed sobą dwie godziny snu, pobudkę i wyjazd do szpitala. Potem czekała ją jeszcze praca we własnym gabinecie, umówione pacjentki. Potem wieczorny obchód w szpitalu, powrót do domu i - być może - dopiero wtedy porządnie się wyśpi. Kawa mogła utrzymać ją na nogach, ale nie usuwała uczucia dojmującego zmęczenia.

Zastanawiała się, jak udał się wspólny wieczór True i Milli. Znała przyjaciółkę wystarczająco dobrze, by domyślić się, że ta przejrzała ich podstęp i wcale jej się to nie spodobało.

True myślał, że zdoła zakreślić się wokół Milli, ale nie znał jej tak jak Susanna. Milla należała do kobiet, które zdecydowanie wolą spódnice od spodni, lubią gotować, urządzać wnętrza i pracować z dziećmi. Kiedyś chciała nawet zostać nauczycielką, ale Susannie wydawało się, że to tylko pochodna jej wielkiego sentymentu do dzieci. Paznokcie Milli były zawsze zadbane, jakby dopiero co robiła sobie manikiur. Susanna znała ją jedenaście lat i nie przypominała sobie, by nawet paznokcie u stóp przyjaciółki choć raz nie błyszczały i nie były starannie opiłowane. Nawet kiedy Milla rodziła, miała paznokcie u stóp pomalowane delikatnym różowym lakierem. Musiał to zrobić David; nie było szans, by kobieta w dziewiątym miesiącu

cięży mogła aż tak się schylić. Zresztą David zrobił to z pewnością bez wahania; był absolutnie zadurzony w swojej Milli.

Ale ludzie z wioski, którzy byli świadkami porwania, mówili, że Milla walczyła o dziecko jak lwica. I choć niemal cudem uszła śmierci spod kosy, to tuż po odzyskaniu przytomności myślała już tylko o jednym, miała w życiu jeden cel: odnalezienie syna.

Zmieniła się, celowo. Stała się innym, twardszym człowiekiem. Bywała w miejscach, które omijali szerokim łukiem uzbrojeni mężczyźni. Rozmawiała z bandytami, narkomanami, złodziejami i mordercami. Co ciekawe, choć żaden z nich nie udzielił jej pożytecznych informacji, to również żaden z nich jej nie skrzywdził. Może gdzieś głęboko w ich prymitywnej podświadomości kołatała się myśl: chciałbym, żeby moja matka tak mnie szukała, może chcieli, by ich matka była choć trochę taka jak Milla.

Pewne znaczenie miało także to, że była młoda i atrakcyjna, a jej piękne brązowe oczy kusily niejednego. Siwe pasmo we włosach przyciągało spojrzenia, a także nie pozwalało zapomnieć o koszmarze, który przeszła ta kobieta. Była już wszędzie: w telewizji, na okładkach magazynów, w biurze prezydenta Meksyku, u Federalnych, u Straży Granicznej, rozmawiała z każdym, kto mógł pomóc. Stała się prawie narodowym symbolem, personifikacją stereotypowego obrazu zrozczonej matki o twarzy napiętnowanej cierpieniem - ale i determinacją. Zerwała nawet kontakty z własną rodziną, by nie przeszkadzały jej w poszukiwaniach Justina.

David został odstawiony na boczny tor. To musiało być cholernie trudne mieć w domu kobietę krzyżowca, myślała Susanna. Okazało się, że Milla ma charakter ze stali, nie pozwalała sobie na żaden kompromis. Kochała Davida, a mimo to od niego odeszła.

Czyżby True wyobrażał sobie, że zdoła go przebić? Nie, wydawało się to Susannie wysoce nieprawdopodobne. Ale on naciskał; przywykł do tego, że „chcieć” oznacza „dostać”. Susanna nie była na tyle głupia, by wyprowadzać go z błędu. Wiedziała lepiej od innych, jak bezwzględny potrafi być Gallagher. Zawsze uważała, by grać z nim jak najostrożniej.

Drzwi prowadzące w głąb domu otworzyły się i stanął w nich Rip.

- Będiesz tam siedzieć całą noc? - zapytał.

O Boże. Czemu on jeszcze nie śpi? Kiedy indziej cieszyłaby się, zastając go czekającego na jej powrót. Ale nie dziś, nie tej nocy. Prawdopodobnie był wkurzony za ten numer z True i Millą, a Susanna nie miała teraz siły na kłótnie.

- Jestem tak skonana, że mogłabym tu zasnąć - powiedziała, wychodząc ciężko z samochodu. - Powinnam była chyba zostać w szpitalu.

- Chyba tak - przyznał, odsuwając się na bok i wpuszczając ją do domu. - Może wtedy byłabyś tam wtedy, kiedy cię szukałem.

Zamarła na moment, ale potem ruszyła przed siebie w górę, po schodach. Cholera! Mogła przygotować sobie jakieś lepsze alibi. Ale skoro Rip oskarżał ją o romans z True, a jednocześnie wiedział, że

Susanny na pewno z nim nie ma... Nie przypuszczała, że w tej sytuacji mąż będzie ją sprawdzał.

- Nie masz nic do powiedzenia? - usłyszała zza pleców jego głos.

- Nie. Jeśli zamierzasz robić mi awanturę o to, że nie usłyszałam pagera albo że pielęgniarka nie mogła mnie znaleźć, to proszę bardzo. Niestety, nic na to nie poradzę. Biorę prysznic i idę spać.

- O nie, nie dzwoniłem do szpitala. Pojechałem tam. Pojechałem do obu. Nie było cię w żadnym z nich. Felicii D'Angelo również nie. Wyszukałem jej numer telefonu w twoim spisie pacjentów i zadzwoniłem. Powiedziała, że czuje się świetnie. Prosiła, by cię pozdrowić.

W mordę. Gówno. Kurwa. Rzeczywiście, trzymała notatnik z danymi pacjentów w domu, dla wygody. Ale od kiedy to z Ripa taki pieprzony Sherlock Holmes?

- Porozmawiamy jutro - powiedziała, bo nie była już w stanie niczego wymyślić. Musiała się porozumieć z True. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, Susanna znakomicie zdawała sobie z tego sprawę. Choćby to, że zaczęła przeklinać; nigdy tego nie robiła, nawet w myślach. Chyba że ostatecznie przyparta do muru.

Nie, zdecydowanie nie wolno jej teraz wdawać się w sprzeczkę z Ripem. Mogła powiedzieć coś, czego potem by żałowała.

Weszła do sypialni, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, czekając na męża. Ciekawe, czy wejdzie - a ona, pchnięta drzwiami, polecą do przodu? Jednak po chwili usłyszała kroki Ripa schodzącego

na dół po schodach do pokoju, gdzie teraz sypiał. Z westchnieniem ulgi Susanna zamknęła drzwi na klucz i poszła do łazienki.

Zadzwoiła z komórki do True. Odebrał po drugim dzwonku; jego głos był czujny i zarazem władczy, jak zwykle.

- Rip mnie sprawdził - powiedziała Susanna. - Wie, że nie byłam w żadnym z dwóch moich szpitali. Zadzwoił nawet do pacjentki, którą miałam się rzekomo zajmować.

- Znajdź sobie kogoś i daj się przyłapać Ripowi na rżnięciu. Wtedy przestanie cię sprawdzać.

Susanna zamknęła oczy; ordynarna odpowiedź True przytłoczyła ją. Najgorsze było to, że miał rację. Jeśli tak właśnie by się stało, Rip dałby spokój z węszeniem. Ale ona nigdy nie zdradziła męża i nie miała takiego zamiaru. Niezależnie od tego, co Rip sobie wyobrażał, a True doradzał.

- Jak poszło z Millą? - spytała.

- Nijak - prawie usłyszała tłumioną wściekłość w jego głosie; już wiedziała, że reakcja Milli pokryła się z jej podejrzeniami.

Nie krzyknęła jednak „a nie mówiłam”. Nie, nie do Gallaghery. Była na to zbyt ostrożna.

- Jest opętana jedną sprawą, poszukiwaniem dziecka - powiedziała zamiast tego. - Nic innego się dla niej nie liczy

- Najwyraźniej logika i rozsądek też nie. Muszę znaleźć jakiś sposób, by nie tracić jej z oczu. Dotychczas nigdy nie stanowiła zagrożenia, ale to zaczyna się zmieniać. Kto jej powiedział o Diazie? Próbuję trzymać ją z daleka od niego, ale boję się, że Milla podejmie

śledztwo na własną rękę. A Diaz jest ostatnim człowiekiem, którego mi tu potrzeba.

Susanna nie знаła Diaza, ale słyszała o nim. Wiedziała ponadto, że True Gallagher nie boi się samego diabła, ale czuje respekt przed Diazem. Ci dwaj musieli się kiedyś spotkać. I z jakiegoś powodu wydawało jej się, że Diaz byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby mógł pomieszać szyki Gallagherowi. Reputacja tego tajemniczego mężczyzny była ponura. Jeżeli Milla zdołałaby nawiązać z nim kontakt i jakimś cudem namówić do współpracy, musieliby podjąć zdecydowane kroki, by się przed nim chronić.

- Podrzucić jej jeszcze kilka fałszywych tropów - zaproponowała.
- Niech pobiega trochę za cieniami.

- Niezły pomysł - zaśmiał się True. - Hej... zaczekaj. Nie dzwonisz z domu? Wyświetla mi się inny numer.

- To moja komórka.

- Cholera! Wiesz jak łatwo to można podsłuchać?!

- Jeśli dzwoniłabym z domowego, to Rip odebrałby w drugim pokoju i właśnie nas słuchał...

- No to znajdź inny sposób, ale nie dzwoń z komórki. Usłyszała głośny dźwięk odkładanej słuchawki.

- Pierdol się - mruknęła Susanna, krzywiąc twarz. No proszę, znowu przeklinała. Zachwiała się ze zmęczenia; przez chwilę kusiło ją, by od razu pójść spać, a prysznic wziąć potem, po przebudzeniu. Nie. Po tym, co robiła, nie mogła położyć się do łóżka bez kąpieli. Oczywiście myła się przed powrotem do domu, ale to nie to samo co

porządny prysznic. Ciekawe, czy tak samo czuła się lady Makbet, próbując zmyć z siebie niewidzialne plamy krwi.

*

**

True wstał z łóżka zaraz po telefonie Susanny. Ufał jej mniej więcej tak samo jak większości ludzi, ale czasem dziwiła go łatwość, z jaką ta kobieta popełniała kardynalne błędy. Tyle razy powtarzał: żadnych komórek, żadnych telefonów bezprzewodowych. Dzwon z normalnych aparatów podłączonych kablem do ściany Tak było najbezpieczniej. On sam używał czasem telefonów bezprzewodowych, dla wygody - ale ten obok łóżka i ten w biurze były tradycyjne, z kablem.

Będzie musiał wreszcie zadbać o bezpieczeństwo. Skramblery na telefonach. Elektroniczne zabezpieczenia przed próbami podsłuchu mikrofonem kierunkowym. Nie był wprawdzie jeszcze tak grubą rybą w tym biznesie, by komukolwiek chciało się angażować wiele sił i środków w rozpracowanie go, ale się rozwijał. Jeszcze rok, góra dwa, i będzie mógł się wycofać, zabierając ze sobą okrągłą sumkę. Powiedzmy szczerze: małą fortunę, która oczywiście będzie wymagać inwestowania i nadzorowania, ale w zasadzie taka kupa pieniędzy rośnie już dalej sama. Jeszcze tylko kilka lat bez żadnej wpadki i katastrofy

Działania Milli nigdy go specjalnie nie niepokoiły, no, może trochę jej nieustępliwość. Osobiście zadbał o to, żeby nikt nie udzielił jej żadnych istotnych informacji. Miał ją na oku dzięki Susannie i

innym informatorom; w pewnym sensie - ku własnemu zdziwieniu - nawet podziwiał jej postawę, to, że nigdy się nie poddawała. Jego własna matka na pewno nie wykazałaby się takim poświęceniem. Wreszcie, gdy Milla zaczęła organizować imprezy połączone ze zbieraniem funduszy na swoją organizację, True wyszedł z cienia. Dał się poznać jako hojny sponsor, powoli zbliżał się do Milli i zdobywał jej zaufanie. Czy można wyobrazić sobie lepszy sposób na trzymanie spraw pod kontrolą? Był ich sponsorem. Choć rozmawiali głównie o pracy i potrzebach fundacji, to Milla zapytana wprost o swoje sprawy prywatne nie odmawiała odpowiedzi. True nie omieszkał pytać często.

Był tylko jeden szkopuł: Milla mu się podobała. Tak, chciał się z nią przespać. Zobaczyć ją nagą. Bawić się tymi miękkimi kręconymi włosami. Trzymać mocno, brutalnie, gdy będzie ją rznął. Nie mógł tego zrozumieć, bo Milla wcale nie była w jego typie - ani specjalnie zmysłowa, ani wyzywająca, w zasadzie nawet nie taka znowu ładna. Ale miała swój styl, szyk, no i te brązowe oczy, w których można było utonąć.

To byłoby naprawdę bez sensu, gdyby musiał ją zabić. Nie chciał tego. Choćby z tego powodu, że Milla była już bardzo znaną osobą. Ludzie kojarzyli jej twarz, nazwisko, historię. Jeśli cokolwiek stałoby się Milli, wiadomość o tym trafiłaby na nagłówki wszystkich gazet, a to oznaczało nieuchronne i skrupulatne śledztwo na szeroką skalę.

Była wystarczającym zagrożeniem dla Gallaghera, by miał na nią oko. Pilnował jej osobiście od dziesięciu lat. Udało mu się podciąć

jej skrzydła i znacząco zminimalizować efektywność jej działań. Eliminując ją teraz, strzelałby z armaty do wróbla. Nie, nie chciał dać się ponieść emocjom i ściągnąć na tę okolicę niepotrzebną uwagę. Były inne sposoby na spacyfikowanie tej wścibskiej kobiety

Najlepszy byłby romans. Wtedy wiedziałby wszystko o jej planach i działaniach, mógłby też zawczasu przygotować własne. Zdawał sobie sprawę z tego, że nawet się jej podobał, wiedział też, iż Milla miała po rozwodzie kilku facetów. To dowodziło, że nie zrezygnowała zupełnie z życia osobistego. Ale True nie docenił jej poświęcenia i zaangażowania w najważniejszą sprawę. Gdy poczuł, jak kobieta sztywnieje w jego ramionach, jak odrzuca jego namiętny pocałunek, zrozumiał, że Milla nie zmieni zdania. Gdyby nalegał, mogła zupełnie zerwać z nim kontakty i przestać traktować jak przyjaciela.

Musiał teraz odpuścić, a to mu się nie podobało. Czuł się rozczarowany i podniecony jak nastolatek. Widział teraz, jak prymitywnie rozegrali to „przypadkowe” spotkanie w restauracji. Susanna zaaranżowała to z ich człowiekiem siedzącym na tej samej sali: gdy tylko True dosiadł się do stolika, tamten zadzwonił na pager lekarki, udając wezwanie do szpitala. Milla z pewnością przejrzała ten dziecinnie prosty spisek na wylot.

No dobrze, wycofa się. Ale nie podda. W końcu będzie ją miał; w jednej rzeczy byli bowiem do siebie bardzo podobni: nigdy się nie poddawali.

*

**

Gdy następnego ranka Milla przyklejała sobie nowy plasterek antykoncepcyjny, zorientowała się, że ma zapas już tylko na miesiąc. W związku z tym uznała, że trzeba zadzwonić do gabinetu Susanny i załatwić sobie kolejną receptę. Była w tych sprawach bardzo ostrożna: wiedziała, na jakie ryzyko jest narażona podczas swoich niebezpiecznych wojaży. Zapisała sobie na kartce, by skontaktować się z Susanną; nie ufała własnej pamięci. Z jednej strony czuła się pobudzona, a z drugiej oklapnięta. Stres poprzedniej nocy bardzo wyczerpał ją fizycznie i psychicznie, jednak mimo to działała na wysokich obrotach, w niecierpliwym oczekiwaniu na coś, co miało się zdarzyć.

Spała jak zabita. Już cała ta akcja z True była denerwująca, a Diaz... Po tym krótkim czasie spędzonym z Diazem czuła się, jakby porwało ją tornado, przerzuciło przez połowę kraju, by wreszcie cisnąć do lodowatej wody. Przewrzenie, furia, śmiech, pożądanie, rozpacz - wszystkie te uczucia przegalopowały przez duszę Milli w ekspresowym tempie. Potężna dawka adrenaliny wstrzyknięta w żyły sprawiła, że kobieta trzęsła się jak osika - a potem po prostu padła na łóżko.

A jednak zaraz po przebudzeniu przypomniał jej się Diaz i jego uśmiech w żółtym świetle lampy. W półśnie, w którym jeszcze trwała, jej wyobraźnia ustawiła ich dwoje w innej pozycji: mężczyzna

pochyłał się nad leżącą Millą, mrużąc oczy, wciąż z tym samym dyskretnym uśmiechem na ustach wchodził w nią...

Dość. Powstrzymała niebezpieczną fantazję, drżąc lekko z podniecenia - choć nie pozwoliła swojej wyobraźni pójść nawet o krok dalej. To i tak było o wiele za dużo. Pożądała przedtem innych mężczyzn i miała związane z nimi fantazje seksualne. Ale żaden z nich, nawet David, nie zdołał dotychczas nakłonić ją do zboczenia z twardego, dawno temu obranego kursu.

Diazowi się udało. Pójście z nim do łóżka byłoby pomyłką na gruncie czysto osobistym, ale nie to ją martwiło: taki obrót spraw mógł postawić pod znakiem zaufania całą ich współpracę. W imię dobra Justina Milla nie śmiała naruszać chwiejnej równowagi. Wiedziała i rozumiała wszystko, a jednak wciąż pragnęła zbliżenia z Diazem. Chciała go posmakować, dotknąć i poczuć w sobie.

Diaz nigdy jej nie pocałował, ledwie musnął jej dłoń. A przecież jego łagodny uśmiech natychmiast zdołał zatrzeć przykre wspomnienie brutalnych karesów True Gallaghery.

Musiała wziąć się w garść, zanim zrobi coś głupiego. Jeżeli właściwie oceniała Diaza, to ten facet mógł w każdej chwili rozpląnąć się w powietrzu, poczuwszy, że Milla zbyt mocno klei się do niego lub próbuje stawiać jakieś uczuciowe wymagania. Ona sama nie ufała sobie na tyle, by uznać, że na pewno tak się nie stanie. Nie czuła się tak od czasu... Właściwie nigdy tak się nie czuła. Z Davidem była absolutnie bezpieczna w miłości. Mąż nie dawał jej najmniejszych powodów do niepewności czy emocjonalnego niepokoju. Diaz był

zupełnym przeciwieństwem Davida: mógł zaoferować kilka rzeczy, ale nie było wśród nich bezpieczeństwa.

Zdała sobie sprawę, że zachowuje się teraz tak jak znakomita większość kobiet: wpada w obsesję. Powinna wyrzucić tego mężczyznę z głowy i z serca, skupić się na tym, co naprawdę musi być zrobione. Poszukiwacze byli o niebo ważniejsi niż libido Milli.

Jadąc do pracy, zadzwoniła do gabinetu Susanny Przetrzymano ją kilka minut - podczas których dzielnie przebijała się przez poranne korki - a potem oznajmiono, że doktor Susanna chciałaby ją zbadać; minęły już dwa lata od poprzedniej wizyty

Niech to. Westchnąwszy ciężko, Milla zgodziła się i ustaliła datę wizyty, zapisując ją na tym samym świstku, na którym było przypomnienie „zadzwoń do Susanny”. Miała nadzieję, że nie będzie wtedy nic ważniejszego do roboty

Weszła do biura Poszukiwaczy i od razu zobaczyła Briana wiszącego nad biurkiem Olivii. Mruczał coś niskim, zmysłowym głosem i patrzył na nią tym maślanym wzrokiem, który jest tak typowy dla facetów, gdy...

Milla z niedowierzaniem popatrzyła na Olivię, która pochylała się ku Brianowi, wyciągając na biurku splecione ręce: w ten sposób ramiona podtrzymywały jej piersi wyglądające teraz na większe, pełniejsze.

No tak, pomyślała Milla. To nie tylko mój problem. Biuro zwane pożądaniem, bez dwóch zdań.

- Bursztynowy Alarm w Lubbock! - krzyknęła Joann ze swojego pokoju.

Po minucie wszyscy mieli już opis dziecka, trzyletniej dziewczynki porwanej z własnego podwórka. Samochód: ciemnozielony nowoczesny ford, półciężarówka. Kierowca: biały mężczyzna, około trzydziestki, długie jasne włosy Oczywiście zatrzymaniem faceta zajmie się policja z Lubbock, niemniej jednak Poszukiwacze uruchomili wszystkich swoich tamtejszych współpracowników, wysłali ich na ulice i autostrady uzbrojonych w telefony komórkowe, opis samochodu i rysopis porywacza.

Po czterdziestu pięciu pełnych napięcia minutach zlokalizowano wreszcie samochód i powiadomiono policję. Kiedy radiowóz dogonił auto i zamrugał światłami, kierowca potulnie zjechał na pobocze. Okazało się, że porwanie to efekt sprzeczki rozwiedzionego małżeństwa: poszukiwana dziewczynka była córką ściganego mężczyzny, zresztą bardzo zadowoloną z przejażdżki z tatą. Rozplakała się, kiedy policjant zabierał ją ojcu.

- Ech, ludzie - parsknęła zniesmaczona Milla, ostentacyjnie uderzając czołem o biurko. - Czemu oni robią takie rzeczy swoim dzieciom?

- Bo tak - odpowiedziała inteligentnie Joann, a potem z przejęciem sapnęła: - Zgadnij, kto nas właśnie odwiedził.

Milla uniosła głowę. Jej serce natychmiast przyspieszyło, gdy zobaczyła Diaza idącego tym swoim kocim krokiem przez biuro. Wszystkie głowy odwracały się w jego stronę, rozmowy milkły Brian

wyprostował się, uważnie obserwując przybysza: wyczuł obecność drapieżnika zagrażającego stadu. Zapewne rozpoznał Diaza, widzieli się tydzień wcześniej w trakcie poszukiwań małego Maksa, ale najwyraźniej nie zmniejszało to jego niepokoju.

Diaz zatrzymał się w drzwiach pokoju Milli, a potem przesunął się nieco na bok, by nikt nie mógł zajść go niepostrzeżenie od tyłu.

- Przejedźmy się na drugą stronę granicy - powiedział. Jego twarz była dobrze znaną maską bez żadnego wyrazu.

- Teraz?

- Jeśli jesteś zainteresowana - wzruszył ramionami.

- Zainteresowana czym? - spytała, choć wiedziała, że Diaz mógł pojawić się tylko z nowymi informacjami o sprawie Justina. -
Zaczekaj, przebiorę się - dodała szybko, wstając. Miała na sobie letnią sukienkę i sandały

- Nie ma potrzeby. Jedziemy do Juarez.

Złapała torebkę, pospiesznie upewniając się, że jest w niej wszystko, czego może potrzebować.

- Jedźmy więc - rzekła.

- Pojedziemy moim - odezwał się Diaz, kiedy zeszli już na dół po zewnętrznych schodach budynku. Wskazał na przybrudzoną niebieską półciężarówkę.

- Przejeżdżamy przez granicę czy przekraczamy ją pieszo?

- Pieszo. Tak będzie szybciej.

- Mam zorganizować dla nas samochód po tamtej stronie? Mogę zadzwonić i załatwić to - powiedziała, przytrzymując sukienkę i wsiadając do wysokiego samochodu.

- Nie trzeba. Mam już auto po drugiej stronie.

- Co robimy? Do kogo jedziemy?

- Być może do siostry człowieka, który pchnął cię nożem.

scandalous

Przeszli przez jeden z mostów granicznych, okazując swoje prawa jazdy: to wystarczało, jeśli turyści nie zamierzali opuszczać strefy przygranicznej. Diaz odpiął swoją komórkę od pasa i odbył krótką rozmowę; po niecałych dziesięciu minutach uśmiechnięty nastolatek podjechał zardzewiałym chevroletem półciężarówka. Diaz dał chłopakowi dwadzieścia peso, otrzymując w zamian kluczyki od samochodu. Nastolatek błyskawicznie zniknął w tłumie.

To auto było jeszcze wyższe niż samochód Diaza. Otworzywszy drzwi, Milla szukała jakiegoś uchwytu, który pomoże jej wspiąć się na siedzenie. Zanim zdążyła się zorientować, Diaz podszedł do niej z tyłu, złapał ją w tali i wsadził do środka, prosto na fotel.

Zapięła pasy; mężczyzna obszedł w tym czasie samochód dookoła i wsiadł za kierownicę. Milla wciąż drżała, jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości.

- To jest być może siostra tamtego człowieka? - spytała.

- Nie wiem na sto procent. Przekonamy się.

Przechylił się w jej stronę, otworzył schowek i wyjął stamtąd duży pistolet maszynowy w kaburze z paskiem. Położył go na siedzeniu pomiędzy nimi.

- Jak ją znalazłeś?

- To nieistotne - odparł, a ona zrozumiała. Miał swoich informatorów i swoje metody. Nie miała ochoty zawierać z nimi bliższej znajomości.

Diaz zręcznie poruszał się po hałaśliwych, zatłoczonych ulicach Juarez, wjeżdżając coraz głębiej w dzielnice tak obskurne, że Milla nie wiedziała, czy płakać nad nimi z żalu, czy może lepiej schować się pod deskę rozdzielczą. Cieszyła się, że Diaz jest uzbrojony, żałowała, iż sama nie ma żadnej broni. Uliczki były tu wąskie i zapchane. Zrujnowane domy i rozsypujące się baraki napierały na nich z obydwu stron. Ziemię pokrywała gruba warstwa śmieci. Rozkrzyczane wyrostki i posepni mężczyźni ostentacyjnie obserwowali samochód, patrząc z nieukrywaną wrogością; można było wyczytać z ich twarzy jak najgorsze zamiary. Ale kiedy dostrzegali, kto prowadzi półciężarówkę, szybko odwracali wzrok.

- Twoja sława cię wyprzedza - zauważyła Milla.

- Byłem tu kiedyś.

I zostawiłem po sobie niezłe wspomnienia, pomyślała, patrząc na reakcje miejscowych.

Wzdłuż całej ulicy stały zniszczone i pordzewiałe samochody, ale Diaz znalazł miejsce do zaparkowania. Wysiadł, przypiął sobie broń do uda i sprawdził, jak pistolet wychodzi z kabury. Zadowolony, obszedł auto i otworzył drzwi Milli. Wysadził ją z samochodu i zamknął drzwi na kluczyk. Jego spojrzenie napotkało wzrok ponurego mężczyzny patrzącego na nich z odległości około dziesięciu metrów. Diaz dał mu znak, lekko przechylając głowę na bok.

Facet podszedł do nich ostrożnie.

- Jeżeli wrócę i zobaczę, że mój samochód jest w porządku, dostaniesz sto dolarów. Amerykańskich. Jeżeli ktoś go tknie, znajdę cię - powiedział płynnie Diaz po hiszpańsku.

Mężczyzna energicznie pokiwał głową i zajął pozycję na straży półciężarówki.

Milla nawet nie pytała, czy to konieczne: wiedziała, że tak. Ale ten pistolet...

- Będziesz tak nosił broń na wierzchu? A jeśli zobaczą cię preventives? - chodziło jej o mundurowych meksykańskich gliniarzy patrolujących ulice.

- Rozejrzyj się dookoła - parsknął. - Myślisz, że często tu zaglądamy? Poza tym chcę, żeby ludzie widzieli tę broń, i chcę mieć ją pod ręką w razie potrzeby

Ta wielka kabura na udzie upodobniała go do jakiegoś współczesnego rewolwerowca wyjętego spod prawa. Nawet jego sposób chodzenia: miękki, doskonale zbalansowany, przywodził na myśl dawne kowbojskie czasy. Milla bez trudu wyobraziła sobie Diaza z pasami ładownic skrzyżowanymi na piersi i z zawiązaną wokół głowy kolorową chustą skrywającą dolną połowę twarzy

Szedł powoli, zagłębiając się w labirynt coraz węższych i coraz bardziej nieprzyjemnych uliczek. Milla podążała tuż za nim, zasłaniając się kurczowo ścisnątą torebką. Najwyraźniej nie szła wystarczająco blisko, bo Diaz złapał ją lewą ręką za prawy nadgarstek i przyciągnął do siebie. Włożył jej dłoń za swój pasek.

- Trzymaj się i nie zostawaj z tyłu. Tak jakby miała na to ochotę.

Starła się patrzeć pod nogi, tym bardziej że miała na stopach sandały. Cóż, nie podzielała zdania Diaza wyrażonego w biurze, że nie musi się przebierać. O wiele lepiej czułaby się w spodniach i w porządnych butach - i do tego jeszcze w kamizelce kuloodpornej. Tymczasem lawirowała pomiędzy śmieciami i innymi odpadami nieokreślonej proveniencji, w których naturę wołała nie wnikać.

Prawa dłoń Diaza spoczywała na kolbie pistoletu: nie trzymała jej, tylko leżała lekko, gotowa w każdej chwili do działania.

Mężczyzna skręcił w uliczkę jeszcze węższą od poprzednich i zatrzymał się przed drzwiami, które dawno temu pomalowano na niebiesko. Teraz pozostały na nich już tylko ostatnie ślady farby, a dziury w drzwiach zakryto kartonem przytwierdzonym taśmą samoprzylepną. Diaz zapukał w przegniłą framugę.

Ze środka dobiegło szuranie, potem drzwi uchyliły się na centymetr i przez szparę spojrzano na nich ciemne oko. Jego właścicielka wydała z siebie stłumiony pomruk, najwyraźniej rozpoznając przybysza.

- Lola Guerrero - powiedział twardym i rozkazującym tonem.

- Si - odparła kobieta ostrożnie.

Diaz wyciągnął rękę i pchnął drzwi do środka. Lola wydała z siebie pisk protestu i cofnęła się o kilka kroków. Mężczyzna tylko zajrzał do wnętrza, pozostając na progu, gospodyni zawahała się. Diaz milczał. I czekał. Światło w domku było słabe, przyćmione, ale mimo to Milla zauważyła ciekawskie spojrzenia, które rzucała na nią Lola.

Może ośmieliła ją trochę obecność drugiej kobiety, bo w końcu mruknęła „Pase” i wpuściła ich do środka.

Wewnątrz domu panował zaduch. Pojedyncza naga żarówka świeciła się w małej lampce stojącej w rogu pomieszczenia. Stary wentylator, wiatrak bez drucianej osłony, warczał głośno, poruszając gęste powietrze. Lola wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, była pulchna i miała zdrową cerę, co świadczyło o tym, że choć mieszka w slamsach, głodu na pewno nie cierpi.

W dłoni Diaza pojawiły się banknoty; podał je kobiecie. Zmierzyła sceptycznym wzrokiem wyciągniętą rękę, a potem szybkim ruchem porwała pieniądze, tak jakby bała się, że Diaz zaraz się rozmyśli.

- Masz brata - powiedział do niej mężczyzna po hiszpańsku. - Lorenzo.

Jego sposób przeprowadzania przesłuchań jest dość specyficzny, pomyślała Milla. Nie zadaje pytań, lecz coś oznajmia. Tak jakby już znał wszystkie fakty.

Kobieta skrzywiła się wyraźnie, na jej twarzy pojawił się ból i gorycz.

- On już zabity - powiedziała.

Milla wciąż ścisnęła pasek Diaza; usłyszawszy te słowa, bezwiednie zacisnęła na nim dłoń z całej siły. Zatem był to kolejny trop wiodący w ślepią uliczkę. Spuściła głowę, starając się nie zawyc głośno z rozpaczy i złości. Jakby odbierając jej uczucia, Diaz otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, głaszcząc uspokajająco po rękę.

- Lorenzo pracował z człowiekiem, który nazywa się Arturo Pavon.

Lola przytaknęła, siarczyście spluwając na podłogę. Milla nabrała jeszcze gorszego zdania o jej domu. Twarz starszej kobiety pociemniała od nienawiści. Wyrzuciła z siebie potok hiszpańskich słów; Milla nie załapała wszystkiego - gospodyni mówiła zbyt szybko - ale zrozumiała, że Pavon albo zabił Lorenza osobiście, albo w jakiś sposób doprowadził do jego śmierci. Poza tym usłyszała, że Pavon należy do wyjątkowo parszywych i odrażających zwierząt, które robią najbrzydliwsze rzeczy z innymi śmierdzącymi gadami, a także z własnymi matkami.

Cóż. Najwyraźniej Lola Guerrero także nie przepadała za Pavonem.

Kiedy potok przekleństw się wyczerpał, Diaz wtrącił:

- Dziesięć lat temu Pavon porwał dziecko tej kobiety. Spojrzenie Loli zawisło na Milli.

- Przykro mi, señora - powiedziała cicho.

- Gracias.

Lola także musiała mieć dzieci. Jej wzrok mówił „rozumiem twój ból”. Uniwersalna, mistyczna więź dwóch matek.

- Została ciężko ranna podczas tamtego zdarzenia - kontynuował Diaz. - Drugi mężczyzna pchnął ją nożem w plecy. Myślę, że to był Lorenzo. Twój brat był znanym nożownikiem, potrafił bezbłędnie trafiać w nerkę.

O Boże. Milla zadrżała, zrozumiałwszy, że tamten bandyta celował właśnie w jej nerkę. Chciała teraz ukryć się w ramionach Diaza, schować przed wszechobecnym koszmarem.

Diaz milczał. Jego zimne oczy bezlitośnie mierzyły wzrokiem Lolę.

- To ty zajmowałaś się porwanymi dziećmi - powiedział wreszcie. Milla zeszywniała, gwałtownie unosząc głowę. Lola należała do gangu? Na twarzy gospodyni nie było już widać współczucia, tylko poczucie winy Milla usłyszała gniewny, niski pomruk - i skonstatowała zdziwiona, że ten głos wydobył się z jej własnego gardła. Ręka Diaza silniej objęła jej ramiona, nie pozwalając Milli się ruszyć.

- Moja przyjaciółka wyłupiła Pavonowi oko, walcząc o swoje dziecko. Lorenzo na pewno ci o tym powiedział, nawet jeśli nie widziałaś okaleczonego Pavona. Powinnaś to pamiętać. Powinnaś pamiętać dziecko.

Nerwowe spojrzenie Loli wędrowało od Diaza do Milli i z powrotem, tak jakby kobieta oceniała, kto z tej dwójki stanowi dla niej większe zagrożenie. Jak wszystkie szczury miała dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy: wybrała Diaza. Patrzyła na niego z przerażeniem, zaskoczona, że wie tak dużo. Mogła zacząć łąć - Milla widziała ten zamiar, bez trudu wyczytała go z twarzy kobiety. Lola nie umiała ukrywać uczuć. Nie umiała też odgadnąć, czy Diaz już i tak wie wszystko, czy tylko blefuje. Ostatecznie musiała jednak

zrozumieć, że ten człowiek - stojący przed nią bez ruchu i bez słowa niczym głaz - jest w stanie przejrzeć na wylot każde jej kłamstwo.

- Pamiętam - wymamrotała, przelękając ślinę.

- Co zrobiłaś z dzieckiem?

Paznokcie Milli wbiły się w skórę Diaza. Zamarła, nie mogąc zaczerpnąć oddechu.

- Pięcioro ich było - powiedziała Lola. - Tego samego dnia poleciały samolotem przez granicę. Białe dziecko przynieśli ostatnie. Było z nim dużo kłopotów - rzuciła niepewne spojrzenie na Millę, kontynuując. - Policja bardzo go szukała. Nie mogliśmy czekać.

Samolotem. Milla zacisnęła powieki.

- Czy ten samolot się rozbił? - zapytała zduszonym głosem.

- Nie, nie - ożywiła się Lola, zadowolona, że może przekazać jakąś dobrą wiadomość. - To było później. Inne dzieci.

Nie Justin. On żyje. Żyje! Po wszystkich tych latach wreszcie wiedziała to na pewno. Gdzieś w głębi narodził się w niej płacz, próbując wyrwać się na zewnątrz przez ściśnięte gardło. Wtuliła się w Diaza, niemal osuwając się na ziemię w poczuciu wszechogarniającej, niewypowiedzianej ulgi. Opuściło ją napięcie, które było jej zmorą przez dziesięć długich lat. Stłumiwszy szloch, zwróciła się ponownie do Loli.

- Kto kierował porwaniami dzieci? Do kogo należał samolot? Kto ci płacił?

Zamrugnęła, niepewna, na które z pytań odpowiedzieć najpierw

- Lorenzo. On mi płacił. Miałam płacone z jego działki.

- Kto był szefem?

- A tego to nie wiem - pokręciła głową. - To był bogaty gringo. To on miał samolot. Ale ja go nigdy nie widziałam ani nie słyszałam, jak się nazywa. Lorenzo był bardzo ostrożny: mówił, że poderzną mu gardło, jak się wygada. Ten gringo mówił Pavonowi, ile dzieci potrzebuje, a Pavon je przywoził.

- Porywał - poprawiła ją gwałtownie Milla; jej głos tłumiała nieco koszula Diaza.

- Co stało się z Lorenzem? - zapytał Diaz.

- Gardło mu poderznięli, señor. Pavon to zrobił. Tak jak brat przepowiedział. Mnie tam nic nie gadał, ale musiał coś wychłapać komuś innemu. Lorenzo to głupi był, zawsze. A gardło mu podcięli na przestrożę dla innych, żeby nie zdradzili.

- Kto jeszcze znał tego bogatego gringo7. Lola pokręciła głową.

- Ja znałam tylko Lorenza i Pavona. Mówili obaj, że tak będzie lepiej. Ja wiem, że jeszcze była kobieta, gringa, co im pomagała. Ale nigdy nie mówili mi jej imienia. Ona załatwiała jakieś papiery po tamtej stronie granicy, takie papiery, co tam stało napisane, gdzie dzieci się urodziły

- Wiesz, gdzie mieszkała? W jakim stanie?

- Za granicą - Lola machnęła ręką. - Niedaleko. Nie w Teksasie.

- Nowy Meksyk?

- Może. Nie pamiętam. Ja wtedy nawet nie chciałam słuchać, señor.

- Wiesz, gdzie mieszkał bogaty gringo7.

- Nie, nie - zaprzeczyła, ale jej twarz mówiła co innego. - Ja nic o nim nie wiem.

- A jednak coś słyszałaś.

- Naprawdę nic! Lorenzo myślał, że tamten mieszka gdzieś w Teksasie, może nawet w El Paso. Ale nie wiedział na pewno. Pavon tak, ale Lorenzo nie.

- Gdzie może być teraz Pavon? Lola splunęła ponownie.

- Nie obchodzi mnie ta dzika świnia.

- Więc lepiej niech cię obejdzie - poradził Diaz. - Będzie nam się milej rozmawiało, kiedy zdobędziesz jakieś informacje o Pavonie. Spytam cię o to, kiedy wrócę.

Lola najwyraźniej przeraziła się na samą myśl o powrocie Diaza. Obrzuciła swoją norę zaszczutym spojrzeniem, jakby zastanawiała się, jak najszybciej spakować manatki i zniknąć.

- Możesz uciec - skinął lekko głową Diaz. - Tylko po co? Jeżeli będę chciał cię znaleźć, Lolo Guerrero, zrobię to. Naprawdę. A ja nigdy nie zapomnę, kto jest ze mną, a kto przeciwko mnie.

- Ja rozumiem, señor - pokiwała energicznie głową kobieta. - Będę tutaj. I będę nasłuchiwać wieści.

- Tak zrób.

Diaz puścił Millę, delikatnie odwracając ją w stronę drzwi. Ona jednak okręciła się na pięcie, patrząc na kobietę, która pomogła w porwaniu jej dziecka.

- Jak mogłaś? - spytała, a każde słowo ociekało bólem. - Jak mogłaś pomagać w porywaniu dzieci matkom?

- Ja też jestem matką, senora - wzruszyła ramionami Lola. -1 to biedną. Musiałam czymś nakarmić swoje maluchy

Kłamała w żywe oczy Biorąc pod uwagę jej wiek, dziesięć lat temu nawet najmłodsze z jej ewentualnych dzieci byłoby już w zasadzie dorosłe lub dorastające. Milla stała w milczeniu, czując budzącą się w sobie dziką, nieopanowaną wściekłość. Gdyby naprawdę były jakieś małe, głodne dzieci, ale... Lola robiła to wyłącznie dla pieniędzy Nie była ofiarą. Nie była biedną, zdesperowaną matką gotową na wszystko, by wykarmić swoje dzieci. Nie. Ta kobieta była zła. Tak jak jej brat Lorenzo, tak jak Pavon. Była aktywną członkinią bandy wypełniającą ważną część złowrogiemu planu, niewahającą się przed wpędzeniem w żałobę wielu matek w całym Meksyku.

- Ty kłamliwa suko - warknęła Milla przez zaciśnięte zęby i rzuciła się na Meksykankę.

Chyba jej zamiar był jednak zbyt oczywisty, bo Lola błyskawicznie usunęła się na bok i chwyciła rękę Milli, boleśnie wykręcając ją do góry za plecami. Poszukiwaczka poczuła na gardle zimne ostrze noża.

- Głupia! - wysyczała do ucha Milli; nóż naparł mocniej na skórę, która zaczęła ustępować pod ostrzem klingi.

Potem dało się słyszeć ciche kliknięcie: odgłos odbezpieczania broni. Lola zamarła.

- Wygląda na to, że cała twoja rodzina nieźle radzi sobie z nożem - powiedział Diaz cichym i spokojnym tonem, prawie

szeptając. - Za to moja rodzina, wyobraź sobie, ma silną skłonność do broni palnej.

Zdezorientowana i przestraszona Milla z trudem spojrzała w lewo, na samej krawędzi wzroku dostrzegając Diaza trzymającego pewnie tę swoją wielką giwerę. Lufa opierała się o skroń Loli. Ręka mężczyzny nawet nie drgnęła, w jego oczach była stalowa pewność siebie. I coś jeszcze: zimna, lodowata, trzymana pod nieładną kontrolą wściekłość.

- Rzuć nóż. Liczę do jednego. Jed...

Nie czekał nawet tyle na reakcję kobiety. Lewa ręka Diaza wystrzeliła do przodu, chwyciła dłoń Loli i silnym szarpnięciem wykręciła ją, oddalając od Milli. Dał się słyszeć dziwny odgłos, jakby trzask pękającej suchej gałęzi; Lola zamarła, a z jej gardła wydobył się przeciągły jęk bólu. Nóż upadł na brudną podłogę. W następnym ułamku sekundy ramię Diaza chwyciło Millę i przyciągnęło do jego piersi, zamykając w żelaznym uścisku. Przez cały ten czas lufa pistoletu nawet nie drgnęła, cierpliwie celując w głowę Meksykanki.

Lola cofnęła się chwiejnie, trzymając się za rękę.

- Połamaleś mi kości! - jęknęła, osuwając się na odrapane krzesło.

- Ciesz się, że nie odebrałem ci tego noża i nie wydłubałem nim oczu - odparł Diaz wciąż tym cichym, łagodnym głosem. - Pocięłaś moją przyjaciółkę. A to mi się bardzo nie podoba. Więc chyba jesteśmy kwita, prawda? Chyba że jeszcze coś jestem ci winien. ..
Może drugą rękę?

- Dowiem się tego, co chcesz. Dowiem się - bełkotała Lola, kiwając się w przód i w tył na krześle, spoglądając na niego ze zwierzęcym przerażeniem. Nie patrzyła już na pistolet, tylko na Diaza. Milla rozumiała dlaczego. Jego twarz stała się upiornie nieruchoma, jak martwa, tylko oczy żyły, emanowały furją. Można było dostrzec niszczycielską siłę jego gniewu zaklętą w nieruchomym ciele, wyczuć ją w niesłyszalnych tonach cichego, ciepłego głosu. Diaz nie był człowiekiem, który traci nad sobą kontrolę, gdy ogarnie go wściekłość, wręcz przeciwnie, właśnie wtedy stawał się nieludzko sprawną, śmiertelnie niebezpieczną maszyną.

- Och, i tak to zrobisz, senora. Wydaje mi się, że to trochę za mało.

- Nie, nie - jęknęła Lola. - Proszę, senor Zrobię wszystko, co chcesz!

Przechylił na bok głowę, jakby rozważając propozycję.

- Jeszcze nie wiem, czego chcę. Zastanowię się nad tym i dam ci znać.

- Tak, cokolwiek - potwierdziła kobieta łamiącym się głosem. - Przysięgam.

- Zapamiętaj to dobrze. I zapamiętaj, że nie znoszę, gdy ktoś krzywdzi moich przyjaciół.

- Dobrze, senor, dobrze! Zapamiętam!

Diaz praktycznie wypchnął Millę na ulicę, pobiegli przed siebie. Złapała znów za pasek męzczyzny, ściskając go z całej siły Drugą

dłoń przyłożyła do piekącego gardła: przez palce przeciekła jej ciepła krew. Diaz obejrzał się i obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Musimy oczyścić i zabandażować tę ranę - powiedział, patrząc na gardło Milli. - Nie jest głęboka, ale krew plami ci sukienkę. Na razie trzymaj tam dłoń.

Półcieżarówka stała tam, gdzie ją zostawili, ponury facet trwał na straży Wyprostował się, widząc wracających właścicieli. Zamarł, dostrzegłszy krew na szyi i sukience Milli; tak jakby bał się, że to on zaraz zostanie za to ukarany. Diaz wręczył mu studolarowy zwitek, potem wyciągnął kluczyki i otworzył drzwi. Wsadził Millę do środka, skinął ponuremu i obszedł samochód dookoła, by wsiąść za kierownicę.

- Jedziemy do najbliższego Wal-Martu - oznajmił. - Kupimy coś do ubrania dla ciebie, bandaż i medykamenty

Wal-Mart stał przy Avenue Ejercito Nacional. Milla ścisnęła ranę dłonią, podczas gdy Diaz wyprowadzał auto ze slamsów.

- Coś ty właściwie zrobił z jej ręką? - spytała. Nie zauważyła tego, wszystko działo się zbyt szybko, poza tym martwiła się wtedy bardziej o własne życie. Czyżby Diaz skruszył jakąś kość, po prostu ściskając silnie dłoń tamtej kobiety?

- Złamałem jej prawy kciuk - odparł, rzucając na nią okiem. - Minie trochę czasu, zanim znowu będzie mogła utrzymać nóż.

Milla zadrżała, przypominając sobie nagle, jakiego rodzaju człowiekiem jest Diaz.

- Musiałem - dodał, a ona zrozumiała. Strach był jego najwierniejszym sojusznikiem. To za sprawą strachu ludzie mówili mu rzeczy, których nie zdradziliby nikomu. Strach dawał mu przewagę już na początku. Strach był bronią sam w sobie. Ale by wywoływać ten strach, musiał być także gotów do działania. Brutalnego działania.

- Ona ucieknie.

- Może. Ale wtedy ją znajdę. A ona to wie.

Dojechali do Wal-Martu. Milla została w samochodzie - włączony silnik i klimatyzacja, zamknięte drzwi - podczas gdy Diaz poszedł kupić potrzebne rzeczy. Nie zajęło mu to nawet dziesięciu minut: najwyraźniej kasjerzy, ujrzawszy go, uznali, że „tego pana” należy obsłużyć bez kolejki. Dobrze, że przynajmniej zostawił kaburę z bronią w aucie, inaczej nie obeszłoby się w hipermarkecie bez chaosu przebijającego nawet szal sezonowych wyprzedaży.

Przyniósł butelkę wody, paczkę gazików, tubkę maści odkażającej, plaster, bandaż, a także tanią spódnicę i bluzkę. Milla chciała powiedzieć, że włoży bluzę na wierzch, aby zakryć plamy krwi, ale wtedy zobaczyła, że dół sukienki też jest już zaplamiony.

Pojechali na parking za marketem, z dala od hord kupujących; zaparkowali w takim miejscu, by mieć choć trochę prywatności. Milla zaczęła odpakowywać gaziki, ale Diaz wyjął jej wszystko z rąk, mówiąc:

- Siedź spokojnie.

Namoczył jeden z gazików i przyłożył go do rany na gardle Milli.

- Przytrzymaj - powiedział, przyciskając jej dłoń do opatrunku. Posłuchała, dociskając mocno, by zatamować krwawienie, które osłabło, ale nie chciało ustać. Diaz namaczał kolejne gaziki, wycierając kark i szyję Milli z zaschniętej krwi. Jego dłonie nie ominęły także klatki piersiowej, sięgając przez dekolt sukienki aż po linię biustonosza.

- No dobrze, spójrzmy na to - powiedział, zdejmując jej dłoń z rany. Potem zdjął opatrunek i mruknął z zadowoleniem.

- Nie jest źle. Nie będziesz potrzebować żadnych szwów, ale na wszelki wypadek kupiłem kilka specjalnych plastrów z opatrunkiem.

Nałożył maść odkażającą, a potem przykleił kilka plastrów z opatrunkami tak, by przytrzymać razem krawędzie rany. Na to położył świeżą gazę i przykleił ją plastrem.

- Zużyj resztę gazików na zmycie krwi z rąk i ramion, zanim się przebierzesz - powiedział, skończywszy

- Nie muszę się przebierać - odparła, zgadzając się jednak chętnie na obmycie z zaschniętej krwi. - Mogę przecież wracać w tym.

- Przekraczać granicę w zakrwawionych ciuchach? Nie sędzę. Poza tym musimy jeszcze coś zjeść przed powrotem.

No proszę. Była tak zmęczona, że zapomniała o powrotnej drodze przez granicę. Dokończyła mycie ramion, po czym wyciągnęła z torby bluzkę i spódnicę, aby obedrzeć z nich metki.

- Odwróć się - poprosiła.

Diaz zaśmiał się cicho, a potem wysiadł z samochodu i stanął tyłem do okna. Milla siedziała bez ruchu osłupiała. On się naprawdę zaśmiał? Mówił wprawdzie, że czasem to robi, ale ona nie wierzyła, aż do tej chwili.

O Boże. Obejmował ją mocno. Dotykał w różnych miejscach. A ona wtulała się w jego ramię, wbijała mu paznokcie w pierś.

Taka poufałość była równią pochyłą, po której zjeżdżało się coraz szybciej, od jednego do drugiego zdarzenia, błyskawicznie tracąc nad wszystkim kontrolę. Dziś zajechała już bardzo daleko. Zbyt daleko. Ta ręka opleciona wokół niej wydawała się taka... naturalna. To ramię, w które się wtulała, było idealne - dokładnie tam i dokładnie wtedy, gdy go potrzebowała. Jakby specjalnie dla niej.

Szybko ściągnęła przez głowę zakrwawioną sukienkę, narzuciła bluzkę i wśliznęła się w spódnice. Obie rzeczy były trochę przyciasne, ale na powrót do domu powinny wystarczyć. Kiedy była gotowa, zastukała w szybę. Diaz wrócił do samochodu.

- Co chciałybyś zjeść?

Jej lekko rozedrgany żołądek sugerował, że powinna coś przekąsić. Nawet jeśli będzie miała problemy z utrzymaniem widelca.

- Cokolwiek. Może być jakiś fast food.

Zamiast w McDonalddie zatrzymali się jednak w fonda, jednej z wielu małych rodzinnych restauracyjek. Na zewnątrz budynku, na zacienionym patio, stały trzy stoliki. Tam właśnie poprowadził ją Diaz. Młody, wysoki kelner uprzejmie nie patrzył na bandaż zdobiący

szyję Milli. Zamówiła empanaditas z tuńczykiem i wodę mineralną. Diaz wziął enchiladas i ciemne piwo.

Czekając na jedzenie, Milla bawiła się serwetką: składała ją i rozkładała. Bez przerwy poprawiała swoją bluzkę, która wydawała się jej już zdecydowanie za ciasna. Wreszcie zdecydowała, że nie może dłużej ignorować Diaza. Tym bardziej że on wciąż obserwował ją w milczeniu.

- Czujesz się tu jak u siebie w domu - powiedziała.

- Urodziłem się w Meksyku.

- Ale powiedziałeś, że jesteś obywatelem Stanów Zjednoczonych. Kiedy dostałeś obywatelstwo?

- Przy urodzeniu. Moja matka pochodziła ze Stanów. Tak się złożyło, że urodziła mnie w Meksyku.

Zatem Diaz miał podwójne obywatelstwo, tak jak Justin.

- A twój ojciec?

- Jest Meksykaninem.

Zauważyła, że o matce mówił w czasie przeszłym, podczas gdy o ojcu - w teraźniejszym.

- Twoja matka... nie żyje?

- Zmarła kilka lat temu. Zresztą jestem prawie pewien, że moi rodzice nigdy nie byli małżeństwem.

- Dobrze znasz swojego ojca?

- Mieszkalem z nim całkiem długo. Przez połowę swojego dorostania. Cóż, było to lepsze niż mieszkanie z matką. A ty?

Wyglądało na to, że Diaz wyczerpał już informacje na swój temat, których chciał udzielić. Niech i tak będzie, pomyślała Milla - coś za coś. I opowiedziała mu o swojej rodzinie, o tym, jak oddaliła się od brata i siostry

- Wiem, że to boli mamę i tatę - powiedziała. - Rozumiem to. Ale teraz nie mogę już nawet spokojnie porozmawiać z Julią i Rossem, bo...

Potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. Nie chciała skrzywdzić żadnego z nich, ale z drugiej strony miała ochotę złapać ich za te puste łby i walnąć mocno o solidną ścianę.

- Czy oni mają dzieci? - zapytał Diaz.

- Tak, oboje. Ross ma trójkę, a Julia dwoje.

- Powinni rozumieć, jak się czujesz.

- Ale nie rozumieją. Może nie potrafią. Może trzeba samemu stracić dziecko, żeby zrozumieć. To tak, jakby zabrakło części mnie samej. Tam, gdzie był Justin, została tylko wielka dziura - przygryzła wargę, nie chcąc rozplakać się przy ludziach. - Nie mogę przestać go szukać. To tak, jakbym chciała przestać oddychać.

Diaz zmierzył ją swoim posepnym wzrokiem przenikającym do głębi. A potem pochylił się nad stolikiem, ujął dłonią podbródek Milli, delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Niby taki sobie mały pocałunek, a jednak Milla siedziała zupełnie oszołomiona. To było nie fair z jego strony. Tak wiele stało się w zbyt krótkim czasie! Czuła się rozbita, niepewna, niezdolna do jakiegokolwiek działania. Złapała obiema dłońmi rękę mężczyzny, nie wiedząc, co robić i mówić. Tymczasem on puścił jej podbródek i odsunął się lekko; ona wciąż kurczowo ścisnęła jego rękę.

Te twarde usta okazały się delikatniejsze, niż przypuszczała, i łagodniejsze, niż mogłoby się jej wydawać. Pocałunek nie był namiętny, raczej kojący, ciepły, dobry. Nienawidziła go za to. W ogóle nie powinna chcieć od Diaza żadnych pocałunków. Ale jeżeli już, to na pewno nie takich miłych i pocieszających.

- Co to miało być? - spojrzała na niego.

Jeden kącik ust mężczyzny drgnął lekko; jego wersja uśmiechu.

- Chyba sama nie widzisz tego, co można łatwo wyczytać z twoich oczu.

- Nie, chyba nie widzę.

Diaz nie rozwinął tematu. Milla odczekała kilka niezręcznych chwil.

- Czego? - spytała w końcu zniecierpliwiona.

Zamyślił się, jakby rozważając odpowiedź. Wybierając jedno odpowiednie słowo spośród wielu innych.

- Cierpienia - powiedział wreszcie.

To słowo zabolalo. Cierpienie. O tak, wycierpiala niemalo. Mogli ja zrozumiec tylko rodzice, ktorzy sami stracili dziecko. A jednak ten czlowiek, ktory wydawal sie w ogole nie wiedziec, co znaczy empatia, zrozumial i zareagowal. Przez co ona jeszcze bardziej zjechała w dol po równi pochyłej.

Kelner przyniosl zamowione potrawy Milla ucieszyla sie, ze moze skoncentrowac uwage na empanaditas. Tuńczykowe nadzienie bardzo jej posmakowalo i oderwala sie od talerza dopiero, gdy calkiem go opróżnila. Cóż, widocznie próba poderznięcia gardła dobrze wpływa na apetyt. Wystarczy malý pocałunek śmierci, by na nowo ucieszyć się smakiem jedzenia.

Diaz uporál się równie szybko z enchiladas, ale wypil tylko polowe piwa.

- Nie smakuje ci? - spytala Milla, wskazujac butelke.
- Smakuje. Po prostu nie piję duzo.
- Palisz?
- Nigdy
- Chodzisz na wybory?
- Zawsze, od kiedy mogę.

I w dodatku zapinal pasy w samochodzie. Spojrzala na niego z irytacja: czy byl na swiecie drugi taki niepijacy, uswiadomiony obywatelsko platny morderca?

W ktorymś momencie tego dnia przestala sie go bac. Nie wiedziala, kiedy dokladnie to sie stalo, ale nie moglaby znalezc ukojenia w ramionach mężczyzny, ktorego sie boi. On sie nie zmienil.

Więc może ona? Ostatnie półtora tygodnia było jedną wielką, szaloną emocjonalną huśtawką. Nieustanne napięcie musiało zostawić ślady. Pewnie zaczyna wariować, skoro czuje pociąg do kogoś takiego jak Diaz.

Koniecznienie trzeba zachować to dla siebie. Nie dać mu szans na zorientowanie się w sytuacji. Nie odpowiedziała na jego łagodny pocałunek; tu jej reakcja okazała się idealna, choć spontaniczna.

- Koniec? - zapytał Diaz.

- Chyba tak - odparła, patrząc na swój pusty talerz. - Mogę jeszcze wylizać resztki.

Drgnięcie kącika ust: cień uśmiechu.

- Chodziło mi o to, czy nie chciałabyś czegoś jeszcze.

- Nie, wystarczy. Dziękuję.

Diaz zapłacił kelnerowi; wracając do samochodu, Milla uświadomiła sobie, ile już dziś wydała pieniędzy.

- Nie martw się - powiedziała. - Pokryjemy wszystkie twoje wydatki.

Niech lepiej myśli, że to Poszukiwacze będą płacić. W rzeczywistości chciała oddać mu pieniądze z własnych rezerw.

Nic nie odpowiedział. Może poczuł się obrażony? W końcu był półkrwi Meksykaninem i spędził tu kawał życia. Miejskowa kultura machismo musiała choć trochę na niego wpłynąć.

- Daj mi jakąś formalną rozpiszkę wydatków - powiedziała, nie chcąc zostawiać sprawy niedopowiedzianej.

- Jak mam zaksięgować łapówkę? - spytał; jego twarz znów nie wyrażała absolutnie niczego.

- Normalnie, jako łapówkę. Płacimy je cały czas. To podstawowy sposób zdobywania informacji.

- Są inne. Ale łapówka też czasem działa.

Wyjął komórkę i zadzwonił do kogoś - pewnie do chłopaka od samochodu, z którym ustalił miejsce spotkania i odbioru auta. Zjawił się jednak inny nastolatek, młodszy od tamtego, za to z jeszcze szerszym, cwaniackim uśmiechem na twarzy Diaz podał mu kluczyki i pieniądze. Chłopak wskoczył za kierownicę i odjechał bez zwłoki.

- Bracia? - spytała Milla.

- Nie moi.

- Chodziło mi o to, czy ci dwaj od samochodu są braćmi?

- Możliwe. Mieszkają w jednym domu. Ale mogą być tylko kuzynami.

Milla i Diaz przeszli przez most graniczny do El Paso i wsiedli do samochodu Diaza.

- Dokąd? - zapytał. - Z powrotem do biura czy do domu?

- Do domu - chciała się przebrać, tym bardziej że po posiłku spódnica opinała ją jeszcze mocniej. - A potem, jeśli byłbyś tak miły, do biura. Jeśli nie masz czasu, wezmę taksówkę.

Chciała zabrać spod biura własny samochód, musiała jakoś tam dojechać.

- Nie ma sprawy - odparł Diaz.

- Swoją drogą, jak dostałeś się tamtego wieczoru do mojego domu? Zdawało mi się, że wszystkie okna i drzwi były zamknięte.

- Bo były Musiałem jedno otworzyć. Potrzebujesz dobrego systemu alarmowego.

No tak. Dotychczas nie było potrzeby, Milla mieszkała w bardzo spokojnej okolicy

- Powstrzymałby cię taki system? - spytała.

- Jeżeli naprawdę chciałbym wejść, to nie.

Diaz czekał na dole w dużym pokoju, podczas gdy Milla pobiegła się przebrać na górę. Nie próbowała nawet szukać czegoś, co zamaskowałoby opatrunek na szyi; było po prostu zbyt gorąco. Włożyła luźne żółte spodnie i białą bluzkę bez rękawów, po czym zbiegła na dół.

Diaz oglądał kolekcję kamyków. Milla użyła tych najładniejszych w charakterze dekoracji. Reszta spoczywała w różnych pojemnikach: w dużej niebieskiej misie na stoliku, w dwóch wazach z przezroczystego szkła, w sporej przezroczystej świnie skarbonce.

- O co chodzi z tymi kamieniami? - zapytał Diaz. Pochylona na bok głowa świadczyła o głębokim namyśle.

- Zbierałam je dla Justina - powiedziała cicho, spokojnie. - Myślałam, że pewnie lubiłby takie różne fajne kamyczki. Przecież chłopcy zawsze je zbierają, rzucają, noszą w kieszeniach. Teraz chyba jest już na to za duży. Ale i tak czasem, gdy zobaczę jakiś niezwykły kamień, to go zabieram. Ot, przyzwyczajenie.

- Ja lubiłem owady. I robaki.
- Obrzydliwe! - skrzywiła się Milla i wzdrygnęła, wyobrażając sobie kieszeń pełną robaków. Potem westchnęła ciężko.
- Wiem, muszę wreszcie pozbyć się tych kamieni. Tylko jakoś nie mogę się do tego zabrać. Kiedyś to zrobię.
- Mogą się przydać. Możesz rzucać nimi we wchodzącego do domu włamywacza.
- To ty włamałeś się ostatnio do tego domu.
- A ty pewnie i tak rzucałabyś po babsku. Wbrew sobie Milla uśmiechnęła się szeroko.
- Taaak, jasne. I co jeszcze?

*

**

Właśnie. Co jeszcze? Diaz myślał nad tym przez całą drogę przez most do Juarez. Milla była taką rozbijającą dziewczynką. Próbowwała być twarda, na pewno bardzo się starała i panowała nad sobą - ale w gruncie rzeczy pozostała bardzo rozkosznie kobieca. Jej sypialnia była fikuśnie udekorowana, z tą pościelą o fakturze satyny, ze stosami poduszek, z miękkim dywanem pod stopami, z kryształowymi ozdóbkami na abażurach lampek. Łazienka pachniała słodkimi perfumami.

Pewnie gospodyni nie spodobałoby się to, że macał jej pościel i oglądał wszystkie kąty, ale on był ciekawy. Chciał ją poznać, wyczytać coś z zawartości szaf i z zapachów w mieszkaniu. Milla miała trochę dzinsów i innych spodni, luźnych koszulek - ale jej

garderoba składała się głównie z sukienek, spódniczek i delikatnych bluzek. Gdy przebrawszy się, zeszła po schodach, wyglądała naprawdę ładnie w bieli i w żółci. No i ta bransoletka z perłami oplatająca nadgarstek. Zdołała w jakiś sposób sprawić, że nawet opatrunek na szyi wyglądał jak część stroju, a nie przykra konieczność.

Milla starała się grać twardo, ale w istocie była bardzo wrażliwa. Zdecydował się wrócić do Juarez bez niej. Lola na pewno nie spodziewa się tak szybkiego powrotu Diaza - a to właśnie oznacza, że teraz jest najlepszy moment, by ponownie złożyć jej wizytę.

Zdziwiłby się, gdyby Lola nie miała przynajmniej kilkorga dzieci. Dorosłych, na pewno - ale możliwe, że jedno lub więcej z nich mieszkało jeszcze z matką, kiedy ta zajmowała się porwanymi dziećmi przynoszonymi przez Lorenzo i Pavona. Dzieciaki są wścibskie i słyszą praktycznie wszystko. A szczególnie to, co starsi starają się przed nimi ukryć. Dzieci Loli mogły podsłuchać jakąś rozmowę wujka Lorenza z Pavonem. Mogły wiedzieć coś, co pomogłoby znaleźć kolejny trop.

Niewiele rzeczy mogło przestraszyć Diaza. Nie bał się bólu ani śmierci, podchodził do nich ze specyficznym stoicyzmem: wiedział, że przecież mało kto zdoła uniknąć bólu, a śmierci nie ujdzie absolutnie nikt. Ale gdy Lola przyłożyła nóż do gardła Milli, a on dostrzegł strużkę krwi spływającą po jej szyi, wtedy po raz pierwszy od bardzo dawna się przestraszył. Mógł zabić Lolę, już prawie pociągał za spust. Powstrzymała go tylko myśl o reakcji Milli

obryzganego resztkami mózgu starej Meksykanki. Opanował się więc, choć wiedział, że Lola bezbłędnie wyczytała z jego oczu szczerą żądzę mordy.

Idąc tam, wiedział, że Lola Guerrero to wredna i zimna suka, znana z paskudnego charakteru i upodobania do prochów. Ale miała informacje, na których tak zależało Milli. Miała i mogła ich udzielić. Pomyłką okazało się zabranie tam samej Milli, dlatego właśnie zamierzał wrócić sam.

Musiał wtedy bardzo szybko podejmować decyzje. Oszczędziwszy Lolę, był w kłopotach. Nie mógł tak po prostu odejść, nie po tym, jak tamta pocięła jego kobietę. Powiedział wprawdzie, że Milla jest przyjaciółką, ale w istocie nikt by w to nie uwierzył. Każdy, kto ich widział, każdy, kto choć usłyszy o tym incydencie, stwierdzi, że to jego kobieta. Wobec tego po prostu nie mógł darować nikomu skrzywdzenia Milli. Jeśli tak właśnie by zrobił, ludzie zaczęliby mówić, że Diaz mięknie. Zaczęliby myśleć, że teraz ujdzie im już na sucho wchodzenie mu w drogę. I że będą mogli bez przeszkód popełniać te wszystkie zbrodnie, którym on starał się zapobiegać. A jeśli tak będą sobie myśleć, to znów ucierpią na tym niewinni. A Diaz będzie musiał zabijać, by zły ludzie upewnili się, że jednak ciągle nie warto go drażnić.

Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę w jednej chwili. Co więc powinien wtedy zrobić z Lolą, jeśli nie zabić? Pobić ją, zmasakrować? To zajęłoby zbyt wiele czasu, a Milla pewnie dostałaby histerii, widząc taką brutalność wobec kobiety - nawet śmiecia w

rodzaju Loli. Postrzelić ją? Dziewięćmilimetrowe pociski nie zostawiały małych, estetycznych ranek, ale brutalnie wrywały wielki kawał mięsa, niszcząc nerwy i rozrywając naczynia krwionośne. Pociąć ją? Rany cięte łatwo się goiły, no, chyba że poszatkował-by babę na kawałki. Ale nie chciał bawić się w amputację żadnych części ciała, mniej czy bardziej istotnych.

Pozostawało więc złamanie kości, co na długo sprawi Loli spory kłopot. Wybrał kciuk, z powodu noża i tego, co Lola tą dłonią zrobiła Milli. Ze złamanym kciukiem Meksykanka długo nie będzie w stanie bawić się nożem. Było coś przyjemnego w poczuciu, że ta kara doskonale pasuje do zbrodni. Ludzie upewnią się, że Diaz nie zmiękł. A jak pomyślał, tak zrobił. W jednej chwili.

Szybko uświadomił sobie absurdalność tego, że wybrał karę, która trwale nie okaleczy, ale będzie się o niej mówić. Nie chciał zabijać Loli, więc złamał jej kciuk. Diaza też pobito, i to nie raz. Wiedział, jak długo trwa ból, jak bardzo potrafi osłabić i upokorzyć. Kciuk Loli, na pewno bolący, nie będzie dla niej jednak wielkim utrudnieniem. No, chyba że mowa o nożu. Diaz nie chciał okaleczać Loli, chciał, by mogła się ruszać, chodzić po okolicy. Jeśli skatowałby ją do nieprzytomności, Meksykanka nie mogłaby już zbierać dla niego informacji.

I pomyśleć, że mógł ją zabić bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Tymczasem złamanie jej kciuka sprawiło, że Diaza aż zemdliło, a żołądek skurczył mu się do rozmiarów pięści. Oczywiście nie pokazał tego po sobie, nie zawahał się nawet przez ułamek

sekundy Nie mógł ryzykować: przez jego wahanie Milla mogła zginąć albo zostać bardzo poważnie ranna.

Zdenerwowała się tym, co się stało, ale natychmiast zrozumiała, czemu Diaz musiał coś zrobić.

Chciał dorwać Pavona. Czyż nie było to intrygujące, że ten sam człowiek, który dziesięć lat wcześniej porywał dzieci, obecnie zamieszany jest w handel organami pochodzącymi od niedobrowolnych dawców? Może Pavon był tylko cwany śmieciem, który umiał się zakręcić wokół każdego biznesu. A może wciąż pracował dla tego samego szefa.

Diaz czuł w brzuchu miłe ciepło na myśl, że może uda się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Syn Milli zniknął. Porywacze byłiby głupcami, rejestrując swoje sprawy na papierze. Zresztą dokumenty adopcyjne i tak były utajnione. Diaz nie widział żadnej możliwości wytropienia dziecka - nawet jeśli udałoby się im rozpracować szajkę i dotrzeć do fałszywego aktu urodzenia wystawionego Justinowi. Ale dla Milli bardzo wiele znaczyło to, czego już się dowiedziała: że jej synek nie zginął w katastrofie samolotu ani nie zmarł w bagażniku samochodu. Widział ten błysk w jej oczach: radość i ulgę, które na jakiś czas pokonały rozpacz.

Katastrofa samolotu. Kolejna rzecz, którą można zbadać. Federalny Zarząd Lotnictwa na pewno odnotowuje wszystkie wypadki. Nie przypominał sobie wprawdzie historii o katastrofie lotniczej, w której zginęło sześćcioro niemowląt - a był pewien, że nie zapomniaby jej nigdy. Mogło to oznaczać, że miejsce wypadku

zostało odpowiednio oczyszczone, a małe ciała usunięte jeszcze przed przybyciem ratowników i ekip śledczych; być może pozostawiono tylko martwego pilota. Możliwe też, że katastrofa nie została w ogóle zauważona przez odpowiednie władze. Nowy Meksyk był rozległym, w dużej części bezludnym stanem. Były tam tysiące kilometrów kwadratowych pustkowi, na których katastrofy samolotu nikt by nawet nie dostrzegł.

Właściciel samolotu sam zorientowałby się, że jego maszyna zaginęła, i zorganizował poszukiwania. A jeśli znalazłby wrak, to co wtedy? Skrupulatne usunięcie wszystkich szczątków samolotu, nawet małego, było nie lada zadaniem. Z logicznego punktu widzenia najlepiej byłoby pozbierać trupy, wyczyścić wnętrze wraku z wszelkich charakterystycznych rzeczy, usunąć oznaczenia i numery seryjne z czego tylko można, a potem podpalić szczątki. Stosując odpowiednie środki, można było uzyskać naprawdę gorący płomień.

No cóż, przynajmniej Diaz właśnie tak by to zrobił.

Umiał wejść w tok rozumowania gości grających po ciemnej stronie. Zazwyczaj musiał tylko porządnie się zastanowić, co on sam zrobiłby w danej sytuacji. W większości przypadków okazywało się, że przeprowadzono - z niewielkimi poprawkami - właśnie jego scenariusz. Nie miało to może wiele wspólnego z charakterem Diaza, ale mówiło sporo o jego skuteczności.

Teraz musiał się bardziej pilnować, bo Milla działała na niego miękczająco. Nie rozumiał, jak to się dzieje, ale widział efekty. Z jej powodu robił rzeczy, na które absolutnie nie powinien tracić czasu.

Nigdy nie był rozmowny, ale z nią rozmawiał bez oporów, nawet opowiadając o sobie samym. Był zdumiony, słysząc, jak Milla w zamian opowiada mu o sobie. Na początku wyraźnie się go bała, a Diaz przywykł do tego. Teraz przestała się bać, a on był zadowolony

 Nie prześpi się z nim, jeżeli będzie się go bać.

Może jeszcze nie zorientowała się, co czuł. Powściągał się, nie chcąc ryzykować spłoszenia kobiety. Kiedy ją całował, miał ochotę pójść dalej, posmakować jej języka, ale poczuł, jak Milla zamarła, nie odpowiadając na pieszczotę. Dlatego pozostał przy łagodnym i delikatnym muśnięciu warg.

Nie wiedział jeszcze do końca, co ona czuje, ale umiał czytać reakcje ludzi i widział, jak reagowała na niego Milla. Chętnie przyjmowała jego dotyk, chętnie oparła się dzisiaj o niego, wtuliła głowę w męskie ramię. Podświadomie odpowiadała na jego sygnały

 Diaz od dawna nie miał kobiety Teraz pragnął Milli. Będzie cierpliwy da jej czas na oswojenie się ze sobą - ale nie miał wątpliwości co do końcowego efektu. Milla była już jego.

Tym razem nie zadzwonił po samochód. Wziął taksówkę, podjechał kawałek, ale kazał wysadzić się dość daleko od nory Loli Guerrero. Poszedł pieszo: cicho, ostrożnie, podchodząc z innego niż poprzednio kierunku, zdając sobie sprawę z tego, że jedyną jego bronią jest schowany w bucie nóż. Meksykanka miała czas, by opatrzeć swój złamany palec. Powinna teraz być w domu, głaskać obolałą dłoń, łykać tabletki przeciwbólowe i kłać Diaza w żywy kamień. Był on teraz zapewne ostatnią osobą, którą Lola miałaby

ochotę zobaczyć. Z tego też powodu będzie się go chciała jak najszybciej pozbyć, mówiąc mu wszystko, co intruz chciałby wiedzieć. Oddałaby mu pewnie bez mrugnięcia okiem własne dzieci, jeśli to miałyby w czymś jej pomóc.

Tym razem nie pukał w obskurne drzwi. Od razu spróbował wejść i zorientował się, że dom zamknięto od środka. Nie bawiąc się w ceregiele, otworzył drzwi kopniakiem.

Lola leżała na łóżku. Jej ręka była grubo obandażowana, kciuk sterczał prostopadle do dłoni. Kobieta miała na sobie tylko starą koszulę nocną: najwidoczniej nafaszerowała się tabletkami i położyła spać, choć nie było jeszcze nawet ciemno. Na widok Diaza nabrała gwałtownie powietrza, jej twarz wykrzywiło szczere przerażenie.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział przybysz łagodnie.

*

**

True zdecydowanie nie był w dobrym nastroju. Kiedy jego telefon zadzwonił, chyba po raz setny tego dnia, szarpnął za słuchawkę z wyraźną irytacją.

- Czego? - warknął.

Chwila zawahania, potem nieśmiały głos z hiszpańskim akcentem:

- Señor Gallagher?

- Ta. O co chodzi?

- Pan mówił, że chciał wiedzieć, jak ktoś zobaczy Diaza. True w jednej chwili wyprostował się, skupiony i skoncentrowany

- Tak, tak jest.

- Płaci pan nagrodę?

- W gotówce. Amerykańską kapustą - nigdy nie oszukiwał w takich sprawach; pieniądze pozwalały płynąć strumieniowi informacji.

- Był dzisiaj w Ciudad Juarez. Juarez! Sukinsyn, blisko. Zbyt blisko.

- Nie był sam - kontynuował nieśmiały głos.

- Z kim?

- Z kobietą. Przyszli do naszej fonda. Sam ich obsługiwałem. To był na pewno Diaz.

- Rozpoznałeś kobietę?

- Nie, señor. Ale to była gringa. Miała opatrunek na szyi. True nie widział związku między noszeniem opatrunku na szyi a posiadaniem obywatelstwa USA.

- Co jeszcze?

- Kręcone brązowe włosy z siwym pasmem z przodu.

True zamarł. Mechanicznie wypytał informatora o szczegóły płatności i zgodził się, że zapłaci jeszcze tego wieczoru. To jedno zdanie zamieniło w jego oczach wiadomość o bytności Diaza w Juarez z niepokojącej w tragiczną.

Była z nim Milla. Milla i Diaz. Razem.

Sukinsyn.

Błyskawicznie zaczął dopasowywać do siebie elementy układanki. Musiał teraz namierzyć Pavona i upewnić się, że ten głupi gnój nic nie powie.

True zawsze umiał właściwie ocenić sytuację. Wiedział dobrze, kogo ma przeciw sobie. Diaz to nie byle frajer, wręcz przeciwnie, ten gość był jednym z najbardziej przebiegłych drani, których True miał nieszczęście spotkać na swojej drodze. Wystarczyło samo jego imię, by różne szemrane typki rozbiegały się w panice po dziurach i norach w poszukiwaniu schronienia. Jednak Diaz zawsze umiał odnaleźć swoją ofiarę. Nie zawsze ofiara wychodziła z tego żywa.

Mówiło się, że Diaz ma wsparcie jakichś nieokreślonych czynników oficjalnych, i to po obu stronach granicy. Na mocy umów ekstradycyjnych Meksyk nie wydawał Stanom przestępców, którym groziłaby w USA kara śmierci. Z tego względu ten środkowoamerykański kraj stał się bezpieczną przystanią dla wielu bardzo nieprzyjemnych indywiduali. Stany Zjednoczone chciały takich ludzi ująć lub unieszkodliwić w inny sposób. Meksyk chciał po prostu, żeby mąciciele zniknęli bez śladu i przestali mącić. Możliwe zatem, że Diaz był na żołdzie władz obu państw. Może. A może po prostu był znakomitym łowcą nagród, który potrafił zatroszczyć się o właściwą autoreklamę. W każdym razie dysponował nieprzeciętnymi środkami, a także nosem lepszym od psa myśliwskiego.

True przez dziesięć lat spokojnie radził sobie z neutralizowaniem wysiłków Milli, ale z Diazem sprawa miała się zgoła inaczej. Ludzie szczerze bali się tego człowieka. True nie był

pewien, co stałoby się, jeśli mieliby wybierać, kogo boją się bardziej - Diaza czy Gallaghera.

Kluczem do sukcesu mogły być fałszywe tropy Trzeba zająć Diaza ściganiem duchów, sprawdzaniem nic niewartych plotek, podczas gdy True odnajdzie i wyeliminuje Pavona, co powinien zresztą zrobić lata temu. Pavon był jedynym człowiekiem - oprócz samego Gallaghera - który był wtajemniczony we wszystko. True już wiedział, że to błąd, na który nigdy nie powinien był sobie pozwolić. Ludzie często nie doceniali Pavona, Gallagher kiedyś także dał się nabrać. Pavon był wprawdzie tylko brutalnym zakapiorem, ale miał niesamowity instynkt samozachowawczy i umiał dawać sobie radę w najróżniejszych sytuacjach.

To właśnie czyniło go wartościowym. Pavon potrafił zająć się wszystkim: powiedz mu, czego chcesz - a on po prostu to zrobi. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Wartościowy czy bezwartościowy, wobec Diaza na tropie Pavon automatycznie spadał do kategorii „nieprzydatne łamane przez niebezpieczne”.

Dobre wieści były takie, że Pavon usłyszał już o Diazie i gdzieś się zabunkrował. Złe wieści: Diaz nigdy się nie poddawał i odnalezienie ofiary było dla niego wyłącznie kwestią czasu. True musiał dotrzeć do Meksykanina jako pierwszy Los Pavona nie obchodził w istocie nikogo: jego ewentualna śmierć pociągnie za sobą wyłącznie rutynowe, powierzchowne śledztwo.

Inną możliwością - w zasadzie jedyną sensowną z punktu widzenia Gallaghera - była eliminacja samego Diaza. Problem polegał

na tym, że łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Poza tym jeżeli Diaz istotnie był na państwowym żołdzie, to taka akcja mogła podnieść temperaturę w rejonie, co zagroziłoby interesom True. Ciężko było ukryć wszystkie sprawy, często chodziło po prostu o to, by nikt nie patrzył zbyt uważnie. A Federalni patrzyli. Gallagher wiedział, że musi być bardzo ostrożny w swoich działaniach.

Musiał kupić sobie trochę czasu, rozsiewając fałszywe plotki, podsuwając niewłaściwe nazwiska, kontakty, adresy. Znaleźć Pavona i rozwiązać jego problem raz na zawsze, co pozwoli mu potem dokładnie i starannie pozacierać wszystkie ślady. Oznaczało to najprawdopodobniej koniec nadzwyczaj lukratywnego biznesu. A szkoda: True zdołał dotychczas zgromadzić zaledwie połowę sumy, z którą zamierzał wycofać się z interesu.

Trudna Znajdzie jakiś inny opłacalny biznes. Nie pierwszy raz. A za dobrą cenę może jeszcze czasem okazjonalnie wrócić do obecnego.

Uśmiechnął się na myśl o tych wszystkich ludziach, których nazwiska, przez sprytnie rozsiewane plotki, podsunie Diazowi. To może być nawet całkiem zabawne. No cóż, zemsta bywa słodka.

*

**

Sierpień szybko przeszedł we wrzesień, co zaowocowało osłabieniem upału, odczuwalnym skróceniem dnia i zapowiedzią przyjemnej rześkości w powietrzu. Zaczęła się szkoła i ulice zaroily się od dzieci. Choć było to bolesne, Milla nie mogła powstrzymać się

od obserwowania dzieci z grupy wiekowej Justina, czyli już mocno powyżej zerówki. Jest teraz w piątej klasie, myślała. Gdzieś daleko zaczyna właśnie szkołę razem z innymi dzieciakami, krzyczy i biega pełen energii i radości. Ciekawe, czy jego oczy wciąż są niebieskie, czy może pociemniały, przyjmując kolor zbliżony do brązu tęczy mamy? Nie, pewnie zostały niebieskie, dokładnie jak u Davida.

Diaz zniknął - ponownie. Tego dnia, gdy pojechali do Juarez, poczuła specyficzną więź z tym człowiekiem, ale nie odezwał się do niej od tamtego czasu. Jasne, to, że ona coś czuła, nie musiało wcale oznaczać wzajemności. No i abstrahując od uczuć, wciąż praktycznie nic o nim nie wiedziała. Nie była nawet pewna, jak naprawdę Diaz ma na imię. Może wymyślił na poczekaniu tego „Jamesa”, a może rzeczywiście tak się nazywa. Ona nie pytała, wciąż myślała o nim jako o „Diazie”, a nie „Jamesie”.

Nie wiedziała, gdzie ten facet mieszka, ile ma lat, czy kiedykolwiek był żonaty - o Boże, a co jeśli jest żonaty właśnie teraz? Ta myśl sprawiła, że żołądek Milli skręcił się w bolesny supeł. A jeśli ma dzieci? Było to całkiem możliwe, zważywszy na to, jak świetnie dawał sobie radę z małym Maksem, którego wspólnie odnaleźli. Może Diaz był teraz w domu, z rodziną.

Nie, to śmieszne. Milla nigdy w życiu nie spotkała kogoś mniej nadającego się na ojca rodziny niż Diaz. Jak w ogóle tak twardy, oschły, patologiczny samotnik mógł żyć na stałe z kimkolwiek? To z kolei uświadomiło Milli, jak głupia była jej własna fascynacja tym człowiekiem. Ale chemia już działała i rozsądek nic tu nie mógł

poradzić. Milla po prostu nie przestawała myśleć o tym ponurym draniu.

Nie tylko Diaz zapadł się pod ziemię. Na szczęście True także gdzieś zniknął; i tak nie widywali się zbyt często, ale Milla obawiała się, że po ostatnich wydarzeniach Gallagher może stać się nachalny. Wprawdzie powiedział, że da spokój - ale czy naprawdę był do tego zdolny? Poza tym Milla spodziewała się wpaść na niego na którejś z imprez towarzyskich. Cóż, albo Gallagher wyjechał z miasta, albo znalazł sobie jakąś wyjątkowo apetyczną Miss Września. Milla miała nadzieję, że chodziło o to drugie. To pomogłoby True zapomnieć o otrzymanym ostatnio koszu.

W drugim tygodniu września zadzwoniła jej matka i zaprosiła Millę do siebie. Nie widziała się z tatą i mamą od wiosny, kiedy to Ross i Julia pojechali ze swoimi rodzinami na urlop i szansa spotkania ich u rodziców spadła do zera. Teraz zaczynała się szkoła, było sporo roboty z dziećmi, co oznaczało, że rodzeństwo będzie najprawdopodobniej zajęte i raczej nie będzie mieć czasu na wizyty u staruszków. Zresztą mama na pewno zadzwoni do nich i poinformuje, że Milla przyjeżdża. Nie będą ryzykować.

Zadowolona z tej okazji do wyrwania się z codziennego kierunku i zajęcia czymś innym niż myślenie o Diazie, Milla zrobiła sobie kilka dni wolnego i poleciała do Louisville w stanie Kentucky. Tam wynajęła samochód i pojechała przez Ohio River to małego miasta w południowej Indianie, gdzie mieszkali rodzice.

Jej tata miał sześćdziesiąt pięć lat i niedawno przeszedł na emeryturę, odchodząc z firmy zajmującej się księgowością. Mama, nauczycielka w podstawówce, zastała emerytką rok wcześniej. Ojciec już od jakiegoś czasu przebąkiwał coś o przeniesieniu się na Florydę, gdzie miałby wreszcie spokój z odgarnianiem śniegu. Ale matka nie zamierzała opuszczać domu, w którym przeżyła czterdzieści lat, wychowawszy troje dzieci.

Milla zawsze myślała o tym miejscu po prostu jako o domu. Niby nic specjalnego: ot, zwykły pięćdziesięcioletni drewniany budynek z piętrem, dużą werandą, spadzistym dachem i masą wspomnień gnieźdzących się w każdym pokoju. Na górze były trzy sypialnie, na dole, podczas przebudowy dokonanej w latach siedemdziesiątych, duża bawialnia została zamieniona w główną sypialnię z przyległą łazienką. Kuchnia była wystarczająco duża, by cała rodzina mogła zasiąść wokół stołu przy wspólnym posiłku. Duży pokój przypominał z kolei o wspaniałych świętach Bożego Narodzenia, gdy podniecone i rozradowane dzieci kłębiły się wokół sterty prezentów ułożonych pod przystrojoną świecidełkami choinką. W przyszłości rodzice mogą przecież zapłacić komuś za odgarnięcie śniegu z podjazdu. Milla nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek porzucili ten dom.

Kiedyś myślała, że jej życie będzie bardzo podobne do życia matki: uczyć, no i zajmować się własną rodziną. Teraz nie mogła już nawet wyobrazić sobie tak spokojnego obrazka. Jej życie zostało rozdarte na pół, a czas „przedtem” absolutnie nie przypominał czasu

„po". Nie znosiła tej przepaści, która powstała między nią a jej rodzeństwem, ale Ross i Julia zdawali się nie rozumieć, jak bardzo życie Milli się zmieniło. Oni chcieli, by ich siostra po prostu żyła dalej, a dla niej było to absolutnie niemożliwe. Nie mogła nawet wyobrazić sobie zaprzestania poszukiwań Justina, dlatego też nie mogła wybaczyć im tak diametralnie odmiennego myślenia.

Milla siedziała z matką w kuchni, plotkując beztrwosko. Pani Edge kolejny raz złapała się na tym, że mówi o Rossie i Julii, i zamilkła zakłopotana.

- Mamo - westchnęła Milla - nie oczekuję przecież, żebyś w ogóle o nich nie wspominała. Możesz mówić, jeśli chcesz. Ja chętnie się dowiem, jak tam dzieciaki i co w ogóle u nich słychać.

- Po prostu chciałabym, żebyście się pogodzili - stropiła się pani Edge. - Tak mi przykro, że nie możecie wspólnie przyjechać do nas na święta.

- Może kiedyś. Kiedy już znajdę Justina. Chociaż wątpię, żebym kiedykolwiek mogła przebaczyć im do końca te sugestie, że powinnam zapomnieć o swoim synku.

- Kochanie... - oczy matki wypełniły się łzami. - Ty naprawdę wciąż myślisz, że go odnajdziesz? Jak by to miało być? Ja nie wiem...

- Znajdę - odparła twardo. Bolała ją świadomość, że jej matka także się poddała; czy tylko Milla jeszcze pielęgnowała nadzieję?

- Mam nowe tropy - mówiła dalej. - Tym razem konkretne. Wiem, że Justin wyleciał z Meksyku samolotem, prawdopodobnie do stanu Nowy Meksyk. Wiem, że jakaś kobieta dostarczyła dla niego

falszywy akt urodzenia. Znam nazwiska mężczyzn, którzy go porwali. Jeden z nich nie żyje, ale za to drugi...

Przerwała. Bez Diaza szanse odnalezienia Pavona spadały praktycznie do zera. Ale może Diaz właśnie robił to, co wychodziło mu najlepiej: tropił.

Pani Edge wyglądała na osłupiałą.

- Ty... Naprawdę to wszystko odkryłaś? Ostatnio? Nic o tym nie powiedziałaś przez telefon.

- Dowiedziałam się tego dopiero w zeszłym miesiącu - Milli zrobiło się głupio, że nie dzwoniła do rodziców przez ponad miesiąc. Owszem, była bardzo zajęta, ale to żadne wytłumaczenie.

- Wszystko działa się... - kontynuowała, szukając odpowiedniego słowa. - Tak nagle.

- Domyślam się - chrząknęła pani Edge, patrząc na czerwoną bliznę szpeczącą szyję córki. - Co to za ślad?

Milla bezwiednie dotknęła blizny. Nie była duża ani specjalnie brzydka, z czasem może zupełnie zniknąć. Ale mama i tak będzie się martwić.

- Blizna po cięciu - powiedziała wreszcie.

- Widzę. Co ty, goliłaś się? Milla uśmiechnęła się i poddała:

- Nie. Zrobiła mi to pewna kobieta. Należała do szajki kidnaperów. Zajmowała się porwanymi dziećmi, zanim można je było samolotem wywieźć z Meksyku.

Pani Edge ciężko usiadła na najbliższym krześle. Zbladła jak ściana, wyobraziwszy sobie atak na swoje najmłodsze dziecko.

Dotarło też do niej, jak ważne są usłyszane właśnie informacje.

- Ona... Ona widziała Justina? Naprawdę go widziała? Pamiętała go?

- Tak, pamiętała. Był cały i zdrowy.

- Ona... Ale dlaczego cię pocięła?

- Bo zrobiłam coś głupiego.

Atak na Lolę był bez wątpienia bardzo głupim pomysłem. Ale wtedy Millę zaślepiły emocje - dokładnie tak samo jak na cmentarzu, gdy po raz pierwszy spotkała Diaza. Najwyraźniej nie wyciągnęła żadnych wniosków z tamtego wieczoru w Guadalupe; nic nie pomogło wściekanie się na siebie samą, drugi raz popełniła ten sam błąd. A tym razem nie udało się już wyjść z opresji bez najmniejszego draśnięcia. Milla była niezła w kilku rzeczach, ale najwyraźniej nie w walce.

- Głupiego... co?

- Rzuciłam się na nią - Milla wykonała nieokreślony ruch ręką. - Byłam taka wściekła, zupełnie mnie poniosło. A ona miała nóż.

- Mogłaś zginąć!

Milla mogła zginąć już wiele razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Całe szczęście, że jej biedna matka nie miała pojęcia, w jakich kręgach obracała się jej córka, z jakimi ludźmi rozmawiała, jakie rzeczy robiła. Może był to tylko łut szczęścia, że nigdy jej nie postrzelono, nie pobito, nie zgwałcono, ale dla Milli osobiste

bezpieczeństwo zawsze grało trzeciorzędą rolę. Jej anioł stróż musiał chyba pracować za dwóch - to było jedyne sensowne wytłumaczenie faktu, że Milla wciąż żyła i miała się nieźle.

Ale jeżeli wtedy, w Juarez, Diaza nie byłoby na miejscu, Lola nie zawahałaby się rozplatać gardła Milli od ucha do ucha, ot, tak sobie. Diaz był chyba najniezwykłym aniołem stróżem, jakiego można sobie wyobrazić - ale w swojej roli spisał się znakomicie.

Znowu. Przyjechała do Indiany, żeby nie myśleć o tym facecie, tymczasem każdy temat sprowadzał się ostatecznie do kwestii Diaza. Przywodziło jej to na myśl wszechogarniające, bolesne, nastoletnie zadurzenie - choć sama w szczenięcych latach zdołała w dużej mierze uniknąć takich sensacji. No cóż, może jeśli wtedy przeszłaby przez typową dla tego wieku uczuciową huśtawkę, to teraz nie czułaby aż takiej mięty do Diaza. On był złym, bardzo złym chłopcem, a ona - choć czuła pożądanie - musiała o nim zapomnieć i skoncentrować się na istotniejszych sprawach.

- O czym myślisz? - spytała matka podejrzliwie. - Masz bardzo specyficzny wyraz twarzy. Zdarzyło się już wcześniej coś takiego? Może mi nie powiedziałaś?

- Co? Och, nie. Nie, nic z tych rzeczy. Właściwie myślałam, jakie szczęście miałam dotychczas, że właśnie nic takiego się nie wydarzyło.

- Szczęście? To znaczy, że bywałaś w opałach takich, że...

- To znaczy, że bywałam już w różnych miejscach, próbując znaleźć kogoś, kto wiedziałby coś o przemytnikach dzieci. Ale nigdy nie chodziłam sama - dodała szybko. - Nigdy.

- Przynajmniej tyle - odetchnęła z ulgą pani Edge. - Ale ja już nie wiem, córuś, jak będę teraz spać. Słyszając, że robienie takich rzeczy weszło ci w nawyk.

- Chyba właśnie dlatego nic ci nie mówiłam - westchnęła Milla, czując wyrzuty sumienia. Nie ma to jak wizyta u rodziców, człowiek znów może poczuć się jak skarcone dziecko.

Jakiś samochód wtoczył się na podjazd; pani Edge podniosła się z miejsca, by zerknąć przez kuchenne okno, kto przyjechał.

- To Julia - chrząknęła skonsternowana. - O co chodzi? Przecież mówiłam jej, że ty tu będziesz.

- Nie przejmuj się - powiedziała Milla uspokajająco. Przez chwilę miała ochotę uciec na górę, by nie spotkać się z siostrą, ale wydało jej się to tchórzostwem, więc została na miejscu. Ich wzajemne stosunki były napięte, lecz nie wrogie. Nie tęskniła za towarzystwem brata ani siostry, co nie oznaczało, że nie mogła zachować się po prostu uprzejmie.

Usłyszała, jak pan Edge otwiera drzwi frontowe.

- Cześć, tato - rozległ się głos Julii. - Gdzie mama i Milla?

- Są w kuchni - ton głosu ojca świadczył o tym, że wcale nie miał ochoty uczestniczyć w zbliżającej się średnio przyjemnej scenie.

Kroki Julii zadudniły na drewnianej podłodze w holu. Milla stała w miejscu, opierając się o szafkę kuchenną i starając się wyglądać naturalnie.

Julia była trzy lata starsza od Milli i dwa lata młodsza od Rossa. Wyłamywała się ze stereotypu środkowego dziecka, zagubionego i niepewnego: Julia zawsze umiała walczyć o swoje i skierować uwagę właśnie na siebie. Stała w drzwiach do kuchni. Wyglądała na spokojną i zdecydowaną, jak zwykle. To ona zawsze była tą ładną w rodzinie, to ona odziedziczyła łagodne rysy matki. Jej gęste włosy, tego samego koloru co u Milli, falowały fantazyjnie i delikatnie - podczas gdy młodsza siostra mogła pochwalić się zaledwie szopą banalnych loczków. Milla, kiedy tylko miała czas, robiła sobie trwałą po to, aby choć trochę rozprostować włosy, aby uczynić je łatwiejszymi do układania. Cóż, Julia nigdy nie musiała robić sobie trwałej w żadnym celu.

Obie były podobnej budowy ciała i zbliżonego wzrostu, około stu siedemdziesięciu centymetrów. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nich siostry mimo ostrzejszych, surowszych rysów twarzy Milli. A jednak różniły się w innych sprawach. Milla poruszała się z mięką, leniwą gracją, co współgrało z jej upodobaniem do bardzo kobiecych strojów uszytych z dobrego materiału. Julia z kolei szła ostro przez życie, preferując szyte na miarę żakiety w pracy, a luźne spodnie i koszulki w domu.

Do Julii zdecydowanie bardziej pasowałby obecny tryb życia Milli. Ona nigdy nie straciłaby kontroli nad emocjami i nie naraziłaby się na niebezpieczeństwo.

- Co się stało? - spytała pani Edge cokolwiek nerwowo.

- Nic. Mówiłaś, że będzie Milla, więc wpadłam - Julia patrzyła hardo na siostrę, jakby rzucając jej wyzwanie do kłótni.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała Milla uprzejmie i zresztą zgodnie z prawdą. Nie chciała kłamać, mówiąc, że miło jej widzieć siostrę.

Jak zwykle Julia przeszła do rzeczy bez zbędnych wstępów:

- Nie wydaje ci się, że to wszystko trwa już zbyt długo? To bez sensu. My nie możemy tu przyjechać, kiedy ty jesteś na miejscu. A ty ranisz mamę i tatę, trzymając się z dala nawet w święta.

Milla miała już na końcu języka sto słów, ale wzięła przykład z Diaza i zmilczała. Niech Julia się wygada. Matkę i tak już wystarczająco martwiła cała sytuacja, nie potrzebowała jeszcze głośniejszej i bolesniejszej kłótni.

- To już trzy lata - ciągnęła Julia. - Nie sądzisz, że warto by już przestać się boczyć?

„Boczyć”? Ciekawe. Milla sklasyfikowałaby swoje uczucia w zupełnie innych kategoriach. „Wściekać”, o, to byłoby właściwsze.

Najwyraźniej matce również nie spodobało się słowo wybrane przez starszą córkę.

- Julio! - powiedziała ostro, wstając.

- Wiesz, że tak jest, mamó. Powiedzieliśmy głośno prawdę, ale to ją tylko zirytowało. Milla, siostrzyczko, bardzo mi przykro z powodu twojego synka. Sama zrobiłabym wszystko, żeby mu pomóc, ale... minęło już dziesięć lat! On odszedł. Nigdy go nie odnajdziesz. Kiedyś będziesz musiała wreszcie zacząć życie od nowa. Lepiej zrobić to teraz, kiedy jesteś wciąż młoda. Wyjdź za męża, miej rodzinę. Nikt nie zastąpi ci twojego dziecka, ale tu nie chodzi o zastępowanie. Chodzi o twoje życie.

- Nieprawda. Chodzi o to, by życie twoje i Rossa stało się łatwiejsze. Byście mogli pozbyć się tego poczucia winy, które w was wzbudzam - odparła Milla.

- Winy! - Julia cofnęła się o krok, jej twarz wyrażała kompletne zaskoczenie. - A niby dlaczego mamy czuć się winni?

- Bo wasze dzieci są całe i zdrowe. Bo możecie być szczęśliwi. Możecie być razem. Syndrom winy człowieka ocalałego z katastrofy

- To nie tak!

- Nie? Więc co was obchodzi, jak ja chcę przeżyć własne życie? Gdybym chociaż wiodła żywot handlarza narkotyków albo prostytutki, wtedy mogłabym was zrozumieć. Ale ja szukam zaginionych ludzi, głównie dzieci. Przy okazji wciąż starając się odnaleźć mojego syna. W czym wam to, u diabła, przeszkadza? A co byś powiedziała, gdyby chodziło o Chloe?

Chloe była pięcioletnią córeczką Julii, małą kroplą żywego srebra, która potrafiła rozświetlić cały świat swoim uśmiechem.

- Jeżeli jakiś nieznajomy wyrwałby ci ją - ciągnęła Milla - powiedzmy, w centrum handlowym, ile czasu zajęłoby ci przejście nad tym do porządku dziennego? Powiedzenie sobie: „No trudno, dość się już naszukałam, czas zająć się własnym życiem”? Kiedy mogłabyś pójść spokojnie spać, nie myśląc o tym, gdzie jest twoje dziecko? Czy nie jest głodne, zmarznięte? Czy jakiś zboczeniec nie wykorzystuje go w najobrzydliwszy sposób? Jeśli nawet nadszedłby taki wieczór, to czy nie modliłabyś się o to, by twoja córeczka była cała i zdrowa, byś miała okazję jeszcze choć raz ją zobaczyć? Ile czasu musiałyby upłynąć, żebyś się ostatecznie poddała, Julio?

Siostra Milli zbladła jak ściana. Choć nie była obdarzona szczególną wyobraźnią, zrozumiała, co działałoby się z nią, jeżeli cokolwiek przytrafiłoby się małej Chloe.

- Widzisz? - mówiła dalej Milla. - Zrozum więc, jak ja się czułam wtedy, gdy ty i Ross powiedzieliście do mnie: „Hej, minęło już tyle czasu, mogłabyś wreszcie przestać psuć nam nastrój swoją ponurą miną”. Mam gdzieś wpływ mojej miny na wasz nastrój i nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę wam te słowa, że Justin już nic nie znaczy! - Starła się, mówić spokojnie, ale jej głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie.

- Nigdy czegoś takiego nie mówiliśmy! - Julia była wyraźnie zszokowana. - Oczywiście, że Justin wciąż się liczy! Ale nie ma go, zniknął i ty nic na to nie możesz poradzić. Chcieliśmy, abyś wreszcie przyjęła ten fakt do wiadomości.

- Gdybym tak zrobiła trzy lata temu, to nigdy nie dotarłabym do ludzi, którzy go porwali! A udało mi się, w zeszłym miesiącu. Wreszcie mam jakieś konkretne ślady I nawet jeżeli dowiedziałam się na razie tylko tego, że Justin został adoptowany dzięki lewemu aktowi urodzenia, to już jest bardzo wiele! Naprawdę tego nie rozumiesz? Dwa tygodnie temu nie wiedziałam nawet, czy żyje, czy został wywieziony z Meksyku! Powiedzmy więc, że ty i Ross trochę pomyliliście się w swoich ocenach moich działań. I zostawmy to już.

- Zostawmy - powiedziała twardo pani Edge z zaciętym wyrazem twarzy. - Wystarczy! Julio, wiesz, że cię Kocham, ale to nie jest już twój dom. Jak możesz przychodzić tu z zamiarem rozpętania awantury? Rozumiem was obie. Jestem przecież matką i sama wiem, że nigdy nie przestałabym szukać swojego zaginionego dziecka. Ale nie mogę też znieść widoku własnej córki marnującej sobie życie walką w beznadziejnej sprawie!

- Ale ona wcale nie jest beznadziejna! - zaprotestowała Milla.

- Teraz już wiemy, ale kwadrans temu nie mieliśmy o tym pojęcia! Widzieliśmy za to twoje życie osobiste walące się w gruzy. Rozwód z Davidem, ciebie pogrążającą się całkowicie w pracy Poszukiwaczy, ginącą, niknącą, aż wydawało się, że nic nie zostanie z ciebie samej, z tej Milli, którą wszyscy Kochamy! Córeczko, nie masz pojęcia, jak bardzo się martwiliśmy...

- Eee - pan Edge zajrzał z wahaniem do kuchni. - Nie chciałbym wam przeszkadzać, ale dzwoni torebka Milli.

Wyciągnął do córki rękę, w której trzymał jej torebkę; Milla z przyzwyczajenia zostawiła ją na pianinie, wchodząc do domu.

Wewnątrz szamotał się dzwoniący i wibrujący telefon komórkowy, brzmiał i zachowując się niczym zaniepokojony grzechotnik.

Milla podbiegła do ojca i szybko wygrzebała komórkę z torebki. W biurze mieli numer domowy jej rodziców; Milla na urlopach z zasady wyłączała swoją komórkę, ale tym razem włączyła ją jeszcze po drodze na lotnisko, aby powiedzieć swoim ludziom, dokąd wyjeżdża. No i zapomniała wyłączyć. Prawdopodobnie ten telefon wiązał się z robotą Poszukiwaczy Zdecydowała, że jeśli nie jest to jakaś gardłowa sprawa niecierpiąca zwłoki, to przekieruje dzwoniącego do biura.

- Milla Edge - powiedziała, naciskając duży guzik.

- Jak szybko dasz radę dotrzeć do Idaho? - głos był niski i szorstki, chropowaty, tak jakby właściciel rzadko go używał. No cóż, nie musiał się przedstawiać.

Milla wstrzymała oddech. Była już wystarczająco zdenerwowana, roztrzęsiona, napięta. Głos Diaza podziałał na nią jak lekki elektrowstrząs.

- Co... Co się dzieje? Coś nie tak?

- Mam nazwisko. W sumie nie chciałem zabierać cię ze sobą, nie po tym, co zdarzyło się u Loli. Ale ostatecznie masz prawo tam być.

- To była moja wina - przyznała. - Straciłam kontrolę nad sobą. Obiecuję, że to się więcej nie zdarzy.

Jej serce waliło jak oszalałe, aż drżała z emocji.

- Zadzwońię zaraz na lotnisko - ciągnęła - i zobacze, co się da zrobić. Oddzwonię do ciebie. Dokąd dokładnie jedziemy?

- Boise. Tam zanocujemy. Wracamy na drugi dzień rano.

- Zaraz do ciebie oddzwonię. Ten numer, który mi się wyświetlił?

- Ta.

Wyszarpnęła nerwowo z torebki swój powrotny bilet lotniczy i znalazła na nim numer telefonu. Na pewno nie zwrócą jej pieniędzy za niewykorzystany lot, ale może uda się przebukować terminy.

- Co się dzieje? - zapytała pani Edge, stając obok Milli wybierającej właśnie numer biura podróży zajmującego się rezerwacją biletów lotniczych. Zawsze korzystała z usług biura, wołała nie rezerwować lotów osobiście: już zbyt wiele razy musiała przekładać terminy, agent w biurze umiał poradzić sobie z takimi kwestiami o wiele sprawniej. Miał wszystkie dane, kontakty i rozkłady lotów pod ręką.

- To jeden z moich informatorów - wyjaśniła matce; wołała nie wdawać się w szczegóły, opowieść o Diazie zajęłaby zdecydowanie zbyt wiele czasu. - Śledził bandytów, którzy porwali Justina, i właśnie namierzył kogoś, kto może coś wiedzieć. Muszę się z nim spotkać w Idaho.

- Ale... dopiero co przyjechałaś?

- Ta sprawa nie może czekać.

- Nie mogę uwierzyć, że znowu to robisz - powiedziała Julia.

- A ja nie mogę uwierzyć - rzuciła na nią okiem siostra - że sądzisz, iż mogłabym przepuścić okazję dowiedzenia się... Tak, halo?

W słuchawce odezwał się agent z biura podróży. Po krótkiej chwili okazało się, że - ponieważ było już późne popołudnie - wyruszenie w drogę jeszcze dziś oznacza kilka przesiadek, długich przestojów na lotniskach, a i tak nie było możliwości dotarcia do Boise przed jutrzejszym rankiem. Alternatywą było poczekanie do rana na miejscu i wzięcie pierwszego porannego samolotu; i tak będzie musiała się przesiadać, ale w rezultacie dotrze do Idaho zaledwie godzinę później, niż gdyby poleciała od razu.

Nie było nad czym deliberować. Milla wybrała to drugie wyjście i oddzwoniła do Diaza.

- Dzisiaj nie dam już rady przylecieć. Najwcześniej jutro rano. Jeżeli lot się nie opóźni, to będę na miejscu o jedenastej zero trzy

Podawała mu także nazwę linii lotniczych i numer lotu.

- Zabierasz bagaż inny niż podręczny?

Pomyślała o wszystkich rzeczach, które miała ze sobą.

Ostatecznie planowała spędzić tu dobrych kilka dni.

- Tak, nie mam wyjścia. Inaczej musiałabym to wszystko wysłać do domu.

Nie zrzędził na temat konieczności czekania na bagaż. Zamiast tego powiedział:

- Spotkamy się przy odbiorze bagażu. Do zobaczenia rano.

- Tak - odparła. - Do zobaczenia.

Przerwała połączenie; jej uwaga nie była już skupiona na ludziach w tym pomieszczeniu. Minęła Julię, nawet na nią nie spojrzawszy Poszła od razu na górę, myśląc o konieczności przepakowania bagażu tak, by najpotrzebniejsze rzeczy mieć przy sobie, w małej torbie. Walizki przewożone w lukach bagażowych miały tendencję do gubienia drogi.

- Millo! - zawołała za nią Julia. Ale siostra nawet się nie obejrzała.

scandalous

„Pierwszy poranny lot” oznaczał ni mniej, ni więcej tylko zerwanie się o trzeciej nad ranem, by zdążyć na czas do portu lotniczego w Kentucky, oddać wynajęty samochód i przejść jeszcze kontrolę bezpieczeństwa. Milla kupiła trochę przekąsek w automatach na lotnisku w Louisville, zakładając z góry, że na pokładzie samolotu nie zostanie uraczona niczym - a była przecież głodna. Z Louisville poleciała do Chicago, stamtąd do Salt Lake City, tam zmieniła linię lotniczą i wyruszyła już prosto do Boise.

Diaz czekał, a serce Milli zadrżało mocno na jego widok. Miał na sobie to, co zwykle: džinsy i te swoje buty na grubej podeszwie. Chociaż nie, była różnica: miał również narzuconą na T-shirt koszulę z długimi, podwiniętymi na przedramionach rękawami. Stał na uboczu, z dala od ludzi czekających na swoje bagaże. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony jak zwykle. Kilka osób rzucało w jego stronę niespokojne spojrzenia, choć Diaz nic przecież nie robił. Po prostu stał.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytała Milla niecierpliwie, stanąwszy przed nim. Przez całą drogę zastanawiała się z niepokojem, kogo przyjdzie im spotkać i co ten ktoś będzie wiedział o porwaniach.

- Powiem ci po drodze. Zarezerwowałem dla nas pokoje w hotelu. Zostawimy tam twoje bagaże, będziesz mogła się przebrać.

- Czemu mam się przebierać? - zdziwiła się Milla, spojrzawszy na siebie. Była ubrana w wygodne ciuchy, spodnie, bluzkę i lekki

sweterek chroniący ramiona przed chłodem. Była przyzwyczajona do klimatu El Paso: zarówno w samolotach, jak i w samym Idaho było dla niej zdecydowanie za zimno.

- Potrzebujesz czegoś solidniejszego. Dżinsy, mocne buty Nie wiemy, co nas tam czeka. Zrobiłem mały rekonesans w rejonie, teren wygląda na ciężki.

Zabrali bagaże Milli. Diaz wziął ciężką walizkę, przełożył ją sobie do lewej ręki, a prawą wskazał kierunek. Ruszyli w stronę parkingu.

- Jak długo tu jesteś?

- Od zeszłego wieczoru.

Nie widziała go przez trzy tygodnie. Aż do teraz nie uświadamiała sobie, jak bardzo brakowało jej Diaza. Sama jego fizyczna obecność budziła w niej ukryte pragnienia. Było z tym trochę tak jak z bólem porodowym: bezpiecznie i z dala od niego, Milla pamiętała tę elektryzującą aurę niebezpieczeństwa, ale nie była w stanie jej poczuć. Blisko Diaza jej puls szalał, zmysły pracowały na najwyższych obrotach. Odruch bezwarunkowy: całkiem jak automatyczna reakcja organizmu na potencjalne zagrożenie. A może dokładnie o to chodziło?

Rozpoznała także oszałamiające uczucie euforii: motyle w brzuchu, nie czuła tego od czasów związku z Davidem. Milla szczerze kochała Davida i z całą pewnością nie kochała Diaza, ale tu chodziło również o to, że pożądała Davida fizycznie. I żaden mężczyzna po nim nie zdołał wywołać u Milli tej reakcji, niezależnie od tego, jak

atrakcyjny się wydawał. Żaden oprócz Diaza. Pragnęła go. Tak, powinna chyba iść z tym do psychiatry, ale pragnęła go.

Milla oczekiwała jakiegoś wynajętego samochodu osobowego, może cięższej maszyny, ale to, co ujrzała, było zaiste niecodzienne. Potężna czarna półciężarówka z napędem na cztery koła, z tak wysokim zawieszeniem, że Milla poważnie zastanawiała się, jak w ogóle wejść do kabiny. Nawet w spodniach.

Diaz wrzucił bagaże na tył samochodu, po czym otworzył drzwi.

- Skąd wytrzasnąłeś taki sprzęt? - spytała Milla, patrząc na wielkie światła zamontowane na dachu szoferki. - Przecież chyba go nie wynająłeś?

- Pożyczyłem od znajomego - odparł, chwytając ją w pasie i podsadzając do kabiny.

- Od znajomego? - zapytała, gdy Diaz usiadł za kierownicą. - Nie od przyjaciela?

- Ja nie mam przyjaciół.

To proste i okrutne oświadczenie wstrząsnęło Millą, uderzyło ją prosto w pierś, zaboląło w środku. Jak można wieść tak puste, samotne życie?

- Masz mnie - powiedziała bez zastanowienia.

Jego dłoń trzymająca kluczyki zamarła tuż przed stacyjką. Diaz wolno odwrócił się w jej stronę i spojrzał na swoją pasażerkę. Nie mogła nic wyczytać z jego ciemnych oczu, ale widziała w nich żywy płomień.

- Mam? - zapytał łagodnie.

Przez chwilę Milla poczuła się niepewnie, wydawało jej się, że Diaz może mieć na myśli coś zupełnie innego. Pytał, bo wątpił w jej szczerość? A może pytał, chcąc się dowiedzieć, czy Milla należy już do niego? Nie miała pojęcia. Diaz był zbyt enigmatyczny; aby nie pograć się do reszty, zdecydowała się zagrać bezpiecznie.

- Jeśli chcesz przyjaciółki, to masz ją we mnie. Jak można żyć bez przyjaźni?

Wzruszył ramionami, odpalając potężny silnik.

- Można.

No tak, więc jednak o to mu chodziło. Wątpił, że może mieć jakichkolwiek prawdziwych przyjaciół. Z jednej strony Milla czuła ulgę, a z drugiej rozczarowanie. Tak, pragnęła tego mężczyzny, ale sama nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, aby zrobić coś w tym kierunku. To byłoby jak wchodzenie do klatki tygrysa, nieważne, jak bardzo oswojonego. Zawsze pozostanie strach i niepewność.

- Ten twój „znajomy” - uciekła na bezpieczny grunt - zna cię i ufa na tyle, by powierzyć ci tego potwora?

- Ufa mi.

Nie powiedział, że „zna”; Milla zwróciła na to uwagę. No tak, najwyraźniej ślepa uliczka. Ale w zasadzie co wiedział Diaz i dlaczego byli właśnie w Idaho?

- No dobrze, jesteśmy już w drodze. Możesz powiedzieć mi, czego się dowiedziałeś.

- Jeszcze niczego - odparł, a Milla oklapła z rozczarowania.

- Myślałam...

- Po rozmowie z tym gościem będziemy wiedzieć coś więcej.

Słyszałem, że jego brat pilotował ten samolot, który się rozbił.

- Masz nazwisko pilota?

- Może - rzucił, ale zauważając jej sfrustrowane spojrzenie, mówił dalej. - To jak nie. Pociągniemy za nią i zobaczymy, czy coś jest na końcu. Najczęściej nie ma nic, ale wiedza negatywna jest prawie tyle samo warta, co pozytywna.

- To znaczy: wiesz, gdzie nie szukać.

- Przy okazji można dowiedzieć się czegoś o człowieku, który włożył ci tę nieć do ręki.

- Zatem może masz jednak to nazwisko pilota?

- Usłyszałem o facecie, który nazywa się Gilliland. Woził różne rzeczy do Meksyku i z Meksyku. Rozbił się i zginął siedem czy osiem lat temu. Ludzie wiedzieli o nim tylko tyle, że miał brata, Normana Gillilanda, mieszkającego w Sawtooth Wilderness, blisko Lowman.

Milla spojrzała na niego; po chwili wiedziała już, co tu nie pasuje.

- Zatem nikt nic nie wiedział o pilocie, aż tu ni z tego, ni z owego przypomniało sobie imię i dokładny adres jego brata? Trochę to dziwne.

- Byłaby z ciebie niezła tropicielka - pochwalił ją Diaz. - Dobrze kombinujesz.

Milla zacisnęła pięści.

- Kolejna gonitwa za cieniem? Po co my tam w ogóle jedziemy?

- Kolejna? - zapytał po chwili.

- Tak - patrzyła przez okno, z zaciśniętymi zębami. - To właśnie robię od dziesięciu lat. Kręcę się jak pies za własnym ogonem, latam jak głupia po najdziwniejszych miejscach i ostatecznie nigdy nic nie znajduję.

- Tak jakby ktoś celowo podrzucał ci fałszywe tropy Spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Myślisz, że może o to chodzić? Ze ktoś specjalnie wodzi mnie na manowce?

- Jesteś za sprytna i za mądra, by w ogóle mogło być inaczej. Gdy chodzi o cudze dziecko, idzie ci przecież świetnie, prawda?

W milczeniu skinęła głową. To prawda: miała nadzwyczajne szczęście i niezwykły talent. Niemal tak, jakby mogła patrzeć oczyma zaginionego dziecka - i w ten sposób odkryć, gdzie się zguba znajduje. Było to dla Milli podwójnie frustrujące: tak dobrze szło jej odnajdywanie cudzych dzieci, ale nie mogła trafić na ślad własnego.

- To kolejna nić, za którą można podążyć - powiedział Diaz.

- Może zadawałem niewłaściwe pytania. Może powinienem był spytać, kto kazał tym wszystkim ludziom udzielać ci kłamliwych odpowiedzi.

Przez wszystkie te lata kręciła się w kółko, a ktoś pilnował

- wciąż machając jej przed nosem marchewką - by nie zboczyła ze swoich własnych śladów Jedyny prawdziwy ślad, który jej się trafił, to ten wiodący do Guadalupe, tej nocy, której spotkała Diaza.

Nie miała pojęcia, kim był jej informator. Zresztą Diaz też nie wiedział

- na pewno podzieliliby się z nią tak ciekawą informacją. A może...

- Dowiedziałeś się może, kto dał ci cynk na tamto nocne spotkanie w Guadalupe?

- Nie.

Kolejna tajemnica. Ale tym razem przynajmniej pożyteczna. Tymczasem Milla nie mogła poradzić sobie ze świadomością, że ktoś skazał ją na frustrację, kierował wciąż w ślepy zaułek. Mogłaby pogodzić się z tym, że nikt jej nie chciał nic mówić, że trafiała na ścianę milczenia. Ale celowe wprowadzanie w błąd, zwodzenie i oszukiwanie, zakrawało na wyrachowane okrucieństwo.

Była tak zamyślona, że nawet nie zauważyła, kiedy zatrzymali się przed małym hotelikiem. Z ponurych rozmyślań wyrwał ją dopiero odgłos otwieranych drzwi kierowcy; zanim zdążyła wziąć torebkę i przewiesić ją sobie przez ramię, Diaz obszedł już auto dookoła, otworzył drzwi po jej stronie i pomógł wysiąść, łapiąc Millę w pasie. Postawił ją na ziemi przed sobą, a ona poczuła się osaczona: z jednej strony wielka półciężarówka, z drugiej otwarte drzwi, z trzeciej Diaz. Dzielilo ich wprawdzie dobrych kilkanaście centymetrów, ale Milla poczuła ciepło ciała mężczyzny i przyjemny zapach jego skóry. Nie ogolił się, jego szczękę i policzki pokrywał kilkudniowy zarost. Milla poczuła nagłą ochotę, by wyciągnąć rękę i pogłodzić go po twarzy, poczuć męską, podniecającą szorstkość skóry na swojej dłoni.

- Nie daj się im - powiedział Diaz, podczas gdy Milla starała się zejść z obłoków na ziemię. - Tak skuteczne wodzenie za nos wymaga dużych pieniędzy i dużych wpływów. To daje mi kolejną nić, za którą można pociągnąć. Chyba mamy tu już cały kłębek.

Milla uśmiechnęła się lekko, a Diaz sięgnął po jej bagaże. Poszedł przodem, przez małą recepcję, gdzie pracownik hotelu zaszczyił ich przelotnym spojrzeniem, by szybko wrócić do swoich zajęć. Hotel okazał się schludnym i całkiem przyjemnym miejscem, mała winda zatrzymała się na parterze z cichym sykiem.

Diaz nacisnął guzik z cyfrą „3”. Gdy drzwi windy zasunęły się i ruszyli w górę, powiedział:

- Masz pokój 323. Ja mam 325 - sięgnął do kieszeni i wydobyl elektroniczną kartę otwierającą hotelowe drzwi. - To twoja. Od windy w lewo.

Milla wyszła pierwsza. Diaz podążył za nią, niosąc zarówno jej dużą walizkę, jak i torbę podróżną. Kobieta otworzyła drzwi do pokoju 323. Wewnątrz panował półmrok, ciężkie zasłony były zasunięte. Milla musiała włączyć światło. Pokój okazał się standardowym pomieszczeniem hotelowym, czystym i przyjemnym, ale zaprojektowanym bez polotu. Wielkie łóżko, dwudziestopięciocalowy telewizor wpuszczony w szafę, wygodny fotel z podnóżkiem, krzesło przy biurku. Drzwi przechodnie, łączące pokój z sąsiednim numerem, stały otworem: widać było przez nie lustrzaną kopię apartamentu Milli.

Może Diaz lunatykował nocami?

- Gdzie ci to położyć? - zapytał, wskazując na ciężką walizę.
- Na łóżku. Przekopię się przez ubrania i zaraz do ciebie dołączę.
- Zaczekam na zewnątrz.

Wyszedł, a Milla rzuciła się do szukania dżinsów, skarpet i adidasów. Po trzech minutach, z torebką w jednej ręce i kartą do drzwi w drugiej, wyszła z pokoju.

Wrócili na parking tą samą trasą. Diaz lekko podsadził Millę do kabiny

- Czemu wzięłeś akurat taki samochód, do którego powinni dołączać drabinkę w zestawie? - spytała z irytacją, zapinając pasy
 - Tam, gdzie jedziemy, potrzebne będzie wysokie zawieszenie.
- Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jedziemy na rajd terenowy?
- W pewnym sensie.

Najwyraźniej zapowiadała się ciężka trasa.

- Głodna? - spytał Diaz, zanim jeszcze wyjechali z Boise. Milla kiwnęła głową, myśląc, że lepiej najeść się na zapas. Zjechali do pobliskiego fast foodu. Nie minęło pięć minut, a byli już z powrotem w trasie, dzierżąc w dłoniach okazałe hamburgery.

- Pojedziemy najszybciej, jak się da - powiedział Diaz - ale i tak ostatni odcinek będziemy musieli pokonać piechotą. Ten facet jest maniakiem survivalu, nieźle się zabezpieczył przed niepożądanymi gośćmi.

- Będzie do nas strzelał? - spytała Milla zaniepokojona.

- Teoretycznie możliwe, ale o ile wiem, on raczej nie jest groźny. Tylko lekko stuknięty.

Lepsze to niż „zupełnie stuknięty”. Z drugiej strony, amator sztuki przetrwania miał prawo trochę się zdenerwować, dostrzegłszy dwójkę obcych na drodze do swojego przemyślnie ukrytego i zabezpieczonego domu.

Trzy godziny później Milla zorientowała się, że „dom” nie jest tu najwłaściwszym określeniem. Diaz skręcił z utwardzonej drogi, wjeżdżając na ścieżkę tak kamienistą i stromą, że Milla szybko zamknęła oczy i chwyciła się mocno fotela, pewna, iż lada moment czeka ich dachowanie. Ścieżka wreszcie się skończyła (Milla musiała przyznać, że również określenie „ścieżka” było eufemizmem). Stanęli u podnóża stromej góry

- Stąd idziemy pieszo - oznajmił Diaz, wyłączając silnik. Milla wrzuciła torebkę pod siedzenie i wyskoczyła z auta, nie

czekając na pomoc mężczyzny Rozejrzała się uważnie dookoła, patrząc na otaczające ich góry. O ile wiedziała, Idaho było jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Niebo wyglądało jak pomalowane głębokim, jesiennym błękitem. Drzewa urzekały niesamowitą paletą kolorów: zieleń mieszała się z najpiękniejszymi odcieniami czerwieni i żółci. Powietrze było rześkie i czyste.

Diaz wyjął z samochodu plecak i narzucił go sobie na ramiona.

- Tędy - wskazał, ruszając w stronę cichego lasu.

- Skąd znasz dokładną drogę?

- Mówiłem ci, zrobiłem rekonesans.

- Skoro już tu dotarłeś, mogłeś przecież porozmawiać z tym gościem.

- Była noc. Nie chciałem go wystraszyć.

Noc? Diaz był tu w nocy? Dzicz wokół wydawała się tak nieprzenikniona, surowa, tak... pełna, że Milla absolutnie nie mogła wyobrazić sobie, jak można w ciemności odnaleźć tu ścieżkę. Odnaleźć, a potem nie zgubić. Wiedziała wprawdzie, że Diaz czuje się jak ryba w wodzie na pustynnych terenach południowego zachodu, ale nie spodziewała się, że równie świetnie daje sobie radę pośród gór i lasów. A jednak zdawał się bezbłędnie wyczuwać kierunek, bez problemu znajdować trop. Poruszał się wśród dostojnych drzew cicho niczym duch.

- Chodziłeś kiedyś po górach? - zapytała. Swoją drogą, opłaciło się utrzymywać w formie. To nie był teren dla sflaczałego domatora.

- W Sierra Madre. A przedtem trochę w Górach Skalistych.

- Co masz w plecaku?

- Wodę, prowiant, płachtę ochronną. Podstawowe rzeczy.

- Zamierzamy spędzić tu noc? - zapytała zdziwiona.

- Nie. Powinniśmy wrócić do samochodu przed zmrokiem. Po prostu wolę nie ryzykować.

Idąc za Diazem, Milla zauważyła obły kształt pod luźną koszulą mężczyzny. W tym, że nosił broń, nie było nic nadzwyczajnego, stanowiło to raczej dla niego stan naturalny. Ale jakoś nie zauważyła, by wyciągał ją ze schowka w aucie - no i przecież nawet nie zaszedł do swojego pokoju w hotelu. A więc...

- Miałeś przy sobie broń już na lotnisku? Rzucił na nią okiem przez ramię.

- Nie musiałem przechodzić przez bramkę wykrywacza metali.

- Ale... Boże, przecież to poważne przestępstwo? Wzruszył ramionami.

- Pewnie byliby trochę zdenerwowani, gdyby mnie złapali.

- Jak przemyciłeś tę giwerę aż tutaj?

- Nie musiałem. Dostałem ją na miejscu.

- Hm, chyba nie ma sensu pytać, czy to legalna broń?

- A jakże. Legalna i zarejestrowana. Tylko nie na mnie.

- Kradziona?

- Nie, nie kradziona - westchnął. - Należy do właściciela naszej półciężarówki. A zresztą nawet gdyby złapano mnie na lotnisku, nie zostałbym aresztowany. Chcieliby mnie przyskrzynić, jasne - ale to by się nie udało.

- Czemu nie?

- Znam ludzi w Bezpieczeństwie Krajowym. Kiedyś...
pracowałem dla nich. Choć nie etatowo.

Milla była w lekkim szoku. Diaz, zazwyczaj tak mrukliwy i małomówny, odpowiadał na jej pytania! Podbiegła trochę, aby zrównać się z nim na ścieżce.

- Łapałeś terrorystów? - spytała podniecona, nieświadomie podnosząc głos na ostatnim słowie.

- Bywało - odparł tym specyficznym tonem oznaczającym, że nie ma zamiaru wdawać się w szczegóły

- Pracujesz w służbach?

Zatrzymał się i spojrzał na nią z lekką, ale wyraźną irytacją.

- Nie. Po prostu coś kiedyś dla nich zrobiłem jako wolny strzelec. To wszystko. Pracowałem już dla prywatnych osób, dla korporacji, dla rządów. Można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju łowcy nagród, choć nie ścigam prostych bandziorów, którzy zniknęli po wypuszczeniu za kaucją. Zazwyczaj. To już koniec pytań?

- Chciałbyś - parsknęła ironicznie. Diaz, o dziwo, uśmiechnął się.

- Więc zaczekajmy z resztą pytań do powrotu, dobrze? Teraz wolałbym słyszeć, co dzieje się dookoła.

- Niech ci będzie. Ale tylko dlatego!

Wróciła na poprzednią pozycję, za plecami mężczyzny Szli w milczeniu, tylko ich kroki zakłócały ciszę górskiego lasu. Zresztą dobrze się złożyło. Po kilku minutach ścieżka zrobiła się stroma i Milla potrzebowała oddechu. Po półgodzinie usłyszeli szum wody. Zarośnięta ścieżynka doprowadziła ich wprost nad potok. Woda płynęła wąwozem przecinającym górę, po obu stronach potoku wznosiły się dwuipółmetrowe ściany skalne. Strumień miał zaledwie około sześciu metrów szerokości, co jeszcze przyspieszało spieniony nurt; rozpędzona woda rozbijała się z pluskiem o liczne kamienie, mieniając się w słońcu miriadami błyszczących kropelek.

Milla poszła za Diazem wzdłuż brzegu. Szum wody przybierał na sile, a strumień zwężał się coraz bardziej, dochodząc wreszcie do

zaledwie niecałych czterech metrów szerokości. Mężczyzna zatrzymał się.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział głośno.

W tym momencie Milla dostrzegła małą chatkę po drugiej stronie potoku. W zasadzie określenie „chatka” nie było najszcześniejsze. Wyglądało to raczej na duży szałas zbudowany ze sklejki i impregnowanego papieru budowlanego przybitego gwoździami. Las najwyraźniej próbował odzyskać utracony teren: mech porastał już ściany chatynki, a winorośl zwieszała się z dachu. Swoją drogą dawało to niezły kamuflaż. Pozycję chaty zdradzało tylko jedno małe okienko i komin z surowych kamieni.

- Halo! - zawołał Diaz.

Po dłuższej chwili otworzyły się drzwi od chaty i wyjrzała z nich szpakowata głowa. Mieszkaniec szałasów spojrzał na nich podejrzliwie, po czym zawiesił spojrzenie na Milli. Jej obecność chyba go uspokoiła; wyszedł na zewnątrz, dzierżąc w rękach dubeltówkę. Wyglądał jak niedźwiedź: mierzył prawie dwa metry, ważyć musiał dobrze ponad sto kilogramów. Długie siwe włosy spiął w koński ogon sięgający połowy pleców, jego krótka broda wyglądała jednak na przyciętą - najwyraźniej facet trochę jeszcze dbał o siebie. Właściwie świadczyła o tym wyłącznie broda. Mężczyzna miał na sobie zgniłozielone spodnie w maskujące plamy i zieloną flanelową koszulę.

- No? Kim jesteście?

- Nazywam się Diaz. To pan jest Normanem Gillilandem?

- Zgadza się. I co z tego?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to chcielibyśmy porozmawiać o pańskim bracie.

- Którym bracie?

Diaz zawahał się; nie znali imienia.

- O pilocie.

Norman flegmatycznie przesunął językiem żuty kawałek tytoniu na drugą stronę szczęki, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- No to chyba chodzi o Virgila - odezwał się w końcu. - Nie żyje.

- Tak, wiemy. Czy wie pan coś o jego...

- Przekrętach? Przemycie? Trochę wiem - mruknął Norman. -

Wygodniej będzie, jak tu do mnie przyjdziecie. Co tam masz?

- Pistolet - odparł Diaz.

- Po prostu trzymaj go w kaburze, synu, a wszyscy będą szczęśliwi.

Norman ostrożnie oparł dubeltówkę o ścianę domku, po czym podniósł długą nieheblowaną dechę, która wyglądała na ręcznie ciosaną. Była na ponad cztery i pół metra długa, miała kilka centymetrów grubości i około trzydziestu szerokości. Musiała być bardzo ciężka, ale Norman poderwał ją jak piórko. Umieścił końcówkę deski w sprytnie wykutym na ich brzegu rzeki wyżłobieniu, potem przyklęknął i uczynił to samo z drugim końcem kładki, po swojej stronie.

- No i już - powiedział. - Śmiało przechodźcie.

Milla popatrzyła na deskę, na spienioną wodę tuż pod nią i odetchnęła głęboko.

- Jestem gotowa - syknęła do Diaza.

Złapał jej dłoń i zacisnął wokół swojego paska.

- Trzymaj się. Łatwiej zachowasz równowagę.

- Nie ma mowy! - szarpnęła się. - Jeśli wpadnę do wody to pociągnę cię za sobą.

- Mówisz tak, jakbym nie miał zamiaru i tak za tobą skoczyć - spokojnie ujął dłoń Milli ponownie i założył sobie za pasek. - Trzymaj się.

- No idziecie czy nie? - zawołał Norman z irytacją.

- Idziemy!

Diaz ostrożnie wkroczył na kładkę, Milla szła za nim.

Trzydzieści centymetrów to całkiem spora szerokość, jako dziecko chodziła po znacznie węższych belkach. Tylko że teraz była już dorosła, wiedziała, do jakich głupot zdolne są dzieci i czego nie powinno się robić. Poza tym nawet jako dziecko nie przechodziła po chybotliwej kładeczce nad rozszalałym górskim potokiem. Powtarzała sobie, że po prostu musi to zrobić. Ze pewny krok jest zawsze lepszy od niepewnego. Nie przylepiła się do Diaza, trzymała się tylko jego pasa, i to naprawdę pomagało zachować równowagę. Nawet nie zauważyła, kiedy przekroczyli całą szerokość potoku i stanęli na skałach po drugiej stronie.

Ani Diaz, ani Norman nie kwapili się do powitań, więc Milla zebrała się w sobie i pierwsza wyciągnęła rękę.

- Jestem Milla Edge. Dziękuję, że zgodził się pan z nami porozmawiać.

Norman obrzucił jej dłoń niepewnym spojrzeniem, po czym ostrożnie wyciągnął swoją wielką łapę i delikatnie uścisnął rękę kobiety.

- Miło was widzieć. Rzadko miewam tu gości.

Tak? A to ciekawostka, pomyślała Milla. Facet sam o to zadbał, osiedlając się w takim miejscu.

Nie zaprosił ich do środka, a jej to nawet odpowiadało. Nie chodziło nawet o to, że chatka była mała; Milla mogła się założyć, iż Gilliland nie dba zbyt o czystość w domu. W pobliżu było kilka sporych kamieni o obłym kształcie, Norman wskazał im je jako siedziska. On sam przysiadł na pieńku.

- No dobra - powiedział. - Co mogę dla was zrobić, he?

- Mówił pan, że wie coś o przemyśle, którym trudnił się brat - odezwał się Diaz.

- A pewnie, że wiem. Marihuana. Zarobił na tym całkiem konkretną sumkę, ale Virgil nigdy nie umiał troszczyć się o kasę i wszystko przepuścił. Tak myślę. Kiedy mu się umierało, to był już znowu goły i wesoły

- Zginął w katastrofie samolotu?

- Virgil? Nieee. Rak wątroby go załatwił. Listopad roku dziewięćdziesiątego.

Przed porwaniem Justina. Milla głośno wypuściła powietrze, czując dojmujące rozczarowanie. Choć przecież nie oczekiwała wiele

i nie spodziewała się w sumie usłyszeć żadnych użytecznych informacji; rozmowa w samochodzie wiele jej wyjaśniła.

- Zajmował się szmuglowaniem czegoś oprócz trawki?

- Chyba nie. No, ja nie słyszałem. A, wspominał raz o kokainie.

Jednorazowa akcja.

- Przewoził może ludzi? Dzieci?

- Pierwsze słyszę.

- Pracował cały czas dla jednego człowieka?

- E, taki stały w uczuciach to on nie był. Często się przeprowadzał, aż zachorował. Rak zeżarł go w ekspresowym tempie. Kiedy się dowiedział, że jest chory, miał przed sobą ledwie kilka miesięcy życia.

- Gdzie umarł?

- Gdzie? A tutaj. Tutaj. Zakopałem go o tam, w lesie. Nikt jakoś nie chciał zapłacić za porządny pogrzeb, no to sam się za to wziąłem.

Nie było już o czym gadać. Podziękowali Normanowi, a Diaz wręczył mu zwitek banknotów jako zapłatę za poświęcony czas.

Potem wrócili do prowizorycznego mostu.

Milla czuła się wystarczająco pewnie, by nie trzymać się paska Diaza przy przekraczaniu potoku, lecz mężczyzna nalegał.

Wystarczyło nie patrzeć w dół (widok spienionej wody sprawiał, że kręciło jej się w głowie) i już było dobrze.

Byli mniej więcej na środku kładki, gdy Diaz krzyknął ostrzegawczo. Deska zatańczyła gwałtownie pod ich stopami. Milla puściła Diaza, machając rozpaczliwie rękoma, usiłując złapać

równowagę. Wszystko działo się zbyt szybko: nie zdążyła nawet wrzasnąć, a już oboje spadali w rozszalały nurt lodowatej górskiej rzeki.

- 19 -

Woda była potwornie zimna, a poza tym głębsza, niż Milla się spodziewała. Nurt pociągnął ją bez litości, pchnął pod powierzchnię, miotał ciałem kobiety niczym bezwładną szmacianą lalką. Instynktownie zaczęła poruszać nogami, odpychać się od wody, starając się płynąć z prądem, zamiast z nim walczyć. Jakby w nagrodę potok wyrzucił ją na powierzchnię.

Milla nerwowo, zachłannie zaczerpnęła powietrza; włosy przylepiły się jej do twarzy, zasłaniając oczy. Zdawało się jej, że słyszy odległy krzyk, potem prąd cisnął ją znowu w dół, ku dnu. Coś uderzyło ją silnie w lewe ramię, nawet nie zabolowało, za to obróciło ją wokół osi, tyłem do środka nurtu, i Milla znów zawalczyła o wypłynięcie na powierzchnię. Udało jej się znowu popłynąć z prądem, machając rękami i nogami z całej siły - i znowu wyskoczyła na powierzchnię niczym korek.

- Milla!

Głos, który usłyszała, był stłumiony i zniekształcony, ale rozpoznała go. Odwróciła głowę, by ujrzeć za sobą Diaza płynącego ku niej, młócaącego wodę zamaszystymi, desperackimi ruchami.

- Jestem! W porządku! - odkrzyknęła, czując jednocześnie, że znów porywa ją nurt. Mocniej machnęła nogami, starając się za wszelką cenę utrzymać głowę ponad powierzchnią wody

Diaz był lepszym pływakiem, ale był także cięższy, dlatego nie był w stanie dogonić Milli. Jeśli przestałaby pracować rękami i nogami, poruszałyby się na pewno wolniej, ale prąd ściągnąłby ją znów pod powierzchnię. Brzegi były strome i skaliste po obu stronach. Spływali potokiem niczym rynną o wysokich krawędziach - nie daliby rady wydostać się na zewnątrz, nawet dopłynąwszy do któregoś nabrzeża.

Przed nimi strumień skręcał w lewo. Na prawym brzegu leżało zwalone drzewo: jego konary sięgały niemal do samej wody.

- Drzewo...! - Milla usłyszała krzyk Diaza i zrozumiała. Skierowała się w prawo, starając się znaleźć jak najbliżej konarów. W chwili, gdy próbowała zaczerpnąć powietrza, przykryła ją woda; kobieta zakrztusiła się boleśnie. Z całych sił próbowała wydostać się na powierzchnię, ale potworne zmęczenie i lodowate zimno robiły już swoje. Bolało ją lewe ramię i mięśnie nóg, w płucach miała żywy ogień. Gdyby tylko mogła złapać konar drzewa! Może dałoby się na nim chwilę odpocząć... Może zdołaliby wydostać się z potoku...

Nie miała już sił, ale oto nurt potoku sam usłużnie zepchnął ją w prawo, tam gdzie wartka woda wymyła kawał skały. Milla desperacko wyciągnęła ręce i trafiła na jakąś gałąź, zacisnęła na niej dłoń z całej siły. Rozpędzona woda szarpnęła mocno ciałem kobiety i martwy konar pękł niczym zapałka. Milla zniknęła pod powierzchnią.

Była już bardzo zmęczona, kopnięcia nóg straciły na sile, miarowe ruchy ramion stały się chaotyczne. Jeszcze raz udało jej się wychynąć ponad powierzchnię i nabrać powietrza, zaraz potem kolejna fala lodowatej wody przykryła ją z głową, ciągnąc w dół, już ostatecznie. Jednak w tej chwili poczuła chwytające ją silne ramię, drzewo wprawdzie nie zatrzymało Milli, ale spowolniło ją na tyle, by Diaz zdołał wreszcie ją dogonić.

- Na prawy brzeg! - krzyczał mężczyzna. - Tam jest samochód! Było to poniekąd pocieszające: on wciąż wierzył, że im się uda.

Inaczej nie przejmowałby się konkretnym brzegiem potoku, na który musieli się dostać.

Milla nie miała pojęcia, jak daleko zanosła ich woda, ale nurt był tak szybki, że mogli znajdować się już prawie kilometr od chatki Normana. Nagle koryto potoku stało się szersze, a prąd gwałtownie zwolnił.

Wciąż był to jednak bardzo wartki nurt, którego siły nie zdołałyby pokonać - przynajmniej woda uspokoiła się trochę i nie miotła już nią na wszystkie strony. Brzegi były tu mniej strome, usiane wielkimi głazami. Milla mogła już utrzymać się na powierzchni i dać obolałym mięśniom chwilę wytchnienia. Czuła zdradzieckie zimno przenikające aż do kości i wiedziała, że za kilka chwil może już nie mieć sił płynąć dalej.

- Łap i owiń sobie wokół nadgarstka! - zawołał Diaz; końcówka jego skórzanego pasa chlapnęła tuż przed Millą.

- Pociągnę cię na dno! - odkrzyknęła, łapiąc pas.

- Nie pociągniesz. Nie możemy się rozdzielać, trzymaj mocno!
Jeżeli się rozdziela, to Milla po prostu zginie. O to mu chodziło.

Z drugiej strony, jeśli pociągnie go na dno, zginą oboje.

- Nie ma czasu! - zawołał. - Musimy się wydostać przed wodospadem!

Wodospad? Krew zastygła Milli w żyłach. Woda z potężną siłą ciśnie ich w dół i utopi, zakładając, że nie rozbiją się na miazgę o kamienie. Nie była pewna, co Diaz zamierzał, ale w tej chwili była gotowa na wszystko. Chwyliła mocniej pas i owinęła go sobie kilka razy wokół nadgarstka.

- Potok skręca w prawo! - krzyknął Diaz, kaszląc i plując wodą.
- Nurt jest słabszy po wewnętrznej stronie zakola, to nasza szansa!
Trzymaj się mocno, wyciągnę nas z tego!

- Mogę płynąć, pracować nogami! - zawołała, dziwiąc się, jak zduszony ma głos.

- Pracuj! Mocno, jak szalona! Pracowała jak szalona.

Mięśnie ud minęły już chyba czerwoną kreskę zmęczenia i purpurową kreskę żywego ognia. Czują w nich potworny ból, ale wciąż odpychała się nogami z całych sił. Ramiona Diaza cięły wodę regularnie jak maszyny, ciągnąc ich po przekątnej ku brzegowi potoku. Do przodu sunęli bardzo zwawo, ku brzegowi - mozolnie, cal po calu. Zakole potoku zbliżało się... szybko. Zbyt szybko. Wyglądało na to, że miną zakręt i nie dadzą rady dotrzeć do wolniejszego nurtu. Milla zawyła nie ludzkim głosem, gdy desperacki kop adrenaliny pchnął ją do przodu; płynęła już prawie równo z Diazem. Mężczyzna,

nieobciążony wagą Milli, ruszył z nowym impetem; prąd rzucił ich w stronę zakrętu.

Wielkie drzewo rosło tuż nad brzegiem, kiedy przepływali obok, Diaz wyciągnął rękę i chwycił mocno jeden z wystających grubych korzeni.

Mężczyzna zatrzymał się, ale nurt potoku niosący Millę ani myślał stanąć. Namoknięty pas szybko rozwinął się na całą długość, Milla poczuła bolesne, bardzo silne szarpnięcie, nie zwolniła chwytu. Twarz Diaza była zacięta, wykrzywiona z wysiłku, zęby kurczowo zaciśnięte. Prawą ręką trzymał się korzenia, lewą usiłował wyciągnąć kobietę z głównego nurtu rzeki. Milla wciąż desperacko kopała wodę nogami, skręcając całe ciało, aż nagle woda złagodziała uścisk i pchnęła ją sama w stronę brzegu, tuż za drzewem. Byli teraz rozdzieleni grubym pniem, wciąż połączeni naciągniętym paskiem.

Milli także udało się chwycić korzenia, a jednocześnie zaprzeć stopami o wystający z dna kamień. Prąd rzeki wciąż napierał, ale kobiecie udało się wyprostować drżące kolana i zablokować je w tej pozycji, trzymając się mocno.

- Puszczam pasek - zdołała wykrztusić. - Trzymam się drzewa. Jak u ciebie?

- W porządku - odparł. Milla odwinęła sobie pas z nadgarstka, odpłynął z wartkim prądem. Spanikowała przez moment, gdy woda naparła na nią silniej, jakby czując, że nie ma już liny łączącej dwójkę ludzi. Kobieta silniej chwyciła się drzewa i utrzymała pozycję.

Płuca Milli pracowały ciężko niczym miechy, walcząc o tlen dla skrajnie wyczerpanych mięśni. Nie słyszała już nic oprócz ryku wody i łomotania własnego serca.

Poczuła ręce Diaza chwytające ją pod ramiona. Mężczyzna pociągnął ją do tyłu i w górę, po czym wydobył z wody i ułożył na płaskich nadbrzeżnych kamieniach.

Ten wysiłek pochłonął najwyraźniej ostatnie rezerwy sił Diaza: mężczyzna opadł na ręce i kolana, rżąc i sapiąc ciężko. Milla bezwładnie leżała na brzuchu tam, gdzie ją położył, niezdolna do żadnego ruchu. Jej ciało ważyło chyba z tonę, nawet ruszenie palcem wymagało teraz heroicznego wysiłku.

Nadbrzeżna skała była ciepła od słońca, jasne promienie ogrzewały przemarznięte ciało kobiety. Woda spływała z jej ubrania i włosów. Milla zamknęła oczy, wsłuchując się w dwa ciężkie, wymęczone oddechy, w przyspieszony rytm krwi pulsującej w żyłach. Przeżyli.

Może zasnęła, może straciła przytomność. A może coś pomiędzy. Po nieokreślonym czasie zdołała przewrócić się na plecy, pozwalając słońcu ogrzać mokrą i zmarzniętą twarz. Wciąż ciężko oddychając, w niemal radosnym oszołomieniu zwróciła oczy ku ciepłym, jasnym promieniom.

Było blisko. Bardzo blisko. Milla wciąż nie wierzyła, że udało im się dotrzeć na brzeg. Wiedziała na pewno, że nie zdołałaby zrobić tego o własnych siłach. Woda pieniała się i rozbijała zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od miejsca, w którym leżał Diaz. Lizła

zachłannie skałę i uparte drzewo, wiedząc dobrze, że kiedyś z nimi wygra. Czas zawsze działał na korzyść potoku. Tylko dzięki sile Diaza udało się im wyrwać z żelaznego lodowatego uścisku.

- Co się stało? - wydyszała Milla, wciąż z trudem łapiąc oddech.

- Dlaczego spadliśmy?

- Wykruszyła się ta wykuta wnęka, na której była oparta kładka - odparł Diaz. - Dlatego deska nagle się przechyliła.

- Skąd wiedziałeś, że dalej jest wodospad? Milczał.

- Wartki potok zawsze kończy się wodospadem - powiedział w końcu. - Nie oglądasz filmów akcji?

Oszołomiona i szczęśliwa, pijana życiem, Milla roześmiała się głośno.

Diaz przewrócił się na plecy, układając tuż obok niej; jego klatka piersiowa wciąż pracowała w nerwowym rytmie, nadrabiając deficyt tlenu. Mężczyzna obrócił głowę ku Milli, a ona dostrzegła, jak na jego ustach rodzi się lekki uśmiech. Patrzył na nią w milczeniu, silne, popołudniowe słońce zwęziło jego oczy

- Dałbym sobie odciąć lewe jajo - odezwał się nagle - żeby być teraz w tobie.

Śmiech zamarł zszokowanej Milli na ustach. Tak, fantazjowała o nim, myślała i marzyła, ale nigdy nie sądziła, że to może stać się naprawdę. A tymczasem - proszę bardzo. Tu i teraz. Diaz... z nią? Słowa mężczyzny tak zgrzytnęły, że cały świat wokół Milli zakołysał się bezlitośnie, choć przecież ciągle leżała na ciepłej skałe, z szumem w uszach i adrenaliną krążącą w żyłach. Świat zakołysał się, a potem

gwałtownie osiadł w posadach. Milla poczuła nagle pierwotny, zmysłowy głód, który aż zatrząsł jej słabym ciałem. Diaz z nią. Przeniknął ją żar na myśl o tym mężczyźnie pochylonym nad nią, spoczywającym między jej nogami... Pragnęła go. Pragnęła go od momentu, gdy pierwszy raz się zobaczyli. Pragnęła go teraz. Nigdy nawet jej porządnie nie pocałował. Łagodny całus pocieszenia w Juarez się nie liczył.

Chciała tego, ale wszystkie możliwe powody odmowy w jednej chwili przegalopowały jej przez głowę. Jeżeli Diaz miał ochotę tylko na szybki numer, to Milla zdecydowanie nie była kobietą, której szukał. Nie mogła sobie jednak wyobrazić, że temu facetowi może chodzić o coś innego. Ostatecznie to był Diaz, nie jakiś miły chłopak z sąsiedztwa. A ona nie była tak głupia, by wierzyć, że jakimś cudem zdoła go zmienić. Tak uważała, by nie wysłać mu żadnego seksualnego sygnału, nie dać mu poznać, że uważa go za fizycznie atrakcyjnego. Ukrywała to, przyznawała się do tego jedynie we własnych marzeniach. Ale on wiedział. W jakiś sposób to czuł. Widać to było w jego ciemnych oczach.

- Za dużo myślisz - powiedział leniwie. - To była tylko luźna uwaga, a nie wypowiedzenie wojny.

- Kobiety zawsze za dużo myślą - odparła. - Musimy to robić, dla zdrowia i równowagi.

Dziwne. Czemu użył słowa „wojna” jako przenośni? A może właśnie ono tu pasowało? Odwracając się do słońca, próbując znaleźć

w czymś oparcie (bo wszystko wokół zdawało się kołysać), Milla powiedziała:

- Czemu faceci zawsze „dają sobie odciąć lewe jajo”, a nigdy prawe? Coś jest nie tak z tym lewym? A może prawe jest ważniejsze?

- Źle nas oceniasz - Diaz przymknął oczy, a na ustach znów zagościł mu lekki uśmiech. - Mężczyzna traktuje oba swoje jaja z równą atencją.

- W takim razie czuję się zaszczycona twoją poprzednią uwagą.

- Ale nie zainteresowana.

W tym właśnie miejscu mogła jeszcze spokojnie powiedzieć „nie” i bezboleśnie zakończyć sprawę. Zamiast tego, nie mogąc zmusić się do kłamstwa, Milla zamknęła oczy i pozwoliła zapaść niezręcznej ciszy

Poczuła jakiś ruch w pobliżu, Diaz wsparł się na łokciu, nachylił nad nią i przesłonił jej słońce.

- Lepiej powiedz „nie” - mruknął, kładąc rękę na jej brzuchu.

Poczuła w tym miejscu gorąco, przez mokre ubranie, ciepło jego dłoni dotarło do zmarzniętej skóry. Potem palce mężczyzny wśliznęły się do dżinsów i gorączka ogarnęła nagle całe ciało Milli.

- Nie zamierzam robić nic tu i teraz - ciągnął. - Musimy wrócić do samochodu. Skała to bardzo niewygodne miejsce do wiadomego celu. Nasze ubrania są mokre, a wspomniane jaja tak mi się skurczyły z zimna, że szukałbym ich pewnie z tydzień. W dodatku nie mam gumek. Ale za parę godzin wszystko będzie wyglądać inaczej, więc radzę ci się zawczasu zdeklarować.

Miał zupełną rację. Powinna powiedzieć „nie” właśnie teraz.

Ale nie powiedziała. Pomimo wszystkich zdroworozsądkowych powodów, które sama sobie przedstawiła... nie powiedziała nic.

Zamiast tego otworzyła oczy i zwróciła twarz ku Diazowi, który właśnie pochylał się nad nią. Jego wargi były zimne, lecz jej - jeszcze zimniejsze. Ale język Diaza był ciepły, a pocałunek delikatny, wręcz nieśmiały - tak łagodnie i ostrożnie badał jej usta. Jego lewa dłoń utonęła w burzy mokrych włosów Milli; pocałował ją głębiej, mocniej, obejmując kobietę w pasie i przyciągając do siebie.

Dotyk tego silnego ciała wywołał w Milli kolejną falę gorących dreszczy. Prawie zapomniała o chłodzie i przemarznięciu, choć wciąż drżała w mokrym ubraniu.

Diaz oderwał się od ust Milli i odgarnął mokre włosy z jej twarzy, nie spuszczać wzroku z kobiety.

- Musimy wrócić do samochodu i się ogrzać. Słońce niebawem zajdzie, a nie chciałbym, żeby zmierzch zastał nas tu w mokrych ciuchach.

- W porządku.

Diaz przesunął się na bok, a Milla z trudem zdołała usiąść obok niego.

- Myślisz, że Norman zawiadomi kogoś, da znać, choćby po to, żeby odnaleziono nasze ciała?

- Nie sądzę. Słyszałaś, co do nas krzyknął?

- Coś tam krzyczał, ale nie zrozumiałam słów.

- Krzyknął „powodzenia”.

Milla zamrugnęła zdziwiona. Potem zachichotała, ciężko dźwigając się na nogi. Cóż, najwyraźniej Norman był typem człowieka, którego obchodzi wyłącznie własny los.

Stojąc chwiejnie na drżących nogach, oceniła sytuację. Plecak Diaza oczywiście przepadł. Wszystko ją bolało, od stóp do głów; nie była pewna, czy to efekt wściekłych uderzeń spienionej wody, czy może nieludzkiego zmęczenia mięśni. Miała sporo szczęścia: nie uderzyła w nic na tyle mocno, by się naprawdę poharatać. Dziękowała Bogu za sporą głębokość potoku, to ona prawdopodobnie ocaliła im życie. Jeżeli woda byłaby płytsza, pewnie oboje rozbiliby się o kamienie.

Straciła oba adidasy i jedną skarpetkę. Czemu druga się utrzymała? Oto jest pytanie. Zegarek był zniszczony, jej twarz pokiereszowana, no i jeszcze zgubiła sweter, który był tylko narzucony na ramiona, niezapięty

Diaz patrzył na jej stopy.

- Nie możesz tak iść - orzekł i zaczął rozpinać koszulę. Zdjął ją z pleców, wyjął z kieszeni nóż i odciął oba rękawy. Przyklęknął przed Millą na jedno kolano, rozłożył sobie rękaw na udzie i rozprostował starannie.

- Postaw tu stopę - powiedział. Milla posłuchała go, ostrożnie balansując na drugiej nodze. Diaz sprawnie opatulił jej stopę rękawem, owijając kilka razy i łącząc końcówki zgrabnym węzłem na górze. Potem tak samo opatrzył drugą stopę.

- Jak się z tym czujesz? - zapytał. - Wiem, że to nie solidna skórzana podeszwa, ale powinno wystarczyć na przejście kawałka drogi. Dobrze chroni? Jeśli nie, powiedz od razu, szkoda stóp.

Przeszła się kawałek po skale, sprawdzając grubość materiału. Miał rację: to nie była skóra. Milla czuła każdy kamyczek pod podeszwą.

- Jak daleko mamy do samochodu? - spytała.

- Całkiem blisko, o ile się nie mylę - Diaz rzucił okiem na słońce. - Potok poniósł nas w kierunku auta.

- Ale idąc, mijaliśmy jeszcze zakręt w lewo.

- A potem w prawo. Powiedziałbym... jakieś półtora kilometra. Półtora kilometra przez górski las praktycznie bez butów...

Najwyraźniej Diaz pomyślał o tym samym, bo nagle pokręcił głową i rozejrzał się dookoła. Wyjął ponownie nóż i podszedł do drzewa. Wbił ostrze w korę i pociągnął mocno w dół.

- Co robisz?

- Wycinam podeszwy dla ciebie.

Podeszła i obserwowała ciekawie, jak Diaz wycina kwadratowy kawał kory, mniej więcej dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć centymetrów. Potem przysiadł przed Millą i odwinął jej prowizoryczne onuce. Podzielił połąć kory na pół i ponownie przyklęknął przed kobietą. Położył sobie kawałek kory na kolanie, gładką stroną do góry, a na nim umieścił odcięty rękaw: w ten sposób Milla będzie miała dwie warstwy materiału między stopą a drewnem. Potem ponownie obwiązał jej stopę, mocując podeszwę z kory dwoma

paskami materiału i wiążąc supeł na górze. Powtórzył operację z drugą stopą, wstał i pomógł wstać Milli.

- Jak się czujesz?

- O wiele pewniej. Ale nie wiem, jak długo wytrzyma kora.

- Lepsze to niż nic. Jak odpadnie, to wytnę nową.

Ruszyli prosto do lasu. Milla szła ostrożnie: prowizoryczne obuwie nie dawało jej pewności, choć chroniło podeszwy stóp. Starła się nie stawać na gałęziach i kamieniach, nie wyginać za bardzo twardych podeszew z kory, mogłyby bowiem tego nie wytrzymać. Przez to wszystko poruszali się wolno, choć powinni byli iść jak najszybciej.

Korony drzew zatrzymywały promienie słoneczne i już po kilku minutach Milla trzęsła się z zimna. Mokre ubranie było lodowate, uświadomiła sobie, że nie musieli wcale się utopić, równie dobrze mogli umrzeć z wychłodzenia. Diaz, choć większy i cięższy od niej, drżał również.

Raz się zatrzymali; mężczyzna objął ją wtedy i przytulił mocno, by mogli podzielić się ciepłem swoich ciał. Stali tak przez dłuższy czas. Głowa zmęczonej Milli spoczywała na ramieniu Diaza. Wydawał się taki twardy i nie do zdarcia, a tymczasem okazał się tak samo wrażliwy na zimno jak każdy człowiek. Słyszała, jak w jego piersi miarowo bije silne serce, wysyłając fale gorącej krwi w każdy zakątek ciała. Już po chwili i jej zrobiło się trochę cieplej.

- Uda nam się - mruknął cicho. - Czeka nas dziś w nocy wiele miłych rzeczy. A poza tym mam kilka bluz dresowych w samochodzie.

- To czemu nic nie mówisz? - odsunęła się od niego. - Wizja suchej bluzy dresowej może działać cuda.

Półtora kilometra dzieliło ich być może od samochodu w linii prostej. Tymczasem niestety, oni nie mogli iść prosto. Wspinali się na pagórki, schodzili po zboczach, mozolnie wracając na właściwą trasę. Czasem musieli łąpać się drzew, kiedy teren robił się już zbyt stromy do normalnej wędrówki. Przejście takiego kawałka zajęło im dwie godziny zamiast dwudziestu minut. Dwa razy Diaz musiał zmieniać podeszwy w zaimprovizowanych sandałach Milli. Na szczęście miał świetną orientację w terenie i wreszcie wyszli na ścieżkę, która ostatecznie doprowadziła ich już do samochodu.

Kiedy dotarli do półciężarówki, było już całkiem ciemno, a po cieple dnia nie został nawet ślad. Milla była tak przemarznięta, że z trudem mogła chodzić. Powłóczyła nogami niczym starowinka, każdy mięsień dosłownie wył z bólu. Z żalem pomyślała o straconym plecaku, a raczej o płachtach ochronnych, które były w środku. Mogliby owinąć się nimi, wtuliwszy się uprzednio w siebie; w ten sposób najlepiej wykorzystaliby ciepło swoich ciał. Prowiantu też szkoda, posiłek porządnie ożywiłby organizm. Milla pomyślała o kawie, o wielkim, apetycznie parującym kubku pełnym kawy. Albo może gorącej czekolady Czekolada... w dowolnej formie.

Pomyślała o Diazie i o tym, co zrobią dzisiejszej nocy - o ile uda im się wrócić do hotelu.

Dotarli do samochodu dokładnie w tym momencie, w którym Milla stwierdziła, że nie da rady zrobić już ani kroku. Nigdy przedtem widok tej potwornej maszyny nie sprawił jej tak wielkiej przyjemności.

- Kluczyki - wychrypiała tknięta nagłym przeczuciem. - Masz je ciągle w kieszeni?

Fajną sprawą w dzinsach jest to, że zmoczone przylegają ściśle do ciała. Co było w kieszeniach, to raczej w nich zostawało, nawet w wartkim potoku. Diaz z trudnością wbił palce do mokrej i zimnej kieszeni i wydobyl stamtąd kluczyki.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Milla.

Następnym wyzwaniem było wejście do kabiny auta.

Diaz próbował ją unieść, ale nie dał rady Wreszcie udało mu się podsadzić kobietę na tyle, by zdołała, chichocząc, wczołgać się do środka, na podłogę kabiny - a stamtąd na siedzenie. Sytuacja nie była wprawdzie zabawna, ale wybór był już tylko pomiędzy śmiechem i płaczem. Diaz musiał chwycić się kierownicy, by wciągnąć się do kabiny; trząśnięcie było tak bardzo, że musiał próbować trzy razy, zanim wreszcie trafił kluczykiem w stacyjkę. W kabinie było jednak cieplej niż na zewnątrz, a po kilku minutach pracy klimatyzacji z nawiewu zaczęło lecieć ciepłe powietrze. Diaz sięgnął za siedzenie i wyciągnął dwie grube bluzy, nowe, jeszcze z metkami; widocznie kupił je

dzisiaj, tak na wszelki wypadek. Jego zdolność przewidywania zadziwiła Millę, nie mógł przecież wiedzieć, że wylądują w wodzie.

Mężczyzna zdjął z grzbietu smętne resztki koszuli, a potem T-shirt. Milla nie była aż tak skonana, by nie zainteresować się wspaniałą, lekko owłosioną klatką piersiową Diaza i jego intrygującym umięśnionym brzuchem. Sama zdjęła bluzę i mokry stanik, a wtedy nagle mężczyzna chwycił ją i przyciągnął do siebie, całując namiętnie, osaczając w przestrzeni pomiędzy kierownicą a własnym stalowym ciałem. Ich nagie piersi spotkały się, włoski na klatce Diaza połaskotały wzwidzione z zimna sutki kobiety, poczuła w nich zmysłowe mrowienie. Objęła Diaza za szyję, drugą ręką dotknęła jego pleców, czując, jak grają tam żelazne mięśnie. Tym razem pocałunek nie był nieśmiały ani delikatny. Mężczyzna całował ją zachłannie, jakby nie mogąc doczekać się powrotu do hotelu. Jego język badał wnętrze ust Milli, jego zęby łagodnie przygryzały jej wargi. Poglądził jej piersi, ścisnął delikatnie, poznając ich kształt, ucząc się ich miękkości, dopasowując do swojej dłoni.

Milla westchnęła cicho, nie przerywając pocałunku. Wiele czasu minęło, od kiedy ostatnio tak się czuła. Zbyt wiele. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że Diaz pragnie jej tak samo, jak ona pragnie jego.

Drżała, lecz już nie z zimna, kiedy mężczyzna się cofnął.

- Lepiej się ubierzmy - powiedział, po czym sam włożył jej jedną z bluz przez głowę. Rozmiar był wprawdzie męski i w ogóle nie pasował, ale to Milli nie obchodziło. Liczyło się to, że bluza była

gruba i sucha; kobieta rozkoszowała się cudownym ciepłem. Diaz włożył swoją bluzę, po czym zdjął mokre buty i skarpetki, wyciągając zziębnięte stopy w kierunku wylotu ciepłego powietrza z klimatyzacji znajdującego się tuż nad podłogą. Milla zrobiła to samo: w ten sposób szybciej wróci krążenie w nogach. Kabina szybko się ocieplała, ale dopiero po kwadransie ustały dreszcze Milli, a w stopach zaczęło porządnie mrowić. Kiedy Diaz zdecydował, że może prowadzić, wokół panował już gęsty mrok.

Mieli przed sobą długą drogę powrotną do Boise. Choć Milli nie było już zimno, to czuła się zupełnie wyczerpana. Z Diazem musiało być tak samo.

- Dasz radę? - spytała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Czy może zatrzymamy się gdzieś po drodze?

- Spokojnie, wytrzymam. Kiedy wyjedziemy na autostradę, będzie już z górki. Zatrzymamy się w pierwszym przydrożnym zajeździe, nieważne jak obskurnym, i wrzucimy coś gorącego na ruszt.

Brzmiało to wspaniale. Poprawiła włosy. Wprawdzie jej dzikie loczki nieco podeschły, ale i tak musiała teraz wyglądać niczym kobieta z buszu. Nie wpuszczą jej do żadnej porządnej knajpy. Chyba tylko do speluny gangu motocyklowego.

- Pistolet przepadł, co?

- Został na dnie rzeki.

- Szkoda. Przydałby się, żeby zmusić kelnera do obsłużenia takich oberwańców.

- Poradzimy sobie - zerknął na nią z uśmiechem.

Mieli trochę szczęścia: szybko trafili na obskurną hamburge-
rownię z okienkiem dla zmotoryzowanych. Wzięli zamówione
jedzenie i zjechali na parking, aby spokojnie zjeść. Milla wróciła do
życia już na tyle, by poczuć dziki głód. Pochłonęła hamburgera

- drugiego dzisiaj - w mgnieniu oka. Oboje równie szybko
opróżnili swoje kubki z kawą; byli gotowi do powrotu na trasę.

- Musimy gdzieś kupić prezerwatywy - powiedział nagle Diaz. -
Nie mam żadnych.

W jego głosie dało się wyczuć napięcie. Milla zerknęła
zdziwiona, by zobaczyć, jak mężczyzna nerwowo przejeżdża sobie
dłonią po twarzy

- Możemy poczekać - powiedziała zaniepokojona. - Nie musimy
się spieszyć. Skoro przemyślałeś sprawę jeszcze raz i...

- Nie, nie o to chodzi - spojrzał na nią smutno. - Ja... Po prostu
nie spałem z kobietą od dwóch czy trzech lat i...

- Dwa, trzy lata? - powtórzyła Milla, kręcąc głową. - Ech, to nic.
Ja mam jeszcze lepszy wynik. Nie jestem raczej typem napalonej
mamuśki.

- Chciałbym dać ci prawdziwą radość, ale obawiam się, że
będzie to u mnie trwało dość krótko. Pewnie będę... niecierpliwy

- Ja też - odpowiedziała szczerze. Od ostatniego pocałunku już
drżała w oczekiwaniu.

- Ale potem będzie jeszcze cała noc - brnął wytrwale Diaz.

- I na pewno ci to wynagrodzę.

Jego nerwowość była całkiem pociągająca. Milla miała raczej wybredną naturę i nie lubiła zbytniego wyuzdania. Wyznania Diaza działały na nią kojąco.

- Jesteś zdrowy? - zapytała. Głupotą byłoby się nie upewnić.

- Tak. Nie byłem ze zbyt wieloma kobietami i nigdy nie miałem prostytutki ani narkomanki. Co trzy miesiące oddaję krew na Czerwony Krzyż, tam ją przy okazji badają.

Powaga, z jaką wygłosił to oświadczenie, ujęła Millę. W każdej innej sprawie Diaz był tak denerwująco pewny siebie; lubiła tę jego drugą, bardziej ludzką stronę. Czuła, że musi najpierw naprawdę zaufać kobiecie, żeby się przed nią choć trochę odsłonić. Zapewne i przy zaufanej osobie starał się trzymać emocje na wodzy.

Dzisiejszej nocy będzie miała okazję się o tym przekonać.

- Zapomnij o prezerwatywach - nachyliła się do niego i pocałowała. - Jestem na środkach antykoncepcyjnych.

Odpowiedział na pocałunek. Może nie był najbardziej doświadczonym mężczyzną na świecie, ale z pewnością wiedział, co robi. Pocałował Millę namiętnie, niecierpliwie, niemal szorstko. Kiedy popatrzyła mu w oczy, dostrzegła w nich ogień i zdecydowanie. Bez słowa Diaz wrzucił bieg i ruszył z kopyta autostradą w kierunku Boise.

Im szybciej zbliżali się do hotelu, tym bardziej rosło napięcie pomiędzy nimi. Gdy byli już prawie na miejscu, Milli wydawało się, że powietrze wokół jest gęste i duszne, czuła mrowienie całego ciała. Przez głowę przelatywały jej tabuny gorączkowych myśli: wszystkie o tym, co miało nastąpić niebawem. Oto wbrew zdrowemu rozsądkowi szła do łóżka z Diazem. Mogła to być naturalna, ludzka reakcja na to, co razem przeszli, na wspólną ucieczkę z lodowatych łap śmierci. Być może rano będzie tego wszystkiego żałować. Ale i tak to zrobi.

Jej pożądanie było wszechogarniające, niemal bolesne. Tak bardzo chciała go poczuć w sobie, że spodziewała się orgazmu już w chwili, gdy mężczyzna ledwie jej dotknie. Chciała powiedzieć mu, żeby zjechał na pobocze; wskoczy na niego, obejmie nogami, zrobią to już, zaraz, zanim to gorące napięcie ją zabije. Ale z drugiej strony chciała wygodnego łóżka, tak jak i on, więc zagryzła zęby i w milczeniu starała się stłumić ogarniające ją kolejne fale zwierzęcego pożądania.

Wreszcie dojechali. Diaz wbił stopy w przemoczone buty, zostawiając skarpety na podłodze, i wysiadł z auta. Milla nie zamierzała wyskakiwać radośnie na zewnątrz, mając na stopach tylko kilka pasków materiału i kawałki pokruszonej kory. Poczekała, aż Diaz obejdzie samochód, otworzy jej drzwi i pomoże wysiąść. Pomyślała przelotnie, że tym razem może pozwoli jej otrzeć się porządnie o swoje ciało, ale nie - przytrzymał ją jak zwykle,

kilkanaście centymetrów od siebie i łagodnie postawił na ziemi. Spojrzała do góry, spodziewając się ujrzeć tę znajomą, nieprzeniknioną maskę na jego twarzy - nie pomyliła się. Ale tym razem Diaz objął ją ramieniem i tak weszli razem do hotelu.

Recepcjonista obrzucił ich ciekawym spojrzeniem: zapewne nieczęsto widywał kobiety mające stopy owinięte szmatami. Dobrze, że mieli przynajmniej te nowe bluzy - dzięki nim nie wyglądali na parę bezdomnych. Gdyby było inaczej, facet mógłby bez wahania zawołać ochronę.

W windzie nie rozmawiali, stali tylko obok siebie, słuchając bicia własnych serc. Milla czuła mrowienie nawet w koniuszkach palców.

Diaz użył swojej karty do drzwi. O dziwo, zadziałała.

Wpuścił kobietę do swego pokoju, włączając światło w małym przedsionku. Milla nagle poczuła się niepewnie i spróbowała przekraść się ku drzwiom przechodnim do swojego pokoju.

- Odwinę stopy i... Wezmę prysznic i...

- Siadaj - powiedział. Zamrugła zdziwiona.

Diaz przysunął krzesło i posadził ją na nim. Zapalił lampkę nocną, przykląkł przed Millą i zabrał się za rozsupływanie węzłów zabezpieczających materiał na nogach kobiety. Kiedy zdjął już oba prowizoryczne sandały, obejrzał dokładnie obie stopy, szukając ran i zadrapań. Najwyraźniej udało się jednak Milli przetrwać wędrówkę bez nieprzyjemnych śladów.

Skończywszy, wstał; Milla zrobiła to samo.

- Wezmę prysznic - powtórzyła, przeczesując ręką niesforne włosy i próbując ominąć Diaza. Ale on objął ją w pasie i przyciągnął ku sobie.

- Prysznic może poczekać.

- Moje włosy... Woda w rzece...

- Woda była czysta.

- Ale wolałabym się odświeżyć - sama nie wiedziała, po co wymyśla te wszystkie wymówki mające odwlec to, co i tak nastąpi. Była jednak po prostu zdenerwowana. Minęło już wiele czasu od jej ostatniego razu, a Diaz nie był zwyczajnym facetem. Oba te fakty krzyczały głośno, ale ona starała się jakoś spowolnić bieg wydarzeń.

- Pragnę cię właśnie takiej - powiedział, rozpinając jej dżinsy A potem ją pocałował.

Diaz był pozbawiony romantyzmu. Żadnych słodkich słówek, żadnych szarmanckich gestów. Tylko te pocałunki: żarliwie, nienasycone. Nikt jej tak przedtem nie całował, z pasją, która redukowałą świat do dwóch podstawowych pierwiastków: męskiego i żeńskiego. Trzymał ją ręką zanurzoną we włosach, obejmując głowę Milli silną dłonią. Odchyliła się do tyłu, podczas gdy on spijał pożądanie z jej chętnych ust. Tak to właśnie czuła, że coś od niej brał. Ale również dawał - rozkosz. Płonęła nią cała, choć przecież ten ogień podsycany był tylko przez język i usta mężczyzny.

Czuła na brzuchu erekcję Diaza, twarde niczym stal wybrzuszenie rosnące w jego spodniach. Jej lędźwie zadrżały z niecierpliwości. Odurzona pożądaniem, cofnęła się o pół kroku,

sięgając zachłannie do dzinsów Diaza, niecierpliwie walcząc z guzikiem i zamkiem błyskawicznym. Wreszcie udało jej się zsunąć mokry materiał, chwycić twardą męskość, która ochoczo wyskoczyła na zewnątrz. Delektowała się nią, delikatnie gładziła jedwabistą skórę. Poruszała dłonią w górę i w dół, pieszcząc szeroką żołądź. Diaz zadrżał gwałtownie, wydając niski, gardłowy pomruk.

Jego ramiona chwyciły ją silniej. Położywszy Millę na łóżku, w dwadzieścia szalonych sekund rozebrał ją do naga. Po kolejnych dziesięciu sekundach jego ubranie wylądowało na podłodze. Złapał dłońmi kolana kobiety i rozwarł je gwałtownie, nie czekając na uległość, po czym pochylił się nad nią. Milla dotknęła jego szerokiej piersi, podczas gdy Diaz, opierając cały ciężar na jednej ręce, drugą dłonią skierował swój członek we właściwe miejsce i w tej samej chwili wszedł w nią zdecydowanym ruchem.

Zamarł, oddychając ciężko na wpół uchylonymi ustami. Patrzyli na siebie. Milla nie mogła się ruszyć; zbyt wyraźnie, niemal boleśnie czuła go w sobie. W ciepłym półmroku spotkały się ich spojrzenia, Millę urzekło napięcie widoczne na twarzy Diaza, sposób, w jaki wszystkie jego stalowe mięśnie zamarły, jakby nie śmiały drgnąć. Obezwładniające podniecenie rosło i rosło, a Milla starała się nie poddać mu zupełnie, nie zatracić do końca w rozkoszy. Pierś Diaza drgnęła nagle w ciężkim, spazmatycznym oddechu; mężczyzna długim, posuwistym ruchem wszedł w Millę głęboko, aż do końca.

Ścisnęła go mocno pochwą, całym ciałem. Owinęła się wokół Diaza, mając przed oczyma półprzezroczystą mgielkę. W tej samej

chwili poczuła wszechogarniającą rozkosz orgazmu, kolejne fale słodkiej, gorącej przyjemności. Nigdy przedtem nie czuła tego tak intensywnie, zatraciła się w zmysłowości, w najintensywniejszych doznaniach ciała, zapominając o otoczeniu, o sobie, o wszystkim poza niewysłowioną ekstazą, której eksplozję czuła gdzieś w brzuchu, w nogach, we wszystkich końcówkach nerwowych. Diaz poruszał się rytmicznie, dążąc do własnego szczytu, a tym samym przedłużając rozkosz Milli. Znow wydał z siebie ten niski pomruk, prostując się nagle, zadrżał wyraźnie, a jego biodra zastygły w bezruchu. Po kilku długich sekundach powoli osunął się i spoczął na ciele kobiety

Potem był spokój, była pustka i cisza. Milla leżała bezwładnie, zbyt wyczerpana, by się ruszyć, z trudem oddychając i próbując opanować szloch. Nigdy dotąd nie chciało jej się płakać po seksie i nie widziała sensownego powodu, dla którego teraz miałoby być inaczej. Ale czuła, że tego potrzebuje. Po prostu chciała sobie trochę popłakać wtulona w ramię mężczyzny

Dlatego, że to, co zrobiła, było totalną pomyłką? Czy może dlatego, że było już po wszystkim?

Diaz ciągle leżał na niej, oddychając ciężko, i czuła delikatne, subtelne drgnięcia jego mięśni. Tak jakby nie był jeszcze całkiem zaspokojony - albo jakby myślał o kontynuacji.

Co się mówi po czymś takim? „Super” brzmiałoby głupio i niewłaściwie. Chciała raczej powiedzieć „jeszcze”. W tej chwili pragnęła tylko, by nigdy się nie rozdzielali. Zdrowy rozsądek kiedyś powróci, tego była pewna. Może za kilka minut. Może jutro. Do tego

czasu chciała czuć Diaza w sobie. Chciała raz jeszcze poczuć to, co eksplodowało w niej przed chwilą, choć nie była pewna, czy sama zdoła zebrać tyle energii, by zrobić to i przetrwać.

- Jeszcze - mruknęła. Nie mogła przecież tego nie powiedzieć. Z nową siłą objęła mężczyznę nogami i ramionami, zamknęła w uścisku mięśni jego wiotczącą męskość.

Diaz zaśmiał się w odpowiedzi tym swoim niskim, lekko zachrypniętym głosem. Poczula ciepło jego oddechu we włosach.

- Nie mam już szesnastu lat - chyba wciąż trochę brakowało mu oddechu. - Musisz dać mi kilka minut.

Jednak nie wyszedł z niej, opadł na nią nieco ciężiej, jakby wreszcie relaksując się ostatecznie, i wtulił w Millę tak, by wciąż pozostawać wewnątrz.

- To chyba trwało nie dłużej niż piętnaście sekund - westchnął.

- U mnie krócej - mruknęła w odpowiedzi, zamykając oczy i napawając się zapachem ciepłej męskiej skóry.

- Dzięki Bogu - szepnął, ocierając się o jej skroń. - Zdrzemnij się.

Po czym zamknął oczy i sam posłuchał własnej rady Cóż, tym razem te słowa brzmiały zupełnie inaczej niż wtedy, w Guadalupe. Tym razem słodki ciężar jego ciała był tak rozkoszny, że Milla z trudem powstrzymywała łzy. Jak niby miała spać, skoro przygniatał ją facet ważący chyba z tonę, co ledwo pozwalało oddychać? Skoro chciała przytulić się do niego, chciała płakać i śmiać się, wszystko naraz? Jak tu spać, skoro obawiała się nawet rozluźnić mięśnie, bojąc

się, że on wtedy z niej się wyśliznie? I tak wreszcie to zrobiła, zbyt wyczerpana, by walczyć ze sobą.

Obudziły ją długie, posuwiste ruchy, które czuła głęboko w sobie. Silne ręce Diaza unosiły jej biodra tak, by łechtaczka spotkała się z jego kością łonową. Nie był może mistrzem świata w sztuce kochania, ale z całą pewnością wiedział, co robić, znał wszystkie strefy erogenne i czułe na rozkosz punkty ciała. Wiedział, jak użyć tej wiedzy, by doprowadzić ją do krawędzi i umiejętnie trzymać na samej granicy ekstazy. Pierwszy raz był szalony i błyskawiczny, drugi - przemyślany i długotrwały. Po kilku chwilach Milla spróbowała przejąć kontrolę, ale Diaz był zbyt silny i trzymał ją, dopóki sam nie był gotowy. Wtedy zakończył sprawę kilkoma silnymi, szybkimi, zdecydowanymi pchnięciami, doprowadzając ich oboje do ekstatycznego orgazmu.

Milli udało się wreszcie dotrzeć do prysznicza, choć z Diazem w kabinie to była raczej orgia niż prysznic.

- Co to? - zapytał pośród szumu spływającej wody, przerywając pieszczoty i wskazując na plasterkę przyklejony do uda Milli.

- Mój środek antykoncepcyjny.

- Pierwszy raz widzę - powiedział, oglądając plaster z wyraźnym zainteresowaniem. - A co jeśli odpadnie?

- Bez szans, za dobrze się trzymają. Nigdy mi żaden nie odpadł, chyba że sama oderwałam. Ale zawsze pod prysznicem sprawdzam, tak dla pewności.

Musnął palcami krzywiznę jej piersi, robiąc kółka wokół obu sutków. Jego twarz była poważna.

- Nigdy nie kochałem się bez prezerwatywy

- Nigdy?

Pokręcił głową. Milla patrzyła na jego ciekawskie palce wędrujące w dół, po brzuchu, aby wreszcie zginać w zagłębieniu pomiędzy nogami. Dwa środkowe palce wśliznęły się do środka, do ciepłego wnętrza. Milla syknęła cicho, wspinając się na palce, opierając się na ramionach Diaza dla złapania równowagi.

- Spodobało mi się to - mruknął.

- Co? - jakoś straciła wątek.

- To, jak skończyłem w tobie. W środku. Nie zgub tego plasterka.

Milla nigdy nie przepadała za perwersjami, seks oralny był już dla niej niemal szczytem wyrafinowania. Ale Diaz nie miał żadnych zahamowań, a ona była pijana fizyczną przyjemnością i pozwalała mu na wszystko. Brał ją pod prysznicem, na podłodze, na stoliku z lustrem do makijażu. Opartą o ścianę, na stojąco. To był seks, którego Milla nie знаła, pierwotny i potężny, prosty i nieskomplikowany w założeniach, ale bogaty i wyrafinowany w samym akcie. Chciała więcej i więcej, lubieżnie zachęcała Diaza, pobudzając jego męskość ustami i językiem, pieszcząc dłońmi jądra, czując, jak twardnieją w dotyku. Robiła mu rzeczy, które on robił jej, choćby po to, by usłyszeć raz jeszcze ten dziki, niski pomruk.

Rano czuła się obolała i poobcierana, wiedziała, że chodzenie może być sporym problemem. Ledwie pamiętała czasy, w których nie znała jeszcze ciała Diaza, kiedy nie wiedziała, jak to jest czuć go w sobie, trzymać w ramionach, cieszyć się siłą jego spazmów rozkoszy. Rano Milla należała już do niego.

Otworzywszy oczy, ujrzała światło sączące się do wnętrza pokoju wokół krawędzi ciężkich zasłon. Diaz leżał za nią, obejmując Millę w pól, czuła jego ciepły oddech na karku. Było jej głupio. Należała do niego. I to w stopniu, w jakim nigdy nie należała do Davida. Zabolą ją ta świadomość. Wprawdzie do czasu porwania Justina ich małżeństwo było szczęśliwe, ale każde z nich wciąż należało wyłącznie do siebie. Jego oczywiście pochłaniała praca, a ona była nawet zadowolona z tego minimalnego dystansu, który zawsze istniał pomiędzy nimi. Dawał pewne poczucie autonomii, kontroli nad własnym życiem.

Ale David był dobrze wychowanym, cywilizowanym człowiekiem, a Diaz... nie. On nie pozwolił jej zachować nawet odrobiny dystansu.

Wiedziała doskonale, że oddała się drapieżnikowi. Niebezpiecznemu i nieprzewidywalnemu, a jednak to właśnie w jego ramionach czuła się najbezpieczniej na świecie. Wykorzystał ją, ale pozwolił również wykorzystać siebie. Ta noc nie sprowadzała się do seksu, choć tak mogłoby się wydawać. Chodziło o coś więcej. O zachłanne, gwałtowne i zmysłowe zagarnianie siebie nawzajem.

Skąd mogła wiedzieć, że coś takiego się zdarzy? Byłoby jej łatwiej, gdyby chodziło wyłącznie o seks. Ale Diaz dobrze wiedział, co robi, i umiejętnie wykorzystując więź fizyczną, ugruntował więź emocjonalną. Tak po prostu, bez skrupułów. W rezultacie byli teraz połączeni czymś ważniejszym niż tylko wspomnienia wspólnie przeżytych chwil. Czymś pierwotnym, podstawowym, czego natury Milla nie mogła uchwycić.

Miłość? Nie, tak nie mogła nazwać tego uczucia. Potężne przyciąganie, chemia uczuć działająca na najniższym, komórkowym poziomie - ale nie miłość. Milla była absolutnie pewna, że Diaz jej nie kochał. Jednak pasowali do siebie jak dwie połówki tworzące doskonałą całość. Ta myśl zaniepokoiła ją jeszcze bardziej niż rozważania o miłości. Czyżby ona była taka jak Diaz? Tak bezwzględna? Czy stała się kimś takim jak on po długich i trudnych latach bezowocnych poszukiwań dziecka?

Diaz poruszył się i pocałował ją w ramię.

- Musimy jechać na lotnisko - mruknął sennie. Milli jakoś nie chciało się ruszać.

- Mam jeszcze dwa dni wolnego - westchnęła. Wiedziała, że powinna wracać do El Paso. Diaz wznowił poszukiwania Pavona, a teraz dochodził jeszcze nowy trop do zbadania: wiedzieli, że ktoś celowo wodził Millę za nos przez wszystkie te lata. Dziesięć długich lat walenia głową w mur robiło swoje: była bardzo zmęczona. Wczoraj o mało nie zginęła w nurtach potoku. Czy naprawdę świat się zawali, jeśli Milla ukradnie sobie jeszcze dwa dni dla siebie, podaruje

sobie dwa dni wytchnienia od codziennego kieratu? Dwa dni - to wszystko, o co prosiła. Ciekawe, nigdy wcześniej nie pozwoliłaby sobie nawet myśleć w ten sposób.

- Co będzie, kiedy wrócimy?

- Prawdopodobnie wrócę do pracy - odparła szczerze. W domu wszystko będzie wyglądać inaczej. El Paso wydawało się leżeć w centrum wszystkich spraw; jak w ogóle można tam być i nie pracować? Boise... to inny świat. Z dala od wszystkiego, co znała.

Diaz przetoczył się na krawędź łóżka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Lepiej odwołam nasze rezerwacje na lot powrotny

Arturo Pavon lubił powtarzać wszystkim, że nigdy nie zapomina zniewagi. Lubiał widzieć tę ostrożność na twarzach, sposób, w jaki ludzie uciekają przed nim wzrokiem. Zresztą była to prawda: nie zapominał żadnej obrazy czy afrontu, nieważne, dużego, małego czy wymyślnego. Była tylko jedna osoba na świecie, której uszło na sucho zadarcie z Pavonem. Ta świadomość wciąż w nim była, tkwiła jak gorzki węzeł zawiązany na trzewiach, z którym musiał żyć. Ale on nie zapomniał, nie porzucił myśli o zemście. Jego czas nadchodził: wolno, ale nieubłaganie. Któregoś dnia skrzyżują się ich ścieżki, a wtedy ta jankeska suka pożałuje, że w ogóle się urodziła.

Dziesięć lat czekał, żeby odpłacić jej za utratę oka.

Miał okazję ją dorwać już setki razy, wciąż przyjeżdżała przecież do Meksyku ze swoimi durnymi pytaniami, natrętnie węszyła. Ale Gallagher mówił „nie”, twierdził, że ona siedzi za wysoko na świeczniku, że jej zniknięcie wywoła za duży ferment i będzie ich kosztować, w najlepszym przypadku, kupę kasy za nakłonienie pewnych służb do przymknięcia oczu. W gorszym wypadku mogliby nawet obaj skończyć w więzieniu, w Stanach albo w Meksyku - zależy, gdzie by ich schwytano. Jeśli miałyby do tego dojść, Pavon zdecydowanie preferował amerykańskie pudło: przynajmniej każdy miał tam klimatyzację, papierosy i kolorowy telewizor.

Gallagher. Pavon mu nie ufał, ale w zasadzie nie ufał przecież nikomu. Ich współpraca była długa i owocna, Gallagher miał wrodzony talent do robienia pieniędzy. Kiedy Pavon spotkał go po raz pierwszy, True był biedny jak mysz kościelna, ale miał w sobie energię, determinację i masę pomysłów. Był przy tym człowiekiem absolutnie pozbawionym skrupułów, co znakomicie pomagało.

Gallagher zawsze umiał dorwać się do kasy; jeśli nie potrafił jej zarobić, to kradł i robił różne przekręty, nie przejmując się, ilu ludzi zgnoi przy tej okazji. Taki człowiek musiał zajść daleko.

Pavon szybko zrozumiał, że lepiej sprzymierzyć się z takim typem jak Gallagher, niż działać na własną rękę i z czasem, być może, mieć go przeciwko sobie, narażając się na ryzyko szybkiej eliminacji. W związku z tym Pavon zadbał, by stać się dla Gallaghiera człowiekiem niezbędnym. Jeżeli True chciał, by ktoś zniknął, Pavon brał to na siebie. Jeśli coś miało być ukradzione, Pavon kradł. Jeżeli komuś należało dać nauczkę, Pavon osobiście upewniał się, by upierdliwy osobnik pojął, jak bardzo niemądrze jest zadzierać z senior Gallagherem.

Ogólnie sprawy szły nieźle, aż do tej historii przed dziesięcioma laty. A zadanie było takie proste: zabrać jasnowłose dziecko młodej gringa, która odwiedzała pewien mały wiejski targ przynajmniej trzy razy w tygodniu. Pojechali więc razem z Lorenzo do tej wioski i czekali. Doczekali się szybko, już kolejnego ranka kobieta zjawiała się na miejscu.

Myśleli, że pójdzie łatwo. Utrudnieniem było to, że babka miała dziecko w nosidełku na piersiach, a nie w koszyku czy na ręku. Na szczęście Lorenzo zawsze nosił przy sobie nóż. Plan był taki, że osaczą tę gringa, Lorenzo przetnie paski nosidełka, Pavon chwyci dziecko i rzuca się do ucieczki. Jacyś bogaci jankesi oferowali kupę kasy za jasnowłose dziecko do adopcji - a to zdawało się im łatwym celem. Młoda gringa zajęta zakupami sprawiała wrażenie typowej Amerykanki, nieporadnej i nieprzygotowanej na niebezpieczeństwo.

Nie docenili jej. Oczekiwali, że spanikuje i zacznie histerycznie wrzeszczeć, tymczasem kobieta rzuciła się do nierównej walki z niespodziewaną siłą i determinacją. Pavon wciąż miał koszmary o tym, jak jej palec zagłębia się pod powiekę, wydłubuje mu gałkę oczną, jak on cofa się, czując ogień na twarzy, trzęsąc się z potwornego bólu i przerażenia. Lorenzo dziabnął sukę w plecy i udało im się uciec, ale niestety, ona przeżyła. Sam Pavon wiele dni dochodził do siebie, przeklinając kobietę i obiecując jej zemstę. Tam, gdzie było kiedyś jego oko, teraz ziała zbliźnowaciała czerwona dziura. Na policzku zostały mu już na zawsze głębokie ślady po pazurach kobiety. Kiedy odzyskał siły na tyle, by wrócić do roboty, zorientował się, że zmieniło się jego widzenie: nie mógł już strzelać tak celnie jak przedtem. No i nie mógł już wmieszać się w tłum: każdy od razu poznawał jego poharataną twarz. Ta kobieta narobiła mu nieliczych kłopotów. Na pewno jej tego nie zapomni.

Teraz jednak miał większe problemy. O wiele większe. Sprawa tej kobiety rozwiąże się sama prędzej czy później. Gorzej ze sprawą

Diaza. Pavon wiedział, że musi być bardzo ostrożny, skoro Diaz jest na jego tropie. W przeciwnym razie może już sobie obstać trumnę.

Wszyscy wiedzieli, że Diaz tropi dla pieniędzy Pavon, choć dumny ze swojej zasłuzenie parszywej reputacji, zawsze starał się nie rzucać specjalnie w oczy władzom ani ludziom ze świecznika.

Trzymać się w cieniu, jak lubił mawiać Gallagher. Czyj gniew mógł więc na siebie ściągnąć? Jakim cudem mógł podpaść komuś, kogo byłoby stać na wynajęcie Diaza? Myślał, myślał i wymyślił tylko jedną możliwą odpowiedź.

Był wściekły, gdy mu doniesiono, że Milla Boone zjawiała się w Guadalupe tej samej nocy, kiedy on wiózł młodą Sisk drogą do nieba. Była tak blisko, w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Przez poprzednie dziesięć lat - z rozkazu Gallaghera - coś takiego było absolutnie nie do pomyślenia. Czy to tylko przypadek, że zaraz potem oznajmiła w knajpie pełnej ludzi, że zapłaci dziesięć tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi ją do Diaza? Jeżeli dawała dziesięć kawałków za głupią informację, to na jakiej kasie ona musiała spać? A po co potrzebowałyby Diaza, jeśli nie jako człowieka do wynajęcia? Diaz nie należał do ludzi, z którymi umawiało się na pogaduszki. Zresztą nikt nie zapłaciłby za coś takiego dziesięciu tysięcy.

Pavon dodał dwa do dwóch: nie było wątpliwości, że Milla Boone wynajęła Diaza, by go odnalazł. Musiało tak być, bo wkrótce potem Pavon usłyszał, że Diaz go szuka. Nie musiał głowić się po co. Diaz nie ścigał ludzi po to, by z nimi pogawędzić. Ci, do których

docierał, po prostu znikali. Niektórzy umierali; łatwo było ich znaleźć, ciała leżały w widocznych miejscach. Po pozostałych ginął ślad. Na temat tego, co Diaz z nimi robił, krążyły rozliczne plotki.

Pavon natychmiast wyjechał z Chihuahua, niepewny własnej przyszłości. Diaz nigdy się nie poddawał, czas nie grał dla niego większej roli. Po raz pierwszy w życiu Pavon się bał. Uciekł na wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, gdzie daleki kuzyn trzymał dla niego kuter rybacki. W tym rejonie turyści pojawiali się znacznie rzadziej niż w innych częściach Meksyku, co było poniekąd zrozumiałe, zważywszy na dżungle, bagna, komary i przybrzeżne pola naftowe. Wziąwszy ze sobą niezbędne zapasy, Pavon wypłynął na zatokę. W ten sposób nikt nie mógł go już zaskoczyć, no, chyba że Diaz zabawi się w nurkowanie. Arturo żałował, że w ogóle taka myśl przyszła mu do głowy, od tego czasu nie mógł się powstrzymać od nerwowego popatrywania w głębiny i lustrowania powierzchni wody

Wszędzie panowała wilgoć, a Pavon, dziecko pustyni, nienawidził tego ciężkiego, gęstego powietrza. Co więcej, nastąpiła pora częstych huraganów. Arturo codziennie słuchał prognoz pogody przez radio. Jeżeli jakiś sztorm miałby zawitać do zatoki, on wolał być wtedy na suchym lądzie.

Co tydzień przybijał do brzegu, by uzupełnić zapasy i zadzwonić do Gallaghera. Gallagher nie ufał komórkom; choć sam miał jedną, nigdy nie rozmawiał przez nią o interesach. Był tak ostrożny, że nie uznawał nawet telefonów bezprzewodowych. Pavon próbował mu wmówić, że ma taką bezpieczną komórkę, której sygnału nie można

przechwycić - ale Gallagher był niereformowalny w swoich dziwactwach.

Tym razem Pavon cenił sobie tę ostrożność. Z Diazem na ogonie liczył się każdy drobiazg zwiększający szanse przeżycia.

Jedynym pewnym wyjściem z sytuacji było zabicie Diaza i Milli Boone. Diaza, ponieważ to on stanowił bezpośrednie, poważne zagrożenie - i Milli, bo przecież ta kobieta wciąż będzie wynajmować kolejnych ludzi, aż wreszcie któremuś z nich się powiedzie. Pavon nie miał pojęcia, jak udało się jej powiązać jego nazwisko ze sprawą porwania. Ktoś musiał puścić farbę pomimo wpływów i zabiegów Gallaghera.

Usunięcie tych dwojga zapowiadało się na subtelną i delikatną grę, przynajmniej z Diazem. Kobieta powinna być łatwiejszym celem - zostawi ją sobie na koniec. Może nawet pokaże jej przed śmiercią, co potrafi prawdziwy mężczyzna. Aaa, wymyślił dla niej idealny koniec! Kiedy on sam już z nią skończy, podaruje jej ciało dla sprawy. Taki mały akt dobrej woli z jego strony Zarechotał na samą myśl, po czym szybko zamilkł.

Najtrudniej będzie zbliżyć się do Diaza. Ten facet jest jak dym, pojawia się i znika bez najmniejszego śladu. Żeby go znaleźć, Pavon będzie musiał się wystawić. Trzeba to dokładnie i szczegółowo przygotować. Musi ściągnąć Diaza w miejsce, w którym to on, Pavon, będzie miał przewagę. Trzeba będzie również zwieść Diaza tak, by ten nie zorientował się aż do końca, że jego ofiara jest uzbrojona i gotowa do obrony.

Wszystko to wymagało rozwagi i dokładnego planowania. Takiej akcji nie przygotowywało się w godzinę. Sprawy muszą być dopięte na ostatni guzik, każde niedopatrzenie oznaczało pewną śmierć.

Nikt nie był ostrożniejszy i bardziej pedantyczny od Gallaghera. Podczas kolejnej bytności na brzegu, dzwoniąc do biznesmena, Pavon zdradził mu swój plan.

- Musimy zwabić Diaza do mnie - powiedział. - Ale tak, żeby się nie zorientował, że go wrabiamy.

- Niezły pomysł - powiedział Gallagher po dłuższej chwili. - Muszę to przemyśleć. Gdzie jesteś?

- W bezpiecznym miejscu - Arturo wołał uważać. Gallagher nie miał patentu na ostrożność.

- Musimy się spotkać.

Aha. To znaczy, że rozmowa była nie na telefon.

- Nie dam rady dzisiaj przyjechać - w istocie mógłby to zrobić, ale wołał stworzyć wrażenie, że jest gdzieś o wiele, wiele dalej. Na przykład w Chiapas, najbardziej wysuniętym na południe stanie Meksyku.

- No to kiedy?

Ciekawe. W głosie Gallaghera słychać było irytację i... coś jeszcze. Obawę? Ale czego miałby obawiać się Gallagher? Diaz nie ścigał jego... W tej samej chwili Pavon zrozumiał, że niebezpieczeństwo nie grozi mu tylko ze strony Diaza. To on, Pavon, był jedynym ogniwem łączącym Gallaghera nie tylko z obecnymi

sprawami, ale także z porwanym dziesięć lat wcześniej dzieckiem Milli Boone. Najpewniejszym sposobem ochrony własnego tyłka byłoby zerwanie tego ogniwa.

- Może za dwa tygodnie? - powiedział Pavon ostrożnie.

- Dwa... co?! Do cholery, możesz dotrzeć tu szybciej!

- Może wcale nie chcę porzucać tego pięknego miejsca. Mam tutaj wszystko, co potrzebne do życia. I nikt nie wie, jak mnie tu znaleźć. Jeżeli się ujawnię, ludzie rozpoznają moją twarz. Muszę się dobrze zastanowić, kogo ludzie boją się bardziej: seńor Gallaghery czy jednak seńor Diaza? Jeżeli seńor Diaz przyłoży komuś nóż do gardła i spyta grzecznie, czy ten człowiek przypadkiem mnie nie widział - to czy ten nieszczęśnik posłusznie skłamię, czy może jednak powie mu prawdę? Ja tam myślę, że zleje się w gacie i wyśpiewa wszystko.

Gallagher przeciągle wypuścił powietrze.

- No dobra. Boisz się, to się bój. Jak już znajdziesz swoje zagubione cojones, to zadzwoń do mnie i umówimy się na spotkanie.

Ta szpila wbita w jego machismo miała niby wytrącić Pavona z równowagi? Uśmiechnął się do siebie i odłożył słuchawkę. Jednak mina szybko mu zrzędła: co tu robić, skoro nie mógł już liczyć na pomoc Gallaghery?

Musiał zająć się Diazem sam. Nie było innego wyjścia. Problem polegał na tym, jak to zrobić. Może porwać kobietę i użyć jej jako przynęty? Jeżeli Diaz pracował dla niej, to z pewnością pospieszy na pomoc swojej chlebodawczyni. O ile nie będzie podejrzewał pułapki.

Jak to zrobić - zgarnąć babkę w taki sposób, by wyglądało to na przypadek?

Może wrócić do pomysłu użycia siebie jako przynęty Ale na kobietę, nie na Diaza. Musiałby się jakoś upewnić, że Diaz jest gdzieś daleko, potem wysłać wiadomość do pani Boone. Pilną - taką, której by nie zignorowała, no i nie czekała na powrót Łowcy Przyszłąby sama, a wtedy on już potrafiłby się o nią zatroszczyć. A potem i o samego Diaza. Może zresztą nie tak od razu; z samą panią też miło spędzi czas.

Tak. To był dobry plan.

*

Dni mijały i wreszcie wyraźnie się ochłodziło. Lato nie było w sumie bardzo gorące, ale ostatnia fala upałów tak dała się Milli we znaki, że z radością powitała nadejście jesieni. Pojawiła się na umówionej wizycie u Susanny i dostała nową receptę na plasterki antykoncepcyjne. W samą porę, jej zapasik właśnie się kończył - a przecież w życiu seksualnym Milli zaszły ostatnio drastyczne zmiany

- Chciałam przeprosić cię za tamten wieczór - powiedziała Susanna ze skruchą w głosie. - Powinnam była cię słuchać, a nie myśleć, że na pewno wiem lepiej.

Milla zamrugła w zupełnym zaskoczeniu. Nigdy jakoś nie miała ochoty na pogaduszki podczas badania na fotelu ginekologicznym. Poza tym myśli miała zajęte zgoła czym innym, głównie Diazem.

Nagle wszystkie elementy układanki trafiły na właściwe miejsca. Milla przypomniała sobie tamten wieczór, kłopotliwą scenę z True.

- W porządku - powiedziała. - Nie przejmuj się. Gallagher po prostu nie przyjmuje prostego „nie” jako odpowiedzi, więc musiałam jeszcze raz mu wszystko wytłumaczyć. Od tamtego czasu nawet nie dzwonił.

- To dobrze. Dobrze, że... nie jest natrętny. Ale co z Poszukiwaczami? Pozostał waszym sponsorem? Dobrze, możesz już usiąść.

Odruchowo się zasłaniając, Milla zdjęła nogi z fotela i przysiadła na skraju. Pielęgniarka wpisywała dane pacjentki do badania wymazu z szyjki macicy, a Susanna odwróciła się, by umyć ręce.

- Powiedział, że nawet jeśli odmówię, nie wpłynie to na jego wsparcie dla fundacji. Trzymam go za słowo.

- To dobrze. Nie sądzę, aby okazał się tak małostkowy. Nie znam go zbyt dobrze, ale nie wygląda na obraźliwego gościa.

Milla zaśmiała się. Nie, True nie był obraźliwy. Uświadomiła sobie, że od bardzo dawna o nim nie myślała. W zasadzie jej myśli kręciły się wokół dwóch kwestii: pracy i Diaza.

- Zadzwoiłam do niego sama z przeprosinami - ciągnęła Susanna. - Rozmowa zeszła na inne sprawy i usłyszałam, że masz jakiś trop prowadzący do porywacza Justina. Jak ten facet się nazywa? Diego? Diaz?

- Ech, nic z tego nie wyszło - powiedziała Milla, instynktownie powstrzymując się od mówienia o Diazie. Teraz, kiedy już wiedziała, czym on się zajmuje, rozumiała, że lepiej powiedzieć za mało niż za dużo.

- Kurczę. A miałam nadzieję, że może tym razem... Nieważne. Ale daj mi znać, jak będziesz miała jakieś nowe informacje.

- Jasne - odparła Milla, choć przecież w istocie wiedziała już bardzo dużo. Lepiej nie odkrywać zbyt wielu kart, szczególnie biorąc poprawkę na przypuszczenie Diaza, że celowa dezinformacja trwa dziesięć długich lat. Ufała Susannie, ale czy mogła zaufać jej znajomym? Albo znajomym tych znajomych? Na pewno nie. Pomyślała o tym, co zrobiłby na jej miejscu Diaz, i zamknęła usta na kłódkę.

- Wszystko z tobą w porządku - Susanna sprawnie wypisywała receptę. - Zadzwonimy, kiedy będą wyniki wymazu.

- Gdyby nie było mnie w domu, nagrajcie się na sekretarkę. Susanna zaznaczyła coś na karcie Milli.

- Jeżeli wykroję trochę wolnego czasu na babski lunch, to dam ci znać - powiedziała, uśmiechając się.

Lekarka i pielęgniarka wyszły z gabinetu, aby Milla mogła swobodnie się ubrać. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, pogodny uśmiech zniknął z twarzy szefowej Poszukiwaczy Martwiła się. Po powrocie z Idaho Diaz ruszył na poszukiwania do Meksyku. Dwa razy pojawił się u niej w mieszkaniu, brudny, wychudzony i mrukliwy. Każda rozsądna kobieta trzymałaby się z dala od tak

niebezpiecznego, w dodatku najwyraźniej wytrąconego z równowagi mężczyzny. Ale Milla dawno już zdecydowała, że w sprawach związanych z Diazem zawiesza rozsądek na kołku. Za każdym razem karmiła go, kąpała, prała mu ubrania. Pozwalał jej zająć się sobą, choć wciąż patrzył tym swoim niepokojącym, dzikim wzrokiem w sposób, od którego Milli trzęsły się kolana; wiedziała, że tylko czeka na stosowną chwilę. I rzeczywiście: w obu przypadkach prysznic nieuchronnie kończył się dzikim seksem, zanim jeszcze ręcznik zdążył spaść na podłogę.

Po nasyceniu pożądania Diaz robił się głodny Cokolwiek wyprawiał, jadł zdecydowanie zbyt mało. Robiła mu kanapki, a on jadł i opowiadał jej o wszystkim, co zdołał odkryć. Nie było tego wiele, ale zawsze coś; przynajmniej były to okruchy prawdy, a nie kolejna zasłona dymna.

- Mówią, że Pavon od początku pracuje dla tego samego człowieka - powiedział Diaz, gdy go ostatnio widziała, czyli przed czterema dniami. - Wtedy zajmowali się przemytem porwanych dzieci, teraz szmuglują organy. Problem w tym, że ulica siedzi cicho. Musieli naprawdę nieźle wszystkich zastraszyć.

- Dotarłeś do dzieci Loli?

- Jej najstarszy syn zginął zadźgany nożem piętnaście lat temu. Najmłodszego sama Lola nie widziała od ośmiu lat, ale ja znalazłem go w Matamoros. Pracuje jako rybak, akurat był na zatoce. Powinien wrócić za trzy dni; będę na niego czekał.

Następnego ranka Milla obudziła się - z Diazem u boku - w poczuciu tak namacalnego szczęścia, że aż ją to przestraszyło. Mężczyzna musiał to jakoś wyczuć, bo natychmiast objął ją i przyciągnął do siebie, zanim sam na dobre otworzył oczy. Było mu z nią dobrze, myślała. Na tyle, na ile było to możliwe.

Przesunęła dłonią po jego piersi, wyczuwając włoski, ciepło skóry, silne bicie serca. Poranna erekcja mężczyzny aż prosiła się o zainteresowanie i Milla usłużnie wsunęła rękę pod kołdrę, ujmując w dłoń ciepłą męskość.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknęła, całując go w ramię. - Nawet nie wiem, jak masz na imię.

- Przecież wiesz - odparł, marszcząc brwi. - James.

- Naprawdę? Nie wymyśliłeś tego wtedy na poczekaniu?

- James Alejandro Xavier Diaz. To pełna amerykańska wersja.

- Xavier? Pierwszy raz spotykam kogoś o tym imieniu. A jaka jest wersja meksykańska?

- W zasadzie taka sama. Au! - zachichotał, robiąc unik: Milla spróbowała zniecka uszczypnąć go w czułe miejsce. Zawsze rozczulał ją śmiech Diaza. Może dlatego, że był on tak rzadkim zjawiskiem.

Wśliznęła się na mężczyznę, ustawiła odpowiednio jego członek i nasunęła się delikatnie na sterczącego penisa. Diaz odetchnął głęboko, zamykając oczy i ugniatając dłońmi pośladki kobiety. Milla kochała poranne igraszki, kiedy była jeszcze wciąż trochę senna i ociężała, kiedy czas się nie liczył i rozkosz w zasadzie też nie. Prawie

wystarczało jej samo leżenie i obejmowanie Diaza rękami, nogami, całym ciałem. Prawie. W końcu przecież musieli się ruszyć -ona albo on, i ten pierwszy ruch łamał ustalone minutę wcześniej zasady Ujeżdżała go szybko i zdecydowanie, a kiedy rozkosz wybuchła w niej wreszcie, pozbawiając sił, Diaz przewrócił ją na plecy i przejął inicjatywę.

Po śniadaniu zniknął i od tego czasu - a minęły przecież cztery dni - nie miała żadnych wiadomości. Tymczasem prawie minął już pierwszy tydzień października. Czy wszystko było z nim w porządku? Czy spotkał się z synem Loli?

**

Po wyjściu Milli Susanna przeszła do swojego prywatnego gabinetu i zadzwoniła do True.

- Widziałam się z Millą. Jesteśmy bezpieczni, ona nic nie wie o Diazie. Myśli, że to był fałszywy trop.

True milczał przez chwilę, a potem przeklął paskudnie.

- Ona spotkała się z Diazem, ty idiotko! Widziano ich razem w zeszłym miesiącu w Juarez!

Susanna poczuła, jak krew tężeje jej w żyłach.

- Okłamała mnie?

- Jeżeli zaprzeczyła, że cokolwiek o nim wie, to tak.

- Ale... dlaczego? Jesteśmy przyjaciółkami od lat. Gallagher parsknął głośno. Przyjaciółkami? Boże, uchronź mnie od przyjaciół takich jak Susanna Kasper.

- Może cię podejrzewa - syknął. - Może Diaz jest już bliżej, niż nam się wydaje.

Tym razem nie zdążył sam przerwać połączenia: Susanna rzuciła słuchawką i spojrzała na telefon jak na jadowitego węża. Zawsze myślała, że Milla - będąc w gruncie rzeczy uroczą osobą - jest przy tym niezwykle naiwna. Tymczasem... Czy to nie ona sama dała się przerobić? Czy Milla celowo się nią bawi?

Gdzieś wewnątrz czuła narastającą falę paniki. Za długo pracowała, by teraz pozwolić wszystkiemu nagle się rozlecieć. Musiała coś zrobić, i to szybko.

scandalous

Diaz wszedł do zadymionej knajpy i szybko znalazł sobie miejsce pod ścianą, w cieniu, skąd mógł obserwować wchodzących i wychodzących gości. W pomieszczeniu dudniła głośna muzyka, na metalowych stołach roilo się od pustych butelek, a za kibel służyła beczka w dalekim, ciemnym kącie. Dwie prostytutki miały dziś pracowitą noc. Meksykańscy farmerzy i rybacy bawili się świetnie, śpiewając chórem ludowe piosenki, wznosząc niezliczone toasty, przepijając do siebie, zamawiając kolejne flaszki. Miejscowy cantinero, czyli właściciel knajpy i barman w jednym, wyglądał na takiego, co trzyma nabitego obrzyna pod barem. Z drugiej strony - radosny, biesiadny nastrój panujący w jego spelunie wskazywał na to, że raczej rzadko używa się tu broni.

Wytropienie Enrique Guerrero wymagało wiele czasu i cierpliwości. Diaz ścigał go chyba przez pół Meksyku. Ostatecznie namierzył małego skurwiela w portowym mieście Veracruz, w tejże właśnie zatłoczonej, śmierdzącej knajpie, gdzie facet czuł się bezpiecznie w otoczeniu wszystkich swoich compadres.

Wcześniej prawdopodobnie ostrzegła go Lola albo kumple z Matamoros. Enrique uciekł. Czemu miałby robić coś takiego? Najwyraźniej miał coś do ukrycia. Obserwując faceta, Diaz przekonał się, że naprawdę było co kryć. Enrique należał do tych cichych, małych, śmierdzących gnojków, którzy nie spuszczają oka z ludzi wokoło - po czym wybierają tych najbardziej pijanych i uwalniają ich

od nadmiaru gotówki. Nie było to nic specjalnie trudnego: w szarej od dymu spelunce panował półmrok, poza tym pito tu naprawdę dużo. Pięciolatek mógłby dać sobie radę. Enrique też pił, ale z umiarem - i to dawało mu już sporą przewagę. Niestety, spory procent zasiadających w knajpie campesinos miał ze sobą maczety; była to ulubiona broń miejscowych, a chlastanie się nawzajem traktowano tu niemal jak sport narodowy Enrique ryzykował więc nieco więcej niż podbite oko.

Diaz nie pił w ogóle. Stał pod ścianą cicho i bez ruchu; większość gości pewnie go nawet nie zauważyła. On też nie szukał niczyjego wzroku, patrzył tylko na Enrique i czekał na okazję.

Młody Guerrero pił mało, więc nie musiał odwiedzać beczki w ciemnym rogu. Szkoda. Diaz mógłby tam na niego czekać i uprzejmie wyprowadzić przez pobliskie drzwi w callejon, alejkę na zewnątrz. W tym tłumie nikt by niczego nie zauważył, a nawet gdyby, nie zwróciłby uwagi. Diaz czekał ukryty w cieniu, jego uwaga wciąż skierowana była na jednego człowieka.

Tuż przed świtem Enrique wstał i poklepał po plecach swoich kumpli, wymieniając z nimi głośne i wesołe przekleństwa - jeśli tak można określić ten agresywny pijacki bełkot. Prawdopodobnie ukradł już wystarczająco dużo, to była udana noc. Kiedy ludzie po trzeźwieją, mogą równie dobrze pomyśleć, że tak szampańsko się bawili, iż sami przepuścili całą forszę.

Kiedy Enrique otworzył drzwi, świeże powietrze nie zdołało ani trochę naruszyć szarej masy gęstego dymu wypełniającego wnętrze

knajpy. Diaz leniwie ruszył się ze swego miejsca, starając się dotrzeć do drzwi tuż po Enrique. Szedł swobodnie, niespiesznie, by nikt nie powziął najmniejszych podejrzeń.

Jak tylko zamknęły się za nimi drzwi, dłoń Diaza zasłoniła usta Enrique, a czubek jego noża nacisnął boleśnie skórę na karku młodego Guerrero, tuż pod uchem. Diaz pociągnął sparaliżowanego strachem kieszonkowca w ciemną wąską uliczkę.

- Mów, a przeżyjesz - powiedział po hiszpańsku. - Szarp się, a zginiesz.

Odsłonił usta Enrique. Aby upewnić się, że facet pojmuje powagę sytuacji, Diaz ukłuł go nożem. Zabolało jak diabli, krew pociekła, ale Diaz uważał, by nie zrobić mu prawdziwej krzywdy

Enrique już trząsał się cały ze strachu, obiecując wszystko, co tylko señor sobie życzy Proszę, pieniądze, proszę bardzo...

- Łapy przy sobie, cabrón - syknął Diaz, wbijając czubek noża milimetr głębiej; drugą ręką szybko obszukał Enrique, znajdując nóż, który tamten właśnie próbował wyjąć z kieszeni. - Nie chcę kasy zabranej twoim kumplom, tylko kilku odpowiedzi.

- Tak, tak. Dobrze.

- Przysłała mnie twoja matka. Nazywam się Diaz.

Pod Enrique ugięły się kolana. Obrzucił Lolę stekiem malowniczych wyzwisk, którymi jednak stara pewnie by się specjalnie nie przejęła. Diaz uznał, że nie ma przed sobą kochającego syna. Zresztą, gdyby ona była oddaną matką, Diaz nigdy nie dowiedziałby się od Loli, jak znaleźć Enrique. Starą obchodził

wyłącznie własny los; zapewne tę właśnie cechę odziedziczył po niej syn.

- Dziesięć lat temu mieszkałeś z Lolą. Zajmowała się wtedy porwanymi dziećmi.

- Nic nie wiem o dzie...

- Zamknij się. Nie pytam o dzieci. Dla kogo pracował Arturo Pavon i twój stryj, Lorenzo? Słyszałeś nazwisko ich szefa?

- Jakiś yanqui - mruknął Enrique

- Za mało, cabrón. Nazwisko.

- Nie... nie wiem. Ja tylko słyszałem, że mieszka w El Paso.

- To wszystko?

- Przysięgam!

- Rozczarowujesz mnie. Nie usłyszałem nic nowego.

- Nigdy go nie widziałem - Enrique zaczął drżeć. - Pavon zawsze się pilnował, żeby nie zdradzić nazwiska.

- A Lorenzo? Też się pilnował? Czy może lubił pogadać?

- Oj lubił, señor, lubił. Ale to było takie tam głupie gadanie, on sam nic nie wiedział!

- No to powtórz mi trochę. Sam zdecyduję, czy to coś warte.

- To było dawno, bardzo dawno, ja nie pamiętam...

- Tsk! - syknął Diaz tuż przy jego uchu. Nawet nie ruszył nożem, nie musiał. Enrique, śmiertelnie wystraszony samym odgłosem, zatrząsł się i zakwilił. Wokół rozszedł się ostry smród moczu.

- Pamiętasz, kiedy Pavon stracił oko, porywając białe dziecko? Matka wylupiła mu gałkę oczną gołymi rękami. Musisz to pamiętać.

- Pamiętam - odparł słabo Enrique.

- No proszę, wiedziałem, że z twoją pamięcią nie jest tak źle. Co jeszcze sobie przypominasz?

- Nic o człowieku z El Paso, ja nic o nim nie wiem! Ale to dziecko, to białe dziecko... Lorenzo mówił, że lekarka im pomagała.

Lekarka. Przyjaciółka Milli, doktor Kasper, odbierała poród jej dziecka. Przez kolejne lata wciąż pozostawała w kontakcie. Mieszkała w El Paso. Kolejny kawałek układanki wylądował na miejscu.

Odnalezionych ofiar nie patroszono po barbarzyńsku: organy usuwane były elegancko, ze znajomością rzeczy i niewątpliwą wiedzą medyczną. Uszkodzony narząd tracił przecież całą wartość.

Teoretycznie organy mógłby wycinać sanitariusz albo na przykład pracownik zakładu pogrzebowego - ale najprawdopodobniej był to jednak lekarz.

Jaki lekarz mieszkał w pobliżu wioski, w której porwano dziecko Milli, a potem w pasie granicznym, gdzie znajdowano okaleczone ciała? Tylko Susanna Kasper. Musiał ostrzec Millę.

*

**

Była połowa października, a Diaz wciąż nie dawał znaku życia. Milla martwiła się tak bardzo, że nie była w stanie na niczym się skoncentrować. Może coś mu się stało? Meksyk był z zasady raczej przyjaznym i gościnnym krajem, ale - jak wszędzie - przecież i tam żyło sporo mętów. Założyłaby się o cokolwiek, że Diaz dałby radę

każdemu z nich, ale przecież nawet najgroźniejszy drapieżnik mógł ulec przeważającej sile stada wrogów. Diaz nie był też kuloodporny

Milla była albo chora z niepokoju, albo wściekła. Czy on naprawdę nie wiedział, co oznaczało dla niej nagłe zniknięcie człowieka, na którym przecież tak strasznie jej zależało? Oczywiście nie można było porównywać Diaza z Justinem, choć obaj zajmowali specjalne miejsce w sercu Milli. Jej syn i jej kochanek - nie mogła stracić ich obu w tak beznadziejny, okrutny sposób, bez pożegnania. Zostawał tylko ból, pustka i niepewność. Kiedy Diaz wróci, Milla powie mu, co o tym wszystkim myśli. Jeżeli to mu się nie spodoba, trudno. Pewnie, mógł po prostu zerwać ten związek. Ale dopóki związek trwał, Milla nie chciała być traktowana jak seksualna zabawka - wykorzystywana okazjonalnie w chwilach, gdy faceta najdzie nagła ochota na wizytę.

Dzwoniła kilka razy na jego komórkę, bez powodzenia. Był niedostępny albo przebywał poza zasięgiem sieci. Nie aktywował poczty głosowej, więc nie mogła nawet się nagrać.

Miała pełne ręce roboty. Niestety, Poszukiwacze wciąż mieli co robić. Pojawił się nagle jakiś wysyp porwań, ucieczek, zaginięć. Poza tym tradycyjnie w górach gubili się turyści. Zresztą pytania „kto i dlaczego” nie były aż tak istotne, Poszukiwacze pomagali, gdzie mogli. W ciągu tylko jednego tygodnia Milla odwiedziła Seattle, Jacksonville na Florydzie, Kansas City, San Diego, by ostatecznie wrócić do El Paso. Była półprzytomna ze zmęczenia, ale mimo to po powrocie od razu sprawdziła automatyczną sekretarkę. Nagrano sporo

wiadomości, ale żadna nie była od Diaza. Nie sądziła, że dzwoniłby na jej telefon komórkowy; niestety, rejestrowanie połączeń przychodzących w komórce przestało działać z niewiadomego powodu - i Milla nie mogła sprawdzić na pewno. Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl: przecież nikt nie dzwonił na jej komórkę przez ostatnie dni. Umknęło jej to, bo ona sama zawsze dzwoniła z komórki do biura po przylocie na miejsce. Zatem ona mogła dzwonić bez problemu - ale co, jeśli inni nie mogli dodzwonić się do niej?

Podniosła słuchawkę domowego telefonu i wybrała numer własnej komórki. Słyszała sygnał w słuchawce, ale komórka milczała jak głaz, nie wykazując żadnej aktywności.

Z rozdrażnieniem cisnęła słuchawką i wrzuciła zepsutą komórkę do torebki. Rano od razu odda ją do naprawy. Może da się wypożyczyć jakiś aparat zastępczy. Jeżeli nie, to po prostu kupi sobie nowy. Nie mogła znieść świadomości, że Diaz być może próbował się dodzwonić i nie udało mu się przez tę głupią komórkę. Czy miał numer jej telefonu domowego? Nie pamiętała, ale raczej nie. Jeżeli jednak naprawdę musiałby się skontaktować, to pewnie zatelefonowałby do biura Poszukiwaczy i tam zostawił wiadomość dla Milli. Albo zadzwoniłby na informację i w ten sposób zdobył jej numer domowy.

Gdzie on, u diabła, był?

Telefon stacjonarny zadzwonił nagle i Milla aż podskoczyła. Może...

- Senora Boone.

- Przy telefonie - Milla nie rozpoznała głosu. To przypomniało jej o tamtym telefonie z sierpnia, dzięki któremu spotkała się z Diazem. Jednak to nie ten sam głos: była tego pewna. Tamten, sierpniowy, był bardziej miękki, łagodny. Ten - raczej szorstki, chropawy. Głosy różniły się także akcentem.

- Interesuje panią Arturo Pavon?

O Boże. Milla z trudem przełknęła ślinę, starając się nie spanikować. Proszę, proszę, żeby to była jakaś konkretna informacja, a nie fałszywy trop, modliła się. Proszę.

- Będzie dziś wieczorem w Ciudad Juarez. W knajpie „Pod Granatową Świnia”.

- O której? - spytała, ale tamten już przerwał połączenie. Spojrzała na wyświetlacz: numer dzwoniącego niedostępny.

W desperacji spróbowała raz jeszcze zadzwonić na komórkę Diaza. Po kilku sygnałach głos z automatu oświadczył, że abonent znajduje się poza zasięgiem sieci.

Spojrzała na zegarek: czwarta trzydzieści. Z powodu nawału zajęć w ostatnim, wariackim tygodniu personel biura rozjechał się po kraju. Brian był w Tennessee, Joann w Arizonie. Debra Schmale i Olivia leżały w domach, obie złożone wyjątkowo wredną infekcją wirusową żołądka.

Wiedziała doskonale, że nie może jechać sama. Nie miała pojęcia, jakim miejscem jest „Granatowa Świnia”. Jeżeli to typowa meksykańska speluna, Milla nie będzie tam mile widzianym gościem. Z drugiej strony, mogła to równie dobrze być normalniejsza knajpa,

taka, w której wchodząca kobieta nie jest automatycznie brana za prostytutkę. Ale... Pavon w przyzwoitej restauracji? Nie.

Najprawdopodobniej była to, niestety, normalna knajpa i wejście do takiej speluny oznaczało duże kłopoty.

Potarła skronie, zastanawiając się, kto mógłby się nadać do pomocy

Przyszło jej na myśl tylko jedno nazwisko. Diaz kazał jej trzymać się z dala od True Gallaghery i zapewne miał powody. Lepsze niż samcza ochrona własnego terytorium. Ostrzegł ją przecież, jeszcze zanim zostali kochankami. Powinna była wtedy spytać, co Diaz ma przeciwko True. Cóż... Niestety, wyłączając Briana i oczywiście Diaza, Gallagher wydawał się Milli jedynym człowiekiem, który da sobie radę w obecnej sytuacji.

To bez sensu, pomyślała. Diaz nie ostrzegałby jej bez ważnego powodu, musiała mu zaufać. Jak tylko się spotkają, wypyta go dokładnie o jego relacje z Gallagherem. Pozna więcej faktów. Do tego czasu musi jednak polegać na własnym instynkcie samozachowawczym. A ten z kolei polegał już w znacznym stopniu na Diazie.

Musiał być ktoś jeszcze. Rzucenie się w wir pracy i poszukiwań dziecka sprawiły, że życie towarzyskie Milli było bardzo ograniczone. Znała wprawdzie wielu ludzi, ale żadnego wystarczająco blisko. A w tych okolicznościach musiała mieć u boku kogoś, na kim może polegać bez zastrzeżeń.

Odetchnęła z ulgą: tak, był ktoś taki. O ile uda jej się z nim skontaktować. Rip Koper. Szybko wyszukała numer jego biura; Rip oczywiście nie prowadził gabinetu dla pacjentów - był przecież anestezjologiem - ale miał z kolegą biuro, w którym załatwiali papierkową robotę i przyjmowali telefony

Kobieta, która odebrała, powiedziała, że doktor Koper jest jeszcze w szpitalu. Milla podała swoje nazwisko i numer, mówiąc, że sprawa jest bardzo pilna. Jej rozmówczyni obiecała skontaktować się z doktorem. Czekaając na oddzwonienie, Milla pobiegła na górę przebrać się w dzinsy i adidas.

Rip oddzwonił dopiero po godzinie. W tym czasie Milla nie mogła znaleźć sobie miejsca: znowu trzy razy dzwoniła na komórkę Diaza, potem zmusiła się do zjedzenia kanapki. Tajemniczy człowiek z hiszpańskim akcentem nie podał jej żadnej godziny: wyprawa mogła zająć całą noc.

- Milla? - głos Ripa pobrzmiwał wyraźnym niepokojem. - Co się stało?

- Potrzebuję kogoś, żeby pojechał ze mną wieczorem do Juarez - odparła. - Moi Poszukiwacze są daleko albo chorują, a sama nie dam sobie rady. Pojechałbyś ze mną? Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale jesteś jedynym przyjacielem, którego mogę o to prosić.

- Jasne, nie ma sprawy Gdzie i kiedy?

Powiedziała mu, na którym moście granicznym się spotkają i o której.

- Włóż jakieś proste ciuchy, jeśli możesz. Knajpa, do której jedziemy, nie będzie przyjemnym miejscem.

- Ssspoko - powiedział łobuzersko. - Dawno nie zrobiłem już porządnej rundki po knajpach.

- Och, jeszcze jedno, nie wiem, ile to zajmie. Możliwe, że całą noc.

- Mam jutro luzy w szpitalu. Nic planowego aż do południa. Nie ma sprawy.

- Dzięki, Rip. Słodki jesteś.

- Wiem - odparł zadowolonym z siebie głosem.

Godzinę później przekroczyli pieszo granicę, wchodząc do Juarez. Dotychczas Milla korzystała z usług Cheli tylko w przypadku opuszczania strefy nadgranicznej, ale tym razem stwierdziła, że głupotą byłoby zbliżać się do Pavona z gołymi rękami. Zadzwoiła do handlarki bronią i umówiła spotkanie.

- Umiesz posługiwać się pistoletem? - spytała Ripa, gdy byli już w Juarez.

- Nigdy nie musiałem. Polowałem trochę, ale to była długa broń. Zresztą, niczego nie ustrzeliłem - spojrzał na nią z wahaniem. - Sądziś, że naprawdę będziemy potrzebowali broni?

- Lepiej mieć broń przy sobie i jej nie potrzebować, niż odwrotnie. Nie mówiłam ci tego... Dziś wieczorem w knajpie ma siedzieć facet, który porwał Justina. Jeżeli się zjawi, to na pewno będzie uzbrojony.

Rip zatrzymał się nagle wyraźnie zaniepokojony.

- Nie wydaje ci się, że powinniśmy wezwać gliny? Tę ich PJF czy PJE, nie wiem, która zajmuje się takimi sprawami.

- I co im powiemy? Ze wydaje mi się, iż to właśnie jest facet, którego dziesięć lat temu widziałam przez kilka sekund? - Milla nie miała ochoty na kontakty z meksykańską policją. Nie cieszyła się ona najlepszą sławą.

- Wydrapałaś mu oko. To zmienia postać rzeczy

- Tak? Czy ten gość jest jedynym jednookim zakapiorem w Meksyku? Nie wiem nawet, czy on na pewno tam będzie. Wiesz, ile takich telefonów miałam przez ostatnie dziesięć lat? Zgadnij, ile z nich miało jakąś wartość.

- Pewnie żaden.

- Prawdę mówiąc, jeden.

- Więc nie ma się czym podniecać?

- Raczej nie. Ale zobaczymy, po prostu muszę poczekać, aż ten gość się pojawi. W każdym razie z pewnością nie powinniśmy kręcić się w pobliżu tej speluny bez broni.

Rip znał miejscowe zwyczaje, wiedział, że Milla nie może ot tak sobie wejść do knajpy, co oznaczało, że będzie musiała poczekać na zewnątrz. A nawet siedzenie w samochodzie, co zresztą planowała robić, nie należało do najbezpieczniejszych zajęć.

Jej stary znajomy Benito przywitał ich z szerokim uśmiechem i z czekającym fordem taurusem w całkiem niezłym stanie. Wiedział, gdzie jest „Granatowa Świnia”, i udzielił im dokładnych wskazówek, ostrzegając też, że ta knajpa ma złą sławę. Większość meksykańskich

knajp była w gruncie rzeczy głośnymi i wesołymi miejscami, w których miejscowi radośnie i niegroźnie chlali na umór. Ale „Pod Granatową Świnia” zbierały się podobno najgorsze męty.

Milla pomyślała, że skoro dziura jest tak podejrzana, to Pavon istotnie może się tam zjawić.

Potem spotkali się z Chelą, która bez słowa przekazała im ciężką sklepową reklamówkę, skasowała należność i odeszła w swoją stronę.

- Zawsze tak gładko to idzie? - spytał zaskoczony Rip.

- Jak na razie tak. Ale jeśli jakiś wścibski policjant będzie chciał zajrzeć do tej reklamówki, to rzucam ją i uciekam.

- Ja z tobą - uśmiechnął się szeroko.

Wrócili do taurusa. Milla prowadziła. Bez specjalnej nadziei na cokolwiek raz jeszcze wybrała numer komórki Diaza. Ku jej zaskoczeniu Diaz odebrał telefon.

- Gdzie byłeś? - prawie krzyknęła na niego, czując, jak czerwienieje jej twarz. Powiedziała to tak, jakby miała pełne prawo wiedzieć.

Pomyślała nad tym przez chwilę i stwierdziła, że owszem, ma takie prawo. Byli przecież razem, a ona martwiła się o niego. Cisza trwała dokładnie trzy uderzenia serca.

- Miałem zapytać cię o to samo.

- Komórka mi się zepsuła, nie przyjmuje rozmów przychodzących. Ja mogę dzwonić, ale to wszystko.

- Ja miałem wyłączoną komórkę.

- Dlaczego?

- Nie chciałem, żeby dzwoniła.

Tym razem to ona wyczekała chwilę, milcząc, choć miała ochotę walić głową o deskę rozdzielczą samochodu. Coś jej mówiło, że na ustach Diaza błąka się w tej chwili ów lekki, enigmatyczny uśmiezek.

- Czemu nie? - spytała wreszcie.

- Żeby nie przyciągać uwagi. Zatem śledził kogoś.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Tak, wielu nader ciekawych rzeczy. Gdzie jesteś?

- W Juarez. Dlatego właśnie próbuję się do ciebie dodzwonić.

Dostałam telefon, że tego wieczoru znajdę Pavona „Pod Granatową Świnia”.

- Znam tę dziurę. Nie ruszaj się z miejsca aż do mojego przyjazdu. Nie idź sama.

- Nie jestem sama. Jest ze mną Rip Kosperski.

- Kosperski? - jego głos nagle stężał.

- Pamiętasz moich przyjaciół? Susannę i Ripa?

- Ona jest w to zamieszana, Millo. Ona należy do grupy Uciekaj od niego, wracaj do El Paso! Zrób to zaraz!

Kobieta w osłupieniu oderwała telefon od ucha i spojrzała na niego pustym, przerażonym wzrokiem. Minęła dobra chwila, zanim wzięła się w garść.

- Co ty mówisz?!

- Susanna. To ona ustawiła porwanie Justina.

Najprawdopodobniej tkwi również po szyję w handlu organami. Jest

tam ktoś, kto zna się na profesjonalnym wycinaniu narządów. To musi być lekarz.

Milla nie mogła otrząsnąć się z szoku. Susanna? To jakiś absurd. Susanna była jej przyjaciółką! Odbierała poród Justina, przez wszystkie kolejne lata była obok, zawsze gotowa zaoferować wsparcie i szczerą przyjaźń. Zawsze była na bieżąco, wypytywała Millę szczegółowo o postępy w szukaniu porywaczy.

Milla oddychała ciężko. Zrobiło jej się słabo, nabrała powietrza i wstrzymała oddech, zaciskając mocno oczy.

- Millo? - zapytał Rip zdenerwowanym tonem. - Wszystko w porządku?

- Uciekaj od niego - powtórzył Diaz twardo, śmiertelnie poważnie.

- Jak szybko możesz tu dotrzeć? - zapytała, starając się mówić spokojnie. Włożyła w to całą pozostałą jej jeszcze silną wolę.

- Najszybciej za jakąś godzinę. Jestem siedemdziesiąt kilometrów od ciebie.

- Nie przepuszczę szansy spotkania Pavona.

Najprawdopodobniej się nie pojawi, ale może jednak.

Diaz westchnął ciężko, najwyraźniej pojmując, że namawianie jej do powrotu nie ma sensu.

- Masz broń? - zapytał.

- Tak.

- A on?

- Nie w tej chwili.

- To niech tak zostanie. Czym jedziesz? Opisała mu ich forda taurusa.

- Zostań w samochodzie. Zamknij drzwi od środka. Zaparkuj na ulicy w widocznym miejscu. Będę tak szybko, jak tylko zdołam. Jeżeli Kasper zrobi coś podejrzanego, odstrzel mu tyłek.

- Tak. Dobrze - odpowiedziała krótko na wszystkie polecenia.

Diaz przerwał połączenie. Milla była wciąż w szoku, nie śmiała spojrzeć na Pupa. On... nie mógł być w to zamieszany. Nie Rip. Miał takie dobre serce, maniery prawdziwego dżentelmena. Tylko raz widziała, by wyłamał się z tego schematu: tej nocy, gdy Susanna usiłowała ustawić jej randkę z True. Rip jasno dawał do zrozumienia, że nie akceptuje Gallaghera.

Z Diazem było to samo. Dziwne, najwyraźniej obaj mężczyźni nie znosili True. Tym bardziej dziwny był fakt, że Susanna, wiedząc o uczuciach Ripa, mimo wszystko usiłowała rzucić Millę w ramiona tego faceta. Czemu miałyby robić coś takiego?

True i Susanna często rozmawiali. Nie było w tym nic złego. Gallagher był teraz bogaty, ale przecież nie zawsze tak było. Sam wyszedł z biedy, podobno pochodził z najbardziej ponurych, zakazanych rejonów El Paso. Milla wiedziała, że wciąż ma kontakty w półświatku, wciąż zna wielu nieprzyjemnych osobników. Na przykład szmuglerów.

Susanna... i True?

To miało sens. Milla nie miała żadnych dowodów, nie znała żadnych faktów, ale intuicja podpowiadała jej, że to ma sens.

Wyjęła jeden z pistoletów z reklamówki, po czym położyła torbę na podłodze, po lewej stronie nóg.

- Co się dzieje? - zapytał Rip. - Z kim rozmawiałaś?

- Z jakimś Diazem.

- Słyszałem o nim - chrząknął głośno lekarz.

- Od kogo?

- Przypadkiem usłyszałem rozmowę żony z True - Rip patrzył przez okno. - Zgaduję, że ten Diaz już wie o Susannie.

Milla spojrzała na niego zaskoczona, zaciskając dłoń na rękojeści pistoletu.

- Ona jest czasem taka beztroska - powiedział Rip, pocierając oczy. - Mówi głośno rzeczy, które powinna trzymać w najgłębszej tajemnicy. Nie myśli o tym, jak niesie się dźwięk. Jej gabinet, na przykład, rezonuje i wzmacnia głos. Od lat słyszałem różne rzeczy, ale dopiero kilka miesięcy temu zaczęło mi się to układać w spójną całość. Pewnego dnia Susanna rozmawiała z nim przez telefon i... Nie pamiętam, co dokładnie mówiła, ale sens był jasny Coś o pieniądzach, które wspólnie zarobili na dzieciach, choć prawie wpadli przez wielkie zamieszanie wokół sprawy Justina. Zarobili. Pamiętam, powiedziała, że zarobili pieniądze.

- Czemu nic nie mówiłeś? - spytała Milla. - Czemu nie poszedłeś na policję?

- Nie mam dowodów. Żadnych dowodów, do cholery Tylko kilka zdań, które usłyszałem. Pytała True, czy jest pewien, że Diaz szuka po omacku, i czy oni nie muszą się martwić. Nie słyszałem

odpowiedzi Gallaghery, ale musiało z niej wynikać, że bierze tego Diaza bardzo poważnie. Zrobiłem więc małe prywatne śledztwo, podsłuchałem jeszcze co nieco i dowiedziałem się w ten sposób, że za kościołem w Guadalupe nastąpi przekazanie jakiegoś towaru. Znam osobiście kilku twardzieli w Meksyku, zadzwoniłem do jednego z nich i powiedziałem, że Diaz na pewno ucieszyłby się z takiej informacji. Mogłem mieć tylko nadzieję, że to zadziała. Potem przedzwoniłem do ciebie, zmieniając głos, na ile mogłem, i powiedziałem, że Diaz tam będzie. Nie wiedziałem na pewno, ale prawdopodobieństwo było spore. Chyba trafiłem, co?

A więc to Rip był tamtym anonimowym informatorem. To musiał być on, inaczej nie wiedziałby nic o Guadalupe.

- Tak - odparła ze ściśniętym gardłem. - Był tam. Rip pochylił głowę.

- Kiedy dowiedziałem się, co zrobiła... Ja... kochałem tę kobietę przez dwadzieścia lat i w ogóle jej nie znałem. Myślę, że chodziło o pieniądze. Prawie zbankrutowaliśmy, spłacając kredyty studenckie, pożyczki, karty kredytowe i co tam jeszcze. Susanna nie panuje zbyt nad forszą. Zresztą ja też nie, co tu dużo gadać. Dlatego pojechaliśmy do Meksyku, żeby oderwać się na rok od wierzycieli. Właśnie wtedy nasza sytuacja finansowa nagle się poprawiła. Teraz wiem dlaczego. Susanna handlowała dziećmi. Do diabła, znała się na tym jak nikt: płeć, wiek, stan zdrowia... Przecież sama odbierała porody A biedne meksykańskie kobiety jechały lub szły potężny kawał drogi do szpitala, żeby prawdziwa pani doktor mogła im pomóc

podczas porodu. Porwania zdarzały się na sporym terenie, komu przyszłoby na myśl sprawdzanie nazwiska lekarza położnika zaginionych dzieci? Susanna nie miała z nimi kontaktu od momentu wypisu z kliniki. Nigdy nie padło na nią żadne, najmniejsze nawet podejrzenie.

- Sprzedała Justina - ciągnął Rip. - Dostała za niego kupę kasy. Przykro mi, Millo, nie wiem, dokąd go wysłali. Przerzyłem wszystkie papiery Susanny, ale nie było tam nic o dalszym losie dzieci. Myślę, że miała to gdzieś.

W oczach Ripa załśniły łzy

- Powiedziała, że zwodzili cię przez dziesięć lat - odezwał się cicho. - Ze pilnowali dokładnie, abyś ściagała cienie.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytała Milla zdławionym głosem. To bolało. Była zszokowana, dotknięta i zła. Susanna miała szczęście, że jej tu nie było. Mogłaby ją spotkać duża krzywda.

- Nie wiem. Rozwód, to oczywiste. Nie zostawiłem jej tylko dlatego, że chciałem jeszcze trochę powęszyc. Czy mógłbym zeznawać przeciwko niej? Nie wiem.

- Diaz myśli, że Susanna może być zamieszana także w handel organami. Morderstwa, a potem sprzedaż wyciętych narządów.

Rip popatrzył na nią z przerażeniem. Jego usta poruszały się, ale nie mógł wydobyć słowa.

- Nie... - wykrztusił wreszcie. - To niemożliwe. Ona nie mogłaby. .. To ponad wszelkie...

- Ten towar, który przekazywano tamtej nocy w Guadalupe, był ludzkim ciałem.

- O Boże. O Boże - lekarz zamknął oczy Był trupio blady. Wyglądał, jakby miał za chwilę z wymiotować.

Milla czuła dokładnie to samo. Rzuciła okiem na zegarek i adrenalina zagrała jej z żyłach. Uruchomiła silnik nerwowym ruchem dłoni.

- Musimy jechać do knajpy. Pavon może tam już być.

- Mówiłaś, że pewnie go nie będzie...

- Zawsze jest jakaś szansa.

scandalous

Pavon wcześniej zawitał „Pod Granatową Świnie”. Chciał być na miejscu, gdy zjawi się ta suka, popatrzeć, jak czeka na niego.

Rozmowa telefoniczna z tą babką sprawiła, że serce zabiło mu żywiej, a w kroczu pojawiło się natrętne i przyjemne mrowienie, aż proszące się o uwagę. Siedział tyle czasu na tej parszywej łodzi, codziennie pocąc się ze strachu jak dziecko. Musiał upewnić się, gdzie jest Diaz, przed jakąkolwiek próbą zbliżenia się do tej kobiety. A to nie było proste.

Szczyście jednak uśmiechnęło się do Artura: jeden z rybaków wspomniał kuzynowi, że Łowca był w Matamoros i szukał Enrique Guerrero. Wiadomość ta była zarazem zła i dobra. Dobra - bo rybak potwierdził także, że Enrique zwiął na południe, co oznaczało zapewne, że Diaz podążył za nim. Zła - bo Pavon nie miał złudzeń: Diaz znajdzie Enrique, któremu nie można ufać w żadnej sprawie. A na pewno nie, jeśli chodzi o trzymanie języka za zębami. On chętnie sprzedałby diabłu własną matkę, choć znając Lolę, trudno było go za to winić. Pavon musiał założyć, że wszystko, co wiedział Lorenzo, wiedział także Enrique. A to oznaczało, że wkrótce dowie się i Diaz.

To był idealny moment na zerwanie kontaktów z Gallagherem i rozpląnięcie się w powietrzu. Może Diaz zadowoli się połknięciem grubej ryby i pozwoli ujść płotkom. Niestety, facet miał sławę człowieka równie bezwzględnego, co wytrwałego i nieustępliwego. On nie pozwalał ujść nikomu. A Pavon nie mógł ryzykować, że

pewnego pięknego dnia stanie twarzą w twarz z tym szatanem. Jego pierwotny plan był pewniejszy: porwać kobietę, użyć jej jako przynęty, a potem usunąć Diaza. Tylko wtedy będzie naprawdę bezpieczny.

Siedział więc w knajpie, czekając i czekając, kojąc nerwy kolejnymi flaszkami piwa Victoria. Gdzie ona się podziewała? Czy był dla niej takim śmieciem, że nie pofatygowała się nawet przez granicę, aby go zobaczyć? Ułatwił jej wszystko maksymalnie. Co miał jeszcze zrobić, osobiście zapukać do drzwi?

Przy czwartej flaszcze doszedł do wniosku, że baba chyba jednak nie przyjdzie do knajpy. Ostatecznie wchodziły tu tylko dziwki, no i takie, co szukają kłopotów. Noga porządnej kobiety nie postałaby w meksykańskiej knajpie, a ta suka była porządną kobietą.

Klnąc pod nosem, podniósł się i ruszył do wyjścia. W połowie drogi zawahał się i zawrócił. Idiota! A jeśli zaparkowała samochód dokładnie przed wejściem? Byłoby to z jej strony głupie, ale możliwe. A on chciał zobaczyć ją, zanim ona dostrzeże jego, więc wyszedł tylnymi drzwiami.

Obszedł knajpę dookoła, co nie było proste, bo budynki stały tu ściana w ścianę. Pavon musiał pójść śmierdzącą wąską alejką, na którą wychodziły kuchenne drzwi knajpy, dotrzeć do rogu, a potem wrócić główną ulicą. Trzymał się w cieniu, przemykając pod ścianami i kryjąc, za plecami przechodniów; kobieta będzie wypatrywać samotnego człowieka, nie grupy. Na szczęście ludzi tu nie brakowało,

szczególnie wieczorem. Większość stanowili tacy mężczyźni, z którymi przyzwoite kobiety z zasady się nie zadają.

Szedł ostrożnie. Mogła zaparkować auto po tej lub po przeciwnej stronie ulicy. Przodem lub tyłem. Oglądał uważnie każdy samochód... jest! I to tak korzystnie zaparkowany: po tej samej stronie ulicy, tyłem do nadchodzącego Pavona.

To musiała być ona. Kobieta z jasnobrązowymi, aż wpadającymi w blond kręconymi włosami. Loki, zapamiętał te loki. Nawet teraz, w nocy, zdawały się żyć własnym życiem, falując dostojnie wokół kształtnej główki kobiety Wyglądały na miękkie i delikatne jak u dziecka. Ciekawe, czy tam na dole też ma takie loczki? Zarechotał bezgłośnie: już wkrótce się o tym przekona.

Przez dziesięć lat rznął tylko kurwy. No, niezupełnie, powiedzmy, że żadna kobieta nie dała mu z własnej woli. A wszystko przez tę szmatę, która zrujnowała mu życie. Zapłaci mu za to. Będzie długo błagała o litość.

Może zatrzyma ją sobie na dłużej, nawet po zabiciu Diaza. Mógłby odpłatnie użyczać jej innym. W końcu trzeba jakoś zarabiać na życie.

W samochodzie był ktoś jeszcze. Mężczyzna.

Pavon stanął jak wryty, krew zlodowaciała mu w żyłach. Diaz! Jak mógł tak szybko tu dotrzeć? Idiota! Był wściekły na siebie: to, że on sam nie podróżował samolotami (za dużo kontroli i sprawdzania papierów), nie oznaczało przecież, że inni działali tak samo. Diaz

mógł sobie wrócić z każdego miejsca w kraju w przeciągu kilku godzin.

Ale... To mogło nie być takie złe. Oboje razem, nieświadomi, że mają Pavona za plecami. Mógł załatwić Diaza tu i teraz. Kulka przez okno, prosto w łeb. I po sprawie. Ale kobieta... Musiałby stuknąć i ją. Ech, trudno - westchnął z żalem. Zastrzelenie Diaza - musiał zrobić to najpierw - dałoby jej czas na reakcję. Nie śmiał podejść od frontu, co wystawiłoby oboje ludzi w samochodzie na pewny strzał. Musiał zakraść się z tyłu, idąc pod kątem, by nie pojawić się w lusterkach. Ustawić się w dogodnej pozycji do odstrzelenia Diaza. W łeb, bez kombinacji. Potem będzie musiał podbiec do przodu, aby wyraźnie zobaczyć kobietę i trafić bez problemu także ją. Baba będzie pewnie się drzeć, rzucać, może spróbuje ucieczki. Pavon wiedział, że musi działać szybko i niezawodnie, co nie było takie proste z jednym okiem. Co gorsza, brakowało mu lewego oka, a będzie miał tych dwoje właśnie po lewej.

Mężczyzna wysiadł z auta, a Pavon zamarł. To nie był Diaz! Ten tutaj miał jasne włosy, był starszy, niższy, bardziej krępy. Ku własnemu zdumieniu Pavon rozpoznał faceta. To był mąż ich lekarki - doktor Kospers. Skurwysyn! Co on tu robił?! Zresztą nieważne. Kospers wchodził właśnie „Pod Granatową Świnie”, prawdopodobnie szukać Pavona. Nie mogło być lepiej: kobieta patrzyła na doktora, nie zwracała uwagi na... popatrzyła nagle w lusterko, jedno, drugie, a Pavon zastygł ponownie bez ruchu. Nie zobaczyła go, nie mogła - ale była ostrożniejsza i lepiej przygotowana, niż mógł się spodziewać.

Musiał podkraść się od lewej - swojej prawej - aby cały czas mieć na nią oko. Ale jeżeli tak zrobi, to suka może go zauważyć. Już raz jej nie docenił i drogo go to kosztowało. Nie popełni ponownie tego samego błędu. Na pewno zabezpieczyła swoje drzwi w samochodzie, nie jest głupia. Okna zamknięte. Ale czy pamiętała, by zamknąć drzwi pasażera po wyjściu lekarza?

Cztery piwa w żołądku powiedziały mu, że jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Ruszył naprzód pod takim kątem, by unikać pola widzenia lusterek. W ten sposób dotarł do samego auta. Zdecydowanie szarpnął za klamkę i drzwi cudownie się otworzyły. Pavon płynnym ruchem wśliznął się do środka z pistoletem wymierzonym prosto w głowę kobiety.

- Hola! - powiedział z szerokim uśmiechem, siadając na fotelu pasażera i zamykając za sobą drzwi. - Pamiętasz mnie?

Jej oczy otwarły się szeroko: słodki widok. Ale w następnej chwili dłoń kobiety szybko niczym wąż poderwała się w górę i Pavon zobaczył czarną lufę pistoletu skierowaną wprost w swoje jedyne oko.

- Hijo de la chingada, a ty mnie pamiętasz? - odparła powoli po hiszpańsku. Suczy synu, a ty mnie pamiętasz?

Jej ręka nawet nie drgnęła. W oczach była tylko spokojna, lodowata nienawiść. Pavon spojrzał w te oczy i zobaczył własną śmierć - chyba że naciśnie spust jako pierwszy...

Drzwi za jego plecami otworzyły się raz jeszcze i Pavon poczuł chłodny dotyk kolejnej lufy tuż pod prawym uchem.

- Pavon, ty gnido - powiedział łagodny głos ociekający zapowiedzią rzeczy strasznych. Arturo prawie zsikał się w spodnie ze strachu, bo wiedział, do kogo ten głos należy. Wiedział też, że to już koniec. Ze spierdolił sprawę po prostu koncertowo.

- Śmiesz grozić mojej kobiecie? To bardzo, bardzo niedobrze.

*

**

Rip był wciąż jeszcze roztrzęsiony. Wracając do samochodu, o mało nie zemdlął na widok Milli celującej z pistoletu do jakiegoś nieznanego mężczyzny, który także trzymał broń - wymierzoną w Millę. Jeszcze inny facet - groźnie wyglądający brunet - stał przy otwartych drzwiach, przykładając lufę do głowy człowieka siedzącego w środku. Jak więc szybko podliczył przerażony Rip, były aż trzy pistolety i dwie zagrożone czaszki. Ktoś miał za chwilę umrzeć.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Facet z przedniego siedzenia został rozbrojony, a Rip nagle znalazł się na tylnym siedzeniu, tuż obok tego niebezpiecznego, milczącego gościa, który trzymał jeden pistolet przy czaszce Pavona, a drugim celował w samego Kospera. Lekarz domyślił się, że to właśnie musi być ów słynny Diaz; teraz wiedział już, skąd brała się jego cokolwiek nieprzyjemna reputacja. Gość był najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego Rip miał nieszczęście spotkać. Nie chodziło nawet o coś, co Diaz zrobił czy powiedział, raczej o tę aurę śmiertelnej, niekwestionowanej i zimnej pewności. Kosper nie był w stanie wykrztusić słowa pod lufą pistoletu, ale Milla mówiła bez

przerwy od czasu, gdy wyjechali z Juarez, kierując się tam, gdzie wskazał nieznajomy, opowiadając mu pospiesznie wszystko, o czym rozmawiała wcześniej z Ripem. Gdy Diaz usłyszał, że to właśnie Rip był anonimowym informatorem, który doprowadził do ich spotkania w Guadalupe, a także po wysłuchaniu tego, co Koper miał do powiedzenia o True Gallagherze, opuścił pistolet, którym szachował lekarza. Schował broń do kabury na udzie jak szanujący się rewolwerowiec.

Teraz byli już na pustyni, daleko od miejskich świateł Juarez i El Paso. Koper drżał, choć nie z zimna. Drżał, bo zobaczył Diaza w akcji. Widział, co tamten zrobił z Pavonem. No cóż, okazało się, że Diaz w pełni zasłużył na swoją złą sławę. W zasadzie ludzie wręcz go nie doceniali.

Można by powiedzieć, że śmiertelnie przerażony Pavon dosłownie robił ze strachu w gacie, tylko że, gwoli ścisłości, już nie miał gaci na sobie. Leżał na ziemi związany, nagi, rozpięty między wbitymi w grunt palikami. Najpierw długo i głośno kłął, potem usiłował negocjować. Teraz już tylko błagał jękliwym głosem. Diaz zadawał pytania, wciąż tym łagodnym, spokojnym tonem. Odpowiedzi Pavona sprawiały, że Rip miał szczerą ochotę zwymiotować. Bandyta opowiedział im wszystko: o dzieciach, którymi handlowali jak bydłem, o zasadach działania gangu przemytników, o roli Susanny w tym wszystkim. Poznali nazwisko kobiety z Nowego Meksyku, która pracując w ratuszu małego miasteczka, kradła blankiety aktów urodzenia, po czym zajmowała się

ich wypełnianiem. Porwane dzieci dostawały nowe nazwiska i w ten sposób stawały się innymi ludźmi.

Pavon powiedział im także wszystko, co wiedział o True Gallagherze. Rip aż zatrzęsł się z wściekłości, a Diaz, o ile to możliwe, zrobił się jeszcze cichszy i jeszcze oszczędniejszy w ruchach. Tylko jego nóż błyskał jakby bardziej złowrogo. Nasłuchali się o ludziach mordowanych dla organów: Susanna je wycinała, a Gallagher się bogacił. W tym momencie Rip nie wytrzymał i odbiegł na stronę. Wstrząsały nim spazmy gwałtownych wymiotów, opadł na kolana przybity świadomością, że jego żona pomagała mordercom w tak obrzydliwym procederze i nie była w niczym lepsza od choćby tego tu śmierdzącego bandziora.

Kiedy Diaz skończył przesłuchanie, starannie wytarł nóż i wsunął go w pochewkę ukrytą w bucie. Stał przez chwilę, patrząc na zaślinioną, roztrzęsioną kreaturę wijącą się w pyle pustyni. Potem wyciągnął pistolet z kabury na udzie.

Pavon znów zaczął bełkotliwie błagać o litość. Diaz odwrócił pistolet w dłoń i podał go Milli rękojeścią naprzód.

- Chcesz to zrobić? - zapytał uprzejmie. - Masz prawo. Kobieta długo patrzyła na broń, potem wolno wyciągnęła rękę.

- Millo! - jęknął zszokowany Rip. - To morderstwo!

- Nie - poprawił go Diaz, pieczętując słowa złym spojrzeniem, które przygwoździło lekarza do ziemi. - Oni popełniają morderstwa. To będzie wyrok.

Milla spojrzała na Pavona, broń ciążyła jej w rękę. To był zdecydowanie większy kaliber od pistoletów kupowanych u Cheli. Zresztą pewnie właśnie dlatego Diaz dał jej taką armatę: nie trzeba będzie poprawiać. Od dziesięciu lat śniła o tym, jak zabija Pavona, chciała to zrobić. Chciała udusić tego gada gołymi rękami. Ale zawsze wyobrażała sobie, jak zabija go w afekcie, w przypiływie emocji, a nie z zimną krwią.

Pavon miał umrzeć tej nocy. Jeśli nie zginie z ręki Milli, zabije go Diaz. To była jej szansa na dokonanie zemsty

Powoli uniosła pistolet i wycelowwała. Pavon zadrżał, zaciskając powiekę, czekając na ostatni dźwięk, który usłyszy na tym świecie.

Nie pociągnęła za spust, a jej dłoń wkrótce zadrżała od ciężaru broni.

Pavon otworzył oko i głośno zarechotał. Wiedział, że wkrótce pożegna się z życiem. Nie robiło mu różnicy, kto wykona wyrok. Postanowił wykorzystać ostatnią szansę na zelźenie Milli.

- Ty głupia kurwo - szydził, krztuszając się własną krwią. - Jesteś za miękka. Nic nie warta, nic! Twój głupi bachor też był miękki i niewiele warty, ale klient chciał ładnego chłopczyka. On lubił małych chłopców. Rozumiesz, zdiro? Twoje dziecko sprzedaliśmy takiemu, co lubi chłopców i chciał sobie wychować własnego niewolnika. O, teraz twój chłopiec pewnie nawet to lubi. Lubi brać do...

Te plugawe słowa były ostatnimi, które zdołał wypowiedzieć.

**

Diaz zajął się wszystkim. Złożył starannie ubranie i dokumenty Pavona, zostawił je obok ciała i przy dusił sporym kamieniem.

Trzeba było coś zrobić z bronią. Diaz nie zniszczył pistoletów, jak zawsze robili Brian i Milla, lecz ukrył je na wypadek, gdyby miały przydać się im w przyszłości. Miał w pobliżu samochód, przyleciał do Chihuahua i zajął się tam rzeczami, o których wolał nie mówić. Potem przyjechał do Juarez. Auto nie było półciężarówką z rodzaju tych, które Milla już u niego widywała; Diaz zdawał się dysponować całą wypożyczalnią samochodów. Zwrócił auto przy granicy, jak zwykle. Zadzwoił do Benita i powiedział mu, gdzie może znaleźć samochód, którym jeździli Milla i Rip. Potem wspólnie przekroczyli granicę.

Rip i Milla siedzieli bez słowa. Wciąż byli w szoku, nocne wydarzenia położyły się na nich głębokim cieniem.

Kosper odezwał się dopiero przy własnym aucie.

- Nie mogę jechać do domu - powiedział. - Nie mogę na nią patrzeć. Co teraz będzie? Aresztują ją, czy jak?

- Nie mamy dowodów - powiedział Diaz. - Jeśli bylibyśmy w Meksyku...

Zamilkł i wzruszył ramionami. No tak. W Meksyku True i Susanna siedzieliby już pod kluczem, bez konieczności wniesienia oskarżenia w przeciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. W zasadzie oskarżenia nie trzeba było wnosić dowolnie długo. Ale tu były Stany, więc to, co zeznał im pod przymusem obecnie martwy meksykański zakapior, nie miało na razie większego znaczenia.

- Ale wiemy, gdzie i czego szukać - ciągnął Diaz. - A tutaj są ludzie znacznie lepiej ode mnie znający się na rzeczy. Przekażę im sprawę.

- Co? - Rip wyglądał na zaskoczonego. - To znaczy, że jesteś jakimś... agentem czy funkcjonariuszem?

- Jedź do hotelu - zignorował jego pytanie Diaz. - Nie próbuj rozmawiać z żoną, jesteś teraz za bardzo podniecony. Mógłbyś ją wystraszyć i mimowolnie skłonić do ucieczki. A jeśli ona ucieknie, ja będę musiał ją ścigać.

Rip miał już okazję zobaczyć, co dzieje się z ludźmi ściganymi przez Diaza. Wzdrygnął się na samą myśl.

Diaz nie spojrzał już na niego. Pomógł Milli usadowić się na fotelu pasażera jej samochodu, po czym sam zasiadł za kółkiem i odjechał. Kosperski wszedł ciężko do auta. Siedział przez chwilę w milczeniu, rozważając możliwe scenariusze; żaden z nich nie był przyjemny. Pomyślał o Susannie. Potem oparł głowę na kierownicy, a z jego gardła wyrwał się głośny, rozpaczliwy szloch.

*

**

W głowie Milli szalał sztorm sprzecznych emocji. Była tam ulga i żal, uczucie triumfu i głębokiego smutku, wstyd i gorzka satysfakcja. Odchyliła głowę do tyłu, patrząc na feerię ulicznych świateł. Zegar na desce rozdzielczej twierdził, że jest dopiero dwudziesta trzecia, Milli zdawało się, że zaraz będzie świtać.

Dziś zobaczyła na własne oczy to, co dotychczas jedynie przeczuwała już od chwili, gdy Diaz powalił ją na ziemię i zagroził złamaniem karku. Brutalność, do której zdolny był ten człowiek, dosłownie porażała, a jednak Milla nie bała się. Diaz wykorzystywał ciemną stronę swojej natury jako broń przeciwko wrogom: wykolejeńcom, ludzkim śmieciom, mętom, które świadomie ignorowały prawa rządzące społeczeństwem i w ten sposób przyspieszały własną zagładę. Diaz wygrywał z nimi, bo świadomie stał się od nich brutalniejszy, jeszcze bardziej bezwzględny. Nigdy nie obracał tej siły przeciwko tym, których postrzegał jako niewinnych. Nigdy. Milla czuła się z nim bezpieczniej niż na obsadzonym pełną załogą posterunku policji.

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Za pomoc.

Sama nie zdołałaby tego zrobić. Ale kiedy Pavon zaczął bluzgać jadem, Diaz po prostu położył swoją dłoń na dłoni Milli i pomógł jej pociągnąć za spust. Dodał siły, odwagi i pewności. Zrobili to razem. Z jednej strony Milla wstydziła się, że nie potrafiła skończyć tego sama, z drugiej - czuła ulgę, że nie musiała polegać wyłącznie na własnej determinacji.

- Zrobiłabyś to - powiedział Diaz z zimną pewnością w głosie. - Ja... po prostu nie chciałem, żebyś wysłuchiwała tego steku bredni, które śmieć z siebie wyrzucał.

- Myślisz, że kłamał? - spytała, mrużąc oczy. Słowa Pavona bezlitośnie zmroziły jej serce.

- On nie miał pojęcia, co działo się dalej ze sprzedanymi dziećmi. Mówił to tylko po to, żeby cię zranić.

Udało mu się. Aż za dobrze.

Przyjechali do domu Milli. Drzwi garażowe powędrowały w górę za naciśnięciem guzika, Diaz wjechał toyotą do środka, nim jeszcze uniosły się całkowicie. Zanim Milla zdążyła wyjść z samochodu, brama była już znów opuszczona. Kobieta znalazła klucze i otworzyła drzwi prowadzące z garażu do kuchni. Weszła do środka i zapaliła światło.

Diaz okręcił ją nagle i przyparł do lodówki, obejmując mocno w pasie obiema rękami. Zaskoczona upuściła torebkę i klucze. Spojrzała w górę i napotkała jego zaciętą twarz i przymrużone dzikie oczy

- Nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego - syknął przez zaciśnięte zęby

Nie musiała pytać, o co mu chodzi. Ten czas, gdy Pavon celował jej w głowę z pistoletu, wydawał się potworną, przerażającą wiecznością.

- Siedziałam w... - zaczęła, ale on przerwał jej zachłannym pocałunkiem. Uniósł ją nieco w górę, tak że Milla musiała wspiąć się na palce. Czowała jego erekcję na swoim wzniesieniu łonowym. Poddała się natychmiast tej dzikiej, samczej agresji, oplatając go ramionami i zatracając się w pożądaniu. Jedną ręką nerwowo rozpięła swoje dzinsy, chwyciła dłoń Diaza i wepchnęła sobie w majtki, kierując

palce mężczyzny w stronę wejścia do pochwy Wnętrze jego dłoni pocierało łechtaczkę. Milla poczuła, jak wilgotnieje gwałtownie pod tym dotykiem, jak reagują na dłoń Diaza mokre, ciepłe zakamarki jej ciała.

Wziął ją w kuchni. Gwałtownie zerwał z niej spodnie i opuścił własne, a potem odwrócił ją tyłem i oparł na kuchennym stole. Milla chwyciła się krawędzi, broniąc przed gwałtownością mocnych, zdecydowanych pchnięć, a jednocześnie odpowiadając na ruchy mężczyzny, by mieć go całego w środku. Diaz sięgnął dłonią w dół i pieścąc Millę tam, gdzie lubiła najbardziej, doprowadził ją do szybkiego orgazmu. Potem po prostu złapał mocno jej biodra i pracował szybko, zdecydowanie, aż jego własne spełnienie nadeszło, wstrząsając ciałem mężczyzny. Poczowała, jak wciąż drży, gdy jego gorący oddech owionął jej kark.

- Boże - mruknął niewyraźnie. - Kiedy zobaczyłem jego pistolet wymierzony prosto w ciebie...

- Ja też w niego mierzyłam.

- To nic nie zmienia. Gdyby pociągnął za spust, byłabyś tak samo martwa i bez mierzenia.

Ugryzł ją delikatnie w ramię, po czym wyszedł z niej wolno i odwrócił do siebie. Zanurzył dłonie w jej włosach, ujmując głowę Milli, całując tak łapczywie i namiętnie, jakby przed chwilą nic nie zaszło. Złapała go za nadgarstki, pozwalając objąć się tym żelaznym ramionom, pozwalając, by dodały jej sił. Było jeszcze tyle do

zrobienia... Jutro. Resztę nocy spędzi, po prostu leżąc u boku ukochanego.

Jutro polecą do Nowego Meksyku. Tylko część misji została wypełniona. Milla wciąż musiała odnaleźć syna.

- 24 -

Była noc. Milla leżała w rozkoszonym póżnie z głową na ramieniu Diaza, z ręką na jego brzuchu.

- Chyba muszę ci coś powiedzieć - mruknął nagle mężczyzna.

- Mhm? - leniwie spytała Milla, nie budząc się do końca.

- True jest moim przyrodnim bratem.

- Co?! - Milla usiadła na łóżku, podskakując jak wystrzelona z procy.

- Wracaj no tu - powiedział, ściągając ją z powrotem na swoje ramię.

- I żaden z was nie czuł wewnętrznej potrzeby, by pielęgnować więź rodzinną? - spytała sarkastycznie. - Albo chociaż wspomnieć o niej innym?

- On nienawidzi mnie, a ja jego. Tyle na temat więzi.

- Zatem kiedy go pytałam, dokładnie wiedział, kim jesteś i gdzie cię można znaleźć?

- Nie. On nigdy nie wie, gdzie jestem.

- Jesteście dziećmi jednej matki?

- Tak. Ona... już nie żyje. True miał chyba z pięć lat, kiedy matka zostawiła jego ojca i pojechała z moim do Meksyku. Urodziła mnie, zostawiła mojego ojca i znalazła sobie kolejnego faceta.

- Ale zabrała cię ze sobą?

- Na jakiś czas. Kiedy miałem dziesięć lat, odesłała mnie do taty, do Meksyku. Teraz nie jestem nawet pewien, czy w ogóle byli małżeństwem. Zabawne, nie pomyślałem o tym: jeżeli matka nie rozwiodła się z ojcem True jeszcze przed moim narodzeniem, to w sumie mogę formalnie nosić nazwisko Gallagher.

Jego ton nie zdradzał specjalnych emocji. Najwyraźniej ta drobna kwestia w ogóle go nie zajmowała. Milla domyśliła się, że nigdy nawet nie zadał sobie trudu zbadania kwestii nazwiska od strony prawnej.

- Czemu on cię nienawidzi? Znacie się w ogóle?

- Spotkaliśmy się - odparł krótko. - A co do nienawiści... matka porzuciła go dla mojego ojca. A potem, kiedy zostawiła tatę, zabrała mnie - swoje drugie dziecko - ze sobą. Nie wzięła True, rozstając się z jego ojcem. Zadawniona rana, jak sądzę. Poza tym jestem półkrwi Meksykaninem, a on nienawidzi Meksykanów I już.

Milla nigdy nie odniosła takiego wrażenia, ale przecież takie uprzedzenia chowa się głęboko w sobie, szczególnie mieszkając w El Paso. Gallagher był twardym i zdeterminowanym człowiekiem, pragnącym dotrzeć na szczyt, nie zamierzał podpadać ludziom, którzy mogliby pomóc w osiągnięciu celu.

- Co teraz będzie? Czy nie powinieneś powiedzieć komuś - zrobiła nieokreślony ruch ręką, wskazując na tajemniczych mocodawców Diaza - o Susannie i True?

- Już powiedziałem, zaraz po rozmowie z Enrique Guerrero. Oboje są pod obserwacją, bo mogą próbować uciekać z kraju. Jeżeli chodzi o zbieranie dowodów, zostawiam to bardziej kompetentnym. Mają techników, specjalistów, laboratoria. Ja tylko znajduję im poszukiwanych ludzi, nie angażuję się w całą śledczą robotę.

Milla czuła się dziwnie. Może za dużo naoglądała się seriali kryminalnych i teraz spodziewała się całego przedstawienia, z dramatycznym aresztowaniem i równie dramatycznym przyznaniem się do winy Gallaghera wyprowadzanego w kajdankach. Jeśli tak by się wszystko odbyło, to ona nie miałaby nawet okazji zadać mu zasadniczego pytania: dlaczego? Zresztą teraz i tak nie powinna zbliżać się do biznesmena. Spłoszyłaby go, to pewne. Nie mogłaby teraz zachowywać się swobodnie w jego obecności. A potem już nie będzie okazji.

Nie myślała o jego ewentualnym przyznaniu się do winy ani o zbieraniu dowodów. Chciała zobaczyć go przygwożdżonego tak, jak przygwoździli Pavona. Chciała, by Gallagher cierpiał tak, jak ona cierpiała. Zadumała się przez chwilę nad faktem, że nie miała żadnych wyrzutów sumienia co do Pavona. Czy była to jakaś ważna prawda o niej samej? W każdym razie sumienie jakoś nie bolało. Wręcz przeciwnie, cieszyła się, że ten śmieć nie żyje. Cieszyła się, że mogła przyłożyć do tego rękę.

- Jutro spróbuję odszukać tę kobietę w Nowym Meksyku - powiedziała Milla, zmieniając temat. Nie mogła teraz skupić się na True, poza tym jej misja nie została zakończona. - Ona jest następnym ogniwem łańcucha. Wie, które akty urodzenia zostały sfalszowane.

- Papiery adopcyjne są z zasady utajniane. W tym przypadku jest tak na sto procent. To ślepa uliczka.

- Nie - pokręciła głową Milla. - Nie pogodzę się z tym. Wciąż nie odnalazłam syna, a nie zamierzam teraz rezygnować. Dotarcie do ludzi, którzy go porwali, to tylko pierwszy etap. Najmniejszy.

Diaz milczał, łagodnie głaszcząc ją po plecach. Milla czuła jego ciepło, zapach - i czuła się pokrzepiona. Cieszyła się tą krótką chwilą spokoju wśród szalejącej burzy. Wiedziała, że już jutro czeka ją powrót do ciężkiej i smutnej pracy Skuliła się, przytulając do Diaza, czując, jak powoli ogarnia ją sen. Tym razem mężczyzna pozwolił jej zasnąć spokojnie.

Obudziła się w pustym łóżku. Usiadła i rozejrzała się wokół, zdziwiona i zaskoczona. Diaza nie było. Nie robił kawy na dole, nie brał prysznic w łazience. Milla czuła, że jest w domu sama.

Wstała i poszukała wzrokiem jakiejś zostawionej karteczki. Oczywiście nic nie znalazła. Diaz był bardzo... lakoniczny, jeżeli można tak powiedzieć. Jeżeli sam chciał coś przekazać, szło mu to całkiem nieźle. Problem polegał na tym, że najczęściej wcale nie odczuwał takiej potrzeby. Milla spróbowała zadzwonić na jego komórkę, ale denerwujący głos z automatu oznajmił, że „abonent jest

obecnie niedostępny". To oznaczało, że Diaz pewnie w ogóle nie włączył aparatu. Milla zachnęła się sfrustrowana.

Myśl o komórce Diaza przypomniała jej o własnym zepsutym telefonie. Musiała z nim coś zrobić - i to dzisiaj, przed wyjazdem do Nowego Meksyku. Zaparzyła kawę i wyciągnęła atlas, by zlokalizować miasto, w którym według Pavona mieszkała kobieta fałszująca akty urodzenia. Jak na złość miejscowość leżała właśnie tam, dokąd trudno było się dostać z El Paso. Rzuciła okiem na zegarek: za wcześnie. Biuro podróży jeszcze zamknięte. Biorąc poprawkę na nieznane jej rozkłady linii lotniczych, Milla mogła szybciej dotrzeć na miejsce samochodem. Szybciej było tu oczywiście pojęciem względnym. Zresztą nawet lecąc samolotem, musiałyby wylądować w Roswell, tam wynająć samochód i jechać na północ. Albo polecieć do Albuquerque i stamtąd pojechać na wschód.

Czekała już dziesięć lat. Jeżeli dzisiaj nie dotrze do tej kobiety, zrobi to jutro.

Tak też się stało. Kiedy otwarto już biuro podróży, Milla dowiedziała się, że nie ma żadnych bezpośrednich lotów do Albuquerque i Roswell w godzinach, które jej pasują. Jasne. Jedyne bezpośredni samolot, na który były jeszcze bilety, odlatywał późnym popołudniem. Musiałyby albo zanoć w Albuquerque i ruszyć w drogę wcześnie rano następnego dnia, albo też podróżować nocą przez nieznane pustkowia, nie wiedząc nawet, czy w jej docelowym miasteczku jest jakiś przyzwoity motel.

Mogła też zapomnieć o samolotach i pojechać autem. Był to kawał drogi, ale udałoby jej się pokonać tę odległość w ciągu jednego dnia, jeśli wyruszyłaby wystarczająco wcześnie. Milla szybko oceniła sytuację i doszła do wniosku, że zdoła dotrzeć przed nocą do Roswell. Tam zanoceje i rano wyruszy dalej. Nie było się nad czym zastanawiać.

Kiedy pakowała torby, zadzwonił Rip.

- Wszystko w porządku? - zapytał zgaszonym głosem.

- Tak, jasne - odpowiedziała zgodnie z prawdą, nie miała nawet koszmarów, w ogóle żadnych snów, które by pamiętała. - A ty jak się trzymasz?

- Jestem skonany. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co stało się zeszłej nocy. Czy są... Czy będą jakieś reperkusje?

Rip ciągle myślał, że jest współsprawcą morderstwa, Milla przyjmowała punkt widzenia Diaza. To była egzekucja, nie morderstwo. Zresztą zważywszy na profesję Diaza, która polegała mniej więcej na tym, co oglądali zeszłej nocy, może z wyłączeniem przesłuchania, Milla wątpiła, czy w ogóle będzie jakieś śledztwo.

- Nie, nie sędzę. Jesteś bezpieczny

Chciała powiedzieć mu więcej, ale pamiętała, by nie wdawać się w szczegóły przez telefon. Rip także był ostrożny, przykład Susanny nauczył go, ile może kosztować chwila niefrasobliwości w prywatnej rozmowie.

- Spędziłem noc w hotelu. Poprosiłem kolegę, żeby dziś zastąpił mnie w szpitalu. Nie mogłem... Ona prawdopodobnie będzie

próbowała znaleźć mnie w klinice, bo przecież nie byłem w domu zeszłej nocy Nie mogę z nią jeszcze rozmawiać. Może jutro.

Biedny Rip. Jego życie kompletnie się zawaliło, dwadzieścia lat małżeństwa poszło do zsypu, a cały światopogląd rozpadł się na kawałki. Ale nie poddawał się, walczył jak większość ludzi.

Milla podjęła szybką decyzję: jeżeli nikt z Poszukiwaczy nie będzie mógł z nią jechać - nie miała pojęcia, czy ktoś wrócił wczoraj wieczorem lub dzisiaj rano - poprosi Ripa. To odciągnie go od Susanny, da czas na otrząśnięcie się z szoku. Choć... Po ostatniej nocy Kasper może już nie chcieć nigdzie jechać z Millą. Nie mogłaby nawet mieć mu tego za złe.

Wolałaby kogoś z Poszukiwaczy Musi sprawdzić w biurze, zanim poprosi Ripa.

- Jak mogę się z tobą skontaktować? - zapytała.

Podał jej numer komórki, a także nazwę hotelu i numer pokoju. Miał zamiar pozostać tam dłużej, ale chciał także zajść do domu (upewniwszy się, że akurat nie ma w nim Susanny) po jakieś ubrania i przybory toaletowe.

Po rozmowie z Ripem Milla zadzwoniła do biura. Odebrała Olivia, sądząc po głosie, była półprzytomna.

- Żyję - wychrypiała w odpowiedzi na pytanie Milli. - Ale jestem cholernie słaba i nie czuję się zbyt dobrze. Rozmawiałam z Debrą, ciągle rzyga jak kot.

- Jak dzisiejsze sprawy?

- Joann ciągle szuka. Nie wygląda to obiecująco dla dzieciaka, mija już czwarty dzień. Brian powinien wrócić koło szóstej.

- Jak mu poszło?

- Źle.

Milla westchnęła, nie miała ochoty pytać o szczegóły.

- Jadę dziś po południu do Roswell, zanocuję tam. Mam nowy zamiar w sprawie Justina. Chodzi o kobietę, która najprawdopodobniej fałszowała akty urodzenia porwanych dzieci do celów adopcyjnych.

- To super! - ożywiła się wyraźnie Olivia. - Z kim jedziesz?

- Poproszę przyjaciela, skoro u nas wciąż cienko z załogą. Mam na myśli Ripa Kospera. Nie wiem jeszcze, czy się zgodzi, ale ostatnio coś im się nie układa z Susanną i może będzie chciał wyrwać się z domu.

- Och, to przykro - stropiła się Olivia. Tak jak większość Poszukiwaczy znała Ripa i jego żonę, wiedziała, że Milla i Susanna są od lat przyjaciółkami. Lekarka często dzwoniła do biura, żeby pogadać z Millą. Teraz szefowa Poszukiwaczy wiedziała już, skąd brała się ta wyjątkowa troska - i chciało się jej wyć z wściekłości.

Opowiedziała jeszcze Olivii o swojej zepsutej komórce, potem skończyła rozmowę i zadzwoniła do Ripa. Wyjaśniła mu swoje plany, pytając, czy miałby ochotę z nią pojechać.

- Muszę skontaktować się z kolegą w szpitalu - powiedział. - Oddzwonię niebawem.

No jasne, pomyślała. Nie może ot, tak sobie wyjechać na kilka dni, jest lekarzem, ma pacjentów i harmonogram zabiegów. Jasne. A jednak denerwujące, dzień, który powinien był galopować naprzód, ślimaczył się niemiłosiernie.

Zaniosła swój telefon komórkowy do naprawy i dowiedziała się, że gwarancja dawno się skończyła, a naprawa kosztować będzie prawie tyle co nowy aparat. Kupiła więc nową komórkę, dodatkowe baterie, ładowarkę do domu i do samochodu. Wszystko to zajęło jej ponad godzinę. Wiedziała, że powinna się spieszyć, ale niewiele mogła tu poradzić.

Wsiadła do swojej toyoty i od razu podłączyła tam komórkę, żeby naładować telefon i zadzwonić do Diaza. Oczywiście abonent niedostępny. Miała ochotę go udusić. Czemu nie zostawił chociaż jakiejś pieprzonej karteczki?

Zadzwonił Rip. Umówił się ze swoim zastępcą i wziął wolne na resztę tygodnia. Mógł ruszać w każdej chwili.

Kiedy wjeżdżali do Roswell, panował już gęsty mrok, a Milla była bardzo zmęczona. Cały dzień składał się z opóźnień powodowanych przez małe irytujące sprawy Diaz wciąż nie odpowiadał na telefony Rip i Milla zameldowali się w motelu, zjedli późną kolację w pobliskim barze, po czym wrócili do swoich osobnych pokoi i poszli spać.

Wczesnym rankiem wyjechali z Roswell na północ. Rip był jeszcze cichszy niż zazwyczaj, pogrążony w myślach. Nagrał się na

automatyczną sekretarkę w gabinecie Susanny: powiedział, że wyjeżdża z miasta na kilka dni. Potem wyłączył swój telefon.

Rejon, do którego właśnie wjeżdżali, był suchy, ale nie pustynny. Poranek okazał się chłodny i rześki, a potem wcale nie zrobiło się cieplej. Wyjechali poza zasięg sieci komórkowej, co nie było zaskakujące, zważywszy na otaczające ich pustkowia. Nowy Meksyk był pięknym rozległym stanem zamieszkanym przez mniej niż dwa miliony ludzi skupionych głównie wokół miast. W tym konkretnym regionie średnie zaludnienie dochodziło do jednego człowieka z kawałkiem na kilometr kwadratowy, co wcale nie oznaczało, że każdy kilometr ktoś zamieszkiwał. Minęli już wielkie połacie terenu nienawiedzane przez nikogo. Milla cieszyła się, że ostatecznie nie zdecydowała się na nocną jazdę przez to zapomniane przez Boga i ludzi pustkowie.

Miasteczko, które było ich celem, liczyło około trzech tysięcy mieszkańców. W tej właśnie miejscinie znajdowała się siedziba władz niewielkiego hrabstwa. Urząd okazał się niskim budynkiem z suszonej na słońcu cegły, tuż obok, w takim samym budynku, mieściło się biuro szeryfa. Pierwszym ruchem Milli miało być sprawdzenie, czy niejaka Ellin Daugette wciąż pracuje w urzędzie hrabstwa, w dziale spadków i nieruchomości.

Do tegoż działu prowadziły pierwsze drzwi na prawo. Przywitała ich tam uśmiechnięta otyła kobieta o włosach ufarbowanych na wściekły karmazyn.

- W czym mogę pomóc? - spytała zza biurka. Identyfikator na jej piersi zdradził, że urzędniczka nazywa się Ellin Daugette. Milla musiała przytrzymać się blatu.

- Nazywam się Milla Boone - powiedziała, przedstawiając się nazwiskiem kojarzonym z Poszukiwaczami. - A to jest Rip Koper. Możemy porozmawiać z panią na osobności?

Ellin rozejrzała się po pomieszczeniu: nikogo oprócz ich trojga nie było.

- Może tutaj? - powiedziała.

- Chodzi o porwane dzieci i sfałszowane akty urodzenia.

Przyjazny uśmiech zniknął z twarzy Ellin jak zdmuchnięty. Patrzyła na nich przez chwilę bez słowa.

- Chodźmy do pokoju sędziego 16 - odezwała się wreszcie. - Będzie na lunchu jeszcze przynajmniej przez godzinę.

Poprowadziła ich do małego zagraconego gabinetu i zamknęła drzwi. W środku były tylko trzy krzesła, wliczając to za biurkiem sędziego. Urzędniczka zajęła to właśnie miejsce i westchnęła ciężko.

- Pytacie o fałszowanie aktów urodzenia? Nie, to w ogóle niemożliwe. Wszystko jest w komputerach.

- Kiedy skomputeryzowano urząd?

- Nie wiem dokładnie.

- Dziesięć lat temu?

Ellin zmierzyła Millę uważnym spojrzeniem.

- Nie, nie tak dawno. Pięć, sześć, jakoś tak.

Urzędniczka trzymała się nieźle, najwyraźniej próbując wybadać, jak dużo wie. Milla zdecydowała się pograć bardziej zdecydowanie.

- Moje dziecko było jednym z tych porwanych.

- Przykro mi to słyszeć.

- Zajęło to wiele czasu, ale nareszcie rozpracowaliśmy cały gang przemytników i handlarzy dziećmi. Pozwoli pani, że wymienię kilka nazwisk: Arturo Pavon.

Milla intensywnie wpatrywała się w twarz Ellin, ale ta zdawała się zupełnie nic nie kojarzyć.

- Susanna Kosper. Wciąż nic.

- True Gallagher. On był szefem. Oho, coś jakby nerwowe mrugnięcie.

- Ellin Daugette.

- Niech to szlag! - urzędniczka walnęła ręką w biurko. -

Myślałam, że już po wszystkim! Myślałam, że to już dawno się skończyło!

- I myślałaś, że ujdzie ci to na sucho.

- Tyle czasu minęło... No tak, no tak... - wyglądało na to, że zrozumiała wreszcie swoją sytuację. - Jesteście z policji?

- Nie. I żadnych gliniarzy za sobą nie ciągniemy. Nie mogę ci obiecać, że kiedyś tu nie zawitają, ale ja na pewno nie dam im cynku, w zamian za informację.

- Szukasz swojego dziecka, tak?

- Tak. I to jest dla mnie najważniejsze.

- I myślisz, że ja tu trzymam spisy i obciążające mnie papiery?
Czy ja wyglądam na idiotkę?

W istocie było wręcz przeciwnie. Ellin wyglądała na ostrożną babkę, która potrafi o siebie zadbać.

- Myślę, że jednak masz te papiery - powiedziała Milla. - W końcu to zawsze jakiś atut w ręku, nieprawdaż? Coś, czym można pohandlować. Z prywatną osobą, jak ja, z prokuratorem okręgowym, a może nawet z True Gallagherem. Jeśli kiedyś przekonałabyś się, że nie możesz mu ufać, lepiej przecież mieć coś pod ręką na wszelki wypadek.

- W jednym masz rację. Absolutnie nie ufam Gallagherowi. Milla wyciągnęła się na krześle, krzyżując nogi i mierząc urzędniczkę lodowatym spojrzeniem.

- Naprawdę, mam szczerą nadzieję, że znajdę u ciebie to, czego potrzebuję. Jeżeli nie... jesteś dla mnie bezwartościowa.

- Grozisz mi wydaniem w ręce glin.

- Nie grożę. Informuję i oznajmiam. Mogę ci z równą pewnością oznajmić, że jeśli się dogadamy, zostawię cię w spokoju. Jak już mówiłam, nie wiem, czy kiedyś nie zawitają tu gliny Ludzie, z którymi się zadawałaś, są teraz zamieszani w poważniejsze sprawy. Morderstwa. I właśnie idą na dno, więc kto wie. Chociaż może śledztwo skupi się tylko na tym nowym wątku.

Milla czuła, jak Rip spina się za jej plecami, chciała poklepać go uspokajająco po ramieniu. Ale skoncentrowała się na Ellin, wkładając całą siłę woli w utrzymanie surowego wyrazu twarzy i ostrego tonu.

- Jeśli nie byliby to ci sami ludzie, którzy kiedyś przemycali przez granicę porwane dzieci, pewnie bym do ciebie nie dotarła. Ale wydam cię, bez wahania, jeżeli mi dziś nie pomożesz.

- Dobrze - odparła Ellin. Poszło tak gładko, że Milla z trudem mogła w to uwierzyć. - Niech będzie, zaufam ci. Zaraz znajdę moją listę.

- Prowadziłaś listę?

- Jak inaczej mogłabym zapamiętać, które akty urodzenia są autentyczne, a które podrobione? Nie mogłam przecież na tych lewych stawiać pieczętki „fałszywe”.

Przeszli do innego gabinetu, a Ellin zasiadła za odrapanym metalowym biurkiem.

- Widzicie, ja tu pracuję już prawie trzydzieści lat. Nie muszę się martwić, że ktoś przeszuka mi biurko, znajdzie listę i nabierze podejrzeń. To tylko lista nazwisk, bez żadnych przypisów. A jeśli zginęłabym w wypadku albo padła na zawał, to chyba już nie ma się co martwić, kto i po co znajdzie tę listę, prawda?

- Słusznie - kiwnęła głową Milla.

- No dobrze.

Ellin otworzyła szufladę w biurku, wyjęła grubą teczkę i położyła na metalowym blacie.

- Aż tyle? - Milla była zaskoczona.

- Co? A, nie. Oczywiście, że nie. Jest tam też sporo innych papierów

Zaczęła przerzucać plik kartek. Doszła do końca, mruknęła coś z niezadowoleniem i zaczęła jeszcze raz.

- Musiałam przeoczyć - chrząknęła głośno. Ale za drugim razem też nie znalazła listy Z wyraźnym niepokojem na twarzy nerwowo przeszukała teczkę jeszcze raz, oglądając uważnie każdy karteluszek.

- Nie ma. Szlag, wiem, że tu była!

Milla z jakiegoś powodu wierzyła urzędnicze. Jej niepokój i zdenerwowanie były zbyt autentyczne.

- Czy ktoś, na przykład True, mógł się tu włamać i skraść listę? - spytała.

- On nic nie wiedział o liście. Zresztą po co ktoś miałby to robić? Tuż obok jest biuro szeryfa, włamanie wcale nie byłoby proste. Poza tym mamy tu kamery, monitoring - wskazała na ciężki metalowy regał zastawiony wielkimi księgami.

- Gdzie? - Milla nie widziała żadnej kamery.

- Takie małe gówienko. Lewy górny róg. Widzisz te otwory do regulowania wysokości półek? Trzecia dziurka od góry.

No tak. Rzeczywiście w trzeciej dziurce od góry coś siedziało.

- To jest kamera?

- Chytre, nie? Jeden z urzędników podejrzewał, że jego żona ma romans z poprzednim referendarzem sądowym, że urządzają sobie schadzki właśnie w tym budynku. Wynajął specjalistyczną firmę i w jeden weekend okablował cały sąd i urząd. W sumie opłaciło się, bo ich przyłapał.

- Może obejrzymy nagranie? Chyba że gdzieś przełożyłaś listę?

- Nigdy jej nie ruszam - odparła Ellin. - Nigdy. Była tu jakiś miesiąc temu, wtedy ją widziałam, bo przeglądałam teczkę, szukając czegoś innego. Ale nie wszystko stracone, jak powiedziała by Szekspir. Już pytałam: czy ja wyglądam na idiotkę? Mam kopię w skrytce bankowej.

Milla poczuła, jak z ramion spada jej potworny ciężar. Dzięki Bogu, dzięki Bogu - myślała gorączkowo. Dotrzeć tak daleko tylko po to, by raz jeszcze uderzyć głową w ścianę, to byłoby zbyt wiele.

- Ale popatrzmy na tę taśmę - dodała Ellin. - Sama jestem ciekawa, kto tu myszkował.

No tak. I wolała wiedzieć, na czym stoi, przygotować się do obrony, na wypadek gdyby True jednak coś wiedział o liście i uznał, że w obecnej sytuacji może mu się ona przydać. Milla pomyślała, że jeśli tak jest w istocie, Ellin zrobiłaby lepiej, uprzedzając Gallaghera i używając listy we własnej obronie.

Urzędniczka poprowadziła ich schodami w dół, do zakurzonej, śmierdzącej stęchlizną piwnicy Stary Latynos siedział tam przy metalowym biurku, czytając gazetę.

- Ellin - skinął głową.

- Witaj, Jesus. Chcielibyśmy rzucić okiem na taśmy z monitoringu.

- Jasne, gra muzyka. Czy nie gra?

- Jeszcze nie wiemy Ktoś mógł buszować po moim biurze.

- Wczorajszej nocy?

- Żebym to ja wiedziała. Może i z miesiąc temu.

- Taśmy automatycznie kasują się i nagrywają od nowa po siedmiu dniach. Jeśli to się zdarzyło wcześniej, to nic nie zobaczysz.

Wyjął kasetę z systemu nagrywającego i włożył do odtwarzacza podłączonego do małego telewizorka. Wcisnął „start”, a potem przycisk przewijania na podglądzie do tyłu. Wszyscy zebrali się wokół ekranu. Milla i Rip byli oczywiście ostatnimi gośćmi w biurze. Rano zawitało jeszcze kilkoro ludzi, ustawiła się nawet mała kolejka, troje interesantów czekało na spotkanie z Ellin. Potem oglądali godziny przed otwarciem biura, gdy nic się nie działo. Widzieli, jak dzień zmienia się w noc, całe biuro oświetlone było tylko jedną lampą. A potem ciemna postać zniemacka pojawiła się w gabinecie.

- Jest!

- A niech mnie - sapnął Jesus, wyraźnie się ożywiając. - Jak ten gość dostał się do środka? Żadnych śladów włamania, wszystko na amen pozamykane, tak rano zastałem.

Cofnął nagranie aż do momentu, gdy tajemniczy człowiek wchodził do biura. Potem zatrzymał i od tego miejsca puścił taśmę normalnie.

Serce Milli zatrzymało się na długą chwilę.

- Sukinsyn! - powiedział Rip za jej plecami.

Patrzyli, jak odziany na czarno człowiek wchodzi do gabinetu i się rozgląda. Podchodzi do biurka Ellin, dostrzega jej nazwisko na stojącej na blacie plakietce i siada w fotelu. Otwiera szuflady, wyciąga teczkę po teczce i przegląda je tak flegmatycznie, jakby miał bardzo dużo czasu. Jakby w ogóle się nie denerwował. Wreszcie znajduje

właściwą teczkę i uważnie przegląda jej zawartość, kartka po kartce. Dochodzi do jakiejś interesującej strony i czyta ją uważnie, wyciąga z teczki i odkłada na bok. Potem kontynuuje przeszukiwanie biurka, ale niczego więcej nie wyciąga. Bada nawet dolną powierzchnię każdej z szuflad.

- Czego on szuka? - zapytał zdziwiony Jesus. Nikt mu nie odpowiedział.

Mężczyzna w czerni niespiesznie przeszukuje resztę gabinetu. Wreszcie, najwyraźniej zadowolony z siebie, wraca do biurka i podnosi wyszukaną pojedynczą kartkę. Znosi ją do stojącej nieopodal maszyny i wsuwa do środka.

- To niszcarka! - powiedziała Ellin.

Widzą, jak nieznajomy niesie niszcarkę w okolice kosza na śmieci, wyciąga z niej pojemnik z resztkami dokumentów i skrupulatnie przesypuje zawartość do wyjętego z kieszeni plastikowego worka. Odstawia niszcarkę na miejsce, robi porządek na biurku Ellin i wychodzi równie cicho, jak wszedł.

Tępy ból eksplodował w piersiach Milli, potem była bezsilna wściekłość. Kobieta musiała zacisnąć zęby, żeby nie zawyc głośno.

Mężczyzną w czerni był Diaz.

*

**

Nic dziwnego, że miał wyłączoną komórkę. Nic dziwnego, że wymknął się w środku nocy. Nie wziął listy dla Milli ani po to, żeby samemu poszukać Justina, przecież ją zniszczył. Z jakiegoś powodu,

który zrodził się w jego pokręconym mózgu, Diaz nie chciał, by Milla odnalazła syna.

Jesus chciał zawiadomić szeryfa, ale Ellin odwiodła go od tego pomysłu. Powiedziała, że to tylko mało ważny osobisty papier i że nie ma sensu wszczynać awantury. Milla wzięła się w garść i odwiesiła emocje na kołek. Miała jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

Miejskowy bank był nieczynny od trzynastej do czternastej, bo i tak wszyscy jedli wtedy lunch. Również o drugiej Ellin, Milla i Rip stawili się w banku, by dostać się do skrytki.

No i była: pojedyncza kartka papieru z trzema wierszami nazwisk rozdzielonych pojedynczą spacją. Wrócili do samochodu i przyjrzeni się spisowi. Przy każdym nazwisku widniała liczba.

- To sygnatura aktu urodzenia? - spytała Milla.

- Nie, to data. W ten sposób wiem dokładnie, gdzie szukać.

Tylko że te daty napisałam wspak. Widzisz? 13 grudnia 1992 roku to u mnie 29912131. Proste.

Milla podała jej datę porwania Justina, powiedziała też, że według jej informacji przewieziono go do Stanów natychmiast.

- Hm - mruknęła Ellin, wodząc palcem po liście. - To nam zawęża pole. Było tylko jedno białe dziecko w następnym tygodniu. Rozumiesz, to wszystko działo się szybko. Adopcje załatwiano prawie od ręki. W każdym razie mamy tu oprócz niego dwa męskie hiszpańskie nazwiska i trzy żeńskie... No, to musi być twój chłopak. Nazwałam go Michael Grady. Michael, bo to najpopularniejsze imię

męskie. Pod tym imieniem i nazwiskiem został adoptowany, choć oczywiście możliwe, że nowi rodzice to potem zmienili.

Wrócili do podziemi urzędu, gdzie Ellin przejrzała archiwa mikrofilmów i znalazła akt urodzenia Michaela Gradyego.

- Proszę. Wpisałam, że ojciec nieznany i wymyśliłam dane matki.

- Co z numerem ubezpieczenia matki? - spytał Rip, patrząc na ekran wyświetlający mikrofilm dokumentu.

- Myślisz, że ktoś to sprawdzał? Przy prywatnej adopcji, dziesięć lat temu? Dzisiaj można weryfikować takie rzeczy, ale nawet teraz, jeżeli jest potwierdzona notarialnie zgoda matki na adopcję, nikt nie sprawdza numeru ubezpieczenia. Po co? Nowi rodzice i tak wyrabiają dziecku jego numer.

- Wiesz może, dokąd szły te dzieci? - spytała Milla, rozpaczliwie wierząc wbrew rozsądkowi. - Jaki prawnik zajmował się adopcjami? Cokolwiek...?

Bez tych informacji będzie znów w punkcie wyjścia.

- Taaa - uśmiechnęła się Ellin. - Sama lista to trochę za mało, co? Przydałoby się trochę informacji ekstra? Prawnika, który zajmował się wszystkim, mieszka w tym mieście. Wiedział, że adopcji jest dziwnie dużo, ale płacili mu nieźle, więc nie zadawał niepotrzebnych pytań. Mówiono mu, że to dzieci z biednych latynoskich rodzin, które chcą uchronić od nędzy ich ubodzy rodzice. Poza tym sami wiecie, jak Latynosi reagują na nieślubne dzieci swoich córek: wstyd i gadanie na całą wieś. W takim układzie każda panna chętnie i szybko pozbywa

się przypadkowego dzieciaka. No, przynajmniej to właśnie mówiliśmy Hardenowi. Chodźmy do niego, powinien coś mieć. Przynajmniej nazwisko adwokata drugiej strony

Dwie godziny później wracali już do Roswell. Prowadził Rip, bo Milla, roztrzęsiona i zapłakana, nie była w stanie utrzymać kierownicy. Trzymała w ręku kopię aktu urodzenia Justina, razem z kopiami wszystkich papierów Hardena Simsa dotyczących tej konkretnej adopcji. Adwokat rodziców miał kancelarię w Charlotte, w Karolinie Północnej.

Wszyscy jej powtarzali, że dokumenty adopcyjne są tajne i że będzie potrzebowała wyroku sądowego, aby je obejrzeć. Ale ona wierzyła, że wydobędzie wszystkie informacje od tamtego prawnika z Karoliny Północnej. Nawet gdyby miała go pozwać i uzyskać ten nieszczęsny wyrok. Wygrałaby w sądzie, jej sprawa była zbyt znana, miała za sobą całą opinię publiczną.

Przyszłość nie była już wielką niewiadomą. Udało się! Wiedziała, że przed nią jeszcze dużo chodzenia i załatwiania, ale wiedziała też, że na końcu drogi czeka jej syn.

*

**

Dojechawszy do Roswell, postanowili że nie będą się zatrzymywać. Do domu był kawał drogi, wiedzieli, że nie wrócą przed nocą, ale i tak oboje chcieli wracać jak najszybciej.

- Co zamierzasz? - spytał Rip poważnie. Mówił o Diazie.

- Jeszcze nie wiem.

Nie mogła myśleć o tym zbyt intensywnie, aby się nie załamać. Zdrada Diaza bolała jeszcze bardziej niż oszustwa Susanny. Ufała temu facetowi bardziej niż komukolwiek na świecie. Oddała mu swoją duszę, ciało, całe swe życie. Czemu miałby jej zrobić coś takiego, wiedząc, ile czasu i energii poświęciła na szukanie Justina? Równie dobrze mógł pchnąć ją nożem w plecy. Rozpamiętywała każdą wspólnie spędzoną chwilę, szukając jakiegoś wytłumaczenia, wskazówki. Nie znalazła. Albo Diaz zwariował tamtej ostatniej nocy, albo od samego początku miał swoje plany

Przekraczając roгатki El Paso, czuli już wielkie zmęczenie. Minęła północ, a oni byli na nogach od wczesnego ranka, co najmniej osiemnaście godzin. Od Carlsbadu prowadziła już Milla. W El Paso wysadziła Ripa przed hotelem i pojechała do domu. Powoli i ostrożnie, wiedziała, jak bardzo jest skonana.

Otworzywszy drzwi garażowe i wjechałszy toyotą do środka, Milla prawie przeoczyła półciężarówkę już zaparkowaną w swoim podwójnym garażu. Wysiadła powoli, patrząc na drugi samochód: drań naprawdę miał tupet. Po tym, co zrobił... Nie chciała się teraz z nim kłócić, była zbyt wyczerpana. Ale chciała, by wyniósł się z jej domu i z jej życia.

Weszła z garażu do kuchni, rzuciła torebkę i papiery na stół. Świeciło się w dużym pokoju. Diaz stanął w drzwiach, patrząc na Millę bez słowa.

Nie spojrzała na niego. Nie mogła. Czuła, jak trzęsie się cała, musiała oprzeć się o stół.

- Susanna wpadła - powiedział wreszcie mężczyzna. -
Aresztowali ją. True też. Ledwie kilka godzin temu.

- To dobrze - odparła krótko. Żadnych wyjaśnień: gdzie był, co robił, czemu wymknął się w środku nocy, co zajmowało go przez ostatnie dwa dni.

Spojrzała na niego z zimną furią i nienawiścią w oczach.

- Wynoś się.

Na jego twarzy odbiło się zaskoczenie, ale po chwili widziała już tylko profesjonalną maskę, tak martwą i wypraną z emocji jak nigdy. Wyprostował się.

- Nie sprawdziłeś dokładnie - powiedziała - a tam była kamera ochrony. Nagrali cię, przyłapali na gorącym uczynku.

Milczał, patrząc na nią, pozwalając czasowi płynąć.

- To było najlepsze rozwiązanie - powiedział wreszcie łagodnym tonem. - Już czas zapomnieć. Minęło dziesięć lat. To już nie jest twój syn, Millo. To syn innych ludzi. Zniszczysz mu życie, pojawiając się teraz.

- Nie odzywaj się do mnie! - krzyknęła. Nic nie rozumiał, nie miał pojęcia, co ona czuje. - Nie... miałeś... prawa! To moje dziecko, ty draniu!

Wrzeszcząc na niego, bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści.

- Już nie - powiedział Diaz. Stał tam niczym sędzia ludzkich losów, twardy i niewzruszony. Niewrażliwy na uczucia. Miała ochotę go zabić.

Łzy popłynęły jej po twarzy, łzy wściekłości i bólu, łzy wysiłku, który włożyła w to, by nie rzucić się z pięściami na Diaza.

- Nie udało ci się - roztarła sobie łzy po policzkach. - Kobieta miała kopie dokumentów. Mam wszystkie potrzebne dane, zamierzam odnaleźć syna i wiem, że mi się to uda. A ty... wynoś się z mojego domu. Nie chcę cię więcej widzieć.

Diaz pozostał Diazem. Nie spierał się. Nawet nie wzruszył ramionami, bezgłośnie mówiąc „jeżeli tego właśnie chcesz”. Po prostu wyszedł. Słyszała, jak otwierają się drzwi garażu, jak startuje silnik półciężarówki. Odjechał. Tak po prostu.

Milla usiadła przy stole, złożyła głowę na rękach i zapłakała gorzko.

Był bardzo podobny do Davida.

Milla patrzyła przez lornetkę, jak chłopiec szaleje na szkolnym dziedzińcu, dając upust rozsadzającej go, typowej dla jego wieku energii. Był w otoczeniu kilku kumpli: bez przerwy popychali się nawzajem, śmiali głośno ze swoich dowcipów i w ogólnie pozwali na luzaków. Może dla innych dziesięciolatków istotnie byli prawdziwymi luzakami.

Czuła, że serce podchodzi jej do gardła, miała płytki oddech, oczy pełne łez i mrugała bez przerwy, by nie stracić ani jednej sekundy tego cudownego przedstawienia. Podniosła drogi aparat fotograficzny z siedzenia obok, ustawiła ostrość na chłopca i szybko zrobiła kilka zdjęć.

Zaparkowała wystarczająco daleko od prywatnej szkoły, aby upewnić się, że nikt jej nie zauważy. Nie chciała niepokoić nikogo, szczególnie Justina. Ale musiała go zobaczyć, musiała patrzeć, jeszcze choćby przez chwilę, nakarmić swoje zgłodniałe serce gorącymi uczuciami i obrazami. Tego ranka zaparkowała na ulicy nieopodal domu Winbornów i patrzyła, co Justin ma na sobie, wychodząc z domu, jak zbiega z ganku i wsiada do szkolnego autobusu. Rhonda Winborn stała w drzwiach aż do chwili, gdy chłopiec znalazł się bezpiecznie w autobusie i pomachał jej na pożegnanie. Miał na sobie spodnie koloru khaki i niebieską koszulę będącą zarazem szkolnym mundurkiem. Na to narzucił czerwoną wiatrówkę. Kurtka, która miała

chronić przed chłodnymi powiewami wiatru, pomogła Milli odnaleźć Justina wśród tłumu innych dzieci.

Chlipała głośno, patrząc, jak chłopiec wsiada do autobusu, jak macha radośnie do innej kobiety. Wszystko w nim było takie... znajome, od koloru włosów, przez kształt głowy, aż po sposób chodzenia. Miał ciągle jeszcze twarz dziecka, ale jego rysy już powoli zaczynały się wyodrębiać, zapowiadając nadchodzące dojrzewanie. Blondyn o niebieskich oczach z ujmującym uśmiechem - wykapany David.

Milla była tak roztrzęsiona, tak nabuzowana emocjami, że miała ochotę wyskoczyć z wynajętego samochodu, odrzucić głowę do tyłu i zawyc najstraszniejszym głosem, jaki słyszało to miasto. Chciała podbiec do ogrodzenia i wołać głośno syna po imieniu, choć oczywiście wszyscy pomyśleliby, że zwariowała, a szkoła natychmiast wezwałaby policję. Chciało jej się tańczyć, śmiać, płakać. Targało nią tyle sprzecznych emocji, że sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Chciała zatrzymywać przechodniów, pokazywać im chłopca i mówić z dumą „to mój syn”!

Nie. Nie mogłaby nigdy tego zrobić, na pewno nie publicznie. I nie zrobi tego teraz. Najważniejszą sprawą na świecie było dla niej chronienie syna. Nie schrzani wszystkiego, strasząc go teraz, ujawniając mu prawdę w sposób najgorszy z możliwych.

Poprzedni tydzień był jedną wielką huśtawką emocji. Wszystko działo się tak szybko, że Milla ledwie dawała sobie radę. Kiedy już

zdobyła informację, którą starał się zniszczyć Diaz, dotarcie po nitce do kłębka stało się kwestią czasu. Krótkiego czasu.

Rhonda i Lee Winbornowie mieli blond włosy i chcieli adoptować jasnowłose dziecko, najlepiej chłopca. Bardzo tego pragnęli. Rhonda poroniła trzykrotnie, a czwarte dziecko zmarło zaledwie kilka godzin po porodzie. Nie byli ludźmi zamożnymi, nie mogli kupić sobie dziecka ot tak, jak kupuje się nowy samochód. Wydali wszystkie swoje oszczędności, zapożyczyli się i wyblągali pieniądze od rodziców z obojga stron, tylko w ten sposób udało im się zebrać sumę, której żądał True. Na szczęście potem Lee wiodło się całkiem nieźle w interesach. Przed czterema laty przeprowadzili się do Charlotte i osiedlili w dobrej okolicy, wśród ludzi z wyższej klasy średniej. Stać ich było na posłanie Justina do prywatnej szkoły. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi Winbornowie byli dobrymi, porządnymi ludźmi, którzy bardzo kochali syna i robili, co mogli, aby wychować go na uczciwego człowieka.

Nie mogli wiedzieć, że dziecko zostało porwane, odebrane Milli. Powiedziano im, że matka nie była w stanie utrzymać synka, a potrzebowała tak wielkich pieniędzy, by zatroszczyć się o swoje pozostałe pociechy, z których jedną czekała kosztowna operacja oka. Było to wszystko aż nazbyt ckliwe i wzruszające, ale rodzice nie mieli powodu, by wątpić w prawdziwość historii. Prawnik, który z ich strony załatwiał wszystkie formalności adopcyjne, nie miał o niczym pojęcia, więc nie istniała obawa, że Winbornowie poznają prawdę. Zresztą liczyło się dla nich tylko to, że wreszcie mają syna.

Ale to nie był ich syn, tylko jej. Serce matki nie pozwalało zapomnieć o tym nawet przez sekundę. Jej.

Jeżeli odziedziczył coś po niej, to chyba tylko nos i zarys szczęki. Cała reszta przypominała Davida.

Ciepła radość ogarnęła Millę, przynosząc spokój i ukojenie. Jej syn żyje, ma się dobrze, jest kochany

Winbornowie nazwali go Zachary Tanner, po obu dziadkach. Mówili na niego Zack. Dla Milli pozostał Justinem; to imię powtarzała przez lata w gorączkowych modlitwach, to imię będzie nosić na zawsze w sercu i w pamięci.

Musiała powiedzieć Davidowi. Przedtem nie chciała robić zamieszania, wolała zobaczyć na własne oczy i upewnić się, że to naprawdę Justin. Mogła się przecież mylić, dotrzeć do innego dziecka. Nawet po zobaczeniu wszystkich papierów, nawet mimo silnego wewnętrznego przekonania musiała zobaczyć, by ostatecznie uwierzyć. By pozwolić sobie na uwierzenie.

To był Justin. I wyglądał zupełnie jak David.

Milla upuściła lornetkę i ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch przerywany krótkim nerwowym śmiechem. W końcu sama już nie wiedziała, czy płacze, czy się śmieje. Siedziała tam aż do końca długiej przerwy, gdy nauczyciele zapędzili rozbawione dzieciaki z powrotem do budynku z żółtej cegły. Patrzyła, jak chłopiec wbiega do środka, jak listopadowe słońce błyszczy w jego złotych włosach. Wskoczył z impetem na ostatni schodek i śmiejąc się, zniknął za podwójnymi drzwiami.

Kiedy już mogła, kiedy drzenie ustało na tyle, by pozwolić Milli na trzymanie telefonu w ręku, kiedy z gardła zniknęła wielka kula, a łzy przestały wreszcie płynąć, zadzwoniła do gabinetu Davida i umówiła się na wizytę następnego dnia. Jeśli byłaby zwykłą pacjentką, musiałaby czekać o wiele dłużej, ale David zawsze powtarzał, że Milla może przyjść każdego dnia, o każdej porze. Najwyraźniej przekazał te instrukcje personelowi, bo gdy tylko podała swoje nazwisko, pielęgniarka zapisała ją na dwunastą. Może przeszkodzi w ten sposób w lunchu, ale nie sądziła, by David miał coś przeciwko temu.

Nie mogła przekazać mu tej wiadomości przez telefon. Chciała widzieć jego twarz, dzielić z nim emocje, tak jak dzielili się radością z urodzenia Justina. Mogła zadzwonić do domu Davida zamiast do gabinetu, ale wolała nie angażować Jenny ani dwojga ich dzieci. Chciała być z nim sam na sam, ten jeden, może ostatni raz.

Miała w teczce wszystkie papiery Przygotowała je już wcześniej, zanim jeszcze tu przyjechała. Chciała mieć wszystko pod ręką.

Wzięła głęboki oddech, a potem ruszyła w stronę portu lotniczego Charlotte. Oddała wynajęty samochód i złapała najbliższy lot do Chicago.

**

Gabinet Davida mieścił się w budynku przylegającym do szpitala, w którym pracował chirurg. Wystrój był gustowny i ostentacyjnie kosztowny Zespół chirurgów, do którego należał David, składał się z samych tuzów, a on był jedną z najjaśniejszych gwiazd

grupy Był młody, przystojny i błyskotliwy. W wieku trzydziestu ośmiu lat miał jeszcze kawał wspaniałej kariery przed sobą.

Poczekalnia była pusta. Najwyraźniej David kazał pielęgniarce odwołać wszystkie umówione wizyty, dowiedziawszy się, że przyjeżdża jego była żona. Milla zamknęła za sobą drzwi wejściowe i ruszyła po ciemnoszarej wykładzinie ku recepcji gabinetu. Siedzące tam pielęgniarki - blondynka w średnim wieku i dziarska brunetka - obserwowały Millę z ciekawością. Jednak zanim doszła do ich stanowiska, otworzyły się drzwi po lewej i stanął w nich David. Wysoki, postawny, wyglądał jeszcze korzystniej niż dziesięć lat wcześniej. Wiek dodawał wielu mężczyznom uroku, a David z całą pewnością do nich należał. Jego twarz była teraz twardsza, bardziej zdecydowana, tylko w kącikach oczu widać było kilka zmarszczek, a ramiona zdawały się cięższe niż kiedyś.

- Millo - powiedział z uśmiechem, wyciągając do niej rękę. Uśmiechał się tak pięknie jak jego syn, którego Milla oglądała nie dawniej niż wczoraj. Ten uśmiech potrafił rozjaśnić każdą twarz.

- Wyglądasz wspaniale - z jego niebieskich oczu promieniowało ciepło. - Proszę, wejdź do środka.

Przytrzymał jej drzwi i wpuścił do wewnętrznego korytarza, z którego wchodziło się do gabinetów zabiegowych. Trzy kobiety różniące się wiekiem i rasą, pozornie bardzo zajęte swoimi sprawami, jak na komendę uniosły głowy, gdy Milla przechodziła obok. Dwie pielęgniarki z recepcji także odprowadzały ją wzrokiem.

- Nie rozglądaj się teraz - mruknęła cicho do Davida, prawie nie otwierając ust. - Ale twój harem jest nadzwyczaj ciekawski.

- Jenna też je tak nazywa - roześmiał się, wpuszczając Millę do swojego prywatnego biura. - Ja mówię, że to moja straż przyboczna. Czuję się pewniej, mając je przy sobie.

- Odpędzają od ciebie wszystkie dzikie baby, co?

- Ba! Nie pozwalają mi nawet ich operować - uśmiechnął się szeroko. - Odsyłają te dzikie moim kolegom, a dla mnie zostawiają same wraki i stare próchna.

Milla ucieszyła się, widząc go mniej więcej takim, jakim był kiedyś. Mogła zrozumieć, że personel tak go ochraniał, David był dobrym człowiekiem. Była pewna, że pozostał stuprocentowo wierny żonie, w grę nie wchodził żaden flirt z pacjentką czy pielęgniarką. Całe serce i duszę poświęcał pracy i rodzinie. Zasłużył na wszystkie wspaniałe rzeczy, które spotkały go w życiu.

Na biurku Davida stało kilka fotografii. Milla domyślała się, kogo na nich zobaczy, ale mimo to obeszła biurko, żeby popatrzeć. Jedno zdjęcie przedstawiało ładną rudowłosą kobietę o zabójczym uśmiechu. Musiała to być Jenna. Na kolejnej fotce obejmowali się z Davidem, wygłupiając się do aparatu. Następne zdjęcie przedstawiało pulchną dzidzię o gładkich błyszczących włoskach trzymającą za czuprynę małą lalkę. Dziewczynka sama wyglądała ślicznie jak laleczka w długiej koronkowej sukience. Na innym zdjęciu promieniejąca Jenna trzymała na ręku małego dzieciaczka. Milla przyjęła, że to ich najnowszy nabytek.

- Są wspaniali - powiedziała szczerze i uśmiechnęła się mimo woli. - Jak mają na imię?

- Mała księżniczka nazywa się Cameron Rose, czyli Cammy. A maluch to William Gage. Będziemy mówić na niego Liam, ale na razie jest jeszcze za malutki. Cammy z jakiegoś powodu nazywa go Kropa.

Milla parsknęła śmiechem, a potem, wciąż uśmiechnięta, uznała, że nie ma sensu przeciągać sprawy

- Znalazłam go - powiedziała. - Znalazłam Justina.

Pod Davidem ugięły się nogi. Twardo usiadł na jednym z krzeseł dla pacjentów Patrzył na nią szeroko otwartymi szklistymi oczami, wreszcie po bladej jak ściana twarzy popłynęły łzy Mężczyzna nie kontrolował drżenia ust, nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Jesteś pewna? - zapytał wreszcie słabym głosem.

Milla przygryzła wargę, starając się powstrzymać własne łzy Kiwnęła głową.

- Rozbiliśmy gang przemytników dzieci. Kobieta, która fałszowała akty urodzenia, prowadziła własną kartotekę, dla ochrony czy może dla ewentualnego szantażu.

- Czy z nim... - David przełknął głośno ślinę; głos, którym zadawał nieśmiertelne pytanie rodziców, był wciąż drżący. - Czy z nim wszystko w porządku?

Milla ponownie skinęła głową. Mężczyzna podszedł do niej i nagle wtulili się w siebie, płacząc, obejmując z całych sił. Milla próbowała uspokoić Davida, głaszcząc go po głowie, klepiąc po

ramieniu, mówiąc „wszystko dobrze, żyje, jest bezpieczny”. Ale ona też łkała, więc może niczego nie rozumiał. A potem David zrobił to, co wcześniej jego była żona: wybuchnął niekontrolowanym śmiechem. Śmiech przechodził w szloch, i odwrotnie. Lekarz okręcił Millę wokół, puścił, żeby wytrzeć twarz, potem znów objął mocno.

- Nie mogę uwierzyć - powtarzał. - Boże, wszystkie te lata...

Wreszcie Milli udało się od niego oderwać.

- Mam zdjęcia - powiedziała, nerwowo grzebiąc w teczce, spiesząc się, by jak najszybciej pokazać fotografie. - Wczoraj zrobiłam.

Wyciągnęła odbitki i podała Davidowi. Spojrzał na pierwszą i zamarł. Jego twarz, w chwili gdy patrzył na syna, przypominała człowieka skrajnie wygłodzonego. Drżącymi dłońmi przerzucał fotografie, oglądając każdą bardzo dokładnie. Gdy skończył, zaczął jeszcze raz. Jego twarz promieniała szczerym zachwytem, który zagościł na niej nagle niczym w pochmurny dzień.

- Jest do mnie podobny! - oznajmił triumfalnie. Wybuchła śmiechem, widząc ten pokaz bezwstydnego męskiej dumy.

- Wariacie, przecież zawsze był, od samego urodzenia! Nie pamiętasz, co Susanna... - Milla urwała nagle, przypominając sobie, czego David jeszcze nie wie o Susannie.

- Tak - rzucił David nieobecny tonem, wciąż patrzył na zdjęcia. - Mówiła, że to mój klon.

- Ona była w to zamieszana - powiedziała Milla.

- Co? - David spojrzał na nią zszokowany

- To ona powiedziała przemytnikom o Justinie i o tym, że często chodzę na targ. Czekali na mnie. Mieli zamówienie na jasnowłosego chłopczyka.

- Ale... dlaczego? - w głosie mężczyzny zabrzmiało bezbrzeżne zdziwienie. Jak kobieta, którą uważał za przyjaciółkę, mogła zrobić coś takiego?

- Dla pieniędzy. - Chodziło tylko o pieniądze.

- Podstępna kurwa! - prawa dłoń Davida zacisnęła się w pięść. - Wyznaczyliśmy nagrodę! Oddałbym jej wszystko, co miałem, żeby tylko odzyskać syna!

- Nasza nagroda to nic w porównaniu z sumą, którą musieli zapłacić nowi rodzice. Ci, którzy go adoptowali.

- Nasz syn sprzedany?! Kto kupuje dziecko wiedząc, że...

- Oni nie wiedzieli - wtrąciła szybko Milla. - Nie wiń ich. Nie mieli bladego pojęcia.

- Skąd wiesz?

- Bo nawet prawnik, który załatwiał całą sprawę, niczego nie wiedział. To była profesjonalna operacja, ze sfałszowanymi aktami urodzenia i zupełnie legalną zgodą na adopcję udzieloną przez nieistniejącą matkę. Ludzie, którzy adoptowali dzieci, byli przekonani, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

- Gdzie on jest? - spytał David. - Kto go adoptował?

- Nazywają się Lee i Rhonda Winbornowie. Mieszkają w Charlotte, w Karolinie Północnej. Sprawdziłam ich, to dobrzy ludzie. Porządni, uczciwi. Dali mu na imię Zachary.

- On nazywa się Justin - powiedział David twardo. Wciąż ściskając w rękach zdjęcia, usiadł przy biurku i obejrzał je ponownie, przyglądając się każdemu detalowi twarzy syna.

- Nie wierzyłem, że kiedykolwiek go odnajdziesz - powiedział cicho, jakby do siebie. - Myślałem, że marnujesz sobie życie dla beznadziejnej sprawy

- Nie mogłam tego rzucić - słowa były proste, ale do bólu prawdziwe.

- Wiem - spojrzał w jej twarz tak uważnie, jak przed chwilą oglądał zdjęcia. - W ogóle cię nie znałem. Ja... byłem załamany, ale głęboko wewnątrz wcale się nie zmieniłem. Natomiast ty przedzierzgnęłaś się w... - zamilkł, szukając właściwego słowa - w amazonkę. Nie mogłem dotrzymać ci kroku, nie było nawet po co próbować. Byłaś tak twarda, tak odważna i zdeterminowana, że ja od razu stałem na przegranej pozycji.

- Nie chciałam - odparła wzdychając. - Ale po prostu nie byłam w stanie zająć się czymś innym. Widzieć, słyszeć coś innego. Wiedziałam, że on gdzieś tam jest, a ja muszę go znaleźć.

- Chciałbym wtedy mieć taką pewność. Zazdrościłem ci tego. Determinacji, przekonania, że Justin żyje. Ja... nie wierzyłem. Ja w duchu pogrzebałem go już dawno temu. Myślałem, że to już koniec. A teraz, kiedy wiem, że jest cały i zdrowy, czuję się takim dupkiem. Poddałem się.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Nie trzeba - Milla objęła go ramieniem. - Tego właśnie najbardziej się bałam: że Justin nie żyje. Dlatego szukałam jak szalona, bo musiałam wiedzieć to na pewno. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś...

- Nie! Też mogłem go szukać! Mogłem być z tobą, pomagać ci!

- Nie bądź niemądry. Pewnie, że nie mogłeś. Davidzie, ilu ludzi prawdopodobnie by umarło, gdybyś zarzucił swój zawód?

Zastanowił się przez chwilę.

- Może ani jeden. W mieście jest kilku dobrych chirurgów -i wtedy włączyła się jego lekarska duma. - No, może dwudziestu. Trzydziestu.

- No widzisz, Doogie - uśmiechnęła się Milla. - Zrobiłeś to, co do ciebie należało. A ja zrobiłam, co należało do mnie. Nie ma co gdybać, wybraliśmy dobrze. Zatem weź się już w garść i pomyślmy lepiej o przyszłości.

Pięć minut później, kiedy już wyjaśniła mu, co zamierza, zszokowany David znów był blady jak ściana.

Rozmowa z Davidem była bardzo trudna, ale konieczna.

Wychodząc z jego biura, Milla wiedziała, że prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczy. Pożegnała się więc, pocałowała w policzek i życzyła udanego życia.

- Możesz już nie przysyłać mi pieniędzy - powiedziała, uśmiechając się przez łzy - To był twój wkład w poszukiwania, powód, by nie zarzucać praktyki chirurgicznej. Nie udałoby mi się bez twojego finansowego wsparcia. Dzięki tobie wiedziałam, że nie muszę martwić się o pieniądze i że mam za co dalej szukać Justina.

- Ale co teraz poczniesz? - zapytał stropiony.

- Będę robić to co dotychczas, jak sądzę. Szukać zaginionych dzieci. Tylko teraz muszę z tego mieć jeszcze jakąś pensję.

Prawda była inna - Milla nie miała pojęcia, co teraz pocnie. Dotychczas całe jej życie kręciło się wokół jednego celu: odnalezienia Justina. Teraz, kiedy wreszcie jej się udało, czuła się jak na końcu bardzo długiej, ale ślepej ulicy zamkniętej wysokim murem. Była wyczerpana pod każdym względem: fizycznym, psychicznym, emocjonalnym. Pomyślała o powrocie do El Paso i nie poczuła nic. Tylko pustkę. Tak wiele tam się zdarzyło. Może zbyt wiele. Kiedy pozałatwia już wszystkie sprawy w Karolinie Północnej, to może pośpi sobie z kilka dni. A kiedy się obudzi, świat będzie wyglądał inaczej. Wtedy pomyśli o przyszłości. Była dobra w odnajdywaniu

zaginionych ludzi. Jak mogła teraz przestać tylko dlatego, że znalazła wreszcie swojego zaginionego?

David zatrzymał ją w drzwiach, obrócił do siebie i mocno przytulił. Tak jakby on też zrozumiał, że właśnie pękło ostatnie łączące ich ogniwo.

- Teraz ty też możesz żyć dalej normalnie - powiedział.

Normalnie? A cóż to znaczy, chciała zapytać. Może kiedyś będzie wiedziała. Teraz mogła skupić się jedynie na najbliższej przyszłości.

Zarezerwowała sobie bilet na powrotny samolot do Charlotte tego samego popołudnia. Lądując na miejscu, pragnęła już tylko pójść do hotelu, wpełznąć do łóżka i nie ruszać się z niego przez kolejne dwanaście godzin. Zamiast tego z pokoju hotelowego zadzwoniła do recepcji i rozpakowała się, czekając, aż przyniosą jej kanapki. Miała nawet czas wyprasować ubrania na następny dzień.

Po jedzeniu wystawiła ruchomy stolik z naczyniami na zewnątrz i zaczęła chodzić po pokoju, zbierając myśli. Wreszcie z komórką w ręce usiadła nad książką telefoniczną i odszukała numer Winbornów.

Po czwartym dzwonku odebrała kobieta. Miała przyjemny głos, a akcent wyraźnie trącił Karoliną Północną.

- Halo?

- Pani Winborn?

- Przy telefonie.

- Nazywam się Milla Edge. Jestem założycielką organizacji znanej jako Poszukiwacze, która pomaga w odnalezieniu zaginionych i porwanych dzieci.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała uprzejmie Rhonda. - To zbożny cel, chętnie wspomozemy...

- Nie - przerwała jej szybko Milla - to nie jest żaden telemarketing. Chodzi o pani adoptowanego syna.

Cisza. Milla nie słyszała nawet oddechu Rhondy.

- To znaczy? - odezwała się wreszcie pani Winborn. - Co to ma wspólnego... Jest adoptowany - syknęła z irytacją. - Specjalnie wynajęliśmy prawnika, aby upewnić się, że wszystko pójdzie zgodnie z prawem. Jak pani śmie...

- Nie, nie. To skomplikowana kwestia - pospieszyła Milla z wyjaśnieniami. - Jest jeszcze kilka formalności, które trzeba załatwić. Mogę jakoś umówić się z panią i z pani mężem? Może jutro? Obiecuję, że nie zabiorę państwu wiele czasu.

- Jakich formalności?

- Prawnych - powiedziała Milla, nie chcąc wdawać się w szczegóły przez telefon. Nie chciała wystraszyć Winbornów tak, by zabrali Justina i wyjechali ciemną nocą w nieznanym kierunku. Ona sama tak właśnie by zrobiła: lepiej uciec, niż ryzykować utratę syna.

- Chodzi tylko o kilka podpisów - kontynuowała. - Nie o samą adopcję.

- A więc... co mają z tym wspólnego Poszukiwacze?

- To też skomplikowana sprawa. Wyjaśnię państwu wszystko jutro. Która godzina będzie najodpowiedniejsza?

- Chwileczkę - głos Rhondy brzmiał słabo. Po chwili rozległ się stuk odkładanej na blat słuchawki. Milla zamknęła oczy i wyobraziła sobie Rhondę szepczącą coś do Lee w jakimś pomieszczeniu, gdzie Justin-Zack nie mógł ich słyszeć. Mężowi udzieli się panika żony, zaniepokoi się tym, że coś może zagrażać ich synowi, i popędzi biegiem do telefonu...

- Mówi Lee Winborn. Co mogę dla pani zrobić?

- Chyba wystraszyłam pańską żonę - powiedziała Milla przeproszającym tonem. - Proszę mi wybaczyć, nie miałam takiego zamiaru. Muszę się jednak z państwem spotkać w celu wyjaśnienia pewnych spraw związanych z adopcją syna i przekazać państwu kilka papierów.

- Może pani wyjaśnić to przez telefon.

- Przykro mi, ale nie mogę. To zbyt skomplikowane, jak mówiłam już pani Winborn. Zrozumie pan, kiedy rzuci okiem na te papiery O której jutro moglibyśmy się spotkać? Najlepiej, gdyby państwa syn był wtedy w szkole - zmieniła ton na jeszcze łagodniejszy - Proszę. To naprawdę nic straszego.

- No dobrze - powiedział nagle. - O trzynastej. Ma pani nasz adres?

- Tak, mam. Dziękuję panu bardzo, będę punktualnie. Przerwała połączenie i zamknęła oczy, dopiero teraz zdając sobie sprawę z drżenia wszystkich mięśni. Zrobiła to. Teraz musiała zebrać siły na

kolejny krok. Udało się umówić dość wcześnie, w związku z tym zadzwoniła na lotnisko i zarezerwowała bilet na lot z Charlotte o osiemnastej. Jutro wieczorem będzie we własnym domu. Pierwszy raz od... nie pamiętała. Na pewno od ponad tygodnia.

Następnego dnia spała tak długo, jak się dało. Zjadła późne śniadanie, obejrzała kilka porannych talk-show w telewizji, wzięła prysznic, umyła włosy i poświęciła sporo wysiłku ich uczesaniu. Potem zrobiła sobie delikatny makijaż. Chciała efektownie się zaprezentować. Wybrała prostą granatową spódnicę i bluzkę z długimi rękawami w morskim kolorze, z pasującymi granatowymi guzikami. W tym stroju wyglądała kobieco, a zarazem profesjonalnie. Zawsze gdy była zdenerwowana, szczególnie dbała o wygląd. Koncentrując się na ubraniach, mogła choć trochę opanować nerwy, zdusić nudności, powalczyć z dzikim młotem walącym w skronie. Nauczyła się, jak zachowywać spokój nawet w obliczu niewypowiedzianego bólu. Robiła to właśnie teraz, choć jej spokój był tylko powierzchowny. Lustro pokazywało jej twarz wypraną z emocji - jak u Diaza. Nie! Nie myśl o nim, przypomniawszy sobie sama ze złością. On nie był już częścią jej życia.

W prognozie pogody podano, że w Charlotte temperatura będzie dochodzić do siedemnastu stopni, odczuwalny też będzie rześki północny wiatr. Milla, zbierając się do wyjścia, odłożyła więc na bok płaszcz z wielbłądziej wełny. Pooglądała jeszcze trochę telewizję i oto nadszedł czas: dwunasta piętnaście. Milla wzięła głęboki oddech, upewniła się, że szminka nie jest rozmazana, zostawiła klucz od

pokoju na stoliku nocnym, razem z napiwkami dla boya lub sprzątaczk, potem raz jeszcze sprawdzila, czy ma w teczce wszystkie papiery Zadovolona, ze dopilnowala wszystkiego, wyprostowala sie, ulozyla plaszcz i teczke z papierami na walizce, zawiesila torebke na ramieniu i otworzyła drzwi. A potem stanęła jak wryta, tracąc w ułamku sekundy całą wypracowaną pewnością siebie.

Obok drzwi, oparty o ścianę, stał Diaz.

W jednej chwili przeleciało jej przez głowę tyle myśli, że nie mogła skupić się na żadnej. Szok był absolutny. Myślała - miała nadzieję - że nigdy go już nie zobaczy Już udało się jej zapomnieć, jak działa spojrzenie zimnych, czarnych, nieruchomych oczu Diaza.

Nie wydawały się tak zimne, kiedy leżała naga pod nim, przygnieciona słodkim ciężarem mężczyzny, który potrafił obudzić w niej nienasyconą samicę. Nie! Te myśli starała się z siebie strząsać, zapomnieć na zawsze.

Dlaczego nikt nie wezwał ochrony? Jakiś facet czai się na korytarzu, nie wiadomo jak długo, i nikt nic nie zauważa? Może nikt z gości hotelowych, ale sprzątaczk? Pracownicy? Oni zdecydowanie powinni uważać. Milla spłoszonym wzrokiem obrzuciła długi korytarz. Daleko po prawej stał wózek sprzątaczk. Jeżeli tylko jedna pracownica zajmowała się całym piętrem, to Diaz mógł pozostać niezauważony A może porozmawiał z nią sobie cichutko i teraz biedna kobieta, nagle posiwiiała ze strachu, kryła się w którymś z pokoi, czekając, aż ten przerażający facet wreszcie sobie pójdzie.

- Co ty tu robisz? - zapytała Milla zimnym głosem ociekającym wrogością. Starła się ukryć myśli i emocje, które nią targały.

Wyprostował się i wzruszył ramionami.

- Ciekawość. Tak jak zwalnianie na autostradzie, żeby popatrzeć sobie na ładny wypadek.

- Jak mnie znalazłeś?

- Żyję ze znajdowania ludzi.

To wystarczyło za całe wyjaśnienie. Wiedział przecież, gdzie jest Justin, a to już bardzo dużo. I choć w Charlotte mieszkało z pół miliona ludzi, Diazowi odnalezienie Milli nie sprawiło zapewne szczególnych trudności. Ot, kilka telefonów i po wszystkim. Hotel oczywiście nie powinien zdradzać numerów pokoi własnych gości, ale proszę bardzo - Diaz przecież nie czekał przypadkiem pod tymi właśnie drzwiami. Skąd wiedział, dokąd się wybierała? Skąd wiedział, że idzie tam dzisiaj? Bardzo chciała znać odpowiedzi, ale ugryzła się w język. Prędzej padnie trupem, niż go o cokolwiek zapyta. Nie miała ochoty z nim rozmawiać.

Zamknęła za sobą drzwi pokoju i ruszyła w stronę windy, ciągnąc walizkę. Diaz oczywiście poszedł za nią, pół kroku z tyłu. Wiedziała, że tak robi. Nie mogła mu uciec, nie mogła przekonywać, by dał sobie spokój. Mogła tylko ignorować faceta, i tak właśnie robiła. O ile można ignorować wilka za plecami.

Zauważyła, że jest ogolony, ma na sobie porządny granatowo szary garnitur. Włosy wyglądały na schludnie ułożone, a nie na pobieżnie przeczesane dłonią. Rzec by można, że Diaz wzbudzał

szacunek swoim wyglądem. Milla знаła go lepiej. Te zimne, enigmatyczne oczy nie oddawały istoty gwałtownego zła, które w nim żyło. Zapewne miał nóż gdzieś przy nodze, pistolet na plecach i Bóg jeden wie, jakie jeszcze narzędzia tortur pochowane po kieszeniach.

Ale co on tu robi? To wszystko nie powinno go już obchodzić. Rozstali się w złości, a twarz Diaza była ostatnią, którą Milla miała ochotę oglądać w tej trudnej godzinie. Wciąż była na niego tak wściekła, że z trudem znosiła samą jego obecność. Czuła, jak czerwony gniew znów buzuje jej w żyłach, ścisną gardło. Jak on śmiał...?!

Zdusiła tę myśl, nie pozwalając jej uformować się do końca. Roztrząsanie przeszłości niczego już nie zmieni, a na pewno nie może wpłynąć na decyzję, którą podjęła. Jasne, mogłaby wytłumaczyć Diazowi co nieco - ale cóż to da? W czym pomoże? Żle ją osądził, pomylił się zupełnie. Nawet jeśli zacząłby przeproszać, Milla wątpiła, by mogła mu kiedykolwiek wybaczyć. Przecież wiedział - wiedział! - ile znaczył dla niej Justin. Wiedział, przez jakie piekło przeszła, szukając syna. A jednak chciał ukryć przed nią jego miejsce pobytu. Jak mogłaby mu przebaczyć?

Jeszcze bardziej wyprowadzała ją z równowagi niewzruszona pewność siebie, którą manifestował Diaz. Był po prostu pewien, że to ona się myli. Miała ochotę walnąć go w twarz tak, by posypały się zęby. Zamiast tego ignorowała obecność mężczyzny.

- Nie musisz się wymeldować? - zapytał.

- Nie - odparła. Jeżeli już musi z nim rozmawiać, lepiej skrócić konwersację do niezbędnego minimum.

Wyszli z hotelu głównymi drzwiami. Milla pokazała swój kwitek parkingowemu.

- Zostaw samochód - powiedział Diaz. - Pojedziemy moim.

- Nie chcę z tobą jechać.

- Możesz pojechać bez awantur albo robić sceny Wybór należy do ciebie.

Nawet na niego nie spojrzała, ale poszła za Diazem do granatowego jeepa liberty. I bez robienia scen czuła się wystarczająco podle, wołała nie rozważać, jak skończyłoby się harde odmówienie Diazowi. Czuła na skórze północny wiatr, o którym mówiono w prognozie pogody Już żałowała, że nie ma na sobie płaszcza. Skoncentrowała się na własnych dreszczach, wołała myśleć o tym niż o Diazie czy o rozmowie, która ją czekała.

Położył jej walizkę z tyłu, obok swojej wielkiej podniszczonej torby Potem otworzył Milli drzwi pasażera i pomógł wsiąść. Słońce nagrzało wewnątrz jeepa, w środku było całkiem przyjemnie. Choć Milla wolałaby dalej stać na wietrze, być gdzie indziej, w towarzystwie kogoś innego. Modliła się o siłę, o samokontrolę, o pomoc w tym, co zamierza zrobić. Musiała usunąć Diaza z głowy, skoncentrować się na Justinie, inaczej nigdy jej się nie uda.

- Wiesz, gdzie oni mieszkają? - zapytała obojętnie, gdy mężczyzna wsiadł za kierownicę i włączył silnik, by po chwili wrzucić bieg i wyjechać z parkingu.

- Tak. Przejeżdżałem tamtędy wczoraj.

A więc, deptając jej po piętach, był w tyle o jeden dzień.

Zdziwiła się, że aż tyle, że nie zjawił się już w hotelu w Chicago. Ale przecież jego celem było uniemożliwienie jej rozmowy z Winbornami. Zamarła, uświadamiając sobie, że jest teraz zamknięta w jego samochodzie, z nim za kierownicą i musi towarzyszyć Diazowi w drodze wiodącej w nieznanym kierunku. Idiotka!

- Jeżeli nie wiesz mnie do domu Winbornów - spiorunowała go wzrokiem, szarpiąc się w pasach bezpieczeństwa - to przysięgam ci, że...

- Tam właśnie cię zabieram - przerwał lodowatym tonem. - Choć trochę późno o to pytasz. Gdybym zdecydował inaczej, teraz nie byłoby już o czym mówić.

- Widocznie nie jestem tak biegła w podstępach i brudnych grach jak ty - syknęła, odwracając się do okna. Skoncentrowała się na mijanych znakach i zakrętach, upewniając się, że nie wyjeżdżają na autostradę wylotową z Charlotte. Jeśli Diaz ominie właściwy zakręt albo skęci w złą stronę, ona zacznie krzyczeć, uderzy go, szarpnie za kierownicę, zrobi cokolwiek, by przyciągnąć uwagę.

Uświadomiła sobie, że gdyby Diaz naprawdę chciał ją porwać, nic by go nie powstrzymało. Pewnie ogłuszyłby ją, żeby nie przeszkadzała, i dalej robił swoje. Tylko po co? No, chyba że chciałby ją zamknąć w jakiejś piwnicy i trzymać tam do końca życia. Ona na pewno nie zrezygnuje ze spotkania z Winbornami. Obrąła właściwy kurs i będzie się go trzymać.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. O dwunastej pięćdziesiąt Diaz wjechał jeepem na betonowy podjazd Winbornów. Auto Rhondy - SUV infiniti - stało w prawej części garażu. Półciężarówka Lee - podrasowany ford - zajmowała lewe stanowisko. Puls Milli gwałtownie przyspieszył i nagle zakreśliło się jej w głowie. Boże, nie pozwól mi zemdleć - błagała bezgłośnie. Zmusiła się do powolnego, spokojnego oddychania. Tętno zwolniło po chwili.

Diaz wysiadł i obszedł samochód dookoła, by otworzyć jej drzwi. Zmierzył ją uważnym spojrzeniem zwięzonych, ciemnych oczu, ale nie odezwał się ani słowem, podał jej rękę i pomógł wysiąść. Wzięła teczkę z papierami, ale torebkę zostawiła na podłodze. Diaz zauważył to oczywiście, ale nie skomentował, tylko zamknął za nią drzwi.

Mały trawnik przed domem był starannie utrzymany. Pośród gęstej zrudziałej już trawy stały kwietniki z jaskrawoczerwonymi chryzantemami. Więcej doniczek z roślinkami stało po obu stronach schodków prowadzących na zabudowany ganek. Ktoś w domu - najprawdopodobniej Rhonda - miał dobrą rękę do roślin. Milla z przyjemnością wyobraziła sobie, jak Rhonda pieczołowicie przesadza kwiaty, odcina uschnięte liście i martwe gałązki.

Zanim doszła do drzwi, te otworzyły się nagle. Stali w nich oboje, aż szarzy ze zmartwienia. Żal ścisnął serce Milli. Próbowała ich uspokoić, ale może wszystko zrobiła nie tak. Teraz było już zresztą za późno na to, by się wycofać. Lee otworzył szeroko zewnętrzne oszklone drzwi.

Milla zdobyła się... może nie na uśmiech, ale na przyjazny wyraz twarzy.

- Dzień dobry, jestem Milla Edge. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem przez telefon. A to James Diaz.

- Jestem Lee Winborn, a to moja żona Rhonda - mężczyzna automatycznie wyciągnął dłoń najpierw do Milli, a potem do Diaza. Jego uścisk był silny, trochę szorstki. Lubił grać w golfa, chodzić na ryby, od czasu do czasu polować. Trenował zespół T-balla, w którym grał Justin - nie Justin, Zack. Pomagał także trenować jego zespół futbolu amerykańskiego. Miał czterdzieści cztery lata, o jednaście więcej niż Milla. Pełen życia człowiek z kilkoma zmarszczkami w kącikach niebieskich oczu, ciemny blondyn bez widocznej siwizny we włosach.

Rhonda była kobietą średniego wzrostu o bardzo jasnych, elegancko uczesanych włosach, miała delikatny makijaż. Na jej szczupłej sylwetce dobrze prezentowały się proste spodnie i szykowny błękitny sweter pasujący kolorem do szarych oczu kobiety Milla pomyślała, że sądząc chociażby po oczach, nikt nie mógł nawet podejrzewać, że Justin nie jest ich synem. Zack. Musiała pamiętać, że teraz chłopiec nazywa się Zack.

- Proszę wejść - powiedział Lee nerwowo. Cofnął się razem z żoną, gestem zapraszając gości do środka. Rhonda kurczowo chwyciła męża za rękę, jakby potrzebując jego siły.

Weszli do dużego pokoju, w którym czuło się obecność dobrego ducha tego miejsca. Przyjemny ogień pełgał wesoło w gazowym

kominku. Na półkach stały liczne książki, dziecięce razem z beletrystyką dla dorosłych. Obok spoczywały rodzinne pamiątki zbierane przez lata: rozgwiazda, piłka baseballowa z nieczytelnym podpisem, zamknięta w pudełku z pleksiglasu, zdjęcia, pudełeczka...

Zdjęcia. Milla rozejrzała się i stłumiła jęk. Justin jako tłuste niemowlę z jednym białym zębkiem wyszczerzonym w uśmiechu. Z jasnymi włoskami sterczącymi prostopadle na wszystkie strony wyglądał jak dojrzały dmuchawiec. Małe grube stopki, rączki z rozkosznymi waleczkami tłuszczu, różowe policzki. Na innym zdjęciu chłopczyk raczkował radośnie w samej pieluszce. Na kolejnym, już nieco większy, z małym kijem baseballowym. Na plaży, z wiaderkiem i łopatką, w czerwonej czapeczce z daszkiem. Kin-derbal urodzinowy. Pierwszy dzień w szkole - mały uczeń trzymający dumnie swój plecak, prezentujący z uśmiechem brak dwóch przednich jedynek. Milla z trudem powstrzymywała szloch. Jej dziecko. Tak bardzo brakowało jej tego wszystkiego. Chłopiec w stroju drużyny T-balla, z poważną miną trzymający kij tak, jak to podpatrzył u dużych graczy. W stroju futbolowym, w za dużym kasku, prawie zupełnie zasłaniającym twarz. Był taki mały, taki żywy... Taki szczęśliwy.

Było jeszcze więcej zdjęć ze szkoły, a także kilka pozowanych, zrobionych u fotografa. Jednoroczny bobas z mocno już zużytym misiem. Dziecko na małym traktorku ze skupieniem kręcące kierownicą. Niemal mogła usłyszeć, jak naśladuje odgłosy silnika.

- To Zack - powiedziała nerwowo Rhonda, widząc zainteresowanie Milli fotografiami. - Wiem, trochę przesadzamy z ilością tych zdjęć, ale...

Głos zadrżał jej wyraźnie, zamilkła, przygryzając wargę.

- Proszę usiąść - pospieszył z pomocą Lee, wskazując Milli i Diazowi krzesła. On sam usiadł z żoną na kanapie. - Niech pani powie nam, o co chodzi. Mieliśmy bezsenną noc. Bardzo martwiliśmy się, co mogło pójść nie tak. Nic nie przyszło nam na myśl, ale... martwiliśmy się.

Milla postawiła teczkę z papierami na podłodze i wzięła głęboki wdech, składając ręce. Próbowwała przedtem ćwiczyć to, co ma im do powiedzenia, ale słowa nie pasowały, uciekały, wróciła więc do historii, którą opowiadała już tyle razy wielu różnym ludziom. Tym razem historia miała jednak zakończenie.

- Mój były mąż jest chirurgiem - zaczęła, uśmiechając się na myśl o Davidzie. - Prawdziwy Doogie Howser. Jedenaście lat temu zebrał zespół lekarzy, z którym wyruszył, by leczyć w małym meksykańskim szpitalu. Tuż przed wyjazdem dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Na szczęście w zespole był ginekolog-położnik, więc nie zmienialiśmy planów i pojechałam z nimi. Nasz syn Justin urodził się w Meksyku. Pewnego dnia, kiedy miał już sześć tygodni, poszłam z nim na wiejski targ. Napadło mnie dwóch mężczyzn, zabrali mi syna i uciekli. Jeden z nich pchnął mnie nożem w plecy, przez co o mało nie wykrwawiłam się na śmierć. Kiedy doszłam do siebie, po naszym dziecku nie było już śladu.

Rhonda znowu chwyciła Lee za rękę.

- To straszne - powiedziała słabo. Może identyfikowała się z Millą jako matka, a może miała przeczucie.

- Mimo wszystko szukałam go. Nie mogłam się poddać, nie wiedząc, co się z nim stało. Powszechną praktyką jest przemyt porwanych dzieci z Meksyku w bagażnikach samochodów, wiele z nich umiera z gorąca. Nie mogłam przestać szukać. Musiałam wiedzieć na pewno, co z Justinem. Czy żyje... - głos Milli załamał się nagle.

- Rozwiedliśmy się z mężem rok po porwaniu synka - ciągnęła. - Wiele małżeństw rozpada się po stracie dziecka. To była głównie moja wina... Nie. To była wyłącznie moja wina. Nie starałam się już być żoną dla Davida, byłam zbyt zajęta szukaniem Justina. Założyłam organizację złożoną głównie z wolontariuszy rozsianych po całym kraju. Mobilizują się na poszukiwania, gdy ktoś zaginie, wyjeżdżają na autostrady podczas Bursztynowego Alarmu. Odnajdujemy ludzi, na których poszukiwania brakuje policji sił lub pieniędzy My...

Zmitygowała się, słysząc, że właśnie zaczyna oficjalne przemówienie. Odetchnęła głęboko.

- Ale dość o tym - powiedziała. - W skrócie: przez cały ten czas szukałam Justina, a także śladów jego porywaczy. Dopiero niedawno, dzięki pomocy pana Diaza, udało się rozbić gang handlarzy dziećmi. Znaleźliśmy też dokumenty, które naprowadziły nas na ślady porwanych.

To już. Teraz. Gardło Milli było ściśnięte aż do bólu, a z kurczowo splecionych dłoni odpłynęła krew.

- Zack jest moim synem. To Justin.

Rhonda, blada jak śmierć, krzyknęła głośno. Lee zerwał się na nogi, zaciskając pięści.

- To kłamstwo! - zawołał ze złością. - Nie kupiliśmy dziecka od żadnych bandytów! Adoptowaliśmy Zacka za pośrednictwem adwokata! A jeśli wydaje się pani, że odbierze nam syna, to... po moim trupie!

Nic nowego, pomyślała Milla. Oswoiła się z trupami i śmiercią przez ostatnie dziesięć lat.

- Wasz adwokat o niczym nie wiedział. Akt urodzenia był sfalszowany. Kobieta, która się tym zajmowała, prowadziła własny rejestr dzieci. Nie chcę, żebyście wierzyli mi na słowo. Mam ze sobą kopie wszystkich dokumentów.

Schyliła się po teczkę, otworzyła ją i podała obojgu po grubym pliku papierów. Lee nerwowo przerzucał kartki, z jego gardła wydobył się niski, nieartykułowany pomruk zaprzeczenia i niedowierzania.

Drżącymi rękoma Milla wyjęła jeszcze dwa dokumenty

- To jest podpisane przeze mnie i Davida formalne zrzeczenie się praw rodzicielskich do Justina... Zacka. Zrzeczenie na waszą rzecz.

Rhonda i Lee zamarli, wpatrując się z osłupieniem w papiery trzymane przez Millę. Najwyraźniej nie mogli uwierzyć w to, co

słyszą. Milla ostatkiem sił stłumiła czarną rozpacz, którą czuła już prawie w gardle. Jeszcze chwilę... Jeszcze tylko chwilę...

- Nie stawiamy żadnych warunków. Zabranie wam dziecka zniszczyłoby chłopcu życie, a my za bardzo go ko... kochamy, żeby robić mu coś takiego. Czego my się o nim dowiemy - jeżeli w ogóle czegokolwiek - zależy wyłącznie od was. Wychowujecie go, kochacie, znacie lepiej niż ktokolwiek na świecie. Czy on... wie, że jest adoptowany?

Rhonda w milczeniu skinęła głową.

- Ale nigdy o to nie pytał - dodał Lee.

Jest szczęśliwy, zdrowy, kochany. Nie potrzebuje niczego więcej, pomyślała Milla. Jeżeli kiedyś zapyta, to pewnie tylko z ciekawości. Wyjęła z teczki jeszcze jedną dużą kopertę i podała Winbornom.

- To osobiste dane moje i Davida, nasze karty zdrowia, grupy krwi, wszystko, czego moglibyście potrzebować w razie, gdyby coś przytrafiło się Zackowi. Są tam też nasze adresy i telefony. Gdyby zmieniły się te dane adresowe, prześlemy wam informację. Są też adresy naszych rodziców i... kilka zdjęć na wypadek, gdyby chłopak kiedyś się tym zainteresował, a wy zdecydowałibyście się opowiedzieć mu to wszystko. Dołączyłam też wycinki z gazet o porwaniu.

Nie chcę, by pomyślał kiedyś, że go nie chciałam - nabrała powietrza, potrzeba jej było tlenu. - Jego ojciec ma iloraz inteligencji geniusza i jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkałam w

życiu. Ma blond włosy i niebieskie oczy, Zack bardzo jest do niego podobny. Oboje jesteśmy zdrowi, nie mamy żadnych wad genetycznych.

Dobry Boże, ile jeszcze wytrzyma? Wpatrująca się w Millę Rhonda zasłaniała sobie usta pięściami, po policzkach ciekły jej obfite łzy. Lee głośno przełykał ślinę, starając się zachować zimną krew. Tylko Diaz pozostał niemą, mroczną obecnością za jej plecami. Nie popatrzyła na niego, nawet nie rzuciła okiem.

- Mam nadzieję - kontynuowała niezbornie Milla - że kiedyś Zack będzie chciał czegoś się o nas dowiedzieć. Może będzie chciał nawet nas poznać. Ale jeśli tak się nie stanie, proszę, nie czujcie się, jakbyśmy zawsze byli tuż obok, śledzili was czy obserwowali. Nigdy nie będziemy się z wami kontaktować, oprócz tych ewentualnych wypadków uaktualnienia danych adresowych. To wy jesteście jego rodzicami. Jeżeli postanowicie nigdy nie wspominać mu o nas, niech i tak będzie. Zgadząmy się.

To wszystko. Już nie mogła, po prostu nie mogła. Wstała i Wyciągnęła do nich rękę.

- Dziękuję, że tak go kochacie.

Lee zamknął jej dłoń w swoich, bez słowa, jego podbródek drżał. Diaz także wstał, zamknął teczkę i podniósł ją z ziemi.

Rhonda podskoczyła nagle. Szlochała tak głośno, że z trudem zdołała wymówić zdanie:

- Proszę zaczekać... Pani szukała... Może chce pani wziąć kilka jego zdjęć? Dla siebie?

Wreszcie Milli udało się pożegnać z Winbornami, uścisnąć im rękę i dotrzeć do jeepa, ściskając kurczowo w dłoni jedną z fotografii. Pozostałe spoczywały w teczce, którą niósł Diaz. Milla siedziała bez ruchu jak zaklęta, zostawiając za sobą syna i całe jego życie. Patrzyła prosto przed siebie, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Zrobiła to. Jakoś udało jej się wytrzymać do końca. Oddała własnego syna, czuła się tak, jakby miała w sercu wielką ziejącą dziurę, przez którą uchodziła cała jej chęć do życia. Ból i cierpienie, dwie okrutne bestie, znów brały ją we władanie. Jak wtedy, tuż po porwaniu Justina. Tym razem ból był bardziej dojmujący, gorzki, trudniejszy do zniesienia. Bestia była wciąż ta sama, ale okrutnie dojrzała i wyrosła przez wszystkie te trudne lata.

Nie było już żadnej nadziei. Nie mogła cofnąć czasu i mieć znowu przy sobie małego Justina. Nie mogła też wytapetować pokoju jego zdjęciami z różnych okresów życia. Był teraz dzieckiem innych rodziców, a ona musiała przeżyć resztę swych lat bez niego.

- Niewiele rzeczy jest w stanie zrobić na mnie wrażenie - odezwał się Diaz lekkim, obojętnym tonem. - Ale to był największy akt odwagi, jaki widziałem w życiu.

Milla czuła, jak rośnie w niej wściekłość, jak buzuje niczym para w imbryku. Niezdolna do przeciwdziałania, pozwoliła furii rosnąć, rosnąć i rosnąć, wędrować w górę, chwycić za gardło. Oczy zaćmiła jej czerwona mgła, usłyszała nieartykułowany pomruk wyrrywający się

z własnych płuc. A potem furia eksplodowała, nagle, z niesamowitą siłą. Mimo zapiętych pasów Milla rzuciła się na Diaza, krzycząc wściekle, okładając go pięściami, bijąc wszędzie, gdzie dała radę dosięgnąć.

- Zamknij się! - wrzeszczała. - Ty draniu, próbowałeś mi przeszkodzić w odnalezieniu syna! Nienawidzę cię, nienawidzę! Mogłabym cię zabić...!

Szarpnął za kierownicę, zmieniając pas ruchu, zjeżdżając do prawego krawężnika. Tam powstrzymał Millę prawym ramieniem. Nie widziała go dokładnie, łzy i krwawa mgła przesłaniały jej widok, ale mimo to mogła stwierdzić, że wyraz twarzy Diaza nie zmienił się ani na jotę. Że był spokojny, że wszystko spływało po nim jak woda po cholernej kaczkce...

Zaparkował auto na poboczu, a potem już tylko siedział, poddając się biernie ciosom Milli. Z jej ust wyrwał się wrzask, pierwotny, ociekający bólem ryk, który narodził się gdzieś w głębi serca i siłą wyrwał ze ściśniętego gardła. Chciała coś rozwalić, chciała, by ktoś - ktokolwiek! - dzielił z nią choć odrobinę tego potwornego bólu. Czuła się tak, jakby miała za chwilę umrzeć, jakby nie mogła znieść tej tortury już ani minuty dłużej, jakby udręczone serce miało zaraz pęknąć jej w piersi.

Nagle straciła wszystkie siły i złamała się w pół, pochylając do przodu, szlochając tak głośno, że nie mogła zaczerpnąć oddechu. Nie wiedziała, że w ogóle może aż tak płakać, łatwiej było jej nawet w tych najgorszych dniach przed dziesięcioma laty. Wtedy miała jakiś cel

w życiu. Teraz nie miała już nic. Zakrztusiła się nagle i rozkaszała spazmatycznie, Diaz chwycił ją za ramiona, odchylił do tyłu i w prawo, opierając o drzwi.

- Wypij to - usłyszała odległy głos i poczuła, jak ktoś podsuwa jej do ust butelkę wody. Zdołała przełknąć odrobinę, a coś w niej zdziwiło się, jak trudno jest pić z obolałym i ściśniętym gardłem.

Huragan emocji minął równie szybko, jak się rozpoczął. Wyczerpana Milla zamknęła oczy. Słyszała, jak Diaz cicho rozmawia przez telefon, ale nie była już w stanie rozpoznać słów. Chciała tylko położyć się gdzieś i umrzeć. Nie mogłaby dłużej żyć w takim bólu.

A jednak nie umarła. Zapadła w dziwne odrętwienie tak wydrenowana z emocji, że ledwo zauważała ruch samochodu. Diaz prowadził w milczeniu. Zatrzymali się raz, może dwa razy. Milla spała, budząc się od czasu do czasu, by pustymi oczyma popatrzeć w okno. Nie wiedziała, gdzie są ani dokąd jadą. Nie obchodziło jej to ani trochę.

Zapadła ciemność, a reflektory mijanych samochodów uspiły ją ponownie. Obudziła się, gdy jeep stanął, a kierowca wysiadł z samochodu. Leniwie patrzyła, jak ktoś wychodzi z auta zaparkowanego przed nimi, podaje coś Diazowi, potem salutuje nonszalancko i wraca do swojego samochodu, by odjechać.

Diaz podszedł do jeepa od jej strony i otworzył drzwi.

- Chodź.

Milla posłusznie wysiadła, poruszając się powoli jak wiekowa staruszka. Okazało się, że stoją tuż przed tylną werandą małego

drewnianego domku. Kobieta czuła na nogach zimny wiatr, chłód przenikał przez jej ubranie. Grunt pod stopami był twardy, chrzęścił jak żwir. W uszach słyszała dziwaczny, nieustający szum.

Nie miała pojęcia, gdzie są.

- Mam samolot o szóstej - powiedziała, dziwiąc się własnemu schrypniętemu głosowi.

- Już się spóźniłaś - odparł lakonicznie Diaz, biorąc ją pod rękę i prowadząc po trzech stopniach do wejścia. Otworzył zewnętrzne drzwi, przytrzymał je własnym ciałem i zajął się wewnętrznymi, drewnianymi. Sięgnął ręką do środka w poszukiwaniu kontaktu, znalazł i Milla zamruwała oślepiona światłem z wiszącej pod sufitem lampy. Diaz wprowadził ją do wnętrza. Pomieszczenie okazało się malutką kuchenką. Wokół unosił się wszechobecny osobliwy zapach. Nie przykry, po prostu... osobliwy

Diaz wyszedł, zostawiając ją wewnątrz. I tak była zbyt wyczerpana, zbyt wyczerpana psychicznie, by przejmować się jego działaniami. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Diaz wrócił, niosąc swoją torbę i jej walizkę.

Przeszedł przez kuchnię do pokoju, kolejne światła rozjaśniły dom. Milla zamknęła oczy i czekała, aż Diaz wróci. Zawsze wracał. ..

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chyba chciałabyś odwiedzić toaletę - powiedział, a ona uświadomiła sobie, że owszem, chciałaby

Łazienka, w której Milla nagle się znalazła, była wyłożona zielonymi i szarymi kafelkami. Diaz wyszedł, zamykając za sobą

drzwi. Musiał czekać tuż obok, bo kiedy tylko Milla zabrała się do mycia rąk, wszedł znowu do środka.

- Podgrzeję trochę zupy - powiedział i pociągnął Millę z powrotem do kuchni.

Siedziała przy stole, rozglądając się apatycznie, podczas gdy Diaz myszkował po szafkach. Po chwili znalazł to, czego szukał.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Milla słabym głosem.

- Outer Banks.

Przez moment nie wiedziała, gdzie to jest. Jej brew zadrżała lekko, zaznaczając pracę zmęczonego umysłu usiłującego cokolwiek zrozumieć. Tak! Karolina Północna, przecież tam właśnie byli. Outer Banks to na wybrzeżu. Po chwili połączyła kolejne fakty: szum, który słyszała na zewnątrz, to ocean. Znajdowali się tuż obok plaży. Osobliwy zapach, który wszędzie tu się unosił, był zapachem słonej morskiej wody.

Diaz postawił przed nią miskę parującej wegetariańskiej zupy i szklankę mleka. Nalawszy sobie do drugiej miski, usiadł naprzeciwko i zabrał się do jedzenia.

Milla ostrożnie zanurzyła łyżkę w zupie i spróbowała gorącego wywaru. Parzył jej obolałe gardło, ale był całkiem smaczny. Nigdy w życiu nie zdarzyło się jej stracić apetytu, ale teraz była tak wyczerpana, że samo podniesienie łyżki urastało do rangi wyczynu i musiała niemalże zmuszać się do dalszego jedzenia. Siedziała pochylona, prawie z nosem w zupie. Patrzyła tępo w miskę, nie chciała patrzeć na nic innego i myśleć o niczym innym. Teraz było jej

wszystko jedno, była otepiała i nie czuła nic, ale wiedziała, że ból czeka tuż za granicą świadomości, gotów znowu ją pożreć.

Kiedy skończyła jeść, Diaz posprzątał w kuchni i zaprowadził Millę do łazienki. Wyjął kilka ręczników i myjek.

- Rozbieraj się - zarządził. - Wchodź pod prysznic. Przyniosę ci koszulę nocną.

Gdyby miała więcej energii, mogłaby się z nim spierać. A nawet zamknąć drzwi, kiedy mężczyzna wyszedł. Zamiast tego Milla posłusznie zdjęła ubranie, a potem weszła do kabiny prysznicowej. Ścianki były z przejrzystego szkła, nie dawały nawet pozoru intymności.

Właśnie kończyła się wycierać, gdy wrócił Diaz z pełnymi rękami, niosąc wszystko, czego kobieta mogłaby potrzebować. Rozstawił jej kosmetyki na toaletce, włożył suszarkę do jednej z szafek, położył koszulę nocną na stołeczku.

Włożyła ją bez słowa, a potem przysiadła przed toaletką, patrząc pustym wzrokiem na wszystkie przybory i buteleczki. Usiłowała sobie przypomnieć, co powinna teraz zrobić. Co zazwyczaj robiła.

- Najpierw to - powiedział Diaz, podsuwając jej tonik. Oglądał ją przecież nieraz w łazience, wieczorem, gdy szykowała się już do łóżka. Stał w milczeniu oparty o framugę drzwi i tylko patrzył tymi zmrużonymi, głodnymi oczyma.

Mechanicznym ruchem wyjęła wacik, nasączyła tonikiem i przetrła skórę twarzy. Mężczyzna podsunął jej krem nawilżający, a Milla posłusznie natarła nim twarz i szyję. Potem Diaz schylił się i

podniósł Millę, wyniósł z łazienki krótkim korytarzem do sypialni. Lampka przy łóżku świeciła się, zasłony były zaciągnięte. Położył ją delikatnie, przykrył kołdrą i zgasił światło.

- Dobranoc - powiedział, wychodząc z pokoju i zamykając za sobą drzwi.

Zasnęła natychmiast, jakby ktoś wyłączył jej mózg. Kilka godzin później ocknęła się z płaczem. Dotknęła policzków i spojrzała zaskoczona na mokre od łez dłonie. W tej chwili wróciły wspomnienia, a z nimi bezlitosny ból.

Cierpienie było tak dojmujące, że Milla nie mogła wyleżeć w łóżku. Wstała i zaczęła chodzić po małej sypialni, rękami kurczowo obejmując własny tułów, jakby chciała powstrzymać rwącą się na zewnątrz bestię. Z jej gardła znów wydobył się ten nieartykułowany, nieludzki pomruk. Prawie zawyła z rozpacz, teraz już rozumiała, dlaczego w niektórych krajach ludzie pogrążeni w głębokim smutku rwą sobie włosy z głowy i rozdzierają szaty. Miała ochotę coś rozbijać, rzucać, rozwalać meble. Chciała pobiec z wrzaskiem na plażę i rzucić się do oceanu. Utonięcie musi mniej boleć niż to. Wreszcie górę wzięło wyczerpanie i otepienie. Wróciła do łóżka.

Poranek był jasny i ciepły Milla wstała, ubrała się i wyjrzała przez okno. Widziała wyraźnie Atlantyk właśnie przelewający się przez piaszczystą wydmy. Woda zdawała się płynąć prosto do Milli: fala za falą, fala za falą... Wzdłuż plaży ciągnął się szereg domków podobnych do tego, w którym się znajdowali. Niektóre były większe, nowe, inne stare, nieduże. W lecie ta plaża zapewne roiła się od

wczasowiczów, ale teraz była zupełnie pusta. Po kilku chwilach Milla ciężko poczłapała do kuchni.

Diaz zrobił kawę. Jego samego nie było nigdzie w zasięgu wzroku, jeep także zniknął sprzed werandy. Na stole kuchennym leżała karteczka: „Pojechałem po jedzenie”.

Milla naląła sobie kawy do kubka i obeszła domek, oglądając wszystkie kąty. Poza kuchnią, łazienką i sypialnią, w której spała, były jeszcze dwa pokoje, równie małe. Diaz musiał spędzić noc w tym po prawej, łóżko było rozgrzebane, poduszka zgnieciona. Do kuchni, w której było też miejsce do jedzenia, przylegała mała wnęka. Z trudem mieściły się tam pralka z suszarką. Na wprost znajdował się duży pokój dzienny z miękkimi, przytulnymi meblami i dwudziestopięciocalowym telewizorem. Wejście do domu osłaniał spory oszklony ganek-weranda, stał tam komplet białych wiklinowych mebli. Na krzesłach leżały kolorowe poduszki w wesołe kwiatki. Stojąc na werandzie, Milla widziała ocean, intensywnie niebieski w jasnym świetle dnia. Poranne powietrze było chłodne. Po kilku minutach uciekła z powrotem do kuchni, by napić się jeszcze ciepłej kawy.

Czuła pustkę. Przez ponad dziesięć lat miała w życiu cel. Miała się na czym skupić. Bólu też nie brakowało, a jakże. Ale ten ból czemuś służył. A teraz... nie było już nic.

Będzie musiała powyrzucać kamienie z domu. Justin nie będzie ich potrzebował.

Od ponad trzech lat wiedziała, że nawet jeśli odnajdzie Justina, to już go nie odzyska. To właśnie w siódme urodziny synka obudziła się ze straszną świadomością, że dla niej on jest stracony. Nieodwołalnie i bezpowrotnie. Zrozumiała, że jeśli nawet uda się jej znaleźć chłopca, to przecież jego życie związane będzie już od dawna z innymi ludźmi. Wyrwanie go z tego świata oznaczałoby dla dziecka katastrofę. Milla kochała syna i właśnie dlatego rozumiała, że musi pozwolić mu żyć tak, jak żyje. Musiała szukać, musiała upewnić się, że z nim wszystko w porządku, ale wiedziała, że nie odzyska go dla siebie. Nigdy

Miała nadzieję, że przynajmniej trafił do dobrych ludzi, do dobrej rodziny. Na szczęście okazało się, że tak właśnie jest. Ale ta świadomość nie przyniosła jej spodziewanego ukojenia. Żal i zgryzota okazały się zbyt silne, nie wiedziała, jak sobie z nimi poradzić.

Czuła się tak, jakby Justin umarł albo zabrano go jej jeszcze raz. Tego, co zrobiła, nie można już było cofnąć. David osłupiał, kiedy powiedziała mu, co zamierza. Płakał, krzyczał, wściekał się; Milla przeszła już wcześniej przez wszystkie te fazy w zaciszu własnych czterech ścian.

- Dopiero go odnaleźliśmy! - krzyczał. - Jak możemy zrobić coś takiego? Nawet się z nim nie zobaczyć, nie porozmawiać?!

- Spójrz na niego - mówiła Milla łagodnie, podsuwając mu fotografię. - Jest szczęśliwy Chcesz mu to odebrać?

- Moglibyśmy chociaż się z nim zobaczyć - nalegał zdesperowany David. - On nawet nie wie, kim jesteśmy. Ja... Millo,

do cholery, zgadzam się, że nie możemy burzyć mu życia, odbierając tamtym ludziom, ale wreszcie mamy szansę, by...

- Nie. Jeśli zjawimy się nagle, nie zapewniając jego nowych rodziców, że Justin należy już nieodwołalnie do nich, to jak myślisz, co zrobią? Ja wiem, co bym zrobiła. Zabrała dziecko i uciekała jak najdalej.

- Ale... możemy się z nim zobaczyć... - błagał David, niezdolny do polemiki z jej rzeczowymi argumentami.

- To musimy zostawić jego rodzicom. Właśnie tak. Musimy wybrać to, co najlepsze dla Justina, a nie dla nas. Davidzie, masz rodzinę. Kochasz ją, myśl także o niej. Nie możemy rujnować ludziom życia własnym egoizmem.

- Co w tym egoistycznego, że chcę się zobaczyć z własnym synem? Ty przecież poświęciłaś mu całe życie. Szukałaś, walczyłaś, zrobiłaś wielokrotnie więcej, niż ja kiedykolwiek próbowałem. Jak możesz nie chcieć przynajmniej z nim porozmawiać?

- Chcę - odparła z mocą. - Chcę go złapać i nigdy już nie wypuścić z ramion. Ale jest już za późno. O wiele lat za późno. Nie jesteśmy już jego rodziną. Jeżeli kiedykolwiek go poznamy, to będzie wybór chłopaka, nie nasz. Inaczej moglibyśmy zrobić mu straszliwą krzywdę. Nie o własne szczęście walczyłam przez te wszystkie lata. Musiałam się dowiedzieć, czy Justin jest bezpieczny, czy jest kochany. Teraz już wiem: tak właśnie jest.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Tak właśnie jest - powtórzyła cicho.

Ledwie widziała przez łzy, jak David podpisuje dokumenty. A potem bierze kartkę papieru i pisze list do Justina: jak bardzo go kocha, jak wielką ma nadzieję kiedyś go spotkać. Podał kartkę Milli, która umieściła ją wśród innych papierów - razem z własnym listem do syna.

Miała nadzieję, że Justin-Zack kiedyś przeczyta te listy, że zainteresują go one na tyle, by skontaktować się z Davidem i z nią. Miała nadzieję, że Winbornowie nie zniszczą przekazanych papierów. Wątpiła w taki rozwój wydarzeń - były tam przecież także ważne z prawnego punktu widzenia dokumenty. Mogłoby jednak na przykład schować je w sejfie i nigdy nie wspomnieć Zackowi o jego biologicznych rodzicach. Nie mogłaby ich obwiniać za taki krok, ale liczyła, że postąpią inaczej. Pamiętała, jak twardo sama walczyła o syna, czemu oni mieliby być inni?

Osiągnęła to, co zamierzyła lata temu. Zrobiła to świadomie, wiedząc, że sama pozostanie praktycznie z niczym. Nie wiedziała tylko, że nicość okaże się tak bolesna.

Otworzyły się drzwi kuchenne i wszedł Diaz, niosąc kilka papierowych toreb. Tak się zamyśliła, że nie usłyszała nawet jego przyjazdu. Mężczyzna zmierzył ją kosym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem. W milczeniu wykładał kupione artykuły spożywcze na stół.

Milla nie do końca była świadoma jego obecności. Zniknęło gdzieś to poczucie nienaturalnego niepokoju, które kiedyś towarzyszyło każdemu pojawieniu się Diaza. No cóż, był tutaj, obok.

Jak mebel. Rozpacz i cierpienie, które wypełniały Millę, ledwie pozwalały jej leniwie rejestrować obecność Diaza w pobliżu, leniwie dostrzegać go kątem oka.

- Co wolisz? - zapytał. - Płatki śniadaniowe czy tosta? Ona miała zdecydować? A co to w ogóle za różnica?

- Tosta - powiedziała apatycznie.

Diaz przygotował tosty, nawet posmarował je kremowym serem i położył na talerzyku przed Millą. Odgryzła kęs i żuła. Żuła. Kęs rósł i rósł w jej ustach, aż pomyślała, że zaraz się udusi.

Siedziała sobie i jadła. Tak jakby wczoraj nie oddała własnego syna.

Zerwała się od stołu, przewracając krzesło. Diaz okręcił się niczym kot, stając twarzą do niej, gotów bronić się przed ewentualnym atakiem. Wiedziona nagłym impulsem, złapała garnek, w którym wczoraj Diaz podgrzewał zupę. Walnęła nim z całej siły o ścianę, garnek odbił się z głośnym brzękiem i grzmotnął o podłogę. Milla chwyciła łyżki i cisnęła nimi za siebie, potem przyszła kolej na miski. Rozbijały się z miłym dla ucha ogłuszającym hukiem.

Szlochając, Milla rzuciła się do szafek. Łapała wszystko, co wpadło jej w ręce: talerze, spodki, miski, szklanki, filiżanki. Ciskała przedmiotami z całej siły, wkładając w to całą swoją furię i wściekłość, krzycząc na całe gardło, wyrzucając na zewnątrz ból i udrczenie. Kawałki szkła i porcelany fruwały wokół.

Diaz stał bez ruchu. Tylko gdy jakiś przedmiot przelatował zbyt blisko, robił oszczędny unik, nie ruszając się z miejsca. W ciszy

obserwował systematyczną destrukcję kuchni, nie wchodząc w drogę Milli. Wreszcie dzika energia, która wypełniała kobietę, wyczerpała się - i Milla opadła z płaczem na kolana.

Wtedy Diaz uniósł ją z ziemi i zaniósł z powrotem do sypialni, położył na łóżku. Milla przewróciła się na bok i, łkając cicho, usnęła.

Gdy kilka godzin później obudziła się i wyszła z pokoju, kuchnia była czysta i posprzątana. Diaza znów nie było.

Wrócił z wielkim kartonem, w którym spoczywały różne, niepasujące do siebie naczynia: talerze i kubki. Wyszedł na zewnątrz i przyniósł jeszcze jedno pudło, w którym z kolei był tuzin szklanek i kilka misek. Nic nie pasowało do reszty. Rozpakował wszystko, włożył do zmywarki i włączył maszynę.

W głowie Milli pulsował tępy ból, spuchnięte oczy piekły, a gardło drapało niemiłosiernie.

- Przepraszam - wychrypiała.

- Nie ma za co.

Odetchnęła głęboka

- Skąd masz te naczynia?

- Kupiłem na małej prywatnej wyprzedaży nieopodal. Dobrze się złożyło, inaczej musiałbym jechać do sklepu Kitty Hawk albo do Wal-Martu.

Outer Banks o tej porze roku musiało być miejscem prawie bezludnym. Znalezienie prywatnej wyprzedaży graniczyło więc z cudem. Nagle przed oczami stanął jej obraz tego ubranego na czarno, śmiertelnie niebezpiecznego drapieżnika kupującego na wyprzedaży

używane naczynia. On sam pewnie nawet nie zauważył, jak bardzo tam nie pasował.

Diaz zrobił kanapki. Milla zjadła, a potem włożyła spodnie i kurtkę, by wyjść na plażę. Spacerowała długo, wydawało jej się, że godzinami. Chłodna bryza owiewała jej twarz. Mózg wciąż był otepiały, nie mogła myśleć. Niemyślenie było dobre. Dłuższy czas szła po prostu przed siebie, wreszcie zdecydowała się wracać.

Odwróciła się i stanęła jak wryta na widok Diaza, który najwyraźniej szedł za nią. Trzymał się jakieś trzydzieści metrów z tyłu, by nie zakłócać spokoju Milli, ale jednocześnie nie spuszczał jej z oka.

Stał i czekał. Schował ręce w kieszeniach czarnej kurtki. Zmrużone od wiatru oczy obserwowały nadchodzącą Millę. Rozzłościło ją to, że szedł za nią. Rozzłościło, choć wiedziała, że to irracjonalne.

- Myślałeś, że poszłam się utopić? - rzuciła, mijając mężczyznę. Czysty sarkazm, ale ciche „tak” Diaza zamknęło jej usta. Szła w milczeniu, połykając łzy. Nie chciała płakać. Oczy bolały ją tak bardzo, że nie chciała płakać już nigdy więcej w życiu. Przypomniała sobie, jak poprzedniego dnia myślała o tym, by wbiec do oceanu. Choć ból i rozpacz były tak dojmujące, że każdy rodzaj ulgi wydawał się wtedy do przyjęcia, wiedziała, iż nigdy by tego nie zrobiła. Poddanie się nie leżało w jej naturze. Gdyby było inaczej, nie zdołałaby przejść z taką determinacją przez ostatnie dziesięć lat.

Gdy dotarli z powrotem do domku, Milla powłóczyła nogami ze zmęczenia. Słońce właśnie zachodziło, zabierając ze sobą całe ciepła

Kobieta wróciła do sypialni i zwała się na łóżko wyczerpana.

Dopiero Diaz wybudził ją z drzemki, mówiąc, że czas coś zjeść.

Kolejne dni mijały im tak samo: szare pasmo smutku i apatii przerywanej okazjonalnymi napadami niekontrolowanego szału. Cały ten czas złał się Milli w jedną, nijaką i bolesną całość. Wydawało jej się, że czas stanął w miejscu. Jadła, spała, płakała. Napady furii zdarzały się nagle, kiedy w ogóle się ich nie spodziewała. Już po wszystkim Milla zawsze bardzo wstydziła się utraty kontroli nad sobą. Krzyczała i waliła pięściami w ściany, przeklinała los, który pozwolił jej odnaleźć syna - tylko o wiele, wiele za późno.

Godzinami spacerowała po pustej plaży, z całych sił starając się nie myśleć o niczym. Kiedyś uświadomiła sobie, że nawet nie zadzwoniła do biura Poszukiwaczy, wspomniała o tym Diazowi.

- Ja do nich dzwoniłem - odparł. - Kiedy tu jechaliśmy

Nie pamiętała wiele z tej podróży, tylko bolesny półsen bezdennej rozpacz

Były dni, kiedy nienawidziła Diaza serdecznie, z całego serca. Tak bardzo, że nie chciała nawet na niego patrzeć. Trzęsła nią wściekłość i furia. To, że oboje pragnęli dla Justina tego samego, nie poprawiało wcale sytuacji. Jego decyzja o trzymaniu matki z dala od syna była niewybaczalna. Diaz zdawał się wyczuwać jej nastroje - w takie dni trzymał się z dala i odzywał tylko wtedy, gdy wołał ją na posiłek.

Pilnował, by Milla spała i jadła. Musiał chyba robić pranie, bo ona nawet o tym nie pomyślała. Słyszała czasem odgłos pralki i

suszarki, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Ot, po prostu szum. Naturalne odgłosy otoczenia. Czyste ubrania pojawiały się w sypialni, a ona je wkładała. Żadnych komplikacji, wszystko było proste, jasne i ułożone.

Pewnego dnia zapytała, ile czasu tu siedzą.

- Trzy tygodnie - odparł Diaz.

Odpowiedź zszokowała Millę. Patrzyła na mężczyznę, a jej oczu nie zasnuwała już biała mgła apatii.

- Ale... Co ze Świętem Dziękczynienia? - już wypowiadając te słowa, miała poczucie ich kompletnego idiotyzmu, była to jednak jedyna rzecz, która przyszła jej na myśl.

- Obeszli bez nas.

Trzy tygodnie. Znaczyło to, że był już pierwszy tydzień grudnia.

- I tak nie miałam z kim spędzić świąt - powiedziała.

- Masz przecież rodzinę.

- Ale nie spędzam z nią świąt, wiesz przecież doskonale.

Zamilkła, myśląc o mamie, do której nawet nie zadzwoniła po znalezieniu Justina. Mama mogłaby teraz oczekiwać, że Milla pogodzi się z Rossem i Julią, zapomni im wszystko, przebaczy. A ona nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie. Może kiedyś... ale to się dopiero okaże.

- No to sami urządzimy sobie spóźnione Święto Dziękczynienia

- wzruszył ramionami Diaz.

I jak je uczymy, chciała zapytać. Wrzeszcząc? Płacząc? Kapiąc w ściany? Miała nadzieję, że to nie początek nowej, świeckiej tradycji.

Dni były już bardzo krótkie i zimne. Diaz przyniósł jej kilka par ciepłych skarpet, w sam raz na spacer. Chodzenie po plaży pomagało, nawet gdy nie było słońca. Patrzenie na ocean też pomagało. Czasem był szary, a czasem niebieski. Ale zawsze tam był, niewzruszony, majestatyczny bezmiar.

Ataki furii zdarzały się coraz rzadziej, tak jak i napady potwornego, niemożliwego do opanowania płaczu. Milla była tak wymęczona, psychicznie i emocjonalnie, że wykonywała praktycznie tylko niezbędne czynności, funkcjonowała na podstawowym poziomie. Wolała nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby Diaz jej tu nie przywiózł. Nie cierpiała tego uzależnienia od niego, ale może mężczyzna w ten sposób chciał odpokutować winę. Problem w tym, że jego działania nie powodowały żadnej zmiany w uczuciach Milli. W tej chwili nie była zdolna do zajmowania się dwiema sprawami naraz, a czas sprawy Diaza jeszcze nie nadszedł.

Czasami wystawiała twarz do zimowego słońca, pozwalając skąpym promieniom gładzić swą skórę.

Przetrwała.

Milla wiedziała i czuła, że Diaz wciąż ją obserwuje. Wiedziała też, że on nigdy się nie poddaje, nigdy nie traci z oczu obranego celu. Cel ów pozostawał zagadką dla Milli, ale miała dziwną pewność, że sam Diaz doskonale wie, czego chce.

To właśnie jej pragnął. Rozumiała to, ale nie mogła sobie wyobrazić, że znów będą razem. Przepaść, która powstała między nimi, była nie do przeskoczenia. Diaz zdradził ją w najgorszy i najboleśniejczy z możliwych sposobów, a zdolność przebaczenia nie była najmocniejszą stroną Milli. Już dawno uznała, że żywienie urazy wcale nie jest takie straszne. Mogła to robić bardzo długo.

Diaz nie troszczył się o nią z czystej dobroci serca. Opiekował się nią tak, jak wilk opiekuje się swoją raną waderą. Odczuła to roszczenie, żądanie siebie, już za pierwszym razem, gdy się kochali. Diaz z własnej woli nie wyrzekłby się Milli.

Wiedziała, że grozi jej ze strony Diaza niebezpieczeństwo. Wiedziała. Nie fizyczne, w ten sposób Diaz by jej nie skrzywdził. Ale uczuciowo i emocjonalnie mógł ją zniszczyć, a ona już żadnych nowych ciosów by nie zniosła. Wiedziała, że powinna zacząć przymierzać się do opuszczenia tego domku, który był świadkiem jej kompletnego załamania, a potem pierwszych oznak powrotu do normalności. Potrzebowali jej Poszukiwacze. Musiała coś robić, cokolwiek, byle tak nie wegetować. Musiała odkleić się od Diaza. Ale to wymagałoby jakiegoś starcia, postawienia sprawy na ostrzu noża, a

Milla zdecydowanie nie czuła się na siłach. Była tak potwornie zmęczona myśleniem, wyczerpana odczuwaniem. Wystarczająco wiele energii zabierało jej utrzymywanie się przy życiu.

Pewnego dnia, gdy Diaza nie było, Millę naszła ochota, by zadzwonić do Poszukiwaczy, pogadać z Joann. Niestety, najwyraźniej zapomniała wyłączyć swoją komórkę po przyjeździe i teraz bateria była już zupełnie rozładowana. Chciała skorzystać z telefonu stacjonarnego, który stał w domku, ale okazało się, że można z niego uzyskać jedynie połączenie lokalne, żadnych międzymiastowych. Milla siedziała, wpatrując się intensywnie w aparat, usiłując przypomnieć sobie kombinację cyfr, która pozwoliłaby przenieść koszt połączenia na jej domowy telefon. Ale jedynym numerem, który zdołała sobie przypomnieć, był jej osobisty numer ubezpieczenia. Wiedziała, że zdecydowanie nie o to chodzi.

Wrócił Diaz i zastał ją medytującą nad telefonem.

- Co robisz?
- Próbuję zadzwonić do biura.
- Po co? - zapytał zwyczajnie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, odpowiedź wydawała się jej oczywista.

- Bo minęły już trzy tygodnie i muszę sprawdzić, co tam się dzieje.
- Dają sobie radę bez ciebie.
- Skąd wiesz? - syknęła z irytacją.
- Dzwoniłem.

- Kiedy? Czemu nie dałeś mi porozmawiać z Joann?

- Dzwoniłem dwa razy Raz, żeby powiedzieć im, gdzie jesteśmy.

Drugi raz, by uprzedzić, że trochę tu zabawimy.

Zauważyła, że zupełnie zignorował jej pytanie o rozmowę z Joann.

- Czas do domu - powiedziała. Diaz podrapał się po karku.

- Jeszcze nie.

- Właśnie, że tak! - ku własnemu zaskoczeniu rozplakała się. - Szlag...! - jęknęła i pobiegła do sypialni. Udało się jej nie płakać już przez kilka dni, nawet na myśl o Justinie, czemu więc miała ryczeć teraz, z takiego powodu? Absolutny brak konsekwencji. To tylko dowodziło, że Diaz ma rację. A ona nie chciała, żeby znów miał rację. Chciała mieć coś do roboty, wrócić do ustalonego planu dnia, musieć myśleć o czymś innym niż własne nieszczęście.

Czy naprawdę chciała już lecieć do domu, ryzykując kompletne załamanie nerwowe, gdy na przykład stewardesa na pokładzie samolotu proponuje orzeszki?

Po godzinie wycierania oczu i dmuchania nosa zdecydowała się wyjść na wieczorny spacer. Włożyła dwie pary skarpet i ciepły płaszcz.

- Dokąd idziesz? - zapytał Diaz, widząc ubraną Millę w holu.

- Przejść się - odpowiedziała. Czyż to nie było oczywiste? Potem otworzyła kuchenne drzwi i zrozumiała, dlaczego Diaz był zaskoczony. Lało jak z cebra. Milla spojrzała na zegar ścienny i

zobaczyła, że jeszcze wcale nie jest późno. Niskie, deszczowe chmury sprawiały, że było niemal ciemno.

- A może nie - westchnęła.

Diaz zapalił gazowy kominek w dużym pokoju. Zrobiło się przytulnie i to spodobało się Milli. Nie miała ochoty siedzieć tam razem z nim, ale nie chciała wracać do sypialni i gapić się na cztery ściany. Telewizor był podłączony do anteny satelitarnej, mieli mnóstwo kanałów do wyboru. Ku zaskoczeniu Milli Diaz oglądał program o urządzeniu mieszkań i aranżacji wnętrz na kanale Dom i Ogród. Oglądał, dziwiąc się niczym przybysz z innej planety: po co ozdabiać abażur od lampy frędzlowatym brzeżkiem z pomponami?

- Zaczynasz nowe życie jako specjalista od aranżacji wnętrz? - spytała, zaskakując siebie i jego samym faktem zainicjowania rozmowy

- Musieliby mnie zmusić pod broń.

Milla uśmiechnęła się, znów ku własnemu zaskoczeniu. Lekki uśmiech zniknął natychmiast, gdy uświadomiła sobie jego niezwykłość. A myślała, że nigdy już nie będzie się śmiać. On nic nie zauważył. Skuliła się w fotelu i oglądała program z Diazem. Szum deszczu uspił ją szybko. Wpadała w płytkie drzemki i budziła się przez resztę popołudnia.

Zjedli wczesną kolację. Milla wzięła prysznic, podczas gdy Diaz zrobił ostatnią rundkę wokół posesji. Okolica była bezpieczna, ale Diaz i tak miał się na baczności. Każdej nocy obchodził teren, sprawdzając, czy jeep jest zamknięty i czy nikt obcy nie kręci się

dookoła. Cóż, o tej porze roku to oni byli jedynymi obcymi w Outer Banks. Najwyraźniej nie robiło to Diazowi żadnej różnicy.

Milla właśnie włożyła koszulę nocną, gdy drzwi łazienki uchyliły się bez ostrzeżenia.

- Włóż buty, płaszcz i chodź na zewnątrz - powiedział Diaz. Nie dyskutowała, słysząc zdecydowany ton jego głosu. Szybko narzuciła płaszcz i wsunęła bose stopy w buty. Wyszli razem na werandę z tyłu domu.

- Och! - westchnęła z zachwytem.

Krople deszczu zmieniły się w śniegowe płatki. Nie mogły przetrwać długo, temperatura powietrza spadła, lecz nie do zera. Grunt też był zbyt mokry i ciepły. Śnieg wyglądał urzekająco, spływał białymi girlandami z czarnego nieba.

Diaz spojrzał na jej gołe kostki, pokręcił głową z dezaprobatą, po czym chwycił Millę w ramiona, podniósł z ziemi i ruszył w dół po stopniach werandy. Kobieta automatycznie objęła go za szyję.

- Dokąd idziemy?

- Na plażę.

Zaniósł ją przez niskie wydmy aż na wybrzeże. Stali w ciemności, w ciszy zakłócaną tylko miarowym szumem fal. Delikatne śnieżynki wirowały wokół nich, ginąc natychmiast po zetknięciu z ziemią. Milla dorastała w miejscu, gdzie śnieg w zimie był normalną rzeczą, ale po przeprowadzce do El Paso oglądała go już tylko w trakcie podróży. Tutaj, na plaży, nie spodziewała się go zobaczyć.

Poczuła dreszcze, ale wcale nie chciała wracać do domu i tracić takiego wspaniałego widowiska.

Śnieg szybko przestał padać, Milla patrzyła jeszcze przez kilka minut w ciemne niebo, czekając na więcej. Nie doczekała się.

- Chyba już po wszystkim - westchnęła.

Ramiona Diaza objęły ją silniej, gdy niósł Millę z powrotem do domu.

Wkrótce położyła się do łóżka, by zasnąć prawie natychmiast. W tym miejscu spała o wiele dłużej niż normalnie. Tak jakby jej ciało starało się odrobić lata zaległości, lata nieustającego nawet w nocy stresu. Jej sny powoli normalniały, nie budziła się już z płaczem. Nie śniła w ogóle tej konkretnej nocy, gdy ocknęła się nagle, by zobaczyć pochylony nad sobą cień, poczuć ciężar nagiego ciała.

- Ćśś - szepnął Diaz, podciągając jej koszulę nocną do pasa i rozchylając nogi. - Nie myśl.

- Co... - zaczęła, a potem gwałtownie wciągnęła powietrze. Diaz potarł żołądź członka o jej krocze, aby po chwili pchnąć zdecydowanie do przodu. Paznokcie Milli wbiły się w jego bicepsy. Była wilgotna, owszem, ale nie gotowa. Czuła w sobie każdy centymetr jego męskości, wchodzącej głębiej i głębiej.

Nie myśleć? Jak mogła nie myśleć? Ale jej umysł był tak wymęczony, tak skonany po długich tygodniach żałoby, że z ulgą poczuła, jak zatraca się w czysto fizycznych doznaniach. Powinna była go odepchnąć, odmówić - nie zrobiła tego. Kiedy ją pocałował,

przechyliła głowę i odpowiedziała namiętnie. Potrzebowała tej ucieczki od samej siebie, a on doskonale o tym wiedział.

Objęła ramiona mężczyzny, który poruszał się w powolnym, miarowym rytmie. Ciało Milli - zaskoczone, niepobudzone odpowiednio - stopniowo zaczynało odpowiadać na pieszczoty piersi, pocałunki, ruchy, które czuła wewnątrz. Widziała napięcie rosnące w Diazie, który starał się powstrzymać nadchodzący orgazm. Jego ramiona i plecy były spocone, ręce Milli ślizgały się po nim, ale mężczyzna nie zmylił rytmu. Przez uchylone drzwi wpadało z korytarza trochę światła, ujawniając błysk w oczach Diaza obserwującego uważnie kobietę, czekającego na jej najmniejszą reakcję, przyspieszenie oddechu, silniejsze bicie serca, przyływ sił w obejmujących jego biodra nogach. Lędźwie Milli zaczęły pracować w harmonii z ruchami Diaza, odpowiadając na każde jego pchnięcie. Ręce kobiety oploty kark kochanka.

Nie chciała, żeby to się skończyło. Wiedziała, że nie mogą tak trwać wiecznie, ale... Kiedy czuła go w sobie, reszta świata przestawała istnieć. Oprócz przyjemności Diaz dawał jej komfort powstrzymania wściekłego biegu życia na parę długich chwil. Obserwował ją przez wiele tygodni, czekając. Przyszedł dopiero dziś w nocy Milla wiedziała, że kiedyś to zrobi. Dziwiło ją, że czekał tak długo.

W jego ramionach czuła się zrelaksowana i bezpieczna, przynajmniej nie bała się zagrożeń świata. Najwyraźniej nic nie było w stanie uchronić Milli przed Diazem, ale tej nocy sama nie

wiedziała, czy chce być chroniona. Diaz upomniał się o swoje. Ona należała do niego, ale czy on należał do niej? A jeśli nawet, to jak, do cholery, to się stało?

- Nie wiem nawet, czego chcesz - jęknęła, zatracając się w przyjemności.

- Tego - wyszeptał niskim, chropawym głosem. - Ciebie. Wszystkiego.

Wygięła się pod nim, spięła, czując nadchodzącą rozkosz. Diaz przytulił ją mocniej, nie zmylił wolnego, miarowego rytmu aż do chwili, gdy jęki Milli ucichły, jej palce przestały orać plecy mężczyzny, a nogi rozluźniły uchwyt na jego biodrach. Milla opadła na poduszki, zamykając oczy, jej mięśnie były wiotkie, czuła się spełniona.

Diaz delikatnie pocałował ją w czoło, potem wycofał się, zakrył jej bezwładne ciało kołdrą i wyszedł z pokoju tak cicho, jak przedtem wszedł.

Milla leżała bez ruchu, przysypiając i myśląc leniwie o tym, co właśnie się skończyło. Powinna wstać i umyć się, jak zwykle robiła po namiętnej nocy. Ale była już taka śpiąca, a poza tym nie czuła w sobie...

Obudziła się nagle, uświadamiając sobie, co się stało. A raczej, co się nie stało. Diaz nie skończył. Zadbął o jej przyjemność, a potem odszedł, nie troszcząc się o własną.

Natychmiast wyskoczyła z łóżka, zanim jeszcze myśl przebrzmiała do końca. Już w holu usłyszała szum prysznica

dobiegający z łazienki. Weszła do środka i zobaczyła Diaza za przezroczystymi ściankami kabiny. Stał z pochyloną głową, z jedną ręką opartą o ścianę, drugą miarowo poruszał na wysokości lędźwi. Woda spływała po jego karku i plecach.

Nie mogła go tak zostawić, skoro zadbał o jej rozkosz, nie dbając o własne potrzeby. Zrzuciła koszulę przez głowę, otworzyła drzwi kabiny i weszła do środka.

- To chyba moje - powiedziała, zatrzymując jego poruszającą się dłoń i zastępując ją własną.

Spojrzał na nią. Prawie cofnęła się, widząc zdecydowanie i dzikość w jego oczach.

- Nie rób tego - wychrypiał - chyba że masz poważne zamiary. Nie zawahała się ani przez chwilę. Potrząsnęła głową, by pozbyć się mokrych włosów z twarzy, ciepła woda spływała teraz także po niej. Czowała w dłoni twardy jak stal członek Diaza, ale dłoń nie była dla niego najważniejszym miejscem. Starła się nie myśleć, po prostu sięgnęła do góry i chwyciła się rurki doprowadzającej wodę do prysznicza. Podciągnęła się tak, by móc objąć biodra Diaza nogami. Nie była wystarczająco wysoka, więc złapała jedną ręką ramię mężczyzny i wsparła się na nim, próbując tak manewrować ciałem, by trafić prosto na jego sterczący członek.

Z głośnym pomrukiem Diaz chwycił jej biodra i przyciągnął do siebie, jednocześnie opuszczając głowę, by posać lewy sutek kobiety. Jego członek był już między jej nogami. Milla poprawiła pozycję, wzdychając cicho, po czym opuściła się w dół, obejmując

pieszczotliwie męskość Diaza ciepłym i wilgotnym wnętrzem własnego ciała. Puścił jej sutek, gdy Milla osuwała się coraz niżej, z jego gardła wydobył się niski pomruk ukontentowania.

Tak jak wcześniej on, teraz ona poruszała się powoli, unosząc się i opuszczając, pieszcząc go całym ciałem, zmuszając ciało mężczyzny do mimowolnej reakcji. Diaz zacisnął zęby, walcząc z nadchodzącym orgazmem. Zdziwiła się, nie wiedząc, dlaczego to robi, aż usłyszała własny cichy jęk i zrozumiała, że jej ciało także się obudziło.

Zmagania pod prysznicem były jak walka wręcz w bliskim kontakcie. Milla, obejmując mężczyznę nogami, ruszała się zdecydowanie i rytmicznie, próbowała wycisnąć z niego rozkosz. On hamował jej ruchy ramieniem obejmującym biodra, przyciskając kobietę do siebie i bezwstydnie wymuszając reakcję jej ciała.

Kończyła się ciepła woda, ale dwa gorące ciała zdawały się tego nie zauważać. Diaz okręcił Millę, wyciągając spod strumienia wody. Oderwał ją od rurki prysznicowej i oparł o wykafelkowaną ścianę. Kobieta trzymała teraz w dłoniach jego twarz i namiętnie go całowała. Ostatecznie przegrała walkę, odrzuciła głowę do tyłu, poddając się wszechogarniającej fali rozkoszy. Diaz drgnął gwałtownie, wydając stłumiony ryk, jakby doszedł do ostatecznej granicy. Jego biodra ruszały się teraz w krótkim, gwałtownym rytmie, który szybko sprawił, że Diaz dotarł na szczyt, a Milla krzyknęła z rozkoszy, czując w sobie jego eksplozję.

Mężczyzna oparł się ciężko o ścianę, przygniatając do niej Millę. Ona poczuła się teraz bardziej senna, ociężała. Diaz pocałował ją w ramię, a potem pozwolił swoim nogom ugiąć się i oboje osunęli się na podłogę.

Zapadła cisza. Milla nie potrafiła wytłumaczyć sobie, dlaczego to zrobiła. Wiedziała, co Diaz miał na myśli, mówiąc: „Nie rób tego, chyba że masz poważne zamiary”. Nie rób tego, chyba że znów zaakceptujesz mnie jako kochankę po tym, co właśnie zaszło między nimi. Ta kwestia najwyraźniej rozwiązała się sama. Nie rób tego, chyba że zburzysz mur, który sama między nami wybudowałaś. Nie rób tego, chyba że będziesz moja, a ja będę twój - ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami takiego układu. Zrobiła to. I naprawdę miała poważne zamiary

Gdzieś po drodze okazała się wystarczająco głupia, by zakochać się w Diazie. To musiała być miłość, w przeciwnym razie zdrada mężczyzny nie bolałaby tak bardzo. Na pewno zdenerwowałyby Millę, ale nie zraniła. Nie aż tak. Jak mogła pokochać mężczyzn tak diametralnie różnych jak David i Diaz? Pierwszy był jasnym słońcem, drugi ponurą ciemnością. A może to wszystko miało sens: kobieta, którą była wcześniej, nie mogłaby pokochać Diaza. Jednak Milla zmieniła się i nie była już tamtą kobietą. Może chciałaby znów nią być, ale to należało już nieodwołalnie do przeszłości. Wszystkie te straszne, okrutne koleje losu, które stały się jej udziałem, stworzyły nową Millę, a do tej starej nie było powrotu. Zawsze będzie lubiła się stroić, dbać o włosy, dekorować swoje mieszkanie -tak jak ludzie w

programie telewizyjnym, który zadziwił Diaza - ale w gruncie rzeczy była już zupełnie inna. Była twardszą, silniejszą i odważniejszą kobietą niż wtedy, gdy porywano jej małego synka.

Pytanie za sto punktów brzmiało: co teraz będzie? Co poczną? Milla czuła się tak zagubiona jak rankiem. Tylko że teraz nie była już sama.

- 29 -

Milla obudziła się następnego ranka w ramionach Diaza. Jej głowa spoczywała przy głowie mężczyzny, jego ciało dawało jej ciepło i komfort w ten szary grudniowy poranek. Padał deszcz, znacznie ulewniejszy niż poprzedniego dnia. Jak zwykle Diaz ocknął się chwilę po niej. Albo był już tak psychicznie zsynchronizowany z Millą, że czuł, kiedy ona się budzi, albo wewnętrzna czujność nie pozwoliła mu spać w pomieszczeniu, w którym podświadomie zał rejestrował jakiś podejrzany ruch. Znając Diaza, Milla zakładała raczej, że chodzi o to drugie.

Usiadła na łóżku i przeciągnęła się, by rozruszać zastałe mięśnie. Diaz, wciąż leżąc, wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po plecach. Włosy zasłaniały jej oczy i Milla odgarnęła je z twarzy. Jej fryzura musiała przedstawiać obraz nędzy i rozpacz, pamiętała, że włosy były wciąż wilgotne, gdy zwalili się na łóżko. Tym razem jego łóżko, nie jej, choć wątpiła, czy po ostatniej nocy takie rozróżnienie mieć będzie jeszcze jakikolwiek sens. Teraz wszystko już będzie po prostu ich. Ta myśl obudziła w Milli niepokój: choć na jedno ważne pytanie zdołali

sobie odpowiedzieć tej nocy, to jeszcze wiele spraw pozostało do wyjaśnienia.

- Włączę ogrzewanie - powiedział Diaz, wstając i wychodząc z pokoju.

Milla siedziała na łóżku, obejmując rękami kolana. Popatrzyła przez okno. Zarówno domki po lewej, jak i po prawej stronie stały puste. Ich chatka był jedyną zamieszkaną w całym długim szeregu domków do wynajęcia. Milla czuła się przez to bardzo samotna, zdawało się, jakby oni dwoje byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Oczywiście w okolicy żyli miejscowi, kilka razy zdarzyło się jej minąć na plaży pojedynczych ludzi spacerujących lub biegających dla zdrowia. Jednak na ogół cała plaża należała do niej. Atmosfera bezludnego pustkowia dobrze współgrała z nastrojem Milli; teraz było podobnie z padającym rześzystym deszczem. Ogarnął ją smutek. Czy zeszłej nocy popełniła największy błąd swojego życia? A jeśli tak, to czy istniała jeszcze jakaś szansa ratunku?

Diaz wrócił, niosąc jej kaptcie i szlafrok, a potem poszedł nastawić kawę. Nie był zbyt rozmowny z rana - wieczorem zresztą też nie - ale Milli to odpowiadało. Wypęzła z łóżka i szybko narzuciła szlafrok, potem pobiegła do łazienki.

W łazience był osobny mały grzejnik - włączyła go bez wahania. Niewielkie pomieszczenie nagrzewało się szybko, już po chwili zrobiło się przyjemnie ciepło. Milla spojrzała w lustro i skrzywiła się: jej włosy wyglądały tragicznie, ale pierwszy raz od długiego czasu

oczy nie były opuchnięte od płaczu. Może nie błyszczały radośnie, ale pełgała w nich już jakaś iskierka.

Włączyła prysznic i zaczęła, aż polecie ciepła woda. Potem szybko wskoczyła do kabiny i umyła włosy Gorąco koilo jej obolałe mięśnie. Przypomniało jej się, co Diaz wyczyniał z nią zeszłej nocy. Był cierpliwym kochankiem, ale - po pierwszym razie - już nie łagodnym. Mieszkał w nim głód, który jeszcze się nie objawił, kiedy kochali się pierwszy raz. Głód niebędący już czysto fizycznym požądaniem. Próbowwała odkryć, na czym polega ta różnica, ale odpowiedź wciąż jej się wymykała. Może dlatego, że sam Diaz pozostawał tak nieuchwytny, odległy i nieodgadniony. Co ciekawe, żadnej z tych cech nie zauważyła w nim wczoraj.

Wycierając się, automatycznie dotknęła biodra, by sprawdzić swój plasterk antykoncepcyjny. Zamarła: dłoń przejechała po gołej skórze. Przerazona, spojrzała sobie w oczy w lustrze, konstatując, że nie tylko plasterka nie ma, ale nie było go tam od dłuższego czasu. Mniej więcej od jakichś trzech tygodni.

Miała okres. Pamiętała to mgliście: Diaz pojechał kupić dla niej tampony. Zazwyczaj nosiła plasterki przez trzy tygodnie, co siedem dni zmieniając na nowy. Potem był tydzień przerwy i w tym czasie Milla zawsze miała miesiączkę. To oznaczało, że albo przypadkiem oderwała plasterk, albo odpadł sam. Zresztą i tak po tygodniu przestawał działać, równie dobrze mogła dostać okresu z przyklejonym, lecz nieskutecznym plastrem. Jednak nie przypominała sobie, by przyklejała albo odklejała ostatnio plaster.

Nie byłoby czym się przejmować, gdyby nie ostatnia noc.

Milla doszła do wniosku, że jest mało prawdopodobne, by zaszła w ciążę. Organizm wracał do normy dopiero po kilku miesiącach od odstawienia plastrów. Jednak nieraz kobiety zachodziły w ciążę w najmniej spodziewanych momentach.

Zaniepokojona wzięła się do suszenia włosów. Podjęła nawet heroiczny wysiłek, by uczesać je porządnie, ale wkrótce wywabił ją z łazienki aromat kawy. Poszła do sypialni i włożyła swoje najcieplejsze rzeczy, nie zapominając o obcisłych majtkach z nogawkami i flanelowej koszuli. Zadrżała, uświadomiwszy sobie, że nie wzięła ze sobą plasterków. Diaz musiał je mieć. Przez ostatnie tygodnie nie zwracała specjalnej uwagi na jego nagłe zniknięcia i jeszcze bardziej niespodziewane powroty. Miała nadzieję, że nie będzie wkrótce sama siebie przeklinać za tę niefrasobliwość.

Gdy Milla weszła do kuchni, Diaz przygotowywał śniadanie.

- Nie noszę plasterka antykoncepcyjnego - powiedziała, nalewając sobie kawy

- Wiem - odparł, odwracając widelcem plaster bekonu na patelni.

Ze wszystkich rzeczy, które Diaz mógł powiedzieć, tylko tej jednej się nie spodziewała. Zamurowało ją.

- Czemu nic nie mówiłeś? - odezwała się po chwili, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Myślałem, że wiesz.

- Nie, nie miałam pojęcia - upiła trochę kawy z kubka. - Może być problem.

- Problem? Nie dla mnie.

W pierwszej chwili pomyślała, że to bezduszne. Dopiero po pewnym czasie zrozumiała sens tej uwagi: myśl o ciężarnej Milli absolutnie nie wytrącała Diaza z równowagi.

Wolała nie drażnić tematu.

- Pewnie nic się nie stało - powiedziała. - Po plasterkach organizm długo dochodzi do siebie.

- Kiedy będziesz mieć pewność? Westchnęła ciężko, przejeżdżając ręką po twarzy

- Nie wiem dokładnie. Pamiętasz, kiedy miałam okres?

- Zaczął ci się dwa dni po przyjeździe tutaj.

Zrozumiała, że powinna była przykleić nowy plasterek jeszcze przed wizytą u Davida, ale wtedy na śmierć o tym zapomniała. Postarała się myśleć logicznie: jeśli w ogóle będzie mieć w tym miesiącu owulację - a miała nadzieję, że nie - to czas na nią, środek cyklu, wypadał właśnie... teraz. Chyba. Tak długo nosiła plastry, że nie była już pewna dokładnego przebiegu swojego naturalnego cyklu. Ale nie miała zamiaru więcej ryzykować. Jeżeli będą się znowu kochać, to znaczy, gdy będą się znowu kochać, muszą się bezwzględnie zabezpieczyć.

- Kupię prezerwatywy - powiedział Diaz, wbijając jajka do miski, dodając trochę mleka i mieszając całość widelcem. Albo czytał w jej myślach, albo po prostu doszedł do podobnych wniosków

Diaz nawet śniadanie przygotowywał ze śmiertelną powagą i kompetencją bijącą z każdego ruchu. Milla, pochłaniając jajecznicę,

bekon i tosty, uświadomiła sobie, że w ciągu całego pobytu tutaj nie robiła absolutnie nic - poza myciem się i jedzeniem. Diaz zajmował się całą resztą, od zakupów po sprzątanie. Kobieta z niepokojem odrzuciła niebezpieczne rozważania nad motywami, które przyświecały Diazowi. Przecież dopiero wracała do pełnej sprawności psychicznej - i to bardzo powoli. Nie była jeszcze gotowa do roztrząsania kulisów tajemniczych działań swojego towarzysza.

Pomogła mu zmywać po śniadaniu. Rzucił jej lekko zaskoczone spojrzenie, ale nie skomentował. Potem Diaz wziął prysznic i wyruszył na poszukiwanie kondomów, wołał nie zostawiać ważnych spraw na ostatnią chwilę.

Po jego wyjściu Milla przeszła się po domu, poprawiając to i tamto tu i ówdzie. Poprzekładała poduszki w dużym pokoju, dobierając je kolorami. Zasłała łóżko Diaza i wrzuciła pościel ze swojego do pralki. Wątpiła, by miała jeszcze okazję spać w „swojej” sypialni. Nie rozumiała własnych uczuć. Nie wiedziała, czy dręczy ją niepokój, czy czuje ulgę. Jeszcze wczoraj była pewna, że nigdy w życiu nie przebaczy Diazowi jego zbrodni, że przepaść między nimi jest bezdenna i ostateczna. A potem Diaz niespodziewanie poradził sobie z tą przepaścią, umieszczając przy okazji Millę z powrotem tam, gdzie była wcześniej: pod sobą, rozłożoną na wznak. Ostatniej nocy chciała zostać tam na zawsze.

Wreszcie nie pozostało już nic do zrobienia w domu. Milla naląła sobie świeżej kawy i wyjęła z szafy koc. Wyszła na oszkloną werandę, owinęła się kocem i usiadła na wiklinowej sofie,

podciągając stopy. Niebo zasnute ciemnymi chmurami, szary niespokojny Atlantyk, zimny gęsty deszcz - wszystko mieszało się ze sobą, pozbawiając dzień światła i kolorów. Milla objęła dłońmi gorący kubek i wciągnęła aromatyczną parę. Patrzyła w deszcz, próbując uporządkować rozbiegane myśli.

Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo w ostatnich dniach osłabł trapiący ją smutek i ból. Mogła już funkcjonować, myśleć o innych rzeczach, rozmawiać. Mogła się uśmiechać. Rana zapewne nigdy nie zblizni się do końca, ale da się z nią żyć. Z każdym tygodniem, z każdym miesiącem będzie już łatwiej.

Ciekawe, jak poradziłaby sobie bez Diaza. Chociaż przeklinała go do trzeciego pokolenia, to pozostawała przecież od niego całkowicie zależna. Najczęściej zostawiał ją w spokoju, trzymając się na uboczu i nie odzywając do niej godzinami, zajmując raczej tym wszystkim, co ktoś po prostu musiał zrobić, rzeczami podstawowymi. Na początku chodził za nią podczas spacerów, ostatnio zaprzestał nawet tego. W milczeniu, bez zrzędzenia i narzekania, robił wszystko, co mógł, by pomóc Milli przetrwać. Kochał ją.

Ta myśl... To był prawie mistyczny moment. Milla oparła głowę na kolanach. Jak, na Boga, mogła pogodzić to, co jej zrobił - wzbraniając dostępu do Justina - z czułością opieki, którą otaczał Millę przez ostatnie kilka tygodni?

Usłyszała silnik, a potem trzaśnięcie drzwi. Wrócił. Słyszała, jak się zbliża, otwiera kuchenne drzwi, wchodzi do środka. Potem nie

było już czego słuchać, jej kochanek poruszał się zawsze cicho jak kot.

Otworzyły się drzwi werandy i stanął w nich Diaz. Zmierzył Millę szybkim, ostrym spojrzeniem, jakby upewniając się, że z nią wszystko w porządku. Potem włożył ręce w kieszenie i oparł się o framugę. Smutnymi oczyma patrzył na szary ocean,

- Przepraszam - powiedział cicho.

Słowa zawisły w powietrzu, gdzieś pomiędzy nimi. Nie przeproszał za poprzednią noc, zrozumiała to - ale za Justina. Milla poważnie wątpiła, by Diaz kiedykolwiek w życiu kogoś przeprosił. Ale ujmująca prostota tego wyznania sprawiła, że bez zastrzeżeń uwierzyła w jego szczerość.

- Wiem, że chciałeś go tylko chronić - powiedziała, zastanawiając się, czemu sama podsuwa mu argumenty.

- Nie miałem pojęcia, co zamierzasz. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że...

- Mogłeś po prostu zapytać.

Tak, tylko że Diaz nie był ufnym człowiekiem, który chętnie otwierał się na innych i bez oporów pozwalał ludziom zbliżyć się do siebie. Skąd mógł wiedzieć, jak Milla zareaguje? Jego własna matka praktycznie go porzuciła, ściągając do siebie tylko wtedy, kiedy jej to pasowało. Cała wiedza Diaza o matkach pochodziła z jego osobistego doświadczenia, dlatego choć teoretycznie wiedział, że większość matek szczerze kocha swoje dzieci, w głębi duszy wątpił w to, bo nie zaznał tego rodzaju miłości.

Do momentu fizycznego podania Winbornom dokumentów Milla sama nie była pewna, czy zdoła przez to wszystko przejść. Jej serce krwawiło. A skoro ona sama nie miała pewności, to jak mogła zakładać, że Diaz podświadomie odczyta jej intencje i będzie wiedział, że Milla nigdy nie skrzywdziłaby Justina, w żaden sposób?

A jednak wciąż nie mogła przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

- Chociażby tej nocy, gdy leżeliśmy razem w łóżku - powiedziała. - Czemu nie zapytałeś: „Millo, co zrobisz po odnalezieniu Justina? Jak możesz planować odebranie go jedynym rodzicom, jakich chłopiec zna?”. Wtedy wiedziałbyś, co czuję, co sobie przetłumaczyłam i co zdążyłam zrozumieć.

- Nawet nie przeszło mi to przez myśl - powtórzył, patrząc na nią przez ramię. - Kiedy oddałeś im te papiery, poczułem się, jakby udzielono mnie w łeb obuchem. Chciałem klęknąć przed tobą i całować twoje stopy, ale obawiałem się, że dostanę siarczystego kopa.

- Słuszna obawa. Dostałbyś.

Kiwnął głową i odwrócił się, dalej patrząc na ocean.

- Nie kochałem cię - powiedział zamyślonym, cichym głosem, jakby rozważał każde słowo. - A przynajmniej tak wtedy myślałem. Ale kiedy mnie wyrzuciłaś, poczułem się... - zadrżał, myśląc o własnych uczuciach - rozdarty na pół.

- Rozumiem - odparła, przypominając sobie własne poczucie straty.

- Teraz już wiem, kiedy to się stało. Kiedy naprawdę to poczułem - machnął dłonią, demonstrując przekraczanie granicy pomiędzy niekochaniem a kochaniem. - W Idaho. Wyciągnąłem cię z rzeki, a ty przewróciłaś się na plecy i roześmiałaś. Dokładnie wtedy.

I właśnie wtedy zabrał się przecież do rzeczy. Wówczas zagrała między nimi emocjonalna chemia. Milla drżała wtedy z pożądania, ale nie posunęli się dalej. Aż do chwili, gdy poczuli ciepłe promienie słońca, gdy ogarnęło ich cudowne uczucie ulgi, dzikiej radości życia, gdy Diaz spojrział na nią i powiedział...

- To było naprawdę specyficzne wyznanie miłości - zachichotała. - Zaoferowanie własnego lewego jaja.

- Nie, to nie było wyznanie miłości, tylko zwykła deklaracja zamiaru. To jest wyznanie miłości.

Przekrzywił głowę lekko na bok, w ten ukochany przez Millę sposób. Jak na człowieka, który miał poważne problemy w porozumiewaniu się ze światem, szło mu całkiem nieźle.

Zapadła cisza. Oboje jeszcze wsłuchiwali się w słowa, które padły przed chwilą. Milla wiedziała, że Diaz oczekuje teraz czegoś od niej. Prosty słów: „wybaczam ci” i „ja też cię kocham”. Tymczasem, choć mogła już teraz z pewnością dać mu te pierwsze, to wcale nie była pewna drugich. Ból i złość ciągle w niej tkwiły, choć już nie tak dojmująco. Było ją teraz stać tylko na odłożenie przeszłości na bok i propozycję: zacznijmy od nowa. Można było się spierać o definicję słowa „przebaczenie”. Może polegało właśnie na gotowości do pójścia naprzód. Ale tu chodziło o Diaza, a nie jakiegoś

tam przeciętnego robola. A nawet nie o przeciętnego inteligenta. Pewnie, mogła pójść przed siebie z Diazem. Pytanie brzmiało: dokąd razem dojdą?

Nie wyobrażała sobie przyszłości spędzonej z nim. Ale nie mogła też wyobrazić sobie przyszłości bez niego.

- Mogłabyś to powiedzieć - mruknął, wciąż patrząc na ocean. Nie spojrzął na nią od chwili, gdy w tak oryginalny sposób wyznał jej miłość.

- Że cię kocham? Tak - westchnęła, popijając łyk kawy. Wyszło to jakoś sztucznie, Milla skrzywiła się i odstawiła kubek.

- Tak, kocham cię.

- Wystarczająco, by wyjść za mnie i urodzić mi dzieci? Milli zabrakło oddechu, a świat zakolysał się wokół. Horyzont ustabilizował się po dobrej chwili.

- Co...? - spytała drżącym z emocji głosem.

- Mówię o małżeństwie. Wyjdiesz za mnie?

- Ale... Jak to wszystko mogłoby nam się udać?

- Ja cię kocham. Ty mnie kochasz. Małżeństwo jest naturalnym następstwem.

Milla trzęsącą się dłonią przeczesła włosy, zdenerwowana ponad wszelką miarę, kompletnie wytracona z równowagi tymi nagłymi oświadczeniami. Były niespodziewane, urocze, słodkie i niebezpiecznie pociągające - ale ogrom problemów, który stanąłby przed nimi po ewentualnym ślubie, był wręcz niemożliwy do ogarnięcia. Jakaś część Milli była śmiertelnie przerażona. On przecież

mówił nie tylko o ślubie, ale także o dzieciach. Jak ona w ogóle zdołałaby...?

- Małżeństwo nie byłoby mądrym ruchem - powiedziała.

Odwrócił się i spojrzał na nią tymi ciemnymi, bezdennymi oczami. Wpatrując się w twarz Milli, czekał na jej dalsze słowa.

- Naszymi problemami emocjonalnymi dałoby się chyba załadować kilka tirów. Ja chyba muszę zacząć chodzić na psychoterapię

- zaśmiała się gorzko. - A ty jesteś płatnym mordercą. Jakie to daje perspektywy na przyszłość? Jeszcze nawet nie wiem, co chcę dalej robić. Czy trzymać się Poszukiwaczy, czy może zostać nauczycielką, co dawno już chciałam zrobić. Chciałabym i teraz, ale... jak? Jestem dobra w odnajdywaniu ludzi. Tylko czuję... takie zmęczenie i...

- Strach.

- O przyszłość? Żebyś wiedział.

- Nie. Boisz się być szczęśliwa.

Patrzyła na niego zmrożona celnością diagnozy, którą ukrywała sama przed sobą, za zasłoną dymną logicznego rozumowania.

- Czy naprawdę uwierzyłaś, że nie zasługujesz w życiu na nic dobrego, tylko dlatego, że pozwoliłaś sobie odebrać Justina? - zapytał, przyszpilając ją bezlitośnie. - Czy przekonałaś sama siebie, że nie wolno ci mieć kolejnego męża, kolejnego dziecka, dlatego że... Że co? Dlatego że nie trzymałaś wtedy dziecka wystarczająco mocno? Czyli że byłaś złą matką?

Milla próbowała przełknąć ślinę. Czowała się tak, jakby jej płuca zamarły, jakby serce stanęło jej w piersi. Nikt nigdy nie powiedział, że to jej wina. Walczyła o dziecko, prawie oddała życie w jego obronie. Powstrzymał ją dopiero cios nożem w plecy. A jednak przez długie dziesięć lat na krawędzi jej świadomości kołatała się natrętna i nieustępliwa myśl: nie obroniła własnego dziecka.

- Ja... Nie powinnam była zabierać go ze sobą na targ... - wyszeptała zdławionym głosem. - Miał dopiero sześć tygodni. Był taki mały...

- Nie mogłaś zostawić go samego. Co innego mogłabyś zrobić? Jej usta zadrżały. Boże, ile razy rozpamiętywała już to pytanie!

Co innego mogłabym zrobić? Musiało być coś, o czym nie pomyślała, czego nie zauważyła. Musiało - bo przecież pozwoliła tym bandytom odebrać sobie Justina.

- Czy nie odkupiłaś już swojej rzekomej winy po stokroć? Odnajdując te wszystkie zaginione dzieci? Co jeszcze musisz zrobić, by wreszcie sobie przebaczyć?

Sprowadzić do domu dziecko, całe i zdrowe. A to nie stanie się nigdy

Diaz podszedł do Milli i przykucnął przed nią, ujmując jej dłonie. Zimny wilgotny wiatr bawił się kręconymi włosami kobiety.

- To dlatego go oddałaś? Żeby spłacić swoją dawną winę?

- Nie. Oddałam go, bo tak właśnie należało postąpić.

Dostrzegła, jak Diaza przechodzi dreszcz - i uświadomiła sobie, że przecież był cały czas na zewnątrz, bez kurtki. Nie zastanawiając

się, odwinęła koc i zaprosiła go na wygrzane miejsce. Kiedy już usadowili się owinięci szczelnie, Milla praktycznie póżeła na Diazie, z głową opartą na jego ramieniu. Ciepło ich ciał szybko przegnało zimowy chłód.

- Nie ma nic złego w normalnym życiu - powiedział łagodnie, głaszcząc ją po twarzy - Nie ma nic złego w cieszeniu się szczęściem.

Milla zastanawiała się przez chwilę nad tymi słowami. Nagle poczuła się tak, jakby stała nad stromym urwiskiem miotana podmuchami porywistego wiatru.

- To... zbyt szybko.

Nawet przyznanie, że kiedyś, w nieokreślonej przyszłości, może znowu pozwolić sobie na szczęście i normalne życie, było niczym uniesienie stopy i zrobienie śmiałego kroku w przepaść.

- Minęło dziesięć lat. Znalazłaś już syna i zrobiłaś to, co było dla niego najlepsze. Czemu zatem „zbyt szybko“?

- Tak po prostu - raz jeszcze chciała podeprzeć się zimną logiką.

- Przez szczęście rozumiesz małżeństwo z tobą.

- Mogę cię uszczęśliwić.

A ja ciebie - powiedziała bezgłośnie, czując niepewność na samą myśl o tym. Diaz był skomplikowanym, trudnym człowiekiem. Jeżeli teraz Milla da mu kosza, to zważywszy na skrajnie samotniczą naturę tego mężczyzny, Diaz najprawdopodobniej już nigdy się nie ożeni. To ona była jego szansą na normalne życie.

Tak jakby życie z Jamesem Diazem mogło być choć trochę normalne.

- Jak niby mielibyśmy się pobrać? Co my o sobie wiemy? Nie mam nawet pojęcia, ile masz lat.

- Trzydzieści trzy.

Zamilkła, zapominając natychmiast o wszystkich innych nadzwyczaj ważnych argumentach, które trzymała w zanadrzu. Diaz wydawał się starszy, choć w jego włosach nie było siwizny, a na twarzy brakowało zmarszczek.

- Ja też mam trzydzieści trzy. Kiedy masz urodziny?

- Siódmego sierpnia.

- O Boże, to jestem starsza od ciebie! Urodziłam się dwudziestego siódmego kwietnia.

Była tak zdziwiona, że Diaz aż się uśmiechnął:

- Widzisz? Zawsze pociągały mnie starsze kobiety. Dźgnęła go kciukiem w pierś, za co obdarował ją pocałunkiem, znacznie dłuższym i bardziej namiętnym, niż się spodziewała. Potem potarła zimnym nosem jego szyję, napawając się ciepłym zapachem męskiego ciała. Chciała powiedzieć „tak”. Kochała go, bardziej, niż - jak sądziła - była obecnie zdolna. I choć Diaz był ciężkim przypadkiem, to na wiele sposobów stanowili dla siebie nawzajem idealne dopełnienie. Przy Milli Diaz swobodnie rozmawiał, żartował, nawet się śmiał. Coś siedzącego w tej kobiecie zdołało skruszyć jego grubą skorupę, zawrócić ze stromej ścieżki, którą sam kiedyś obrał.

Ale miała rację co do problemów, które stały przed nimi, tego była pewna. Małżeństwo tylko je ujawni, niczego nie rozwiąże samo z siebie.

- Z czego będziemy żyć? Jeśli się pobierzemy, to nie będziesz już mógł ścigać bandziorów po całym Meksyku, każdego dnia narażać się na śmierć...

Przerwała. Wolą nie rozwijać tego tematu.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym robić, ale coś znajdę.

Nie było chyba zbyt wielu ofert pracy dla emerytowanych łowców nagród ani dla byłych płatnych zabójców. Nie mogła jakoś wyobrazić sobie Diaza siedzącego w biurze ani Diaza wykonującego jakąkolwiek pracę wymagającą kontaktu z klientami. Dobre pytanie: właściwie co on mógłby robić?

No i proszę, myślała o przyszłości. Wszystko działo się zbyt szybko, a ona przecież nawet nie stanęła jeszcze porządnie na nogi.

- Nie mogę powiedzieć „tak” - westchnęła. - Jeszcze nie. Mamy zbyt wiele problemów do rozwiązania.

Pocałował ją znowu, zamykając oczy i przyciągając Millę do siebie.

- Nigdzie się nie wybieram. Może zapytam cię w następnym roku.

Podniósł się, unosząc Millę w ramionach i kierując się ku drzwiom do domu.

Dziesięć minut później, gdy Diaz leżał przy niej, Milla uświadomiła sobie, że jest grudzień. Następny rok zaczynał się za trzy tygodnie.

- Mamo! Thane niszczy mi pracę domową! Każ mu przestać!

Milla zamieszała sos do spaghetti i rzuciła zmęczone spojrzenie w stronę pokoju, skąd dochodziły coraz głośniejsze krzyki.

- James! Zabierz Thane'a, przeszkadza Linnei!

Nie musiała powtarzać. Wrzaski przybrały na sile, najwyraźniej ojciec właśnie odrywał małego Thane'a od lekcji jego ośmioletniej siostry. Już po kilku minutach zapadła błogosławiona cisza, przerywana tylko sporadycznymi pomrukami niezadowolenia Linnei, która musiała przepisać kilka stron. Diaz pojawił się w holu z uwieszonym na szyi rozchichotanym Thaneem.

- I co mam z nim teraz zrobić?

- Coś. Pobaw się z nim albo przywiąż do krzesła. Wymyśl coś.

Sześćoletnia Zara siedziała przy kuchennym stole, pilnie ćwicząc pisanie literek, starając się, by wychodziły jej same piękne i kształtne.

- Nie będzie mu się podobało to wiązanie - powiedziała ze śmiertelną powagą w czarnych oczkach.

- Przecież tylko żartowałam, kwiatuszku.

Z trójki ich dzieci Zara była najbardziej podobna do Diaza, poważna i zawsze skupiona. Linnea była błyskotliwa i pewna siebie, zawsze wychodząca naprzeciw wyzwaniom - podczas gdy Zara stała z boku i obserwowała wszystko uważnie. Milla uspokajająco przytuliła

swoją młodszą córkę, a Diaz zabrał Thane'a na zewnątrz, by zająć go czymś ciekawym.

Thane był nieplanowanym dzieckiem, urodzonym dwa dni po jej czterdziestych pierwszych urodzinach. Byli już w pełni usatysfakcjonowani swoimi dwiema córeczkami, ale mały wypadek z prezerwatywą zaowocował przyjściem na świat chłopczyka, któremu powinni w zasadzie dać na imię Huragan. Jeszcze zanim nauczył się raczkować, Thane domagał się, by kłaść go w ciekawych miejscach, które badał z zainteresowaniem. Wkrótce potem, gdy już chodził, wszyscy domownicy musieli bez przerwy pilnować dziecka, które wciąż szukało guza. Teraz synek miał dwa lata, a Milla poważnie zastanawiała się nad kaftanem bezpieczeństwa. Dla siebie.

Zabawnie się to wszystko ułożyło. Jej małżeństwo z Diazem - wciąż musiała przypominać sobie, by nazywać go James - trwało już dziewięć lat. Wstrzymywała się z decyzją o ślubie aż do czasu rozwiązania najważniejszych problemów ich obojga, czyli po prostu pracy Milla wciąż formalnie pozostawała szefową Poszukiwaczy, ale kierowanie organizacją spadło praktycznie na barki Joann Westfall, podczas gdy Milla ograniczyła się do zbierania funduszy, co też zajmowało sporo czasu. Dostawała już regularną pensję, miała mniej więcej stałe godziny pracy i nie musiała nigdy zostawiać dzieci samych na noc.

Diaz testował broń palną dla dużego zakładu zbrój eniówki, a poza tym pracował jako konsultant policji El Paso, biura szeryfa i kilku prywatnych firm ochroniarskich. Milla prawie się rozplakała,

gdy wreszcie powiedział jej, co będzie robić. Bała się strasznie, że Diaz nie znajdzie legalnej pracy, w której atutem i zaletą będą jego wyjątkowe umiejętności. Wyglądało na to, że nigdy nie dorobią się fortuny, ale mieli dość pieniędzy, by wychowywać dzieci i od czasu do czasu pozwolić sobie na mały luksus. A to wystarczało jej z nawiązką.

Mieszkanie w apartamencie Milli, z tak wieloma sąsiadami tuż za ścianą, niepokoiło Diaza. Nie narzekał, ale ona widziała, jak jest zdenerwowany, jak nie może znaleźć sobie miejsca. Kiedy Milla była w piątym miesiącu ciąży z Linneą, Diaz zaczął działać jej na nerwy tak bardzo, że postanowiła coś z tym wreszcie zrobić. Diaz rozejrzał się po okolicy i znalazł dom na tyle oddalony od innych, by mógł znaleźć w nim spokój, a jednocześnie stojący na tyle blisko domów sąsiadów, by Milla nie czuła się odizolowana od ludzi. Był to stary, przyjemny budynek z drzewami rosnącymi na podwórku i z czterema przestronnymi sypialniami. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że wszystkie te pokoje się przydadzą. Kupili dom, dbając o bezpieczeństwo dziecka, ogrodzili podwórko - i nie zwlekając, wprowadzili się.

Milla była szczęśliwa. Choć długo miała wątpliwości, gdy wreszcie się pobrali - prawie rok po pierwszych oświadczeniach - znalazła wielkie szczęście.

Patrzenie na męża zajmującego się dziećmi było dla niej źródłem nieustannej radości. Najpierw podchodził do Linnei ostrożnie, niczym do bomby zegarowej - ale wkrótce, dzięki własnemu zacięciu i

uporowi, nauczył się zmieniania pieluch i wszystkich innych tajników pielęgnacji niemowlęcia. Nieco gorzej było z wychowaniem i dyscypliną. Diaz nie do końca pojmował zawłości tych dziedzin. Tłumaczył Milli zmieszany, ale śmiertelnie poważny, że dzieci płaczą, kiedy je karci, więc musiał przestać to robić. Sytuacja musiała być jednak naprawdę krytyczna, żeby Diaz stał się surowy czy srogi. Skutkowało to tym, że cała trójka dzieciaków - autentycznie zszokowana, gdy tata choć trochę podniósł głos - natychmiast robiła się wtedy potulna niczym trzy baranki. To nie było fair. Milla czasem wrzeszczała jak szalona, a dzieci i tak nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Ale tak naprawdę ich potomstwo było mądre, ciekawe świata i ogólnie całkiem posłuszne. Tylko czasem potrafiło naprawdę dać w kość.

Milla - paradoksalnie - bardzo się cieszyła, że czasem czuje irytację i złość na dzieci. Jeszcze będąc w ciąży, bała się, by tragedia z przeszłości nie zmieniła jej w nadopiekuńcza, ogarniętą niezdrową obsesją matkę. Nie była wcale pewna, czy sprawdzi się w macierzyństwie. Na szczęście Linnea okazała się dobrym i zdolnym dzieckiem. Do czasu pojawienia się Zary Milla zdążyła się uspokoić. Potem były cztery spokojne, sielankowe lata - aż do przyjścia na świat Thanea. Czas po jego urodzeniu też był radosny, ale na pewno już nie spokojny

- Umyjesz rączki i pomożesz mi przygotować stół? - zapytała Zarę, która posłusznie zabrała swoje zeszyty i pobiegła umyć ręce.

- Ja też chcę pomóc! - zawołała Linnea, wybiegając z pokoju i podążając za siostrą do łazienki na dole.

Milla postawiła na stole wielką misę sałatki i sprawdziła bułeczki w piecyku. Przyrumieniły się już smakowicie, więc wyjęła je i ułożyła w chlebowym koszyczku. Diaz wrócił z Thaneem i poszedł zmyć z chłopca przynajmniej największy brud. Milla tymczasem odcedzała spaghetti.

Dziewczynki właśnie rozkładały talerze i sztucce, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Milla westchnęła ciężko: jak zwykle. Jeśli coś miało im przeszkodzić, to zawsze dokładnie w momencie wspólnego siadania do stołu.

- Otworzę - powiedziała do Diaza, który właśnie wychodził z łazienki z Thaneem pod pachą.

Za drzwiami czekał młody, wysoki mężczyzna o niebieskich oczach i jasnych włosach. Pod Millą ugięły się kolana, musiała oprzeć się o framugę drzwi. Jej oczy momentalnie zaszklily się łzami.

Wiedziała. Już w chwili, gdy ujrzała jego twarz - wiedziała. On także się denerwował.

- Przepraszam za najście - odchrząknął. - Ale ja... Czy pani Milla Edge?

- Teraz już Milla Diaz - zdołała odpowiedzieć.

Młody człowiek chrząknął ponownie, rzucając niepewne spojrzenie ponad jej ramieniem. Milla wiedziała, że przyszedł Diaz, jeszcze zanim jego silne ramię objęło ją w talii i przytuliło uspokajającym gestem.

- Ja... Hm... Jestem Zack Winborn. To znaczy... Justin. Pani syn
- dodał zupełnie niepotrzebnie.

Gęste łzy płynęły po twarzy kobiety rozmywając cudowny widok przed jej oczami. Cichy szloch wyrwał się z gardła Milli, niechciany i niemożliwy do powstrzymania. Na twarzy Zacka pojawił się niepokój, ale nagle płacz zamienił się w śmiech. Milla wyciągnęła rękę i ujęła dłoń syna.

- Tak długo czekałam - powiedziała, zapraszając go do domu.

scandalous